

To zdarzyło się naprawdę. W pogodną noc, w czerwcu 2005 roku, czterech komandosów z elitarniej amerykańskiej jednostki Navy SEALs opuściło bazę w północnym Afganistanie. Ruszyli w kierunku małej wioski w pobliżu granicy z Pakistanem. Misja: schwytać bądź zlikwidować jednego z przywódców al-Kaidy. Przed upływem dwudziestu czterech godzin trzech straciło życie.

Operacja Czerwone Skrzydło uchodzi za największą porażkę w kilkudziesięcioletniej historii Navy SEALs. W akcji oprócz trzech SEALsów walczących nad wioską, zginęło także 16 innych żołnierzy, którzy pospieszyli z pomocą.

Przetrwał tylko jeden - Marcus Luttrell. Wycieńczony, ranny, załamany, nękany halucynacjami dostał schronienie w afgańskiej wiosce otoczonej przez talibów. Jak uszedł z życiem?

Jeden z najbardziej pasjonujących i wzruszających opisów bohaterstwa, jakie znamy z pól bitewnych w Afganistanie i Iraku. Zdumiewająca historia ocalenia.

HOUSTON CHRONICLE

Partnerzy Militaria.pl

[www.innespacery.pl](http://www.innespacery.pl)

Marcus Luttrell Patrick Robinson

PRZETRWAŁEM

AFGANISTAN

O operacji Czerwone Skrzydło i poległych w niej bohaterach, żołnierzach 10.

Zespołu Navy SEALs, opowiada naoczny świadek

Przekład: Magdalena Rusak

Zeskanował Krzysztof Tykwiński

Książkę tę dedykuję pamięci Murpha, Axe'a i Dannyego, Kristensena, Shanea, Jamesa, Seniora, Jejfa, Jacques'a, Taylora i Maca. Tych jedenastu ludzi z Plutonów Alfa i Echo walczyło i poległo w górach Afganistanu próbując ocalić mi życie. To z nimi miałem zaszczyt służyć krajowi. Nie ma minuty, bym ich nie wspominał z najgłębszym przywiązaniem i z ogromnym smutkiem, który łamie mi serce.

Prolog

Czy kiedykolwiek to zadanie stanie się łatwiejsze? Dom za domem, autostrada za

autostradą, stan za stanem. Było mi ciężko. Znow siedziałem za kółkiem wypożyczonej terenówki, jadąc główną ulicą miasta. Minałem sklepiki i stację benzynową, tym razem w smaganej wiatrem miejscinie na Long Island w stanie Nowy Jork, tuż przy długich plażach wybrzeża Atlantyku. Nadchodziła zima. Niebo było ołowiane, a białe szczyty fal sunęły do brzegu niemal dotykając nisko zawieszonych chmur. Ten widok oddawał mój nastrój, bo ten raz miał być trudniejszy od innych. Dużo trudniejszy.

Znalazłem punkt orientacyjny, budynek poczty. Wjechałem na tyły i zaparkowałem. Wyszliśmy z samochodu i zanurzyliśmy się w listopadowy chłód. Ostatnie jesienne liście krążyły wokół naszych stóp. Nikt nie chciał wejść pierwszy. Żaden z facetów, którzy ze mną byli. Parę chwil staliśmy przed furtką, jak grupka mleczarzy na przerwie śniadaniowej.

Znałem drogę. Dom był parę metrów dalej. W pewnym sensie już kiedyś tam byłem — w Północnej i Południowej Karolinie, a także w Nevadzie. W ciągu paru dni będę musiał jeszcze pojechać do Waszyngtonu i do Virginia Beach. I wiele rzeczy odbędzie się dokładnie tak samo.

Bliskich zmarłego ogarnie smutek, pulsujący ból, który towarzyszy myśli, że młody człowiek zginął na początku drogi. Uczucie pustki pojawiające się w każdym z domów. Te same niekontrolowane łzy. To samo uczucie osamotnienia ludzi, którzy próbują być dzielni. Ich życie roztrzaskane w proch. Nie da się ich pocieszyć. Są przepelnieni żalem.

Jak poprzednio, to ja miałem przekazać tę straszną wiadomość tak, jakby do mojego przybycia nikt o niczym nie wiedział, mimo że minęły tygodnie, a nawet miesiące od pogrzebów. Dla mnie ta niewielka uroczystość w Patchogue na Long Island miała być najtrudniejsza. Próbowałem wziąć się w garść. Ale wciąż słyszałem w głowie ten straszliwy krzyk. Krzyk, który budzi mnie w nocy, wdziera się w moje naznaczone samotnością sny. Co noc przywołuje poczucie winy. Bezgraniczne poczucie winy tego, który ocalał. „Pomóż mi, Marcus! Proszę cię, pomóż!”

Desperackie wołanie rozbrzmiewało w górach dalekiego kraju. Krzyk odbił się

echem pośród głębokich wąwozów, w najsamotniejszym chyba miejscu na ziemi. Był to krzyk śmiertelnie ranionego zwierza. Nie mogłem odpowiedzieć na to błaganie. I nie mogę o nim zapomnieć. O pomoc prosił mnie jeden z najwspanialszych ludzi, jakich znałem, mój najlepszy przyjaciel.

Wszystkie wizyty były trudne. Siostra i żona Dana próbujące się nawzajem podtrzymać. Ojciec Eryka, admirał, pozostawiony sam na sam z rozpaczą.

Narzeczoną i ojciec Jamesa, żona i przyjaciele Axe'a, kompletnie zdruzgotana matka Shane'a w Las Vegas. Wszędzie było okropnie. Jednak tu miało być najgorzej.

W końcu poprowadziłem żałobną grupę pośród tańczących na wietrze liści przez zimną, dziwną uliczkę do małego domu z maleńkim ogródkiem, w którym w ostatnim czasie nie koszono trawy. Jednak lampki podświetlające amerykańską flagę wciąż trwały w oknie od frontu. Te lampki wskazywały dom patrioty i świeciły wyzywająco, jakby on wciąż tam mieszkał. Mikey by to docenił.

Zatrzymaliśmy się na moment, a potem weszliśmy po schodkach i zapukaliśmy do drzwi. Kobieta, która nam otworzyła była ładna, miała długie ciemne włosy, w jej oczach już szklily się łzy. Matka.

Wiedziała, że to ja ostatni widziałem go żywego. Patrzyła na mnie z głębokim smutkiem. Miałem wrażenie, że mnie ten smutek przetnie na pół. Powiedziała cicho:

— Dziękuję, że przyjechałeś. Powiedziałem coś w stylu:

— Jestem tu z powodu pani syna.

Kiedy wchodziliśmy do domu, zobaczyłem w holu stolik. Stało na nim duże, oprawione w ramki zdjęcie mężczyzny z lekkim uśmiechem na twarzy. Znow stał przede mną Mikey, a ja słyszałem głos jego matki:

— Nie cierpiał, prawda? Powiedz mi, że nie cierpiał. Musiałem wytrzeć mankietem oczy, zanim odpowiedziałem:

— Nie, Maureen, nie cierpiał. Od razu umarł.

Powiedziałem to, co chciała usłyszeć. Taktyczne odpowiedzi to podstawowe wyposażenie kogoś, kto jako jedyny ocalał.

Chciałem opowiedzieć jej o niezłomnej odwadze syna,

o jego woli i żelaznej dyscyplinie. Zgodnie z tym, czego mogłem się spodziewać,

chyba jeszcze nie pogodziła się z prawdą. Na pewno nie stało się to aż do mojej relacji. To ja ostatecznie potwierdziłem złe wiadomości.

Przez następną godzinę próbowaliśmy rozmawiać jak dorośli. Było to trudne. Wiele można było powiedzieć

I tyle samo trzeba było przemilczeć. Obecność trzech towarzyszących mi żołnierzy oraz strażaka i policjanta z Nowego Jorku nie stanowiła większej różnicy.

Mimo wszystko musiałem odbyć tę podróż. Obiecałem sobie, że tak zrobię, niezależnie od kosztów. Wiedziałem, ile znaczyłoby dla każdego z nich to, że ktoś, kto tam z nimi był, będzie mógł dzielić z ich bliskimi udrękę. Od drzwi do drzwi, od bólu do bólu.

Uważałem, że to mój obowiązek, ale to nie ułatwiało sprawy. Maureen uściskała nas wszystkich zanim wyszliśmy. Sztywno skinąłem przed fotografią przyjaciela i ruszyłem smutną ścieżką w stronę ulicy.

Wieczorem będzie równie ciężko, bo mamy odwiedzić Heather, narzeczoną Mike'a, w jej nowojorskim apartamencie. To wszystko było nie fair. Już byliby małżeństwem. Dzień później pojedę na cmentarz w Arlington, by odwiedzić groby kolejnych dwóch poległych kolegów.

Jakby na to nie patrzeć, była to długa i kosztowna podróż przez Stany Zjednoczone, opłacana przez organizację, dla której pracuję. Podobnie jak ja, jak my wszyscy, oni też rozumieją sytuację. I, jak to się dzieje w wielu dużych korporacjach, które zatrudniają rzesze ofiarnych pracowników, można o nich sporo powiedzieć na podstawie filozofii firmy lub - jak wolicie - jej spisanych zasad.

Dokument taki określa typ pracownika i standardy stosowane w firmie. Przez wiele lat starałem się opierać całe moje życie na pierwszym akapicie:

„W niepewnych czasach niezwykły wojownik staje na wezwanie ojczyzny. Jest to przeciętny człowiek pragnący nieprzeciętnego sukcesu. Ukształtowany przez przeciwności, staje ramię w ramię z funkcjonariuszami najlepszych amerykańskich sił operacyjnych, by służyć swemu krajowi, chronić jego mieszkańców i ich styl życia. To ja nim jestem”.

Nazywam się Marcus. Marcus Luttrell. Jestem dowódcą plutonu Alfa 1. Zespołu

SDV Navy SEAL. Jak każdy z SEALsów, jestem przygotowany do używania broni i walki wręcz. Jestem snajperem i lekarzem plutonowym. Ale przede wszystkim jestem Amerykaninem. Kiedy uderzą w dzwon, pójdę walczyć za mój kraj i za moich towarzyszy. I — w razie potrzeby — oddam za nich życie.

Nie chodzi o to, że tak mnie wyszkolono w SEALsach. Ja po prostu tego chcę. Jestem patriotą, walczę z gwiazdą Teksasu na prawym ramieniu i z flagą Teksasu w sercu. Porażka jest dla mnie czymś nie do przyjęcia.

Mikey zginął latem 2005 roku. Walczyliśmy ramię w ramię na wyżynach północno-wschodniego Afganistanu. Nie znam lepszego oficera niż on. Był wojownikiem z żelaza. Niesamowicie, wprost niewiarygodnie odważnym.

Mogliby to potwierdzić dwaj inni moi towarzysze, którzy tam walczyli i zginęli — Danny i Axe, amerykańscy bohaterzy, wyróżniający się w siłach zbrojnych, gdzie walczy-

ność nie jest czymś nadzwyczajnym. Ich życie daje świadectwo jednemu z akapitów filozofii U.S. Navy SEALs:

„Nigdy się nie poddam... Wytrwam i będę się rozwijał w obliczu przeciwności. Ojczyzna wymaga, bym był fizycznie i psychicznie mocniejszy od moich wrogów. Gdy upadnę, zawsze powstanę. Moich towarzyszy będę ochraniał tak długo, jak długo starczy mi sił... Nigdy nie poddam się w walce”.

Już wspominałem, że mam na imię Marcus. Piszę tę książkę dla moich trzech kumpli: Mike'a, Dannyego i Axe'a. Jeśli bym jej nie napisał, nikt nigdy nie zrozumiałby, jak nieustraszeni w walce byli ci trzej Amerykanie. A to by była największa tragedia.

Rozdział 1 Do Afganistanu... latającym magazynem

Był to czas odwetu za World Trade Center. Ścigaliśmy facetów, którzy to zrobili. Może nie dokładnie tych samych, ale ich towarzyszy. Szaleńców, którzy wciąż życzyli nam śmierci i mogli uderzyć ponownie.

Ludzie z Navy SEALs żegnają się zdawkowo. Klepięcie w ramię, przyjacielski uścisk. Nikt nie zdradza tego, co naprawdę wszyscy myślą: „Chłopaki, znów jedziemy na wojnę, w kolejne gorące miejsce, znowu są jacyś wrogowie, którzy chcą się z nami zmierzyć... Musieli postradać zmysły”.

Tak właśnie myślą SEALsi, elita wojowników amerykańskich sił zbrojnych. Potężni, szybcy, doskonale wyszkoleni faceci, uzbrojeni po zęby, świetni w walce wręcz, tak się maskujący, że nikt nie spodziewa się ich nadejścia. Foki są mistrzami strategii, doskonale posługują się pistoletem, są artystami broni maszynowej i - w razie potrzeby — zręcznie używają noża. Ogólnie rzecz biorąc uważamy, że mało jest na tym świecie problemów, których nie można rozwiązać za pomocą dużej ilości materiału wybuchowego i celnie wystrzelonego naboju.

Prowadzimy akcje na morzu, na lądzie i w powietrzu. To stąd pochodzi nasza nazwa. U.S. Navy SEALs walczą pod wodą, na wodzie i poza nią. Potrafimy to wszystko. Tam, gdzie teraz jechaliśmy, nie mieliśmy działać w wodzie. Mieliśmy być bardzo daleko od niej, na wysokości setek metrów nad poziomem morza, wśród pozbawionego drzew, księżycowego górskiego krajobrazu. W jednym z najbardziej wyludnionych miejsc na ziemi, gdzie nie rządzą żadne prawa. W Afganistanie. „Cześć Marcus”. „Powodzenia Mikey”. „Trzymaj się Matt”. „Do zobaczenia chłopaki”. Jakby to było wczoraj. Ktoś otworzył drzwi naszego baraku, światło wylało się w ciepłą, ciemną noc Bahrajnu, dziwnego pustynnego królestwa, które z Arabią Saudyjską łączy jedynie trzykilometrowa szosa Króla Fahda.

Ubrani w lekkie, bojowe mundury, pustynny kamuflaż i buty szturmowe, wyszliśmy w ciepłą wieczorną bryzę. Był marzec 2005 roku. Upał nie był tak piekielny jak latem. Ale dla grupki Amerykanów i tak było nadzwyczaj gorąco. Nawet dla faceta z Teksasu, czyli dla mnie. Bahrajn znajduje się na 26° szerokości geograficznej północnej, czyli ponad 650 km na południe od Bagdadu. Tam zawsze jest gorąco. Nasza jednostka była usytuowana na południe od stolicy, Manamy, w północno-wschodnim zakątku wyspy. Oznaczało to, że musimy przejechać przez miasto do amerykańskiej bazy na wyspie Muharraq. Tu się przylatywało i odlatywało z Bahrajnu.

Ośmiokilometrowy odcinek drogi prowadził przez miasto. Miejscowi nie byli nami zachwyceni. Wyglądali jakoś chmurnie, jakby mieli po dziurki w nosie amerykańskich żołnierzy. W Manamie były dzielnice zwane strefami czarnych flag, gdzie handlarze, sklepikarze i zwykli ludzie wywieszali czarne flagi przed

należącymi do nich nieruchomościami na znak, że Amerykanie nie są tu mile widziani.

Nie było w tym tyle nienawiści, co w napisach Juden Verboten w hitlerowskich Niemczech, ale podskórna niechęć w stosunku do nas obecna była w całym świecie arabskim. Wiedzieliśmy, że wiele osób sympatyzuje z muzułmańskimi ekstremistami, fanatykami z al-Kaidy i tali-bami. Czarne flagi spełniały swoją rolę. Trzymaliśmy się z dala od tych miejsc.

Musieliśmy przejechać przez miasto w nieopancerzo-nym wozie do mostu Szejka Hamada. Dobrze im idzie budowanie mostów i myślę, że jeszcze niejeden zbudują wzięwszy pod uwagę, że archipelag Bahrajnu tworzą 32 małe wyspy położone tuż przy zachodnim wybrzeżu Arabii Saudyjskiej, w Zatoce Irańskiej.

Przejechaliśmy przez Manamę do Muharraa, gdzie na południe od Międzynarodowego Lotniska Bahrajnu znajdowała się amerykańska baza lotnicza. Czekał tam na nas Herkules C-130, gigantyczny transportowiec o napędzie turbośmigłowym. To chyba najgłośniejszy samolot na świecie. Jego wielkie, odbijające dźwięki wnętrze zostało zaprojektowane do przewożenia ciężkiego sprzętu, a nie wrażliwych, delikatnych i gustujących w konwersacji osób, takich jak my.

Zapakowaliśmy nasz podstawowy sprzęt: broń maszynową, karabinki M4, SIG-Sauery 9 mm, noże bojowe, pasy z amunicją, granaty, przybory medyczne i sprzęt służący do komunikacji. Chłopcy rozwiesili hamaki. To nie była bussines class. Ale żaby nie powinny spodziewać się komfortu. A my jesteśmy ludźmi-żabami.

Upakowani w latających magazynach, zmuszeni do podróżowania w najbardziej prymitywnych, jak na komunikację pasażerską, warunkach, całą drogę narzekaliśmy. Jednak, gdy nasza szóstka znalazła się w jakiejś cholernej dziurze na polu walki, gdy byliśmy przemoczeni do suchej nitki, przemarznięci i poranieni, uwięzieni i zdziesiątkowani, gdy walczyliśmy o życie, wtedy nigdy nie było słychać narzekania. To jest właśnie amerykańskie braterstwo, coś, co się ma we krwi. Coś, co karze walczyć i nie daje się człowiekowi załamać. Coś, co opiera się na patriotyzmie, odwadze i wzajemnym zaufaniu. Nie ma drugich takich sił zbrojnych na świecie, jak

nasze.

Obsługa samolotu sprawdziła, czy jesteśmy przypięci, a potem ogłuszające silniki Boeinga zaczęły wyć. Jezu, aż trudno uwierzyć, jak straszny to był hałas. Miałem wrażenie, że siedzę w skrzyni biegów. Samolot zaczął się trząść i rzucać, gdy wjechaliśmy na pas startowy. Potem wystartował na południowy-zachód, prosto w pustynny wiatr

wiejący z Półwyspu Arabskiego. Na pokładzie nie było innych pasażerów, tylko obsługa i — w tyle — my. Lecieliśmy walczyć w imię Boga, w obronie Stanów Zjednoczonych. Naszym komendantem był prezydent George W. Bush. W pewnym sensie byliśmy zupełnie sami. Jak zwykle.

Samolot wykonał zakręt nad Zatoką Bahrajn, a potem mocno przechylił się w lewo biorąc kurs na wschód. O wiele szybciej można by dotrzeć na miejsce lecąc na północny-wschód przez Zatokę Perską. Jednak nie zrobiliśmy tego, bo wtedy znaleźlibyśmy się nad niebezpiecznymi wyżynami południowej części Iranu.

Zamiast tego leciliśmy ponad przyjaznymi pustynnymi wybrzeżami Zjednoczonych Emiratów Arabskich, północnymi połączeniami palących piasków Rub al-Chali. Za nami został rozgrzany jak kocioł, niechętny nam Irak oraz Kuwejt - miejsca, w których wcześniej służyłem. Pod nami leżały przyjaźniej nastawione pustynne królestwa. Katar, z których pochodzi używany na całym świecie gaz ziemny, naftowy emirat Abu Dabi i słynący z nowoczesnych wysokościowców Dubaj. Nieco dalej na wschód rozciągało się skaliste wybrzeże Omanu.

Żaden z nas jakoś specjalnie nie smucił się faktem, że opuszcza Bahrajn - miejsce, w którym odkryto pierwsze złoża ropy naftowej na Bliskim Wschodzie. To państwo miało swoją historię, a my dobrze się tu bawiliśmy targując o wszystko z handlarzami na miejscowym bazarze. Jednak nigdy nie czuliśmy się u siebie i kiedy wlatywaliśmy coraz wyżej w otchłań czarnego nieba, czuliśmy, że zostawiamy za sobą wszystko, co złe na północy zatoki i rozpoczynamy całkiem nową misję. Misję, którą rozumieliśmy.

W Bagdadzie zwykle walczyliśmy z niewidocznym wrogiem. Naszym zadaniem było go znaleźć. A kiedy już go znaleźliśmy, to rzadko wiedzieliśmy, kto to jest — członek



al-Kaidy czy może talib, szyita czy sunnita, Irakijczyk czy cudzoziemiec? Czy to bojownik walczący o wolność pod flagą Saddama czy też jest to powstaniec walczący o wol-

ność w imię boga innego niż nasz? Boga, który z jakichś powodów sankcjonuje mordowanie niewinnych cywilów. Boga, który wyeliminował Dziesięć Przykazań z gry.

Oni byli wszędzie, zawsze groźni, co powodowało nieustanną nerwówkę. Wiecie, co mam na myśli? Dla nas zmiana terenu, podróż wielkim Herkulesem oznaczała opuszczenie miejsca, w którym sami się wykańczaliśmy i lot w inne miejsce, pełne ludzi z dzikich gór, którzy chcieli nas wykończyć.

Afganistan. To, było coś zupełnie innego. Wznoszące się na jego północnym-wschodzie góry, zachodni kraniec potężnego Hindukuszu. To w tych górach talibowie ukrywali szaleńców z al-Kaidy. One chroniły opętanych zwolenników Osamy bin Ladena, którzy planowali ataki na World Trade Center w Nowym Jorku.

To właśnie tu żołnierze bin Ladena mieli swoją bazę treningową. Pozwólcie, że wyjaśnię - al-Kaida znaczy właśnie „baza”. W zamian za saudyjskie pieniądze fanatyka bin Ladena, talibowie umożliwili im wszystko. Teraz dokładnie ci sami ludzie, ostatni stronnicy talibów i paru wojowników al-Kaidy próbowali zacząć wszystko od początku. Chcieli przebić się przez górskie przełęcze i założyć nowy obóz treningowy oraz sztab wojskowy, a w końcu własny rząd, który zająłby miejsce władz wyłonionych w demokratycznych wyborach.

Może to nie ci sami ludzie zaplanowali atak z 11 września. Jednak z całą pewnością byli to ich następcy, ich spadkobiercy i zwolennicy. Należeli do tej samej grupy, która zburzyła północną i południową wieżę na Manhattanie, słynnego ranka we wtorek 2001 roku. Naszym zadaniem było ich zatrzymać tam, w tych górach, niezależnie od kosztów.

Jak dotąd mieszkańcy tych gór dawali niezły wycisk naszym żołnierzom podczas różnych potyczek. I właśnie dlatego szefowie posłali po nas. Kiedy zaczynają się prawdziwe kłopoty, zwykle ściągają Foki. W tym celu marynarka latami trenuje SEALsów w Coronado albo na Virginia Beach. Mamy służyć

wtedy, gdy wujek Sam zdejmuje aksamitne rękawiczki i pokazuje metalową pięść Do-wódctwa Sił Specjalnych (SPECWARCOM).

To był powód naszego przyjazdu. Może misja miała charakter strategiczny, może była tajna. Jednak jedno było jasne jak słońce, przynajmniej dla sześciu SEALsów lecących wysoko nad arabską pustynią w huczącym Herkulesie. Był to czas odwetu za World Trade Center. Ścigaliśmy facetów, którzy to zrobili. Może nie dokładnie tych samych, ale ich towarzyszy, którzy wciąż życzyli nam śmierci i mogli ponownie uderzyć. Nie ma różnicy, prawda?

Wiedzieliśmy, jaki jest cel podróży. Wiedzieliśmy też, że lecimy w wysokie góry Hindukuszu. W góry, gdzie bin Laden mógł się wciąż ukrywać i gdzie chowały się bandy jego nowych zwolenników.

Jasność celu była dla nas inspirująca. Zostawiliśmy za sobą zdradliwe, zakurzone zaułki Bagdadu, gdzie nawet czterolatkom wpajano nienawiść do nas. Przed nami był Afganistan, czekał niczym starożytne pole walki, gdzie można zmierzyć się z wrogiem - siłą, podstępem i orężem.

Może to by zniechęciło zwykłego żołnierza, ale nie SE-ALsa. Mogę to zaświadczyć ze stuprocentową pewnością, że całą naszą szóstkę cieszyła ta perspektywa. Nie mogliśmy się doczekać, kiedy ruszymy do pracy na otwartym polu i nie mieliśmy wątpliwości, że osiągniemy sukces. Wiedzieliśmy, że jesteśmy dobrze przygotowani, mamy doświadczenie i potrafimy właściwie ocenić sytuację. Byliśmy niepokonani. Tego nas uczono. A my w to wierzyliśmy. Ta myśl zapisana jest czarno na białym w ostatnich dwóch akapitach filozofii U.S. Navy SEALs:

Szkolę się, by walczyć na wojnie i wygrywać. Jestem gotowy wykorzystać pełne spektrum środków bojowych, aby wykonać moją misję i osiągnąć cele, które przede mną postawił mój kraj. Swoje obowiązki będę wypełniał bez namysłu i jeśli będzie to konieczne — z użyciem przemocy, ale zawsze kierując się zasadami, którym służę i których bronię.

Odważni ludzie walczyli i ginęli, budując dumną tradycję i budzącą respekt reputację. Ja mam obowiązek tego strzec. W najtrudniejszych warunkach oddanie towarzyszom broni będzie kierowało moimi decyzjami i każdym moim czynem.

Nigdy ich nie zawiodę.

Zapusciliśmy brody, żeby przypominać bojowników afgańskich. Ważne było, abyśmy nie wyglądali na wojskowych, nie wyróżniali się w tłumie. Mimo to, gwarantuję wam, że jeśli trzech SEALsów znalazłoby się w tłumie na lotnisku, poznałbym ich po tym, jak się noszą, po pewności siebie, rzucającym się w oczy zdyscyplinowaniu i sposobie chodzenia. Nie twierdzą, że ktoś inny by ich rozpoznał. Ale ja na pewno tak. Goście, którzy podróżowali ze mną z Bahrajnu wyróżniali się, nawet jak na standardy SEALsów. Wśród nich był bosman Matthew Gene Axelson, który nie skończył jeszcze trzydziestki. Podoficer z Kalifornii, miał żonę Cindy, z którą był bardzo związany podobnie jak z rodzicami — Cordellem i Donna oraz z bratem Jeffem. Dobrze go znałem i mówiłem na niego Axe. Mój brat bliźniak, Morgan, był jego najlepszym przyjacielem. Axe odwiedzał nas w Teksasie. Od dawna służyłem z nim w Plutonie Alfa 1. Zespołu SDV. Morgan był jego partnerem nurkowym podczas szkolenia.

Axe był cichy, mierzył ponad 190 centymetrów, miał przeszywające niebieskie oczy i kręcone włosy. Był bystry. Nie znam nikogo, kto gra od niego lepiej w Trivial Pursuit. Uwielbiałem z nim rozmawiać, bo miał ogromną wiedzę. Odpowiadał na pytania, na których poległby niejeden profesor Harvardu. Miejsca, kraje, ich populacja, podstawowe gałęzie przemysłu.

Zawsze zachowywał profesjonalizm. Nie widziałem, żeby się kiedykolwiek zdenerwował. W każdej chwili

kontrolował sytuację. Taki typ. To, co innym sprawiało trudność, dla niego było niczym bułka z masłem. W walce wysportowany, sprawny, szybki, gwałtowny, a gdy to było niezbędne - brutalny. Rodzina nie znała go od tej strony. Widzieli tylko spokojnego, pogodnego marynarza, który bez wątpienia mógłby być zawodowym golfistą. Lubił się śmiać i popijać zimne piwo.

Trudno spotkać lepszego człowieka. Niezwykły gość.

Na pokładzie był również mój najlepszy przyjaciel, kapitan Michael Patrick Murphy. On również nie miał jeszcze trzydziestki. Ukończył Penn State University z wyróżnieniem, grał w hokeja, został przyjęty na kilka wydziałów prawa, zanim

zmienił kurs o 180 stopni i wstąpił do U.S. Navy. Mikey uwielbiał czytać. Jego ulubioną książką była „Gates of fire” Stevena Pressfielda. Opowieść o tym, jak Spartanie bronili się pod Termopilami.

Miał ogromne doświadczenie na Bliskim Wschodzie, służył w Jordanii, Katarze i w Dżibuti w Rogu Afryki. Do SEALsów wstąpiliśmy mniej więcej w tym samym czasie. Myślę, że zbliżyło nas podobne, sarkastyczne poczucie humoru oraz to, że nie mogliśmy spać, kiedy byliśmy pod presją. Połączyła nas bezsenność i śmiech.

Bywało, że siedzieliśmy razem pół nocy i muszę uczciwie przyznać, że nikt tak mnie nigdy nie potrafił rozśmieszyć, jak on.

Suszyłem mu głowę o to, że jest brudny. Bywało, że dzień w dzień wychodziliśmy razem na patrol i nie było czasu, żeby wziąć prysznic, a właściwie nie było sensu go brać, bo za parę godzin człowiek miał siedzieć po pachy w mokradle. Przytoczę typową wymianę zdań — podoficer mówi do kontraktowego oficera SEALsów:

— Mikey, na miłość boską, ty po prostu cuchniesz. Nie mógłbyś się umyć?

-Już leczę, Marcus. Jutro też mi przypomnij, dobrze?

- Tak jest, sir!

Osobom najbliższym i najdroższym wręczał prezenty oferowane w szerokim asortymencie przez Sieć Krajo-

wych Autostrad. Pamiętam, jak podarował na urodziny swojej pięknej dziewczynie, Heather, starannie opakowany pacholek drogowy. Na Gwiazdkę dał jej lampkę sygnalizacyjną, pasującą do pacholka. Mnie zaś sprezentował na urodziny znak stopu.

A gdybyście widzieli jego torbę podróżną... Ogromna, przepastna torba hokejowa. Taka, jakiej używają członkowie jego ulubionego zespołu - New York Rangers. To był najcięższy bagaż w całej marynarce. I nie widniało na niej logo Rangersów, tylko napis: „Spadaj”.

Nie było sytuacji, której nie potrafiłby skwitować jakąś trafną, sarkastyczną uwagą. Uczestniczył kiedyś w strasznym wypadku, w którym omal nie zginął. Ktoś poprosił, żeby opowiedział, co się stało.

- Zlituj się - odpowiedział porucznik z Nowego Jorku tak, jakby ten temat bezdennie

go nużył. - Zawsze musisz wyciągać jakieś stare brudy. Zaczynasz mnie tym wkurwiać.

A wypadek miał miejsce dwa dni wcześniej.

Był też najzdolniejszym oficerem, jakiego miałem okazję poznać. Naturalny przywódca, prawdziwy SEAL, który nigdy nikogo nie traktował z wyższością. Zawsze używał słów „proszę” albo „czy mógłbyś”. Nigdy nie mówił „zrób to”, „zrób tamto”. I zwyczajnie nie dopuściłby, żeby jakiś wyższy rangą oficer zwracał się w ten sposób do jego chłopców.

Rozstrzyganie sporów zawsze brał na siebie. Jeśli zarzut był słuszny, przyznawał rację, ale lepiej było nie łązić za nim pyskując na któregoś z chłopaków. To doprowadzało go do pasji, a gdy się wkurzył, lepiej było zejść mu z oczu.

Świetnie sprawdzał się pod wodą i był wytrzymałym pływakiem. Właściwie jego jedyną wadą było to, że pływał dość wolno. Któregoś razu płynęliśmy razem na trzy kilometry. Kiedy dotarłem do plaży, w ogóle nie było go widać. W końcu wypatrzyłem go, jak rozbryzgiwał rękami wodę jakieś 400 metrów od brzegu.

Chryste, on ma kłopoty — to było pierwsze, co pomyślałem.

Ruszyłem mu na ratunek. Rzuciłem się z powrotem do lodowatej wody. Nie biegam zbyt szybko, ale pływam bardzo sprawnie, więc dotarłem do niego bez problemu.

Powinienem był to przewidzieć...

- Nie podpływaj do mnie, Marcus! - krzyknął. - Jestem bolidem, silnik osiąga najwyższe obroty. Nie przeszkadzaj mi teraz. Masz przed sobą bolid.

Mike Murphy był jedyny w swoim rodzaju. Gdybym opowiedział komuś z naszego plutonu tę anegdotę, nie zdradzając imienia bohatera, i zapytał, kto to powiedział, każdy by zgadł, że to on.

Na przeciwko mnie w Herkulesie siedział starszy bosman sztabowy Daniel Richard Healy, kolejny świetny SEALs. Miał 189 centymetrów wzrostu, 37 lat. Z żoną Normindą miał siedmioro dzieci. Urodził się w New Hampshire i wstąpił do marynarki w 1990 roku. Potem przeszedł do SEALsów i nauczył się niemal płynnie mówić po rosyjsku.

Obaj z Dannym służyliśmy trzy lata w tym samym 1. Zespole SDV. Był trochę od nas

wszystkich starszy i zwracał się do nas, jak do dzieci - jakby nie miał dosyć własnych. Kochał jednakowo obie swoje wielkie rodziny - żonę, dzieci, siostry, braci, rodziców oraz tę drugą, większą, jeszcze przed chwilą stacjonującą w Bahrajnie. Dan był bardziej zażarty niż Mikey, kiedy przyszło mu stawać w obronie swoich chłopaków. Gdy był w pobliżu, nikt nawet nie próbował się wydrzeć na któregoś z nas.

Z uporem dbał o swoją trzódkę. Bardzo się też przykładał do przygotowania każdej misji, zbierał dane, przeglądał mapy, zestawienia, zdjęcia, robił rekonesans.

Przywiązywał dużą wagę do nadchodzącej misji i pilnował, abyśmy zawsze byli na pierwszej linii frontu. Właśnie po to zostaliśmy wyszkoleni i tam czuliśmy się najlepiej.

Dan był dla wszystkich dość surowy. Był czas, kiedy nie mogliśmy się dogadać. Miał absolutną pewność, że jego pomysły są najlepsze, jedynie słuszne. Jednak zawsze robił

to z sercem. Dan Healy był cholernie dobrym SEALsem, wzorem tego, jaki powinien być bosman sztabowy. Miał żelazną wolę, był świetnym strategiem i znał swoją robotę od A do Z. Prawie codziennie rozmawiałem z wielkim Danem w cztery oczy. Gdzieś nad naszymi głowami huśtał się w hamaku, ze słuchawkami na uszach, w których ciągle leciał rock-and-roll, bosman Shane Patton. 21-letni surfer i skateboardzista urodzony w Las Vegas, w Nevadzie. Mój podopieczny. Ja byłem pierwszym operatorem systemu łączności, a Shane był moim pomocnikiem. Niczym młodsza wersja Mike'a Murphiego, był wirtuozem sarkastycznych tekstów i fantastycznym nurkiem.

Z trudnością dogadywałem się z nim, bo byliśmy zupełnie różni. Kiedyś wszedłem do centrum łączności, a on właśnie zamawiał przez Internet skórę lamparta.

— Po co ci to, do cholery? — zapytałem.

— To jest super, stary — uciął dyskusję.

Jasnowłosey, solidnie zbudowany i zawsze bezczelnie uśmiechnięty Shane, był niezwykle bystry. Niczego nie musiałem mu tłumaczyć. Zawsze sam wiedział, co robić. Początkowo trochę mnie to irytowało. Tłumaczysz dużo młodszemu gościowi

co ma zrobić, a tu okazuje się, że on już to dawno wykonał. I tak za każdym razem. Trochę mi zajęło, zanim przyzwyczałem się do faktu, że mój asystent jest niemal tak bystry, jak Matt Axelson. A bystrzejszego nie ma.

Shane, podobnie jak wszyscy plażowi bogowie, był niesamowicie wyluzowany. Jego kumple powiedzieliby, że jest supercool czy coś w tym stylu. U operatora łączności jest to bezcenna cecha.

Kiedy jesteś w ogniu walki, a przy radiu w sztabie dowodzenia siedzi Shane, masz szczęście słuchać bardzo spokojnego, wyważonego głosu wyśmienitego operatora łączności. O, przepraszam, miałem powiedzieć gościa. Shane odmieniał i używał to słówko na wszystkie spo-

soby. Nawet ja dla niego byłem gościem. Prezydent Stanów Zjednoczonych też był gościem. Właściwie to Shane przyznał prezydentowi Bushowi najwyższe wyróżnienie, swego rodzaju honorowy złoty medal bogów surfingu, mówiąc o nim: — To naprawdę niezły gość, stary. Naprawdę niezły gość.

Shane był synem Foki, więc jego cichą ambicją było dążenie do ideału, jaki stanowił jego ojciec, James J. Pat-ton. Chciał, tak jak on, zostać członkiem brygady spadochroniarzy piechoty morskiej. Ukończył więc podstawowe szkolenie spadochronowe w Fort Benning, w stanie Georgia, jeszcze zanim zaliczył testy kwalifikacyjne do SEALsów i dostał przydział do plutonu Alfa 1. Zespołu SDV. Pięć miesięcy później dołączył do nas na misję w Afganistanie.

Wszystkie życiowe osiągnięcia Shane'a były imponujące. W szkole średniej był gwiazdą baseballu, świetnym miotaczem i łapaczem. Bardzo dobrze grał na gitarze, a nawet prowadził zespół muzyczny pod nazwą True Story, choć historia milczy o tym, czy zespół ten był dobry. Był też znakomitym fotografem, a także uzdolnionym mechanikiem i konstruktorem. Własnoręcznie złożył i udoskonalił dwa volkswageny garbusy. Później kupił jeszcze jednego i według tego co mi mówił, miał to być „najbardziej wypasiony garbus, gościu. To będzie coś!”.

Shane znał się też na komputerach, jak nikt w bazie. Godzinami siedział w sieci, głównie na stronie MySpace i gadał ze swoimi przyjaciółmi. Hej gościu, jak leci? Szóstym członkiem ekipy był 28-latek, James Suh. Urodził się w Chicago, ale

wychował na południu Florydy. Zanim wyruszyliśmy do Afganistanu, James służył w Zespole SDV już od trzech lat. W tym czasie zyskał status najpopularniejszej osoby w bazie. Miał starszą siostrę, a oprócz niej ze trzystu kuzynów — czuł się zobowiązany chronić każdego z nich.

Podobnie, jak jego najbliższy kumpel Shane, miał również stopień bosmana i też przeszedł podstawowe szkolenie spadochronowe w Fort Benning, a następnie został wcielony do plutonu Alfa. W dzieciństwie chciał być weterynarzem i leczyć psy, ale prawda jest taka, że urodził się, by zostać Foką i był niesamowicie dumny z tego, że należy do jednej z najbardziej elitarnych jednostek bojowych na świecie. Był dumny z tego, że potrafi przekraczać granice swojej wytrzymałości psychicznej i fizycznej.

Tak jak Shane, James był gwiazdą sportu w szkole średniej. Świetnie pływał i dobrze grał w tenisa. Jeśli chodzi o wyniki w nauce, zawsze trafiał do klasy z uzdolnionymi, zaawansowanymi uczniami. W naszym plutonie był - tak jak Axe i Shane — uważany za żołnierza o wysokiej inteligencji, któremu można było bezgranicznie zaufać w walce. Nie słyszałem złego słowa na jego temat.

Lot do Zatoki Omańskiej trwał prawie trzy godziny. Przecieliśmy Cieśninę Ormuz od południa trzymając się z daleka od międzynarodowej trasy, którą pływają ogromne tankowce z ropą i gazem ziemnym do doków w Zatoce Irańskiej. W tym rejonie odbywają się ćwiczenia marynarki irańskiej, działającej w pobliżu swojej głównej bazy w Bandar Abbas i dalej, w głąb zatoki wokół baz łodzi podwodnych.

Łatwo było sobie wyobrazić, że któremuś operatorowi wyrzutni mogło się poszczęścić i ustrzeliłby nas pociskiem naprowadzonym na podczerwień. W tym rejonie trzeba było zachować ostrożność, pomimo że w Białym Domu urzędował twardy gość, który prowadził politykę zdecydowanego odwetu za każdą, najmniejszą próbę ataku na amerykański transport cywilny czy wojskowy.

Żeby zrozumieć panujące tu poczucie zagrożenia, trzeba by służyć na Bliskim Wschodzie. Zagrożenie to jest zawsze gdzieś blisko, nawet w krajach zwykle uważanych za przyjazne Stanom Zjednoczonym, choćby w Bahrajnie.

Poszarpany głębokimi fiordami fragment omańskiego wybrzeża, o którym wcześniej



wspominałem, znajduje się w okolicy Ras Musandam. Ten wysunięty na północ ska-  
listy łąd, który wciną się w Cieśninę Ormuz, jest leżącym najbliżej irańskiej bazy  
Bandar Abas zagranicznym terytorium. Pas wybrzeża ciągnący się od tego miejsca na  
południe jest dużo bardziej płaski, opada z gór al-Hadžar. Rozpoczęliśmy naszą długą  
drogę nad oceanem mniej więcej tam, na północ od omańskiego Muscatu, w pobliżu  
Zwrotnika Raka.

Dla mnie moment przecięcia wybrzeża w drodze na otwarty ocean był pożegnaniem  
z Półwyspem Arabskim i wrzącym tygłem krajów islamskich leżących na północnym  
krańcu zatoki - Kuwejtem, Irakiem, Syrią i Iranem. Te kraje zdominowały moje życie  
i moje myśli w ciągu ostatnich paru lat. W szczególności dotyczy to Iraku.

Przyjechałem tam 14 kwietnia 2003 razem z dwunastką innych SEALsów z Kuwejtu,  
żeby dołączyć do Zespołu 5., w amerykańskiej bazie powietrznej znajdującej się 15  
minut od Bagdadu. Lecieliśmy samolotem takim jak ten - C-130. Miało to miejsce  
tydzień po tym, jak siły amerykańskie rozpoczęły bombardowanie miasta, chcąc  
przygwoździć Saddama, zanim wojna na dobre się rozpoczęła. Brytyjczycy właśnie  
zajęli Basrę.

W dniu mojego przyjazdu Marines zajęli Tikrit, rodzinne miasto Saddama, a kilka  
godzin później Pentagon ogłosił zakończenie głównych walk. Żadne z tych zdarzeń  
nie miało najmniejszego wpływu na naszą misję, której celem było wykorzenienie i,  
w razie potrzeby, zniszczenie niewielkiej opozycji, która się jeszcze utrzymała.

Mieliśmy też pomóc w poszukiwaniu broni masowego rażenia.

Byłem z Bagdadzie zaledwie jeden dzień, gdy prezydent Bush ogłosił upadek  
Saddama Husajna i jego partii Ba'ath. Tego samego dnia moi koledzy pojмали Abu  
Abba-sa, lidera Organizacji Wyzwolenia Palestyny, która zaatakowała włoski statek  
pasażerski Achille Lauro na morzu Śródziemnym w 1985 roku.

48 godzin później, 17 kwietnia, siły amerykańskie pojmały cieszącego się złą sławą  
przyrodniego brata Sadda-

ma, Barzana Ibrahima al-Tikriti. Od razu zostałem przydzielony do podobnych  
zadań. Należałem do grupy 146 tysięcy żołnierzy koalicyjnych i amerykańskich,  
którymi dowodził generał Tommy Frank. To były moje pierwsze doświadczenia

walki w bliskim kontakcie. Tu nauczyłem się tego rzemiosła.

To wtedy zaczęliśmy mieć podejrzenia, że poplecznicy Osamy bin Ladena odrodzili się jak feniks z popiołów. Wiedzieliśmy, że kręcą się gdzieś i próbują przegrupować po tym, jak Amerykanie zrównali ich z ziemią w Afganistanie. Niedługo później zaczęły krążyć plotki, że w Iraku pojawiło się wcielenie al-Kaidy - grupa złośliwych terrorystów robiąca rzeź przy każdej możliwej okazji. Dowodził nią jordański obłąkany morderca, nieżyjący obecnie Abu Musab al-Zarkawi.

Nasze zadania w mieście były czasem przerywane poszukiwaniami zaginionych osób lub rzeczy. Pierwszego dnia czterech z nas ruszyło do ogromnej irackiej krainy jezior w poszukiwaniu zaginionego myśliwca F-18 Super Hornet wraz z amerykańskim pilotem. Pewnie pamiętacie ten wypadek. Ja w każdym razie nigdy nie zapomnę. Lecieliśmy helikopterem Chinook MH-47 nisko nad jeziorem, kiedy nagle ujrzeliśmy wystający z wody ogon samolotu. Chwilę później znaleźliśmy ciało pilota, które woda wyrzuciła na brzeg.

Pamiętam smutek, który potem miałem czuć jeszcze nie jeden raz. A byłem w Iraku niecałe 24 godziny. Zostałem wcielony do 5. Zespołu - mięśniaków przeznaczonych do szczególnie trudnych operacji. Naszym podstawowym zadaniem była obserwacja i rekonesans, rejestrowanie punktów zapalnych i niebezpiecznych rejonów przy użyciu nadzwyczaj nowoczesnego sprzętu fotograficznego.

Przenosiliśmy sprzęt pod osłoną nocy. Cierpliwie czekaliśmy długie godziny zachowując ostrożność, ze wzrokiem wbitym w cel. Potem wysyłaliśmy do bazy cyfrowe zdjęcia prosto z paszczy wroga. Pracowaliśmy w bardzo małych grupach - zwykle po czterech. Byliśmy właściwie sami. Ten rodzaj pracy w bliskim kontakcie należy do najbardziej niebezpiecznych zadań. Człowiek jest samotny i często się nudzi, ale biada, jeśli zostałby złapany. Czasem, gdy chodziło o wyjątkowo wpływowego przywódcę terrorystów, można było próbować wkroczyć i wyciągnąć go żywego z kryjówki. Brutalnie i bez litości. Ogólnie rzecz biorąc Navy SEALs to najlepiej przeszkolone jednostki zwiadowcze na świecie.

Śmieszy mnie, gdy czytam o „dumnych irackich bojownikach o wolność”. Oni nie są dumni. Sprzedaliby własną matkę za pięćdziesiąt dolców. Kiedy wkraczaliśmy do

domu kogoś uważanego za przywódcę grupy i wyprowadzaliśmy go na ulicę, pierwsze słowa, które wypowiadał brzmiały: „Hej, to nie ja. Szukacie gościa z tamtego domu”. Albo: „Dajcie mi dolary, a powiem wszystko, co chcecie”.

I mówili. Zwykle ich informacje były niezwykle cenne. Większość akcji wojskowych, jak na przykład eliminacja synów Saddama i pojmanie jego samego, było wynikiem pracy wywiadu wojskowego. Ktoś z ich własnych szeregów musiał ich sprzedać, tak jak oni sami sprzedali setki innych osób. Wszystko na sprzedaż. Duma? Ci goście nie potrafiliby nawet wymówić tego słowa.

Sukces w wywiadzie wojskowym jest okupiony ciężką pracą. Wkraczaliśmy błyskawicznie do najbardziej niebezpiecznych dzielnic miasta, z hukiem przejeżdżaliśmy przez ulicę naszymi humvee, a jeśli było trzeba, zjeżdżaliśmy na linach z helikopterów. Wdzieraliśmy się coraz dalej, ulica po ulicy, poruszając się ostrożnie w ciemnościach. Zawsze gotowi odeprzeć ogień, który ktoś mógł otworzyć z okna, z drugiej strony ulicy. Tak zdarzało się niemal zawsze. Czasem odpowiadaliśmy na atak. Efekt zawsze przekraczał możliwości wroga.

Kiedy docieraliśmy do celu, używaliśmy młotów i łomów albo zakładaliśmy ładunki wybuchowe na zamki.

Pilnowaliśmy, by wybuch był skierowany do wewnątrz na wypadek, gdyby za drzwiami ktoś czekał z kałasznikowem. Trudno przeżyć cios drzwiami lecącymi z prędkością 160 km/h.

Czasem, gdy nie byliśmy pewni siły wroga, który krył się za drzwiami, wrzucaliśmy do środka granaty hukowo-błyskowe. Nie burzą ścian, ale emitują serię ogłuszających dźwięków, którym towarzyszą jasne rozbłyski. To zupełnie dezorientowało wroga.

Wtedy dowódca wprowadzał oddział do budynku. To zawsze był szok dla mieszkańców. Nawet, gdy wcześniej nie użyliśmy granatów, natychmiast się budzili i stawali oko w oko z grupą wielkich, zamaskowanych facetów mierzących do nich z broni, krzyczących i niepozwalających nikomu się ruszyć. Mimo, że większość domów w tym mieście ma dwa piętra, Irakijczycy śpią zwykle na parterze i w takich sytuacjach wszyscy zbierali się w salonie.

Zawsze jednak ktoś mógł być na górze i próbować do nas strzelać, a to byłby problem. Zwykle rozwiązywaliśmy tę kwestię przy pomocy celnie rzuconego granatu. Sposób może się wydać mało precyzyjny, ale ufaliśmy kolegom w tej kwestii. Ktoś, kto był na górze też mógł mieć granat i należało wyeliminować to zagrożenie. Ze względu na kolegów. W SEALsach zawsze myśli się o kolegach. W każdej sytuacji.

W pokoju na dole, gdzie siedzieli pojmاني Irakijczycy, próbowaliśmy ustalić, kto dowodzi grupą. Szukaliśmy gościa, który wie, gdzie ukryte są środki wybuchowe i ma dostęp do sprzętu, z którego robi się bomby używane w walce z amerykańskimi żołnierzami. Zwykle nietrudno było znaleźć takiego człowieka. Wtedy włączaliśmy światło i prowadziliśmy go do okna tak, by chłopcy na zewnątrz mogli porównać jego twarz z fotografią dostarczoną przez służby wywiadowcze.

Często zdjęcia były robione przez oddział, w którym służyłem i identyfikacja następowała dość szybko. W tym czasie oddział SEALsów zabezpieczał miejsce, co oznaczało mniej więcej to, że upewnialiśmy się czy Irakijczycy, którzy nagle znaleźli się w areszcie domowym, nie mają ukrytej broni.

Potem do akcji wkraczali specjaliści od przesłuchań. Profesjonalni i twardzi jak stal. Szybko formułowali pytania i jeszcze szybciej uzyskiwali odpowiedzi. Przede wszystkim dbali o jakość informacji — bezcennych danych, które mogły ocalić tuziny amerykańskich istnień. Na zewnątrz trzech lub czterech SEALsów patrolowało okolicę tak, by zapobiec gromadzeniu się gapiów. Kiedy mieliśmy kontrolę nad sytuacją, przesłuchiwalismy przy wsparciu specjalistów przywódcę grupy. Żądaliśmy, by powiedział, gdzie działa jego jednostka terrorystyczna.

Czasem udawało nam się zdobyć jakiś adres, czasem nazwiska dowódców innych grup. Czasem ktoś przekazał nam informację, gdzie ukryta jest broń. Jednak zwykle trzeba było za to zapłacić. Jeśli aresztowany był szczególnie uparty, zakuwaliśmy go w kajdanki i odsyłaliśmy do bazy na profesjonalne przesłuchanie.

Zazwyczaj jednak coś mówili. W ten sposób zdobywaliśmy dane potrzebne nam do lokalizowania tych, którzy wciąż walczyli po stronie Saddama Husajna mimo, że

jego rząd upadł, wojska się poddały, a kraj tymczasowo był pod amerykańską i brytyjską kontrolą. W okresie formalnego zakończenia konfliktu było niebezpiecznie. Byliśmy ostrzeliwani z dachów, wciąż szukaliśmy bomb w samochodach.

Nauczyliśmy się walczyć, jak terroryści. W każdą noc przemykaliśmy się przez ulice i miasteczka jak dzikie zwierzęta. Nie ma innego sposobu na pokonanie terrorystów. Musisz walczyć tak jak oni, bo inaczej zginiesz. Dlatego wkraczaliśmy w tak zdecydowany sposób, szturmem zdobywając domy i budynki, wysadzając drzwi, posuwając się naprzód, działając zgodnie z wypróbowanymi metodami SEALsów, które wpojono nam podczas długich lat treningu.

Chodzi głównie o to, by wróg bał się ciebie, rozumiał twoją przewagę. Tego się nauczyliśmy, działając jako pierwsza linia amerykańskich sił zbrojnych. Pewnie dlatego, podczas długich miesięcy, które spędziłem w Iraku, nie straciliśmy ani jednego SEALsa. Działaliśmy podręcznikowo, bezbłędnie.

W każdym razie nie popełnialiśmy większych błędów. Choć muszę przyznać, że w pierwszym tygodniu mojego pobytu w Iraku zdarzył nam się... powiedzmy... drobny błąd w ocenie sytuacji. Podczas patrolowania brzegów rzeki, znaleźliśmy kryjówkę z amunicją należącą do powstańców irackich. Z drugiego brzegu rzeki docierały do nas pojedyncze wystrzały. Oficerowie ze zwykłego wojska po prostu zajęliby kryjówkę i skonfiskowali materiał wybuchowy.

SEALsi działają nieco inaczej - szukają szybkich rozwiązań. Może nie do końca: „Hej, hej, hej...to musi natychmiast zniknąć”, ale mniej więcej właśnie o to chodzi. Pod okiem saperskiego umieściliśmy w budynku nasz własny materiał wybuchowy.

Kolega, specjalista od wybuchów, kazał nam zająć pozycję dość daleko od miejsca wybuchu, jednak paru kumpli zastanawiało się, czy nie stoimy za blisko.

- Jest dobrze. Stójcie tam, gdzie stoicie — facet nie miał wątpliwości.

Ale zgromadzone tam bomby, granaty i trochę innych materiałów spowodowało wybuch podobny do małej bomby atomowej. Na początku widać było jedynie pył i latające dookoła drobne kawałki betonu. Z każdą chwilą fala uderzeniowa wzbierała. Betonowe kamulce zaczęły w nas walić, jakby padał grad.

Chłopcy zaczęli się chować, gdzie popadło. Do ciężarówki, pod ciężarówkę, byle

gdzieś się ukryć. Ktoś nawet wskoczył do rzeki Tygrys! Słyszeliśmy jak kamienie i grudki błota wałę w ciężarówkę. To cud, że nikt nie zginął ani nie został ranny. W końcu wszystko ucichło. Wyczołgałem się spod ciężarówki bez szwanku. Spec od ładunków stał tuż przy mnie.

— Pięknie — rzuciłem sarkastycznie.

— Świetnie poszło, nie? — odpowiedział. Żałowałem, że nie było tam Mike'a Murphyego. Na pewno zrobiłby to lepiej niż spec.

5. Zespół SEALsów przez prawie trzy miesiące pracował na przedmieściach Bagdadu. To właśnie tam okrzepliśmy w walce — przeczesywaliśmy ulice i wykurzaliśmy powstańców z ich rozlicznych kryjówek. Wykorzystywaliśmy wszystkie nasze umiejętności zdobywając kolejne przecznice i otwierając nocą ogień w dziwnych, obcych zaułkach.

Problem polegał na tym, że te miejsca zwykle wyglądały zwyczajnie. Jednak zbliżając się, zdawałeś sobie sprawę, że budynek to jedno wielkie sito. Czasami taki dom miał jedynie fasadę, a cały tył był zbombardowany przez nasze lotnictwo.

Często poruszaliśmy się po ulicach, które kiedyś były reprezentacyjne, a teraz zostały zmienione w kupkę gruzu i stanowiły idealną kryjówekę dla powstańców. Pewnej nocy o mało nie zginąłem. Trzymałem gotową do strzału broń, dając osłonę kolegom z drużyny i wszedłem na chodnik. Pamiętam to jak dziś. Stałem w rozkroku. Nie wiedziałem, że między stopami mam minę.

Jeden z chłopaków krzyknął: „Marcus, odsuń się!” i skoczył w moją stronę. Rzucił się na mnie całym ciałem. Przeturlaliśmy się na środek ulicy. Wstał pierwszy i odciągnął mnie na bok. Parę chwil później nasz saper wysadził ładunek. To była niewielka mina domowej roboty, jednak mogła mnie zabić albo skomplikować małżeńskie plany.

To kolejny dowód na to, jak trzeba być czujnym, by móc nosić Trójzab SEALsów. Na treningach w kółko przypominano nam o tym, byśmy nie popadali w samozadowolenie, pamiętali, że wróg jest podstępny i nieprzewidywalny. Wpajano nam, że trzeba ciągle uważać i chro-

nić się nawzajem. Co wieczór przed wyjazdem na misję, jeden z podoficerów powtarzał: „Dalej, chłopaki. Gdzie wasze bojowe miny? To się dzieje naprawdę. Zmobilizujcie się. Tak będzie teraz wyglądać wasze życie”.

Wiele się o sobie dowiedziałem służąc w 5. Zespole, kiedy poruszałem się zygzakiem, skulony, w ciemnościach, na każdym patrolu robiąc nowe rzeczy. Przecież w wojsku wciąż powtarza się te same czynności, jednak my działamy inaczej, ponieważ nasze drużyny są małe. Nawet w przypadku operacji w dużym mieście, nie przemieszczamy się w grupach większych niż dwadzieścia osób. Zwykle jednak idziemy w teren we czterech.

Kiedy tak ukradkiem poruszasz się w ciemnościach, twoje zmysły się wyostrzają. Starasz się wykorzystać martwe punkty, których nie widzi twój wróg. Ktoś nazwał nas wojownikami cienia. Miał rację. Tacy właśnie jesteśmy. Zawsze też mamy jasno sprecyzowany cel. Jest to zwykle jeden człowiek, osoba, która sprawia kłopoty: przywódca terrorystów lub ich strateg.

Istnieje cała procedura, jak się zachować, gdy się schwyta taką osobę. Po pierwsze trzeba kazać mu rzucić broń i usiąść na ziemi. Powinien to zrobić bez protestów. Jeśli postanowi zrobić inaczej, należy mu pomóc. Nie wolno nam się odwrócić nawet na ułamek sekundy. Ani na chwilę nie należy mu zostawiać swobody, bo gdy nie będziesz patrzył, podniesie broń i strzeli ci prosto w plecy. Gdyby mógł, poderżnąłby ci gardło. Nikt nie potrafi nienawidzić z taką siłą, jak terrorysta. Dopóki nie spotkasz jednego z nich, nie znasz znaczenia słowa nienawiść.

Spotykaliśmy terrorystów z całego świata, trochę przeszkolonych, jednak niewystarczająco sprawnych fizycznie, by radzić sobie z jakąkolwiek bronią, a w szczególności z kałasznikowami, których używają. Przede wszystkim to cholerstwo jest nieprecyzyjne, a już w rękach histeryków, jakimi oni zwykle są, karabin sieje nabojami po okolicy. Kiedy ci goście gonią

Amerykanów, zazwyczaj strzelają zza rogu, nie mierząc w żaden konkretny cel. Kończy się to tak, że przy okazji ginie paru irackich przechodniów, a jeśli już oberwie amerykański żołnierz, to zdarza się to przez przypadek.

1 maja 2003 roku prezydent Bush ogłosił koniec militarnej fazy operacji. Cztery dni

później wyszło na jaw, że Saddam razem z synem ukradli z Banku Centralnego miliard dolarów w gotówce. Mniej więcej w tym czasie, gdy trwały poszukiwania broni masowego rażenia, zostaliśmy skierowani nad ogromne jezioro Buhayrat ath Tharthar, gdzie Saddam prawdopodobnie ukrył pieniądze.

Tharthar to ogromne rozlewisko, długości 80 km i szerokości niemal 50 km, położone na płaskim, porośniętym roślinnością terenie na południe od Tikritu, pomiędzy Eufratem a Tygrysem. Na jednym z jego krańców znajdowała się wielka tama, a my stacjonowaliśmy na południe od niej, w miejscowości Hit. To miejsce wydawało się odpowiednie. Zabraliśmy się do dzieła i zaczęliśmy przeczesywać centymetr po centymetrze głębokie, czyste wody jeziora. Nie znaleźliśmy nic, prócz opony rowerowej i starej drabiny. Mijały tygodnie i stawało się coraz bardziej gorąco. Czasem temperatura dochodziła do 45°C. Nie poddawaliśmy się i zaczęliśmy pracować nocą. Nadszedł okres względnego spokoju, gdy nagle 4 lipca zduszony głos, który według al-Dżaziry należał do Saddama Husajna, wezwał wszystkich do przejścia na stronę ruchu oporu oraz walki na śmierć i życie przeciwko amerykańskiemu okupantowi.

Uważaliśmy, że to głupie, bo nie mieliśmy zamiaru niczego okupować.

Próbowaliśmy powstrzymać tych oszalałych palantów przed wysadzeniem w powietrze kraju i unicestwieniem społeczności, którą właśnie wyzwoliliśmy spod władzy jednego z największych sukinsynów na świecie. Ale to, co myśleliśmy, nie miało większego znaczenia. Następnego dnia, podczas uroczystości ukończenia nauki w szkole policyjnej, w której wykładali Amerykanie, wybuchła bomba. Zginęło siedmiu młodych policjantów, a siedemdziesięciu innych odniosło obrażenia. Bóg jeden wie, jaki był tego cel.

Kontynuowaliśmy operację: szukaliśmy powstańców odgrywających kluczową rolę, próbowaliśmy wymusić od nich informacje lub dawaliśmy za nie łapówki. Ale już wtedy wyglądało na to, że ich możliwości rekrutacji były nieograniczone. Nie ważne, ilu udało nam się złapać, było ich więcej i więcej. Wtedy po raz pierwszy usłyszeliśmy o powstaniu w Iraku zbrodniczej grupy, która nazywała siebie al-Kaidą.



Stworzono ją po to, by prowadziła działania terrorystyczne - po prostu, by nas wyróżnić.

Jednak morale tego ruchu zostało podkopane 22 lipca, gdy synowie Saddama - Udaj i Kusaj, którzy byli niemal tak upiorni, jak ich ojciec, zostali schwytani w domu, w Mosulu. Nie jestem upoważniony do ujawnienia szczegółów tej operacji. Mogę jednak powiedzieć, że obaj bracia zginęli, gdy amerykańskie siły specjalne równały budynek z ziemią. Zginęli tylko i wyłącznie dlatego, że paru ich kumpli, oddanych i dumnych ze swojej walki o wolność, zwyczajnie ich zdradziło. Za pieniądze. Tak jak później zdradzili Abu Musaba al-Zarkawiego.

Pomimo naszych wysiłków, wciąż zdarzały się zamachy samobójcze. Młodzi Irakijczycy ulegali wpływowi ekstremistycznych ajatollahów. Ci przekonywali, że zabójstwo wroga otwiera bramy raju. Trzy trąby grają, gdy przekracza się most, by wejść w objęcia Allacha. Kto zabije wroga, zazna wiecznego szczęścia.

Wielu młodych Irakijczyków chciało do raju. 26 sierpnia kolejny amerykański żołnierz zginął w wyniku wybuchu bomby. Teraz było już więcej ofiar po naszej stronie, niż podczas regularnych walk. 29 sierpnia eksplodował samochód--pułapka zaparkowany przed szyickim meczetem w Nadżafie. Zginęło 80 osób, wśród nich powszechnie poważany i kochany lider szyicki, Ajatollah Mohammed Baqir al-Hakim.

Uznaliśmy, że sytuacja zaczęła się wymykać spod kontroli. Niezależnie, co robiliśmy, ilu byśmy nie złapali szaleń-

ców, ile byśmy nie zlokalizowali materiałów wybuchowych, bomb czy sztuk broni, wciąż pojawiały się następne. Coraz więcej młodych ludzi chciało na skróty dotrzeć do miejsca, gdzie słyhać trąby, przejść przez most i zaznać szczęścia.

Wtedy, pod koniec sierpnia, coraz pilniejsza stawała się kwestia odnalezienia broni masowego rażenia. Hans Blix, szef inspektorów ONZ zajmujących się rozbrojeniem, wycofał się z życia publicznego. Teraz Amerykańskie Siły Zbrojne uważnie przyglądały się tej sprawie. Naszym zdaniem odpowiedź na pytanie, czy Saddam Husajn dysponował bronią chemiczną i biologiczną była znana. Oczywiście, że dysponował. Użył jej w Halabdzy .

Pytanie, nad którym głowiła się wtedy amerykańska opinia publiczna brzmiało: „Czy Husajn dysponował bronią atomową?”. Oczywiście nie było to najważniejsze pytanie. Najistotniejsza była kwestia programu nuklearnego.

Gdyby Husajn prowadził własny program nuklearny, byłby to oczywisty dowód, że próbował produkować broń na bazie wzbogaconego uranu-235. Pozyskuje się go przy użyciu wirówki i łatwiej dostępnego uranu-238. W wirówce ciężkie neutrony uranu-238 przemieszczają się na zewnątrz, jak woda w suszarce do sałaty. To cholernie trudny proces, który może trwać nawet siedem lat. Po tym czasie, jeśli proces przebiegł bez zakłóceń, odcina się brzeg materiału z ciężkimi neutronami i uzyskuje spory kawał wzbogaconego uranu-235. Potem należy go przeciąć na pół i zderzyć oba fragmenty przy pomocy środków wybuchowych w stalowej kapsule, takiej jak rakieta czy bomba - kolejna Hiroszima gotowa.

Najważniejsze pytanie brzmiało więc: Czy Saddam pozyskiwał uran-235? A jeśli tak, to — przede wszystkim —

\* 16 marca 1998 roku irackie wojsko zbombardowało leżące na północy własnego kraju kurdyjskie miasto Halabdzja. Bomby zawierały broń chemiczną - mieszanekę m.in. sarinu i gazu musztardowego. W wyniku nalotu zginęło około 5 tys. osób, a kilka kolejnych tysięcy zostało rannych - przyp. red.

skąd go brał? Gdzie prowadził swój program? Pamiętajcie, że na tej planecie uran-235 jest potrzebny wyłącznie do budowy bomby atomowej.

Wywiad amerykański uważał, że Husajn prowadził program nuklearny i gdzieś w tym rozległym, większym od Niemiec kraju, były rozmieszczone wirówki, w których próbowano pozyskać najniebezpieczniejszą substancję na świecie.

Wiedzieliśmy tylko tyle. Ale wiedzieliśmy też czego szukać i gdybyśmy to znaleźli z pewnością udałoby się nam to rozpoznać. Czy Saddam posiadał skończony produkt - bombę lub raketę? Raczej nie. Nikt tak nie uważał. Jednak, zgodnie z tym, co powiedział były sekretarz obrony Donald Rumsfeld - „Co mamy robić? Zostawić go w spokoju i czekać, aż mu się uda ukończyć budowę bomby?”.

Może pamiętacie, CIA było przekonane, że znalazło niepodważalny dowód — zdjęcia satelitarne, na których widać ogromne rządowe ciężarówki jadące iracką

autostradą w konwojach, zwykle po cztery samochody. Te ciężarówki były wystarczająco duże, by na nie załadować po dwie wirówki. Powszechnie uważano, że Saddam prowadzi mobilny, trudny do zlokalizowania, program nuklearny. Takie instalacje łatwo można by ukryć w piaskach pustyni lub przewieźć za granicę - do Syrii lub nawet Jordanii.

Znaleźliśmy te ciężarówki. Zostały ukryte na pustyni. Zaparkowane jedna obok drugiej. Wszystkie puste. W środku nie zostało nic. Dokładnie je przeszukaliśmy. Moim zdaniem ktoś dokładnie wysprzątał ich naczepy. Zrobił to w dużym pośpiechu. Widziałem też obóz treningowy al-Kaidy znajdujący się na północ od Bagdadu. Był opuszczony, jednak stanowił niezbitą dowód na powiązania irackiego dyktatora z żołnierzami Osamy bin Ladena. Siady militarnego przeznaczenia obozu były widoczne wszędzie. Ci, którzy służyli w Afganistanie mówili, że był on niemal repliką obozu zniszczonego przez Amerykanów po tragedii 11 września.

Wiele razy w piekącym słońcu goniliśmy cienie po dzikich, piaszczystych pustkowiach. Z daleka widzieliśmy wyrzutnie rakietowe. Gdy jednak podjeżdżaliśmy bliżej okazywało się, że to jedynie zrobiona z kiepskiej blachy i pordzewiałych prętów ogromna atrapa pocisku wymierzona w niebo.

Dwa dni podróży przez wyboje, w tym niewiarygodnym skwarze to było spore wyzwanie. Jeśli nasz oddział znalazłby kryjówkę Saddama, to pewnie strzelilibyśmy mu w łeb z wielu powodów, ale chyba przede wszystkim za warunki, w jakich żyliśmy podczas tych podróży przez pustynię. (Żartuję).

Ale powiem jedno. Prezydent Iraku, to był chytry lis, który lawirował pomiędzy swoimi tizynastoma pałacami i nie dawał się złapać. Nagrywał taśmy, na których przekonywał resztki swoich żołnierzy, by nie przestawali nas zabijać i namawiał powstańców, by kontynuowali walkę z szatanem (czyli z nami).

Było ciężko. Jednak z wielu powodów cieszę się, że było mi dane to przeżyć.

Zobaczyłem, jak przebiegły i sprytny potrafi być wróg. Nauczyłem się, że trzeba zawsze się z nim liczyć. Zrozumiałem, że trzeba dawać z siebie wszystko, by móc kontrolować grę. Zero taryfy ulgowej.

Myślałem o tym w drodze do Afganistanu, podczas dłużącego się lotu w C-130 i

coraz lepiej zdawałem sobie sprawę, z jak nabrzmiałym problemem będą musiały się zmierzyć amerykańskie siły zbrojne pełniące służbę w punktach zapalnych na całym świecie. Do mnie, gdy byłem w Iraku, po raz pierwszy dotarły głosy liberalnych środowisk w Stanach Zjednoczonych, które twierdziły, że robimy źle, że jesteśmy brutalnymi mordercami, że prześladowujemy inne kraje; i że my, którzy na rozkaz rządu walczyliśmy na pierwszej linii frontu za nasz kraj, powinniśmy zostać skazani za zabijanie wrogów.

Coraz więcej podnosiło się takich złowieszczych głosów. Krytyka armii amerykańskiej dochodziła ze strony liberal-

nych polityków i mediów, ludzi, którzy nie mają pojęcia

O walce, naszych szkoleniach i o tym, z jakimi niebezpieczeństwami musimy się mierzyć na froncie. Każdy z naszej szóstki, lecąc do Afganistanu, miał z tyłu głowy natrętną myśl o konieczności przestrzegania Zasad Użycia Siły.

Sporządzili je dla nas politycy, zasiadający w wygodnych fotelach gdzieś w Waszyngtonie. Ci faceci są daleko od pola walki - gdzie kula snajpera może roztrzaskać ci łeb, gdzie najmniejszy błąd może cię kosztować życie. Gdzie trzeba zabić wroga, zanim on zabije ciebie.

Te zasady są bardzo szczegółowe: na przykład nie wolno nam otworzyć ognia, do momentu, aż nie zostaniemy ostrzelani albo dopóki nie zidentyfikujemy wroga i nie będziemy mieć dowodów jego złych intencji. Bardzo to piękne. Ale co mają zrobić amerykańscy żołnierze, którzy od paru dni są na patrolu. Wcześniej byli już ostrzeliwani, ręczne granaty i bomby domowej roboty spadały tuż obok nich, ponieśli straty, są bliscy wyczerpania

I może trochę wystraszeni?

Co mają zrobić, gdy na horyzoncie pojawi się grupka facetów z ręcznikami na głowach, celujących z kałasznikowów? Czy żołnierze mają czekać, aż kule zaświszczą koło ich uszu, czy może powinni wykosić sukinsynów, nie dając im szansy na strzelanie?

Może odpowiedź jest łatwa z perspektywy Waszyngtonu, gdzie priorytetem jest to, by nie były łamane prawa człowieka przysługujące terrorystom. Jestem przekonany, że

liberalni politycy będą bronić takiego stanowiska do upadłego. A dobrze wiemy, że liberałowie nigdy się nie mylą. Zapytajcie ich. Kiedy tylko chcecie.

Jednak z punktu widzenia amerykańskiego żołnierza, Rangera, SEALsa, czy chłopaka z Zielonych Beretów Zasady Użycia Siły to skomplikowana łamigłówka. Rozumiemy, że musimy się do nich stosować, bo tak się składa, że są one częścią prawa kraju, któremu służymy. Jednak stanowią one dla nas zagrożenie na polu walki ze światowym terroryzmem.

Co gorsza, wywołują w nas niepokój, przygnębienie i niepewność.

Mogę z własnego doświadczenia powiedzieć, że zasady doprowadziły do śmierci trzech najlepszych żołnierzy z oddziału Navy SEALs, jacy kiedykolwiek służyli w tej formacji. Sytuacja była poważna, więc nie twierdzę, że ci żołnierze nie zginęliby później, ale na pewno nie właśnie w tamtym momencie. I niemal na pewno dziś by żyli.

Mam nadzieję, że kiedyś amerykański rząd dojdzie do wniosku, że można nam zaufać. Wiemy wszystko o złych facetach - co robią, a często też, kim są. Politycy postanowili wysłać nas na wojnę - to nasza robota. Robimy to, co konieczne.

Uważam, że jeśli podjęli decyzję, że mamy zrobić coś, czego nie podjęłoby się 99,9 procent obywateli naszego kraju, to powinni zejść nam z drogi i siedzieć cicho.

Temat zbrodni wojennych popełnianych podczas współczesnych konfliktów zbrojnych został podniesiony przez liberalnych polityków i media w czasie wojny w Iraku i od tamtej pory zatacza coraz szersze kręgi. Każdy wściubia w tę sprawę swój ciekawski nos twierdząc, że opinia publiczna ma prawo do informacji.

Większość żołnierzy Navy SEALs ma inne zdanie. Opinia publiczna nie ma prawa do informacji. Nie ma, jeśli oznacza to zagrożenie naszego życia, które powodują ludzie w Waszyngtonie, chroniąc prawami człowieka terrorystów. Fanatyków, którzy z zimną krwią zabijają nas, gdyby tylko zobaczą. To dotyczy każdego Amerykanina, w którego terroryści celują ze swoich starych kałachów.

Skoro każdy obywatel ma prawo do informacji, czego ja osobiście nie jestem wcale pewny, to może niech obywatele sami staną przeciw uzbrojonym terrorystom, którzy

uparli się, że muszą zabić tylu Amerykanów, ile się da.

Przysięgam, każdy partyzant, każdy bojownik o wolność czy uzbrojony osobnik w Iraku wiedział, że chcąc się wydostać z niewoli musi ogłosić, że był torturowany i nieodpowiednio traktowany przez Amerykanów. Nie mógł czytać Koranu, nie dostawał śniadania i nie mógł oglądać telewizji. Wiedział, że podchwyci to arabska telewizja al-Dżazira, a materiał zostanie wyemitowany również w Stanach Zjednoczonych. W USA liberalne media radośnie oskarżą nas o morderstwa i okrzykną barbarzyńcami. Organizacje terrorystyczne śmieją się z amerykańskich mediów i doskonale wiedzą, jak wykorzystać system przeciwko nam. Wiem, że to nie są konkrety, wcale ich nie zamierzam przytaczać. Chcę tylko nakreślić ogólny obraz. Pokazać, że Zasady Użycia Siły stanowią ewidentne zagrożenie. Młodzi żołnierze skierowani przez rząd w zapalne punkty świata zaczynają się bać, że zostaną skazani na śmierć tylko z tego powodu, że zbyt energicznie się bronili.

Nie zajmuję się polityką, a jako Navy SEALs przysięgałem bronić mego kraju i wykonywać rozkazy głównego dowódcy sił zbrojnych — prezydenta Stanów Zjednoczonych. Niezależnie od tego czy w fotelu prezydenckim zasiada republikanin, czy demokrat. Jestem patriotą, walczę za Stany Zjednoczone i mój ojczysty Teksas. Po prostu nie chcę, żeby najlepsi chłopcy w tym kraju wahali się, czy wstąpić do elitarnych jednostek Amerykańskich Sił Zbrojnych w obawie, że zostaną przez swoich rodaków oskarżeni o zbrodnie wojenne podczas atakowania wroga.

Jedno wiem na pewno. Gdyby się tak zdarzyło, że nagle w Afganistanie stanąłbym twarzą w twarz z Osamą bin Ladenem - człowiekiem, który bez powodu opracował podstępny plan ataku na mój kraj, w wyniku którego 11 września w Nowym Jorku zginęło 2752 niewinnych amerykańskich cywilów, zastrzeliłbym go z zimną krwią. Wtedy wojsko, przynaglone przez rozwścieczone media, pewnie by mnie aresztowało i zostałbym skazany za zabójstwo.

I co? I tak bym zastrzelił sukinsyna.

Rozdział 2 Małe foczki i wielkie aligatory

Walczyłem kiedyś z jednym z nich i byłem niezwykle szczęśliwy, gdy sukinsyn uznał, że ma dość i przeniósł się na inne wody. Jednak po dziś dzień mój brat uwielbia uprawiać z nimi zapasy, tak dla zabawy.

Lecieliśmy nad południowym skrajem Zatoki Omań-skiej. 14 tysięcy metrów ponad wodami Morza Arabskiego. Zmierzaliśmy na północny-wschód. Pokonaliśmy już prawie 6,5 tysiąca kilometrów. We wczesnych godzinach porannych przekroczyliśmy 61. południk. Oznaczało to, że jesteśmy na południe od granicy irańskiej, blisko pakistańskiego portu Gwadar. Nasz dowódca, Dan Healy cicho chrapał. Axe rozwiązywał krzyżówkę z New York Timesu. Jakimś cudem głowa Shane'a nie eksplodowała -ze słuchawek wciśniętych w jego uszy potwornie głośno leciał jakiś rock-and-rollowy numer.

- Naprawdę musisz tak głośno tego słuchać, stary?

-Jest super, wyluzuj.

-Jezu Chryste...

C-130 skierował się nieco bardziej na północ, w stronę wybrzeży Beludżystanu. Ten region, rozciągający się na przestrzeni 750 kilometrów wzdłuż wybrzeża Morza Arabskiego, jest kluczowy dla transportu ropy w rejonie Zatoki Perskiej. Mimo, że mieszkający tu Beludżowie mają wielu wojowniczo usposobionych przywódców, region ten pozostaje częścią Pakistanu od momentu powstania tego kraju w 1947 roku. Nie zmienia to jednak faktu, że Beludżowie przynależnością do Pakistanu nie są zachwyceni.

Warto przypomnieć, że żadna nacja — ani Turcy, ani Tatarzy, Persowie, Arabowie, Hindusi czy Brytyjczycy — nikt nigdy całkowicie nie podbił Beludżystanu. Plemię to oparło się nawet Czyngis-CHANOWI, którego wojownicy byli SEALsami XIII wieku.

Nikt nigdy nie zdradził ani nam, ani nikomu innemu tras, którymi amerykańskie siły specjalne podróżują do poszczególnych krajów. Jednak w nadmorskim mieście Pasni w Beludżystanie znajduje się wielka amerykańska baza wojskowa. Myślę, że zniżyliśmy lot mniej więcej nad tą bazą, a potem polecieliśmy na północ, ponad czterema łańcuchami górskimi. 400 kilometrów dalej, w pobliżu miasta Dal-bandin,

znajdowała się inna amerykańska baza wojskowa.

Tu również nie lądowaliśmy. Jednak nad leżącym zaledwie 80 kilometrów na południe od granicy z Afganistanem Dalbandinem przestrzeń powietrzna jest stosunkowo bezpieczna. O ile w ogóle można mówić o bezpieczeństwie w tym dzikim regionie wciśniętym pomiędzy Iran i Afganistan.

Beludżystan, jego niekończące się góry i bezpieczne niebo, daje schronienie uciekającym rekrutom spod znaku al-Kaidy i wypędzonym talibskim bojownikom. Obecnie ukrywa się tu prawie 6 tysięcy potencjalnych terrorystów. Mimo, że razem z Healyem i resztą chłopaków znajdowałem się 14 kilometrów ponad tym rozległym, słabo zaludnionym i tajemniczym terenem, to i tak ciarki chodziły mi po plecach. Ucieszyłem się, gdy się dowiedzieliśmy od załogi, że jesteśmy już w afgańskiej przestrzeni powietrznej i kierujemy się na północ, a przed nami 650 kilometrów powietrza do Kabulu.

Zasnąłem gdzieś nad pustynią Registan, na wschód od jednej z najwspanialszych dróg wodnych w Afganistanie, rzeki Helmand. Licząca 1200 km długości nawadnia większość pól uprawnych leżących na południu kraju.

Nie pamiętam, o czym śniłem, ale podejrzewam, że o domu. Właśnie o tym śnię, kiedy odbywam służbę poza granicami kraju. Mój dom to małe ranczo położone w piniowych lasach wschodniego Teksasu, w pobliżu Sam Houston National Forest.

Mieszkam z rodziną na końcu

długiej, czerwonej, piaszczystej drogi na wyludnionym terenie, w pobliżu dwóch czy trzech innych rancz. Jedno z nich - sąsiadujące z naszym - ma powierzchnię 4 tysiące razy większą niż nasze, co czasem sprawia, że to nasze ranczo wydaje się też znacznie większe niż jest. Podobny wpływ ma na mnie mój brat-bliźniak, Morgan. Jest ode mnie starszy o siedem minut i podobny do mnie. Mierzy 195 centymetrów wzrostu i waży 105 kilogramów. Jakoś tak się składało, że to mnie rodzice traktowali jak dziecko. Aż trudno uwierzyć, że 7 minut może wyrządzić człowiekowi taką krzywdę, nie?

Morgan również jest SEALsem, choć nieco niższym rangą, bo ja zaciągnąłem się pierwszy. Jednak kiedy jesteśmy razem, on zawsze przejmuje dowodzenie. Dzieje się



tak dość często, bo mieszkamy razem w Coronado w Kalifornii, niedaleko siedziby SEALsów.

Tak czy inaczej, na naszej posiadłości w Teksasie są dwa lub trzy domy. Główny budynek to kamienny jednopiętrowy dom otoczony dużym ogrodem warzywnym. Jest tu mała plantacja kukurydzy i paru innych warzyw. Dookoła, jak okiem sięgnąć, rozciągają się pastwiska, a na nich pojedyncze ogromne dęby. Spokojne miejsce w sam raz dla bogobojnej rodziny.

Od dziecka Morgan i ja byliśmy wychowani w wierze w Boga. Nie zmuszano nas, byśmy chodzili do kościoła i po dziś dzień nasza rodzina nie jest praktykująca. Tak naprawdę ja jestem jedyną osobą, która regularnie odwiedza świątynię. Kiedy bywam w domu, jeżdżę w niedzielę do kościoła katolickiego. Choć nie zostałem ochrzczony w obrządku katolickim, odpowiada mi on — i w wierze, i w doktrynach odnajduję siebie. Od wczesnej młodości umiałem od początku do końca wyrecytować Psalm 23 i jeszcze parę innych.

Uważam też, że ostatni papież, Jan Paweł II był najświętszym człowiekiem na Ziemi, bezkompromisowym Wikarym Chrystusa, człowiekiem o niezachwianych zasadach.

Twardy

był ten Jan Paweł. Za twardego dla Rosjan. Tjssnstz myślałem, że gdyby nie został księdzem, byłby dobrym SEALsem.

W domu, na spokojnych leśnych terenach, życie wydaje się proste. I tak jest, choć parę rzeczy może zirytować. Przede wszystkim węże. Na szczęście ojciec dawno nauczył nas, jak sobie z nimi radzić. Dotyczy to szczególnie węży koralowych i mokasynów miedzianogłowych. Ale można tam również wpaść na grzechotniki diamentowe i węże królewskie, które żywią się innymi wężami. W pobliskim jeziorze można spotkać mokasyna wodnego, małego sukinsyna, który potrafi szybko dopaść swoje ofiary. Nie lubię go, ale się go nie boję. Morgan natomiast ma niezły ubaw, gdy ugania się za mokasynami dla sportu.

Jakieś 1,5 kilometra od nas wypasa się wielkie stado krów - długorogów teksańskich. Zaraz za naszym domem jest sześć padoków dla koni mojej mamy. Niektóre konie należą do matki, inne są tu tylko pensjonariuszami.

Ludzie z bliższych i dalszych okolic przywożą do nas konie, ze względu na niemal mityczną umiejętność mojej matki przywracania chorych i słabych zwierząt do formy. Nikt nie wie, jak ona to robi. Jest prawdziwym zaklinaczem koni. Stosuje specjalne diety, a schorowane konie wyścigowe żywi nawet wodorostami.

Przysięgam, potrafi sprawić, że mułowaty kucyk zamieni się w pełnej krwi ogiera. Wybacz, mamó, żartowałem.

Holly Luttrell to błyskotliwa amazonka. Sprawia, że słaby koń znów staje się zdrowym ścigantem z iskrą. Myślę, że dlatego ludzie stale przywożą do niej swoje konie. Mama jest w stanie opiekować się mniej więcej dziesięcioma zwierzętami w jednym czasie. Pracuje przy nich codziennie od piątej rano. Wystarczy chwila obserwacji, by zobaczyć, jaki ma wpływ na zwierzęta. Rezultaty jej umiejętności są niepodważalne.

Moja mama należy do siódmego pokolenia Tekszań-czyków. Mogę zdradzić, że próbowała kiedyś szczęścia w Nowym Jorku. Taki wyjazd jest w Teksasie postrzegany

jak emigracja do Szanghaju. Jednak mama, szalowa blondyna, postanowiła zrobić karierę jako stewardessa. Nie trwało to zbyt długo. Szybko wróciła do Teksasu i zaczęła hodować konie. Uważa, zresztą jak cała rodzina, że Teksas jest częścią jej duszy. Ten stan jest we mnie i w ojcu, a już z pewnością to esencja duszy Morgana. Żadne z nas nie mogłoby mieszkać nigdzie indziej. Tu czujemy się w domu. Tu są ludzie, których znamy od wielu lat, którym ufamy. Tylko Tekszańcy są tak otwarci, przyjacielscy, mają w sobie tyle optymizmu i przyzwoitości. Wiem, że nie wszyscy to potwierdzą, ale my tak uważamy.

To wszystko sprawia, że szybciej, niż inni zaczynamy tęsknić za domem. Jestem pewny, że kiedy skończę służbę, tu będę mieszkać. A kiedyś - umrę tu. Gdy jestem gdzieś, w świecie, rzadko zdarza się dzień, bym nie pomyślał o naszym małym ranczu, mojej wielkiej rodzinie, przyjaciołach, o picciu piwa na werandzie i o opowieściach przepelnionych szczegółami — prawdziwymi czy po prostu zabawnymi.

Przy okazji sprzedam wam jedną taką opowieść. O pewnym chłopaku z farmy

położonej w lasach wschodniego Teksasu, który został starszym bosmanem i dowódcą oddziału SEALsów.

Jak to się stało, że chłopak z lasu został dowódcą oddziału SEALsów? Można uznać, że to kwestia talentu, ale nie mam go więcej niż inni. Moje wrodzone umiejętności są dość przeciętne. Jestem duży — taki się urodziłem. Jestem dość silny, bo wielu ludzi mocno się namęczyło, próbując mnie trenować. Jestem niesamowicie uparty, bo jeśli nie masz wrodzonych umiejętności tak, jak ja, musisz po prostu wytrwale przeć do przodu.

Pracuję więcej niż inni. Nie przerywam, aż opadnie cały kurz. Wtedy zwykle tylko ja jeszcze trzymam się na nogach. Nie jestem szybki, ale za to mam refleks. Wiem, gdzie powinienem się znaleźć, umiem przewidzieć sytuację. Myślę, że właśnie dlatego jestem niezłym sportowcem.

Jeśli dałbyś mi piłkę golfową, uderzyłbym tak, że poszybowałaby milę stąd. Bo golf, to sport, który wymaga ćwiczeń, ćwiczeń i jeszcze raz ćwiczeń. To coś dla mnie.

Właśnie to potrafię. Nieźle gram, choć żaden ze mnie Ben Hogan. Ale pochodzę z Teksasu, tak jak Ben, który urodził się jakieś 150 kilometrów ode mnie. W naszych stronach to rzut beretem. Nikt na świecie nie ćwiczył tyle, co Ben. Chyba coś jest w teksańskim powietrzu.

Urodziłem się w Houston, ale dorastałem blisko granicy z Oklahoma. Moi rodzice, David i Holly Luttrell byli właścicielami sporej stadniny liczącej 1200 akrów.

Hodowaliśmy tam do 125 koni, głównie pełnej krwi angielskiej i quartery. Mama zajmowała się przede wszystkim hodowlą, a tata - wyścigami i sprzedażą.

Morgan i ja wychowaliśmy się wśród koni, karmiąc je, pojąc, jeżdżąc na nich i czyszcząc ich boksy. Prawie co weekend jeździliśmy na wyścigi ciężarówką do przewozu koni. Byliśmy wtedy dziećmi, a nasi rodzice, a szczególnie mama, doskonale jeździli. Tak się nauczyliśmy. Pracowaliśmy na ranchu. Mając dziewięć lat umieliśmy naprawiać płoty i obsługiwać młot pneumatyczny. Od wczesnych lat pracowaliśmy jak dorośli, ładując bele siana na strych stodoły. Ojciec stawiał na takie wychowanie i przez wiele lat to zdawało egzamin.

W tym czasie Teksas przeżywał boom naftowy i żyło się jak w niebie. Właściciele

szybów naftowych i ludzie, którzy świadczyli im usługi stawali się multimilionerami. W latach 1973-1981 cena ropy wzrosła o 800 procent, a ja urodziłem się w 1975 roku - zanim ta fala zaczęła na dobre wzbierać. Muszę przyznać, że rodzina Luttrellów siedziała wtedy mocno w siodle.

Kupić ładnego ogiera za 5000 dolarów, a po roku sprzedać go za 40 000 - dla ojca to była pestka. W ciągu jednego roku mama potrafiła genialnie podnieść wartość konia. Ojciec kupował tanio, a potem matka czule opiekowała się zwierzęciem i świetnie go żywiła. Po kilkunastu miesiącach konik stawał się rasowym ścigantem wartym osiem razy więcej niż podczas kupna.

Hodowla koni to było dokładnie to, czym należało się wtedy zajmować. Można je było porównać do Roleksów, Rolls-Royce'ów czy samolotów Learjet oraz Gulfstream 1. Powierzchnie biurowe w całym stanie były na wagę złota, wszędzie budowano nowe drapacze chmur. Hurtowe zakupy trwały nieprzerwanie. Czy ma pan jakieś piękne konie wyścigowe? Wezmę sześć, wszystkie mają być szybkie panie Luttrell. Chcę je wystawić do wyścigów.

Pieniądze z ropy szybko się rozplywały. Ludzi zarabiali fortuny na wszystkim, co pachniało luksusem, co karmiło ego gości od szybów. Ci wydawali i pożyczali pieniądze na nieznaną dotąd skalę.

W tamtym czasie banki nieustannie udzielały pożyczek przekraczających 100 milionów dolarów wydobywcom lub przetwórcom ropy naftowej. W Stanach Zjednoczonych działało wtedy 4,5 tysiąca szybów wiertniczych. Większość z nich w Teksasie. Kredyty? Prosta sprawa. Banki dawały milionowe pożyczki bez zmrużenia oka.

Byłem jeszcze dzieckiem, ale wkrótce wraz z rodziną przeżyłem traumę głębokiego kryzysu. I sporo się o tym później nauczyłem. W pewnym sensie cieszę się, że przez to przeszedłem, bo nauczyło mnie to ostrożności. Zarabiam pieniądze i inwestuję je tam, gdzie są bezpieczne.

Nauczyłem się też podchodzić z ostrożnością do szczęścia wtedy, kiedy sprzyja i kontrolować swoje życie. Zrozumiałem, że efekt kryzysu, który miał miejsce w

Teksasie został tysiącrotnie wzmocniony właśnie przez to, że ludzie zajmujący się produkcją ropy naprawdę uważali, że pieniądze nie mają nic wspólnego ze szczęśliwym trafem. Łączyli swoje powodzenie wyłącznie z własną błyskotliwością. Nikt nie przywiązywał znaczenia do tego, że międzynarodowy rynek naftowy na Bliskim Wschodzie jest kontrolowany przez muzułmanów. Wszystko, co się później stało, miało korzenie w krajach arabskich. Do tego dochodziła polityka energetyczna prezydenta Cartera i fakt, że kiedy miałem 5 lat cena baryłki ropy wynosiła 40 dolarów.

Kryzys, który przyszedł, był spowodowany embargiem na ropę naftową i rewolucją w Iranie, w wyniku której ajatollah odebrał władzę szachowi. Za sytuację odpowiadała wielka geopolityka. Teksas mógł jedynie stać i patrzeć bezradnie jak rynek się wysyca, a cena za baryłkę zaczyna gwałtownie spadać, dochodząc do granicy 9 dolarów.

Działo się to w 1986 roku, gdy miałem zaledwie 10 lat. W międzyczasie w Teksasie upadł First National Bank of Midlands. Rządowa inspekcja finansowa oceniła, że był on niewypłacalny. Ogromny bank upadł na łopatki, a efekt domina dotknął cały stan. Skończyła się era lekkomyślnego wydawania i inwestowania pieniędzy. Goście, którzy budowali sobie pałace, musieli je sprzedać ze stratą. Niełatwo było się pozbyć luksusowego jachtu, a niemal wszyscy dilerzy Rolls-Royce'ów wypadli z rynku. Los gigantów powalonych przez kryzys naftowy podzieliła stadnina Davida i Holly Luttrellów. Młode samce i klacze, których wartość tata wyceniał na 35 do 40 tysięcy dolarów, nagle na rynku były warte o 5 tysięcy mniej, niż koszt ich hodowli. Moja rodzina straciła wszystko, łącznie z domem.

Ale mój ojciec to człowiek wytrzymały, twardy i pełen determinacji. Walczył prowadząc mniejsze ran-czo. Nadal stosował stare dobre techniki hodowli. Jednak znów wszystko poszło nie tak. Cała rodzina zamieszkała u dziadka, gdzie Morgan musiał spać na podłodze.

Mój ojciec, odkąd wrócił z Wietnamu, zawsze tkwił jedną nogą w biznesie petrochemicznym. Wrócił więc do pracy i szybko stanął na nogi dzięki wykonaniu paru dużych transakcji. Przenieśliśmy się od dziadka do wspaniałego trzypiętrowego

domu i wyglądało na to, że wróciły dobre czasy.

Później nie udało się jakiś ogromny interes. Znowu wszystko straciliśmy i musieliśmy się przeprowadzić w ja-

kies szemrane okolice. Mój ojciec urodził się na granicy Oklahomy, ale ma teksańską duszę. Był dzielny, jak lew walcząc w Wietnamie jako strzelec pokładowy. W Teksasie prawdziwy facet nie chowa pieniędzy pod materac. Obraca nimi, podejmuje ryzyko i kiedy zdobędzie dużo, chce mieć jeszcze więcej. A mój ojciec to prawdziwy facet.

Wiele o nim mówią nazwy, które dawał swoim ranczom, niezależnie od tego, czy były duże, czy małe - „Farma pod Samotną Gwiazdą”, „Ranczo na Północnym Rozwidleniu” czy „Celuj w Gwiazdę”. Mawiał: „Wolę mierzyć w gwiazdę i trafić w pień, niż mierzyć w pień i chybić”.

Aż trudno opisać, jak bardzo byliśmy biedni w czasach, kiedy z Morganem próbowaliśmy przebrnąć przez collage. Podejmowałem się rozlicznych prac, próbując zarobić na chesne i spłacić raty za samochód. Byłem ratownikiem na szkolnym basenie, pracowaliśmy z Morganem na budowie, ścinał trawę i pracowaliśmy w ogrodzie. Wieczorem robiłem za ochroniarza w podejrzanych barach pełnych kowbojów o czerwonych karkach. Ale i tak głodowałem, żyjąc za 20 dolarów tygodniowo.

Pewnego razu, mieliśmy wtedy po 21 lat, Morgan podczas meczu baseballa, wślizgując się na drugą bazę, złamał nogę. Kiedy zawieźli go do szpitala, otwarcie oświadczył, że nie ma pieniędzy na leczenie. Ostatecznie chirurg zgodził się go zoperować, a koszt leczenia rozłożyć na raty. Jednak anestezjolog bez zapłaty nie chciał Morganowi podać żadnego znieczulenia.

Nie ma człowieka twardszego od mojego brata, odpowiedział więc:

- OK. Nie potrzebuję znieczulenia. Złóżcie mi tę nogę na żywca, wytrzymam ból.

Chirurg był zdumiony. Tłumaczył Morganowi, że nie może poddać się takiemu zabiegowi bez znieczulenia, jednak Morgan obstawał przy swoim:

— Doktorze, nie mam pieniędzy. Pan posklada moją nogę, a ja poradzę sobie z bólem.

Nikomu się to nie spodobało, a szczególnie chirurgowi. Wtedy zjawił się Jason Miller, szkolny kolega Morgana. Zobaczył, że ten wije się z bólu i oddał swoje ostatnie oszczędności na pokrycie kosztów znieczulenia. Wtedy poskładali Morgana z powrotem do kupy.

Wróć jednak do miejsca, gdzie przerwałem opowiadanie. Otóż, kiedy byliśmy jeszcze bardzo młodzi i pracowaliśmy przy koniach, nasz ojciec był dla nas bardzo, ale to bardzo surowy. Dobre oceny były dla niego priorytetem, a złe nie do zaakceptowania. Pewnego razu, kiedy dostałem trójkę ze sprawowania, złał mnie popręgiem. Teraz wiem, że robił takie rzeczy dla naszego dobra. Próbował wpoić synom dyscyplinę, która miała im pomóc w późniejszych latach.

Trzymał nas żelazną ręką. Mawiał:

- Kiedy mnie już nie będzie, zostanieie tylko wy dwaj, zdani na siebie i chcę, żebyście wiedzieli jak trudny i niesprawiedliwy jest ten świat. Chcę żebyście byli przygotowani na wszystko, z czym przyjdzie wam się zmierzyć.

Nie tolerował wielu rzeczy. Wykluczone było nieposłuszeństwo. Za nieuprzejmość gotów był powiesić. Nie było żadnego luzu. Wymagał dobrego zachowania i ciężkiej pracy. Nie odpuszczał nawet wtedy, gdy byliśmy bez grosza. Tata był synem leśnika z Arkansas - ten był równie zdumiewająco silnym człowiekiem.

Zawsze żyliśmy w lasach, w surowym krajobrazie, pełnym sosen, czerwonych dębów i ambrowców. Ojciec nauczył nas strzelać, gdy skończyliśmy 7 lat. Kupił nam strzelbę Remingtona kaliber .22, model Nylon 66. Trafialiśmy w lecącą puszkę po piwie z odległości 150 metrów. To była szkoła twardego życia dla twardych dzieciaków z Teksasu.

Ojciec uczył nas też sztuki przetrwania. Co można jeść, a czego nie. Pokazał nam jak zbudować szałas, urządzić kryjówkę, łowić ryby. Nauczył nas nawet jak złapać na linę i zabić odyńca - zarzucasz mu kilka długich pętli na szyję i ciągniesz, a potem modlisz się, żeby nie zaczął na ciebie szarżować. Do tej pory potrafię oprawić i upiec dzika.

Na każdym z rancz, na których mieszkaliśmy, tata pokazywał nam jak uprawiać kukurydzę, ziemniaki, marchew i inne warzywa. Często, kiedy byliśmy naprawdę

biedni, żywiliśmy się prawie wyłącznie nimi. Patrząc z perspektywy czasu, to był znakomity trening dla dwóch chłopaków z farmy.

Być może najważniejszą umiejętnością, jakiej nas nauczył było pływanie. Ojciec był świetnym pływakiem i miało to dla niego ogromne znaczenie. W wodzie był niedościgniony i mnie uczynił równie dobrym. Prawie we wszystkim Morgan swobodnie mnie prześcigał. Jest utalentowanym biegaczem, wojownikiem, strzelcem, nawigatorem na lądzie i w wodzie. Egzaminę zawsze zdawał z łatwością, podczas gdy ja musiałem brnąć, studiować, trenować, próbując być pierwszym wśród ostatnich. Morgan nie musiał się wysilać.

Szkolenie SEALs BUD/S zakończył z tytułem „Honor Man”. Wiedziałem, że tak się stanie jeszcze zanim je rozpoczął. Jest tylko jedna dyscyplina, w której Morgan nigdy mnie nie pobije: szybciej pływam i lepiej nurkuję. On to wie, choć pewnie nigdy się do tego nie przyzna.

W pobliżu jednego z naszych domów było olbrzymie jezioro i tam ojciec nas trenował. Każde długie, teksańskie lato spędzaliśmy pływając, ścigając się, nurkując, ćwicząc. Byliśmy jak ryby, tak jak ojciec tego chciał.

Spędzał miesiące na uczeniu nas nurkowania — najpierw swobodnego, a potem ze sprzętem. Byliśmy w tym dobrzy, więc czasem ludzie oferowali nam pieniądze za próbę wyłowienia kluczy czy kosztowności wrzuconych do głębokiej wody.

Oczywiście ojciec uważał, że to byłoby zbyt łatwe, więc zastrzegł, że możemy pobierać opłatę tylko wtedy, kiedy wyłowimy zgubę.

W tamtych czasach bywało, że ocieraliśmy się o przepływające aligatory. Jeden z moich najlepszych teksańskich przyjaciół, Tray Baker, pokazał nam jak sobie z nimi radzić. Pewnego razu starłem się z jednym z nich i byłem bardzo zadowolony, kiedy ten sukinsyn wteszcie uznał, że ma dosyć i odpłynął. Do dzisiejszego dnia mój brat uwielbia mocować się z aligatorami, tak dla zabawy. Oczywiście to szaleństwo. Czasami bierzemy starą łódkę, wypływamy na jezioro, by połowić i jeden z tych wielkich aligatorów przepływa wzdłuż łodzi.

Morgan błyskawicznie ocenia - nozdrza 10 do 25 centymetrów od oczu, więc musi



być długi na 2,5 do 3 metrów. Brat wykonuje skok pod ostrym kątem, wprost przed łeb aligatora, zaciska dłonie na jego szczękach, a następnie obraca go, włazi na grzbiet, wciąż trzymając potężne szczęki zamknięte i śmieje się z ogarniętej paniką bestii z głębin.

Po kilku minutach obaj mają dość i Morgan pozwala mu odpłynąć. Zawsze myślę, że to jest najbardziej niebezpieczny moment, ale jeszcze nigdy nie widziałem aligatora, który miałby ochotę na drugą rundę z Morganem. Gady po prostu odwracają się i odpływają. Tylko raz Morgan źle ocenił sytuację i do dziś na jego dłoni widnieje rząd blizn po zębach aligatora.

Wiecie co? Myślę, że tata zawsze chciał, żebyśmy zostali SEALsami. W nieskończoność opowiadał nam o tej elicie żołnierzy, o czynach, których dokonywali i o co walczyli. W jego opinii SEALsi reprezentowali wszystko, co najlepsze w amerykańskim mężczyźnie — odwagę, patriotyzm, siłę, determinację, odmowę przyjęcia porażki, rozum, mistrzostwo we wszystkim, co robią. Przez całe nasze młodościane życie opowiadał nam o tych ludziach. Te opowieści zapadły w nas głęboko. I co? Morganowi i mnie udało się do nich dołączyć.

Miałem około dwunastu lat, kiedy zrozumiałem ponad wszelką wątpliwość, że zostanę Foką. Wiedziałem o nich o wiele więcej niż dzieciaki w moim wieku. Zdawałem sobie sprawę z brutalności szkolenia, z wymaganego poziomu sprawności fizycznej i konieczności osiągnięcia super zręczności potrzebnej w wodzie. Czulem, że będę mógł

temu sprostać. Ojciec mówił nam też o znaczeniu umiejętności strzeleckich, a ja byłem pewien, że już je posiadam.

Foki muszą umieć odnaleźć się w trudnym terenie, przetrwać, przeżyć w dżungli, jeśli to konieczne. W tym już byliśmy dobrzy. W wieku dwunastu lat Morgan i ja byliśmy jak para dzikich zwierząt, czująca się jak w domu w wielkich dzikich przestrzeniach, zrosnięci z wędką i bronią palną. Z łatwością żyliśmy z tego, co rodziła ziemia.

Jednak w głębi duszy wiedziałem, że potrzeba czegoś więcej, by dostać się do najlepszego na świecie oddziału bojowego. Potrzebną sprawności i siłę trzeba ciężko

wypracować. Nic nie dzieje się tak po prostu. O wszystko musisz się postarać.

W naszej części wschodniego Teksasu jest mnóstwo byłych i aktywnych członków oddziałów specjalnych, cichych, niedocenianych ludzi z żelaza. Wielu wśród nich bohaterów, o których wiedzą tylko najbliżsi. Nie służą oni w Siłach Zbrojnych USA dla osobistego uznania czy chwały.

Robią to, ponieważ w głębi swoich granitowych dusz odczuwają lekkie drzenie na widok flagi „Old Glory” łopoczącej nad ich głowami na placu apelowym. Włos na ich karkach jeży się, gdy słuchają hymnu Stanów Zjednoczonych. A kiedy prezydent wychodzi przy dźwiękach „Hail to the Chief”, granych przez amerykańską orkiestrę wojskową, to jest to moment uroczysty dla każdego z nich - robią to dla prezydenta, dla kraju i tego co znaczy on dla świata, a także dla wielu ludzi, którzy nie mieliby szans, gdyby nie Ameryka.

Ci ludzie z sił specjalnych mieli w życiu do wyboru inne możliwości, inne drogi, łatwiejsze ścieżki. Jednak wybrali drogę najtrudniejszą, ten wąski przesmyk, którym nie przejdzie niedzielny patriota. Wybrali drogę patriotyzmu najwyższej próby, takiego, który może wymagać od nich poświęcenia własnego życia dla kraju. Wybrali drogę tylko dla tych, którzy chcą służyć ojczyźnie tak bardzo, że nic innego się dla nich nie liczy.

To prawdopodobnie nie jest modne w naszym skupionym na celebrytach, współczesnym świecie, ale faceci z sił specjalnych mają to gdzieś. Myślę, że musielibyście ich poznać, żeby zrozumieć. A i tak nie byłoby to łatwe, ponieważ większość z nich to ludzie nieśmiali i małomówni. Słowa pochwały dla samych siebie w ich ustach nie pojawiają się prawie nigdy. Oczywiście są świadomi powołania do wyższych celów - ślubowali przecież, że będą bronić ojczyzny. Werbel daje im znak, że przyszedł czas wyruszyć na pole walki.

A kiedy werbel brzmi, tysiące serc ich najbliższych zamiera. Oni o tym wiedzą. Jednak obowiązek jest dla nich ważniejszy niż czyjekolwiek zbolące serce. Ci znakomicie wyszkoleni wojownicy odruchowo chwytają karabiny, biorą amunicję i ruszają wykonywać rozkazy.

Pewnego razu Generał Douglas MacArthur ostrzegł kadetów z West Point, że gdyby

jako pierwsi pozwolili Długiej Szarej Linii\*\* załamać się, „milion duchów w oliwkowych, zielonych, granatowych i szarych mundurach powstanie z grobów, grmiąc tymi magicznymi słowami: Służba, Honor, Ojczyzna". My, Navy SEALs nie potrzebujemy duchów. Słowa te mamy wyryte w naszych sercach.

We wschodnim Teksasie było wielu mężczyzn gotowych poświęcić swój czas, by pokazać dzieciakom, jak zostać Foką, Rangerem czy wstąpić do Zielonych Beretów. Nie oczekiwali przy tym żadnej zapłaty. Zналиśmy podobnego faceta. Dawniej był sierżantem w Zielonych Beretach, teraz mieszkał nieopodal nas. Nazywał się Billy Shelton i jeśli kiedykolwiek przeczyta te słowa, prawdopodobnie umrze z zażenowania, widząc swoje imię użyte w tak pochlebnym kontekście.

Billy przeszedł imponującą drogę bojową w Wietnamie, a później, służąc w oddziale SWAT. Był jednym z naj-

\*\* Sformułowanie Długa Szara Linia utożsamiane jest w West Point z zasadami i tradycjami panującymi w tej elitarnej akademii wojskowej - przyp. red.

twarszych ludzi, jakich kiedykolwiek spotkałem. Pewnego popołudnia, tuż przed moimi piętnastymi urodzinami, zebrałem się na odwagę i poszedłem do jego domu, aby zapytać czy zechciałby trenować mnie na Fokę. Otworzył drzwi, przeżuwając coś w ustach, bo akurat jadł lunch. Był ogromny jak byk, a wśród mięśni naprężonych pod jasną skórą nie miał ani grama tłuszczu. W moich oczach wyglądał jak ktoś, kto mógłby pokonać nosorożca.

Przedstawiłem nieśmiało moją prośbę, a on tylko obejrzał mnie od stóp do głów i rzucił:

— Jutro o czwartej po południu.

Po czym zatrzasnął drzwi przed moim nosem. Byłem wtedy dość młody, więc na końcu języka tylko zawisły mi słowa:

— Bez kitu, naprawdę?

Wszyscy w okolicy wiedzieli o tym, że Billy przygotowuje dzieciaki do sił specjalnych, więc kiedy biegł z grupą takich jak ja wzdłuż ulicy, kierowcy przejeżdżających samochodów trąbili i machali do nas wesoło. Billy zawsze ich ignorował.

Nam nie okazywał litości. Program naszego szkolenia zawierał m.in. bieganie z ciężkimi blokami betonu na ramionach. Kiedy Billy uznał, że jesteśmy już dość silni, biegaliśmy szybciej, a zamiast betonowych bloków, dźwigaliśmy wielkie opony. Billy nie prowadził z nami lekcji gimnastyki - to było regularne szkolenie wstępne do SEALsów, tyle, że dla nastolatków. Przez te lata trenował nas też na siłowni: podnosiliśmy żelastwo, wyciskaliśmy ciężary na rozmaitych maszynach, tętno szalało nam na bieżni, zmuszaliśmy ciała do wysiłku i pociliśmy się jak szczury. Billy przerażał Morgana i mnie. W nocie poprzedzające treningi miewałem koszmary, bo zajeżdżał nas bezlitośnie, nie zważając na nasz bardzo młody wiek. W grupie było nas może dwunastu, wszyscy w wieku około piętnastu lat.

— Mam zamiar was złamać! Umysłowo i fizycznie! — wrzeszczał do nas Billy.

— Złamię was, słyszycie?! A potem z każdego z was złożę na nowo walczącą jednostkę. Wasze ciała i umysły to jedno. Rozumiecie?! Zadam wam ból, jakiego dotąd nie zazналиście!

Mniej więcej wtedy połowa grupy uciekła przed potworem. Miał wsparcie miejscowej szkoły średniej, która za darmo użyczała mu siłownię, by mógł trenować przyszłych członków jednostek specjalnych.

— Nie jestem waszym przyjacielem! - darł się. - Nie na tej sali. Jestem tu, żebyście stali się sprawni i gotowi do Fok, Beretów i Rangerów. Nikt mi za to nie płaci i dlatego zrobicie to najlepiej jak możecie. Nie zmarnujcie mojego czasu.

— Bo jeśli którykolwiek z was nie dostanie się do sił specjalnych, nie będzie to znaczyło, że jest za słaby. To będzie znaczyło, że ja nie dałem rady. A to nie może się zdarzyć, ponieważ ja nie uznaję porażek. Ustawię was wszystkich jak należy.

Zrozumiano?!

Pokonywaliśmy biegiem 20-kilometrowe odcinki, taszcząc przy tym betonowe bloki. Niemal mdleliśmy z wysiłku. Skórę na plecach miewaliśmy pozdzieraną do krwi, a Billy nigdy nie spuszczał z nas oka i karał za zwolnienie tempa czy dekoncentrację. Zmuszał nas do tego, byśmy pracowali jak maszyny, aż do granic możliwości. Za każdym razem.

To właśnie zbudowało we mnie siłę i dało mi mocną podstawę. W ten sposób

dowiedziałem się, że sprawność fizyczna to credo SEALsów. A Billy był ogromnie dumny z tego, że mógł przekazać nam swoją wiedzę.

Wymagał totalnego oddania sprawie, dyscypliny godnej samuraja i serca pracującego na pełnych obrotach. Był nieugięty. Poza tym naprawdę lubił Morgana i mnie, dwóch z sześciu, którzy pozostali w naszej grupie.

Pewnego dnia, kiedy wróciłem z misji w Iraku, po dwóch tygodniach leniuchowania i objadania się specjałami naszej mamy, poszedłem do Billego, a on wyrzucił mnie z siłowni!

— Jesteś cholernym spaślakiem. Foka nie może wyglądać tak żałośnie. Nie mogę na ciebie patrzeć! - grzmiał. - Zejdź mi z oczu!

Cholera! Wskoczyłem z sali, zbiegłem po schodach i nie odważyłem się spojrzeć mu w oczy, zanim nie zrzuciłem czterech kilogramów. Z Billym Sheltonem się nie dyskutuje.

Nadal brakowało mi jednej umiejętności. Foka musi znać doskonale sztuki walki wręcz. Billy powiedział mi, że powinienem rozpocząć treningi jak najszybciej, więc natychmiast znalazłem instruktora. Przez całe gimnazjum i szkołę średnią studiowałem i trenowałem dziwne i raczej mistyczne azjatyckie sztuki walki.

Pracowałem wiele lat tylko nad tym, nie zajmując się już innymi sportami.

Osiągnąłem kolejny cel.

Morgan ma rację, kiedy mówi, że sam nie znam do końca swojej siły i lepiej mnie unikać.

Pod każdym względem byłem więc znakomicie przygotowany do wstąpienia do oddziału Navy SEALs. Miałem pełną świadomość zadania, jakie przede mną stało i dwie wielkie siły napędowe: mojego ojca i Billego Shel-tona. Wszystko czego nauczyłem się poza obowiązkową edukacją, zdawało się kierować mnie do Coronado, a przynajmniej teraz tak to widzę.

Powszechnie wiadomo dlaczego tak wielu chętnych odpada na selekcji do SEALsów. Kiedy pomyślę o tym, przez co przeszedłem zanim się tam dostałem, nie mogę sobie wyobrazić, jak dają radę chłopcy, którzy próbują dostać się tam bez wcześniejszych treningów. Morgan i ja byliśmy wychowywani na Foki, a i tak nie było łatwo. Dostać

się do SEALsów jest niesamowicie ciężko, wymagania sprawności fizycznej i umiejętności mentalnych są ogromne i nie ma żadnego kompromisu. Podobnych testów nie przechodzą rekruci w żadnym innym miejscu na świecie. Do Fok dostają się tylko ci, którzy prezentują najwyższy poziom.

Przypuszczam, że przede wszystkim to osobowość kandydata jest brana pod lupę; instruktorzy, dowódcy i oficerowie przez cały czas szukają wad i słabości charakteru, które w walce mogłyby zagrozić bezpieczeństwu pozostałych członków oddziału. Na wady i słabości Foki nie mogą sobie pozwolić. Możemy poradzić sobie prawie z każdą parszywą sytuacją, ale nie z tym.

Kiedy ktoś mówi ci, że jest SEALsem, znaczy to, że przeszedł najcięższe testy i zdobył uznanie u najgorszych wojskowych tyranów. Okaż mu szacunek, bo trudniej jest zostać Foką niż dostać się na Harvard. Oczywiście inaczej, ale trudniej.

Kiedy ktoś ci mówi, że jest członkiem jednostki Navy SEALs, możesz mieć pewność, że masz do czynienia z człowiekiem wyjątkowym. Miałem szczęście, że dostałem się do oddziału. Udało mi się tylko dzięki wpojonej przez ojca gotowości do ciężkiej pracy. SEALsi są bogami amerykańskich sił specjalnych i służą naszemu narodowi, kiedy tylko to potrzebne. Zazwyczaj bez żadnej pochwały czy uznania. To jest ich jedyny sposób na życie i nie chcieliby robić nic innego. Pochwały po nich spływają, unikają rozgłosu. Czeka ich tylko jedna nagroda, którą naprawdę cenią - kiedy miną lata walki, znają swoją wartość i wiedzą czemu służyli. To skarb, którego nie można kupić.

Pewnej nocy, kiedy w wielkim C-130 przelatywaliśmy nad pustkowiami południowego Registanu, bogowie Amerykańskich Sił Zbrojnych, z którymi podróżowałem, pogrążeni byli we śnie. Spali wszyscy, poza bogiem plaży Shanem, który nadal podrygiwał w takt muzyki z płynącej wtłoczonych w uszy słuchawek. Gdzieś w ciemnościach pod nami rozciągało się pakistańskie miasto Kweta, które miało całkiem spore znaczenie w czasach Kolonii Brytyjskiej. Mieściła się tam duża szkoła oficerska, w której w połowie lat 30. XX w. wykładał Bernard Montgomery, późniejszy marszałek i zwycięzca słynnej bitwy pod El Alamein. Przypuszczam, iż

do-

wiodłem właśnie teraz, że przemądrzałość dorównuje mojej wiedzy o historii wojskowości.

Zatem, o ile pamiętam, lecieliśmy po afgańskiej stronie granicy i zmierzaliśmy na północ w stronę zachodnich szczytów Hindukuszu. Najbardziej na południe wysunięty wierzchołek, szczyt najbliższy pustyni, ma wysokość 3353 metrów nad poziomem morza. Za nim zaczynają się prawdziwe góry i właśnie tam zmierzaliśmy. Daleko pod nami znajdowało się ważne z wojskowego punktu widzenia miasto Kandahar. Kilka tygodni później, 1 czerwca 2005 roku, stało się ono celem najbardziej zacieklej tamtego roku ataków talibów. Jeden z zamachowców-samobójców zabił dwudziestu ludzi w głównym meczecie Kandaharu. W tej masakrze w centrum miasta zginął m.in. szef bezpieczeństwa Kabulu, który uczestniczył właśnie w pogrzebie anty-talibskiego duchownego, który z kolei zginął trzy dni wcześniej z rąk dwóch wyrostków jadących motocyklem.

Myślę, że nasz dowódca Healy i ja najlepiej z całej naszej grupy zdawaliśmy sobie sprawę z zagrożeń czyhających w tym nękanym konfliktami kraju oraz znaczenia misji, jakie mieliśmy przed sobą. Naszym celem było zahamowanie narastającej fali talibskich rekrutów, którzy przybywali do Afganistanu przez Hindukusz. Mieliśmy również za zadanie doprowadzić do przesłuchania ich przywódców.

Siedmiogodzinna podróż z Bahrajnu ciągnęła się w nieskończoność, a wciąż byliśmy o godzinę lub dwie na południe od Kabulu. Dawno mineliśmy niebezpieczną granicę, która wiodła przez starożytny szlak przełęczy Chaj-ber i ciągnęła się do ogromnych szczytów i kanionów północnego Hindukuszu. Dalej to pasmo górskie gwałtownie skręcało i wiodło przez Tadżykistan i Chiny, stanowiąc zachodnie ograniczenie Himalajów.

Czytałem przewodnik, chłonąc i analizując dane jak detektyw z powieści Agathy Christie. Pakistańskie miasta Chaman i Zhob to główne ośrodki, do których talibowie i członkowie al-Kaidy uciekali przed amerykańskimi bombami i wojskiem. Grupy te przemierzały wysokie na 5000 metrów góry, szukając schronienia u władców Beludżystanu,

niezadowolonych i znudzonych, rozdartych pomiędzy Pakistanem i Afganistanem, Wielką Brytanią, Iranem, Stanami Zjednoczonymi, Rosją i wszystkimi innymi, którzy usiłowali im dyktować, co mają zrobić.

Ostatnie godziny podróży spędziłem na próbach zebrania danych, ale ciężko było coś znaleźć. Kłopot polegał na tym, że w tych górach niewiele się dzieje, niewiele tam miasteczek czy wiosek. Naprawdę zabawne; niewiele się działo, a jednak, w pewnym sensie, to tam działy się wszystkie najgorsze rzeczy: spiski, plany, przemoc, terroryzm, niezliczone intrygi jak zaatakować Zachód, a w szczególności Stany Zjednoczone.

Stacjonowały tam jednostki talibskich bojowników tylko czekających na okazję zaatakowania afgańskiego rządu. Kryły się tam bandy al-Kaidy skupione wokół lidera, którego prawie nikt nie widział od lat na oczy. Talibowie chcieli odzyskać władzę w Afganistanie; mafia bin Ladena chciała śmierci i zagłady Stanów Zjednoczonych oraz ich obywateli - umundurowanych lub nie. Tak czy inaczej, wszyscy oni byli naszym pieprzonym nocnym koszmarem i to takim, który z nocy na noc staje się coraz bardziej przerażający. To było dokładnie to, czego chcieli.

W tygodniach poprzedzających nasz przyjazd, dokonano tam wielu aktów przemocy, co potwierdzało obawę, że powszechnie znienawidzeni talibowie po raz kolejny rosą w siłę i stanowią coraz bardziej poważne zagrożenie dla afgańskiego rządu.

Nawet przy wsparciu trzydziestu tysięcy żołnierzy USA i NATO, prezydent Hamid Ka-rzai z trudem utrzymywał swoją władzę poza Kabulem.

Kilka tygodni wcześniej, w lutym 2005, talibowie oświadczyli, że wraz z nadejściem wiosny zamierzają wzmóc ataki na siły rządowe. Od tamtego momentu przeprowadzili serie ostrzałów i ataków bombowych, zazwyczaj skierowanych przeciwko lokalnym władzom i sprzyjającym rządowi duchownym. Na południu i na wschodzie kraju urządzali zasadzki na amerykańskich żołnierzy.

Talib, to dziwne słowo. Każdy je słyszał, tak samo jak słowa rebeliant, sunnita, ajatollah czy tajwańczyk. Jednak co ono tak naprawdę oznacza? Wiele wycierpiałem, jeśli można tak to określić, podczas statć z nimi. Dużo na ich temat przeczytałem.

Opisy i doniesienia odpowiadają rzeczywistości - to źli, morderczy fanatycy religijni,



a każdy z nich jest uzbrojony w AK-47 i pełen żądzы krwi. Możecie mi wierzyć. Talibowie utrzymywali się przy władzy od 1994 roku. Ich pierwszym przywódcą był wioskowy duchowny, mułła Mohammed Omar - twardy chłop, który w latach 80. XX w. stracił prawe oko walcząc z okupującymi Afganistan wojskami radzieckimi. W połowie lat 90. — zanim my się tam zjawiliśmy - głównymi celami ta-libów w Afganistanie byli miejscowi watażkowie, którzy: a) skupiali wokół siebie mudżahedinów, b) wypędzali Sowieców z kraju.

Talibowie postawili sobie dwa cele, które zamierzali osiągnąć po uzyskaniu kontroli w państwie: odbudowanie pokoju i bezpieczeństwa oraz umocnienie szariatu, świętego prawa Islamu. Afgańczycy, obawiając się mudżahedinów, a przy tym będąc nieskorzy do walki, z radością przyjęli talibów, którzy szybko zaczęli odnosić sukcesy w tępieniu korupcji, ograniczaniu bezprawia i wzmacnianiu bezpieczeństwa na drogach, co z kolei sprzyjało rozkwitowi handlu. Działo się tak we wszystkich regionach, jakie znalazły się pod ich kontrolą.

Swoją operację rozpoczęli na południowym zachodzie, w mieście Kandahar i postępowali szybko w głąb kraju. We wrześniu 1995 roku zdobyli graniczącą z Iranem prowincję Herat, a w rok później ich wojska zajęły stolicę Afganistanu - Kabul. Obalili reżim prezydenta Bur-

WI

hanuddina Rabbaniego i jego ministra obrony, Ahmada Szacha Masuda. Do roku 1998 objęli kontrolę nad dzie-ięćdziesięcioma procentami kraju. Jednak po objęciu władzy talibowie pokazali też swoje prawdziwe oblicze. Ustanowili najbardziej autorytarne rządy na ziemi rządy nie znoszące żadnego odstępstwa od twardych zasad. Niezwłocznie przywrócili dawne islamskie kary, takie jak publiczne egzekucje morderców czy obcinanie dłoni za kradzież. Pomyślcie tylko, jakiej kary mógł się spodziewać gwałcieiel czy cudzołożnik.

Zakazane zostały: telewizja, muzyka, sporty i kino. Talibowie uznali je za puste rozrywki. Dziewczętom w wieku 10 lat i starszym zabroniono chodzenia do szkół, zaś kobiety, które pracowały, zostały zamknięte w domach. Mężczyznom nakazano zapuścić brody, kobiety musiały zacząć nosić burki. Te religijne zasady zostały

powszechnie znienawidzone. Talibowie usiłowali wpędzić w średniowiecze naród pragnący dołączyć do świata XXI wieku. Ich polityka dotycząca praw człowieka była skandaliczna, co spowodowało, że znaleźli się w konflikcie ze społecznością międzynarodową.

Jednak pojawiła się jeszcze jedna kwestia, która sprowadziła na nich zagładę.

Mianowicie rolę jaką odegrali, udzielając poparcia i schronienia Osamie bin Ladenowi i jego al-Kaidzie. W sierpniu 1998 roku islamscy bojownicy zbombardowali ambasady USA w Kenii i Tanzanii, zabijając przy tym 225 osób.

Waszyngton niezwłocznie postawił przywódcom talibów ultimatum - albo wydała bin Ladena, którego rząd amerykański uznał odpowiedzialnym za zamachy, albo poniosą konsekwencje.

Talibowie stanowczo odmówili wydania swojego gościa, który sówicie ich wynagradzał. Na rozkaz prezydenta USA Billa Clintona główny ośrodek szkoleniowy al-Kaidy w południowym Afganistanie został zbombardowany, ale bin Laden uszedł z życiem. W roku 1999 Stany Zjednoczone przekonały Radę Bezpieczeństwa ONZ do nało-

żeńią sankcji na rządzonego przez talibów Afganistan. Dwa lata później sankcje te zostały zaostrome w celu zmuszenia talibów do wydania bin Ladena.

Ani sankcje, ani odebranie Afganistanowi mandatu w ONZ nie przyniosły żadnego rezultatu. Talibowie pozostawali przy władzy i nadal udzielali schronienia Osamie bin Ladenowi. Byli już prawie całkowicie izolowani politycznie i dyplomatycznie. Nie ustępowali. Potraktowali izolację jako zaszczyt i postanowili pójść na całość, jeszcze bardziej zaostrozając swój fundamentalistyczny reżim. Biedny naród afgański zbyt późno zrozumiał, co zrobił; oddał cały kraj w ręce grupy brodatych szaleńców, która zadawała mu cierpienie i kontrolowała każdy krok za pomocą brutalnych, represyjnych praw. Talibowie byli tak zajęci zniewalaniem obywateli, że zapomnieli o konieczności zapewniania im pożywienia, zapanował więc powszechny głód.

Milion afgańskich uchodźców opuściło kraj.

Zachód zdawał sobie z tego wszystkiego sprawę. Jednak nie do końca. Trzeba było szoku, jaki przyniósł marzec 2001 roku, aby społeczność międzynarodowa wybuchła

prawdziwym gniewem. Wtedy właśnie talibowie wysadzili w powietrze dwa posągi Buddy w Bamiyan, pochodzące z VI w. i mierzące 55 i 37 metrów. Wyrzeźbione były w jednym ze zboczy gór środkowego Afganistanu, w odległości 230 kilometrów na północny-zachód od Kabulu.

Posągi wyciosane zostały w piaskowcowych skałach przełęczy Bamiyan, położonej na tzw. Jedwabnym Szlaku, dawnej drodze kupców łączącej targi w Chinach i środkowej Azji z Europą i Bliskim Wschodem. Był to także ważny ośrodek dla wyznawców buddyzmu, stanowił bowiem dom dla setek mnichów. Te dwa posągi były największymi na ziemi rzeźbionymi wizerunkami Buddy.

Ich zniszczenie przyprawiło niemal o zawał wielu kuratorów i dyrektorów muzeów całego świata. Talibowie wyraźnie pokazali, gdzie ich mają. W końcu czyje to były posą-

gi, co? Poza tym i tak mieli zamiar zburzyć wszystkie posągi w Afganistanie, jako że nie dopuszczało ich prawo Islamu.

Posągi Buddy z Bamiyan zostały zniszczone zgodnie z prawem Szariatu. Tylko Wszehmocny Allah zasługuje na okazywanie czci, nikt inny i nic innego. To stwierdzenie zamyka sprawę, nie? Chwała Allahowi, więc podaj dynamit.

Zdewastowanie posągów Buddy z Bamiyan utwierdziło na całym świecie przekonanie o konieczności podjęcia działań w sprawie władców Afganistanu.

Dopiero jednak kolejna eksplozja spowodowała reakcję. Mowa o tej, która nastąpiła 11 września tego samego roku i stała się początkiem końca talibów i al-Kaidy Osamy bin Ladena.

Pył na Dolnym Manhattanie jeszcze dobrze nie opadł, a już Stany Zjednoczone zażądały od talibów wydania Osamy bin Ladena w związku z zamachem dokonanym na amerykańskiej ziemi. Talibowie ponownie odmówili, być może nie zdając sobie sprawy z tego, jak bardzo nowy prezydent, George W. Bush, różni się od Billa Clintona.

W niecały miesiąc później, 7 października, Amerykanie wraz z niewielką pomocą koalicjantów przypuścili na Afganistan szturm, po którym cały ten region świata zatrzęsł się w posadach. Wywiad wojskowy USA zlokalizował wszystkie bazy al-

Kaidy ukryte w górach południowo-wschodniego Afganistanu, po czym siły powietrzne urządziły największe bombardowania we współczesnych czasach. Rozpoczęło się od wystizelenia pięćdziesięciu pocisków samosterujących z pokładów lotniskowców Royal Navy i okrętów wojennych USA. Równocześnie, kiedy w Afganistanie zapadł już zmrok, z pokładów lotniskowców wystartowało dwadzieścia pięć myśliwców, do których z lądu dołączyło piętnaście bombowców. Ich celem było zniszczenie talibskiej obrony powietrznej, infrastruktury oraz lotnisk w Kabulu, Dżalalabadzie, Kandaharze i Heracie. Amerykańskie bomby zmiotły z powierzchni ziemi urządzenia radarowe oraz wieżę kontrolną lotniska w Kandaharze. W mieście tym mieszkał mułła Omar. Bombowiec amerykański trafił w sam środek ogrodu jego posiadłości, ale jednooki skurczybyk zdołał umknąć.

Talibowie, których sztab dowodzenia już płonął, posiadali niewielkie siły powietrzne złożone zaledwie z kilku samolotów bojowych i helikopterów, więc lotnictwo USA zmiotło je bez wysiłku za pomocą pocisków samonaprowadzających.

Myśliwce Marynarki Wojennej startujące z lotniskowców wzięły na cel pozostałe talibskie zasoby wojskowe — ciężki sprzęt, pojazdy i czołgi, a także zbiorniki paliwa. Z ziemi wystartowały bombowce B-1, B-2 i B-52. Te ostatnie zrzuciły dziesiątki ponad 200-kilogramowych bomb na obozy szkoleniowe terrorystów al-Kaidy ukryte w górach wschodniego Afganistanu, tuż przy granicy z Pakistanem. Tam też wkrótce mieliśmy się zjawić.

Jednym z głównych celów amerykańskich wojsk były niewielkie zasoby pocisków ziemia-powietrze i przeciwlotniczych pocisków wystrzeliwanych z ramienia — skradzionych Rosjanom lub pozostałych po mudżahedinach. Były one trudne do zlokalizowania. Większość zapasów została przeniesiona i ukryta w górach. Ukryta, niestety, w celu późniejszego wykorzystania.

W godzinę po rozpoczęciu koszmarnego bombardowania alianci otworzyli ogień raketowy z bazy położonej 40 kilometrów na północ od Kabulu. Wycelowali je wprost w pozycje talibów w centrum miasta. Nastąpiło pięć ogłuszających eksplozji, po których w całym mieście wysiadł prąd.

Ale Amerykanie nie zakończyli jeszcze polowania. Ich podstawowym celem było całkowite zniszczenie al-Kaidy i jej przywódcy, który zaplanował nikczemny atak na Twin Towers — „Pearl Harbor dwudziestego pierwszego wieku”, jak to określił prezydent. Oznaczało to zmasowane uderzenie na złowrogą sieć górskich jaskiń i tuneli, które bin Laden uczynił swoją kwaterą główną.

Na początek pociski samonaprowadzające „zmiękczyły” teren. Prawdziwie ciężkie uderzenie ze strony największej

potęgi światowej — USA — nadciągnęło w postaci potężnej broni BLU-82B/C-130, znanej w Wietnamie jako Com-mando Vault, a obecnie pod kryptonimem Daisy Cutter. Nazwę tę nosi ważąca 6800 kilogramów bomba, zrzucająca z dużej wysokości oraz olbrzymi samolot MC-130 - jedyny zdolny unieść ją w powietrze, gdyż jest zbyt ciężka dla mocowań na innych samolotach bojowych.

To przerażająca broń. Oryginalnie została zaprojektowana w celu oczyszczania terenu w dżungli Wietnamu pod lądowiska dla helikopterów. W Afganistanie została wykorzystana do wybijania wroga ukrywającego się w jaskiniach. Promień rażenia BLU-82B jest ogromny, wynosi około 270 metrów, a blask i huk jej eksplozji dają się odczuć nawet w promieniu kilometrów. BLU-82B to największa kiedykolwiek zbudowana bomba konwencjonalna, czyli taka, która nie pozostawia opadu radioaktywnego. Na marginesie, bomba, która zniszczyła Hiroszimę, miała moc tysiąc razy większą.

Zaletą Daisy Cutter jest jej niezawodność i precyzja - nie mają na nią wpływu ani prędkość wiatru, ani temperatury. Zbudowana jest na bazie materiału palnego i utleniacza, nie jest to jednak mieszanka paliwa i denu, jak w starszych systemach FAE używanych do budowy znacznie mniejszych bomb. Mierzy 3,6 metra długości i 1,3 metra szerokości.

Skuteczność BLU-82B zależy od sprawnego pilotowania samolotu MC-130, wykonywanego na podstawie danych z radarów naziemnych i urządzeń pokładowych. Przed rozpoczęciem odliczania i zwolnieniem ładunku, samolot musi być precyzyjnie naprowadzony na cel. Nawigator wykonuje niezwykle dokładne obliczenia balistyki pocisku i siły wiatru.

Potężna moc wybuchu wymaga, aby pocisk zrzucony został z wysokości nie mniejszej niż 1800 metrów. Głowica, zawierająca około 5700 kilogramów mieszanki GSX (azotan amonu, sproszkowane aluminium oraz polistyren), detonowana jest przez metrowej długości zapalnik

nad ziemią tak, by siła uderzeniowa wybuchu nie tworzyła leja, lecz rozchodziła się nad powierzchnią ziemi. Ciśnienie jakie wytwarza bomba wynosi 70 kg/cm kw. Stąd przydomek Daisy Cutter - Kosiarka Stokrotek.

Stany Zjednoczone nigdy nie ujawniły jak wiele tych bomb spadło na obszarze Tora Bora w Górach Białych, gdzie zlokalizowane były obozy al-Kaidy, ale było ich co najmniej cztery, w sumie może siedem. Pierwsza, według oficjalnego oświadczenia Pentagonu, została zrzucona po namierzeniu bin Ladena. Możemy jedynie wyobrazić sobie spustoszenie, jakie spowodowała w jaskiniach, gdzie ukrywali się członkowie al-Kaidy i ich przywódca. Straty miałoby ogromne, gdyby taka bomba trafiła ich na powierzchni, ale w jaskini?! Jezu, to okrutne. Za jednym zamachem zginęły setki ludzi.

Stany Zjednoczone totalnie rozgromiły talibów. Zrównały z ziemią ich punkt oporu w Kunduzie, na północy. Wyłuskały ich z równiny Szomali, rozciągającej się na północ od Kabulu. W nalotach dywanowych wybijały ich wokół bazy lotniczej Bagram, gdzie w rok później przylecieliśmy C-130.

Już jesienią 2001 roku talibowie i al-Kaida uciekali przed ofensywą amerykańską, bądź poddawali się. Po kilku latach rozproszenia zebrali się po pakistańskiej stronie granicy, przegrupowali swoje siły i ruszyli do kontrataku, chcąc odzyskać kontrolę nad Afganistanem.

Jakimś sposobem ci twardzi jak skała wieśniacy nie tylko przetrwali nawałnicę amerykańskich bombardowań i zbiegli przed przeważającymi siłami Paktu Północnego, ale również umknęli najbardziej zacieklej nagonce w historii wojen. USA poruszyły niebo i ziemię, chcąc schwycić bin Ladena, mułłę Omara i pozostałych. Przypuszczam, że ich taktyka spieprzania przed amerykańską nawałą i szybka ucieczka w góry po stronie pakistańskiej, pozwoliła oszczędzić nieco zasobów ludzkich i materialnych.

Zyskali również czas. Choć niewątpliwie w bliskim starciu z siłami amerykańskimi stracili wielu ludzi, mieli teraz długie miesiące na rekrutację i szkolenie nowego pokolenia swoich zwolenników. Powrócili więc jako sprawnie walcząca armia i wznowili partyzanckie ataki na siły koalicyjne, zaledwie w cztery lata po utracie władzy, pogromie i wypędzeniu.

Kiedy podchodziliśmy do lądowania w wielkiej amerykańskiej bazie lotniczej Bagram, talibowie znów działali; zabijali członków organizacji pomocowych i porywali pracowników zachodnich firm budowlanych. Tereny wschodniego i południowego Afganistanu zostały oficjalnie uznane za niebezpieczne z powodu nasilających się ataków talibów. Stało się oczywiste, że rozszerzają strefę swoich wpływów, współpracując blisko z al-Kaidą bin Ladena i zyskując nowych sprzymierzeńców wśród innych grup rebeliantów i watażków przeciwnych rządowi. Już raz przecież jakoś uzyskali władzę, prawda?

Tylko, że tym razem ich głównym zamiarem przed ustanowieniem rządów w Afganistanie, było zdestabilizowanie sił amerykańskiej koalicji i pozbycie się nas z kraju raz na zawsze.

Wspomnieć muszę tu o Pasztunach, najstarszym żyjącym na świecie plemieniu, liczącym około 42 miliony ludzi, z czego 28 milionów mieszka w Pakistanie, 12,5 miliona, czyli około 42 procent, żyje w Afganistanie, 88 tysięcy w Wielkiej Brytanii, a 44 tysiące w USA.

W Afganistanie zamieszkują głównie górskie tereny na północnym-wschodzie, ale mają też silną reprezentację na wschodzie i na południu tego kraju. Pasztunowie są dumnym narodem, oddanym Islamowi, żyjącym ściśle według zasad religijnych, od wieków trzymających się również kodeksu honorowego znanego jako Pasztunwali. Są też najsilniejszą grupą wspierającą talibów. Ich wojownicy stanowią trzon bojowych sił talibskich, a rodziny zapewniają walczącym schronienie w wysokogórskich wioskach, w miejscach, które wydają się niedostępne ludziom Zachodu. Nie dotyczy to oczywiście amerykańskich SEAL--sów, pochodzących co prawda z zachodu, lecz nie znających pojęcia „niedostępne”. My możemy dotrzeć wszędzie.

Larwo zgadnąć dlaczego Pasztunowie i talibowie tak dobrze się ze sobą dogadują; Pasztunowie nie przelekli się armii radzieckiej. Po prostu z nią walczyli. W dziewiętnastym wieku walczyli też z Brytyjczykami, prawie ich pokonali i skutecznie przepędzili z powrotem do Pakistanu. Trzysta lat wcześniej rozgromili armię Akbara Wielkiego, najbardziej przerażającego władcy z indyjskiej dynastii Mogołów. Zatem Pasztunowie dumni są ze swojej wojennej spuścizny i warto pamiętać, że przez wieki bolesnej, okrutnej historii wojen w Beludżystanie nigdy nie zostali ujarzmieni i zawsze sranowali połowę populacji.

Tradycja plemienna jest bardzo surowa. Opiera się na więzach krwi, imponujących rodowodach ciągnących się wieki wstecz, pokolenie za pokoleniem. Nie można zostać członkiem plemienia tak, jak zostaje się obywatelem amerykańskim. Plemiona nie wydają zielonych kart ani paszportów. Po prostu albo jesteś Pasztunem, albo nie. Język, tradycja, obrzędy i kultura mają ogromne znaczenie, ale - powtarzam - nie możesz przystąpić do Pasz-tunów. A to daje im mocny kręgosłup złożony z godności i poczucia własnej wartości. Wioski pasztuńskie może nie stanowią idealnego materiału na fortece, jakby tego chcieli talibowie, ale to nie znaczy, że łatwo do nich podejść.

Spółeczeństwo zorganizowane jest ściśle według pokrewieństwa, męskiego pokrewieństwa. Z tego co wiem, nie obchodzi ich matka i jej ptzodkowie.

Dziedzictwo przechodzi na chłopców, prawo do ziemi wprost na synów.

Mają takie przysłowie, które wiele mówi: „Ja przeciw moim braciom, moi bracia i ja przeciw moim kuzynom, moi bracia, moi kuzyni i ja przeciw świaru". I tak to u nich idzie. Ścisła wojskowa formacja za każdym razem pomagała im powalić najbardziej zaawansowanych technologicznie najeźdźców.

Kodeks plemienny, Pasztunwali, narzuca surowe zasady; gościnność, szczodrość i obowiązek odwetu za najmniejszą nawet obrazę. Życie pomiędzy Pasztunami jest bardzo wymagające - najważniejszy jest szacunek bliskich, współple-mieńców i towarzyszy. A to może być niebezpieczne. Jedynie zasada obrony honoru plemienia dzieli je od destabilizacji i anarchii. Członek plemienia będzie walczył, a nawet zabije w imię honoru własnego



czy swojej rodziny.

Mord honorowy zaburza życie całego plemienia, ponieważ śmierć musi być pomszczona. Zabójca i jego rodzina byliby więc nieustannie zagrożeni odwetem. To też skutecznie zapobiega przemocy. Według badacza Charlesa Lin-dhorna, profesora antropologii Uniwersytetu w Bostonie, odsetek zabójstw w społeczności pasztuńskiej jest znacznie niższy niż w miastach Stanów Zjednoczonych. Wdzięczny jestem profesorowi za jego badania w tym temacie.

Credo talibów pochodzi z tej samej, pasztuńskiej, księgi; kobiety są łonem męskiego rodu, źródłem honoru i kontynuacji istnienia plemienia. Ich bezpieczeństwo i cnotliwe życie stanowi jedyną gwarancję czystości rodu. Izolacja kobiet zwana jest purdah i oznacza życie w ukryciu, dbałość o ognisko domowe oraz duży szacunek. Purdah znaczy przynależność. Mąż może wyjechać na wojnę z najeźdźcami, podczas gdy kobieta zarządza domem, cieszy się miłością i szacunkiem swoich synów, oczekując dnia, kiedy będzie przewodziła swoim synowym i ich dzieciom. Tak wyglądają podstawy statusu kobiety wśród talibów. Przypuszczam, że działa to świetnie w górach Hindukusz, ale mogłoby nie sprawdzić się w Houston.

Tak czy inaczej, wiele wojen przetoczyło się przez kraj Pasztunów, głównie za sprawą najeźdźców, a stary dobry Pasztunwali utrzymał plemię przy życiu. Tradycja i hojna gościnność, zapewne ich największa zaleta, zawiera pojęcie Lochaj werkawel, co dosłownie oznacza „ofiarowanie naczynia”. Zakłada ochronę jednostki w sytuacji, gdy plemię może być zagrożone i słabsze od wroga. Kiedy plemię zaakceptuje lochaj bierze na siebie odpowiedzialność za bezpieczeństwo i chroni słabszego za wszelką cenę.

Być może to właśnie ja, spośród wszystkich przybyszów z Zachodu, mam powody, aby być wdzięcznym najbardziej za tę zasadę.

A zatem podchodziliśmy do lądowania w olbrzymiej amerykańskiej bazie lotniczej Bagram. Wszyscy już przebudzeni, siedem godzin po wylocie z Bahrajnu. Świtało, a w dole zobaczyliśmy nareszcie góry, o których tyle słyszeliśmy i gdzie mieliśmy prowadzić działania w nadchodzących tygodniach.

Na szczytach nadal zalegał śnieg, połyskując w promieniach wschodzącego słońca.

Zbocza poniżej granicy pokrywy śnieżnej wyglądały na bardzo strome. Byliśmy wciąż zbyt wysoko, by dojrzeć wioski w górach, ale wiedzieliśmy, że tam są i tam najprawdopodobnie udamy się w najbliższym czasie.

Długi pas startowy w Bagram biegł wzdłuż kompleksu zabudowań, obok setek baraków ustawionych w szeregach. Na ziemi zobaczyliśmy zaparkowane samoloty i całą masę śmigłowców Chinook. Nie zastanawialiśmy się, z kim przyjdzie nam je dzielić. Foki zawsze trzymają się razem, z daleka od pozostałych, w ten sposób unikając zdawkowych rozmów o ściśle tajnych misjach. Oczywiście wszystkie nasze misje są ściśle tajne, a my nie prowadzimy luźnych gadek, ale inne formacje sił zbrojnych nie są szkolone tak surowo jak my, więc wolimy nie ryzykować.

W końcu przybyliśmy do Islamskiej Republiki Afganistanu, kraju wielkości stanu Teksas, otoczonego z każdej strony lądem, chronionego granitowymi ścianami gór, od lat rozdzieranego wojnami i nadal będącego w stanie wojny. Tak jak zawsze, watażkowie próbowali wyprzeć zaborców. Nas. Natomiast my nie staraliśmy się zawłaszczyć tego kraju, a tylko zapobiec kolejnemu krwawemu przewrotowi plemiennemu i następnej zamianie wybranego demokratycznie rządu na dyktaturę. Mówię wam, to wyglądało na cholernie trudne zadanie, ale byliśmy podjarani. Po to przecież wstąpiliśmy do woj-

ska. Prawdę mówiąc, nie mogliśmy doczekać się, kiedy tam dotrzemy i weźmiemy się do roboty. W pewnym sensie to nie było takie trudne. Jakoś musieliśmy dostać się na złowrogie górskie przełęcze i powstrzymać napływ bojowników bez twarzy, którzy przenikali przez granicę cichutko i nieustająco, gotowi walczyć na śmierć. Znaliśmy ich możliwości i wiedzieliśmy, że w górach mogą przemieszczać się bardzo szybko. Od stuleci zamieszkiwali te zbocza, jaskinie i kryjówki, zamieniając je w twierdze niedostępne dla przybyszów.

Talibowie już wcześniej spotkali się w walce z SEALsami, bo Foki jako pierwsze dotarły do tych miejsc. Wiedzieliśmy, że będą przygotowani na naszą wizytę, ale jak wszystkie oddziały operacyjne SEALsów, wierzyliśmy, że jesteśmy najlepsi, więc lepiej, żeby przekłeci talibowie pilnowali swoich tyłków.

Danny, Shane, James, Axe, Mickey i ja przybyliśmy tu z misją, przygotowani jak

dobrze naoliwione maszyny, uzbrojeni po zęby, gotowi przepędzić talibów i al-Kaidę tam skąd przyszli. Pojmać przywódców i pozbyć się każdego, kto jest zbyt niebezpieczny, by pozwolić mu żyć. A także zaprowadzić porządek w tych górach. Byłem 13 000 kilometrów od domu, mogłem jednak napisać e-mail do rodziny i najbliższych. Nie zabrałem wielu rzeczy osobistych, lecz w plecaku miałem odtwarzacz DVD i płytę z moim ulubionym filmem — „Hrabia Monte Christo” - ekranizacją powieści Aleksandra Dumasa ojca. Ta opowieść zawsze była dla mnie inspiracją. Oglądanie dzielnego, uczciwego człowieka i jego samotnej walki z przeważającymi siłami zła w bezlirosnym świecie podnosiło mnie na duchu. Lubię takie rzeczy. Przyparty do muru, nigdy się nie poddaję. Męstwo, ryzyko, odwaga, które nie mają sobie równych. Nigdy nie przypuszczałem, że mój los odzwierciedli, choćby przez chwilę, los Edmunda Dantes'a i beznadzieję lat spędzonych przez niego w ponurym więzieniu na wyspie Chateau d'If. Nie przypuszczałem też, że te niezapomniane słowa, które wyrył krzemieniem w granitowej ścianie najbardziej okrutnego z więzień, mnie również przyniosą nadzieję. Nadzieję rozpaczliwą, ale jednak nadzieję. Wśród grozy najczarniejszych godzin powtarzałem sobie te słowa wiele razy, więcej razy niż chciałbym przyznać: Bóg odda mi sprawiedliwość.

### Rozdział 3 Szkoła wojowników

Wokół panowała ciemność, a on miał na twarzy błyszczące, czarne okulary przeciwsłoneczne. - Większości z was nie będzie tu za parę miesięcy—stwierdził instruktor Reno. - Ale jeśli nie zaczniecie działać jak jeden zgrany team, żaden z was nie przetrwa.

Tuż po wschodzie słońca sześć Fok przybyło z Bahrajnu do Bagram w północno-wschodnim Afganistanie. Właśnie uświadomiłem sobie, że ostatnie dwa rozdziały poświęciłem podkreślaniu doniosłości pewnego wydarzenia, czyli przybycia do pracy w Hindukuszu z elitarnym oddziałem armii USA. Przyszło mi też do głowy, że możecie zastanawiać się, z jakiego powodu SEALsi uważają siebie za tak cholernie dobrych, lepszych od pozostałych? Dlaczego pozwalamy sobie na arogancję? Ponieważ nie chcę żebyście wątpili we mnie i moich towarzyszy, proponuję, że

zanim ruszymy dalej z opowieścią, wyjaśnię nasz sposób widzenia świata. Nie polega on na przedwczesnym przeświadczeniu o zwycięstwie. Nonsensem byłoby mówić nawet, że jesteśmy pewni siebie. To tak, jakby nazwać ocean mokrym.

To co odczuwamy, to wyższa forma świadomości. I naprawdę nie chcę się przechwalać. Mówi się, że tylko bardzo bogaci rozumieją różnice, jakie dzielą ich od biedaków, a tylko geniusze rozumieją, czym różnią się od głupców.

Zatem tylko ci, którzy są SEALsami, mogą dostrzec, co odróżnia ich od reszty żołnierzy. Zresztą, pozostali i tak zdają sobie sprawę, jakiego wysiłku trzeba, by zostać SEALsem i osiągnąć mistrzostwo w sztuce wojennej. W moim przypadku początki były trudne. Kiedy opuszczałem rodzinne ranczo, matka płakała i nie chciała nawet

wyść z domu, żeby mnie pożegnać. Był 7 marca 1999 roku, a ja miałem 23 lata.

Powiedzieć, że nie robiłem wielkich życiowych postępów w moim rodzinnym mieście, to mało. Ja i mój brat Morgan mieliśmy fatalną reputację. Niemal każdego dnia zmagaliśmy się z jakimiś gośćmi, którzy chcieli sprawdzić, jak twardzi naprawdę jesteśmy. Ojciec uważał, że to tylko kwestia czasu, kiedy wpadniemy w poważniejsze kłopoty. W tej sytuacji zdecydowałem się opuścić miasto i przystąpić do Navy SEALs. Morgan uznał, że to świetny pomysł i przedstawił mnie oficerowi prowadzącemu rekrutację w pobliskim mieście, starszemu bosmanowi Beau Walshowi.

Ten skierował mnie do biura rekrutacji Marynarki Wojennej w Houston. Naturalnie z miejsca oświadczyłem, że nie ma powodu, abym jechał do obozu dla rekrutów. Od razu bierzcie mnie tam gdzie ćwiczą zawodowcy, do Coro-nado. Przecież jestem już prawie tak wyszkolony, jak Foka.

Trafiłem do obozu dla rekrutów. Podpisałem papiery i miałem się tam zameldować za kilka dni. Impreza pożegnalna na ranczu nie była wielką fetą, ale zebrali się wszyscy, nawet Beau Walsh i Billy Shelton. Jak już wspomniałem, mama zamknęła się i w sobie, i w domu. Nie chciała patrzeć na odjazd swojego ukochanego synusia. To znaczy mój.

Celem mojej podróży była oddalona o 1600 kilometrów na północ Jednostka

Szkolenia Rekrutów Marynarki Wojennej w Great Lakes, w stanie Illinois. Szczerze mówiąc, spędziłem tam osiem najbardziej żalonych tygodni w życiu. Nigdy wcześniej nie widziałem śniegu, a dotarłem tam w samym środku najgorszej śnieżycy, jaką przeżył ten obóz w ciągu jedenastu lat swojego istnienia. Poczułem się jak Zulus na Biegu Północnym.

Wiatr i śnieg waliły wściekle przez jezioro Michigan na zachodni brzeg. Tam, 56 kilometrów na północ od Chicago, mieścił się nasz obóz. Tuż nad wodą. Nie mogłem się nadziwić temu, że zimno może być tak dojmujące. Obóz był ogromny i wypełniony setkami rekrutów pragnących tej cudownej przemiany z cywila w żołnierza Marynarki Wojennej. Była to metamorfoza drastyczna, zarówno fizycznie, jak psychicznie i byłaby wystarczająco trudna przy ładnej pogodzie, a w tym śniegu i lodowatym wietrze... Chyba, brakuje mi słów.

Nigdy wcześniej nie potrzebowałem zimowej odzieży, więc niczego podobnego ze sobą nie zabrałem. Pamiętam jak wielką miałem radochę, kiedy marynarka wyposażyła nas w odpowiednie stroje — grube skarpety, granatowe, ciepłe spodnie, koszule, swetry i kurtki. Pokazali nam jak składać to wszystko w kostkę i jak należy słać koje każdego ranka. Potem z marszu ruszyliśmy na treningi — biegi, siłownia, marsze, musztra i inne ćwiczenia.

Nie miałem z tym wiele trudności, a i na basenie świetnie dawałem sobie radę. Należało wskoczyć do wody, nogami w dół, z minimalnej wysokości 1,5 metra, utrzymać się na wodzie przez 5 minut, a następnie przepłynąć 50 metrów dowolnym stylem. Takie rzeczy mogłem robić nawet we śnie, szczególnie, że w pobliżu nie było widać żadnych aligatorów ani węży wodnych.

Bieganie nie byłoby takie straszne przy normalnej pogodzie, ale w obozie było dojmująco zimno, a wiatr znad jeziora ostro zacinał. Nawet pingwin czułby się tam nieswojo. Biegliśmy w śniegu, maszerowaliśmy w śniegu i na zajęcia też chodziliśmy przez śnieg.

Już w pierwszym tygodniu, kiedy robiliśmy wszystko, by nie zamarznąć, zaszczerpiono w nas trzy słowa, które stale mi towarzyszą. Honor, męstwo, oddanie.

Motto Amerykańskiej Marynarki Wojennej. Podstawowe wartości, według których od razu nauczyliśmy się żyć. Do dziś wspominam instruktora, który przemówił tymi słowami:

- Doświadczenie jakie wyniesiecie z Great Lakes uczyni z was ludzi.

Miał rację. Taką mam nadzieję.

W drugim tygodniu zrobili nam szkolenie z koncentracji i podejmowania decyzji.

Symulują tam warunki zagro-

żeniem na okręcie wojennym i uczą czujności, polegania na sobie, a przede wszystkim podejmowania decyzji, od których może zależeć życie całej załogi. Słowo „współdziałanie” dominuje i przenika każdą dziedzinę życia w marynarce. Podczas szkolenia dla rekrutów nie powtarzają go - oni cię tym słowem faszują.

Współdziałanie. Stało się nową siłą napędową każdego z nas.

Tydzień trzeci - szkolenie praktyczne. Zabrali nas na pokład zacumowanego w bazie okrętu szkoleniowego. Nauczyliśmy się nazw prawie wszystkich części statku, zasad pierwszej pomocy oraz komunikacji przy użyciu flag sygnałowych. Spędziliśmy też wiele godzin w sali wykładowej, skupiając się na zasadach i obyczajach obowiązujących w marynarce, prawach rządzących konfliktem zbrojnym, komunikacji pokładowej, rozpoznawania okrętów i samolotów oraz podstawowych umiejętności nawigacji.

Zajęcia te przeplatane były testami sprawnościowymi, przysiadami i pompkami.

Wszystkie zdawałem nieźle, ale bieg na dystansie 2,5 kilometra przy tej pogodzie wykończyłby nawet niedźwiedzia polarnego. Powiedzieli nam, że każdy, kto nie da rady, może wrócić na stact i próbować jeszcze raz. Uznałem, że wolałbym biec na bosaka przez Arktykę niż to powtarzać, więc dałem z siebie wszystko. Zaliczyłem, dzięki Bogu.

Podczas tygodnia czwartego, pierwszy raz dotknęliśmy broni palnej, a dokładnie karabinu M16. W obsłudze broni robiłem szybkie postępy, szczególnie na strzelnicy.

Potem mieliśmy określić do której służby w marynarce chcielibyśmy przystąpić. Dla mnie odpowiedź była bardzo prosta. Navy SEALs. Nic poza tym, nie?

Następne w kolejności było szkolenie z obrony przeciwpożarowej i usuwania

skutków zniszczeń. Nauczyliśmy się gasić ogień, wydostawać z pomieszczeń wypełnionych dymem, otwierać i zamykać grodzie, używać aparatów tlenowych i łączyć węże gaśnicze. Ostatnia część

była najtrudniejsza - pomieszczenie z gazem łzawiącym. Wchodzisz tam z kolegami i zakładacie maski tlenowe. W pewnym momencie ktoś rozpyła gaz łzawiący, a ty musisz zdjąć maskę, wrzucić ją do kubła na śmieci i wyrecytować imię i nazwisko oraz numer ubezpieczenia.

Każdy rekrut chcący dostać się do marynarki musi zaliczyć ten test. Po nim instruktorzy mówią jasno: nadajesz się, jest dla ciebie miejsce w marynarce.

Ostatni sprawdzian nosi nazwę „Stacje bojowe”. Załogi muszą zrealizować 12 scenariuszy, które testują wszystkie umiejętności nabyte przez cały okres szkolenia. Ocenie podlegają nie tylko poszczególni rekruci, ale również załogi. Jeśli zaliczysz „Stacje bojowe”, instruktorzy wręczają ci czapkę U.S. Navy i możesz reszcie świata śmiało mówić, że jesteś marynarzem. Udowodniłeś, że nadajesz się do służby w marynarce wojennej.

W następnym tygodniu zakończyłem szkolenie i założyłem nowiutki, pierwszy w życiu mundur. Pamiętam, że przechodząc obok lustra nie mogłem rozpoznać samego siebie. Stałem wyprężony jak struna i gapiałem się. Byłem dumny, że ukończyłem kurs dla rekrutów.

Zdajesz sobie sprawę, że wielu ludzi nie dałoby rady tego dokonać. To sprawia, że czujesz się wyjątkowo. Zwłaszcza dla mnie, to było coś. Do tej pory moje największe osiągnięcie to pomoc pewnemu kowbojowi w teksańskim barze. Facet nieco rozrabiał, więc wystawiłem go za drzwi i pomogłem przytulić się do bruku.

Po zdaniu egzaminów natychmiast poleciałem do San Diego i wkrótce dotarłem do bazy na wyspie Coronado. Dojechałem tam parę tygodni przed czasem i wolne chwile poświęciłem na zafasowanie umundurowania i sprzętu oraz na poprawienie kondycji.

Z powodu okropnej pogody kurs w Great Lakes raczej osłabił rekrutów niż wzmocnił. Podczas wichury czy w głębokim śniegu nie dało się biegać na zewnątrz. Być może słyszałeś o pewnym odważnym facecie, który

w 1912 roku wybrał się wraz z oficerem Brytyjskiej Marynarki Wojennej, Robertem Falconem Scottem, na Biegun Południowy. Obawiał się, że z powodu odmrożeń, spowalnia całą ekipę. Był kapitanem, nazywał się Oates i któregoś dnia wyczołgał się z namiotu na siarczysty mróz, wypowiadając słynne słowa:

- Wychodzę. Może mnie nie być przez jakiś czas.

Nigdy nie odnaleziono jego ciała, a ja nigdy nie zapomnę, jak czytałem jego słowa po raz pierwszy. Miał facet jaja, co? I właśnie wychodzenie na dwór w Great Lakes byłoby czymś podobnym i wymagałoby niemal takiej samej odwagi. My, w odróżnieniu od bohaterskiego kapitana, trzymaliśmy się blisko grzejników.

W Coronado zaś biegałem wzdłuż plaży, próbując odzyskać formę przed pierwszym tygodniem „Indoktrynacji”. To dwutygodniowe szkolenie znane jako Indoc, podczas którego ochotnicy przygotowują się do słynnego kursu BUD/S - Podstaw Niszczenia Podwodnego (Basic Underwater Demolition/SEALs). Trwa on siedem miesięcy i jest o wiele trudniejszy od Indoc. Każdy, nawet z marnym wynikiem po Indoc, jest dopuszczony do BUD/S, ale jeśli nie zaliczysz Indoc, to znaczy, że raczej nie powinieneś być w Coronado. Prędzej czy później powiedzą ci, że cię nie chcą. Oficjalne dokumenty marynarki podają następujące cele Indoc: „Fizyczne, mentalne i środowiskowe przygotowanie kandydata do rozpoczęcia szkolenia BUD/S”. Mówiąc ogólnie, w trakcie Indoc, instruktorzy nie wywierają presji, a zaledwie podkreślają człowieka przed nadchodzącą próbą ognia.

Niemniej, nadal jest to bardzo trudny sprawdzian dla wszystkich — i dla oficerów, i dla zwykłych marynarzy. Programy szkoleniowe SEALsów nie rozgraniczają kontraktowych oficerów floty i pozostałych kandydatów. Wszyscy przechodzą przez to samo razem, a pierwszą rzeczą, jaką wpajają ci w trakcie Indoc, jest to, że „żyjecie i trenujecie razem jako grupa”. Przepraszam, powiedziałem: „wpajają ci”? Miałem na myśli: „Wbijają młotem do pustego łba”. Współdziałanie. Wałą w człowieka tym słowem co minuta. Współdziałanie, współdziałanie, współdziałanie.

Również wtedy po raz pierwszy dociera do ciebie pojęcie partnera nurkowego, które w etosie SEALsów ma niesamowicie istotne znaczenie. Ty i twój towarzysz stanowicie jedno. Nigdy się nie rozdzielacie, nawet w drodze do kibla. W trakcie



ćwiczeń na małych pontonach, jeśli jeden z was wpadnie do lodowatego oceanu, drugi wskakuje za nim. Natychmiast. W basenie nie oddalacie się od siebie na odległość większą niż długość ramienia. Później, we właściwym szkoleniu BUD/S, możesz zostać wylany w jednej sekundzie za nadmierne oddalenie się od swojego partnera.

Wszystko to pochodzi z utrwalonego tradycją etosu SEALsów — nigdy nie zostawiamy człowieka na polu walki - żywego czy martwego. Żaden z nas nie pozostanie sam. Niezależnie od zagrożenia, i napięcia ostrzału ze strony wroga, SEALs wejdzie w paszczę śmierci, by odzyskać ciało poległego towarzysza. Zasada ta utrzymuje się od utworzenia jednostki w 1962 roku.

Może to dziwne, ale nie ma ona na celu ulżyć wdowom czy rodzicom poległych. Została stworzona dla Fok, którzy biorą udział w walkach. Każdy z nas chce powrócić do domu, najlepiej żywy i w jednym kawałku. Jednak jest coś szczególnie przerażającego w wizji bycia nieżywym i porzuconym w obcym kraju. Nie ma grobu, nie ma bliskich, którzy mogliby człowieka odwiedzić.

Wiem, że może to brzmieć absurdalnie, ale taka jest prawda. Każdy z nas ceni sobie to poczucie pewności: „Bez względu na wszystko nie pozostawią mnie, zabiorą mnie do domu”. Wszyscy jesteśmy przygotowani na największe poświęcenie, więc chyba nie jest to wygórowane wymaganie, skoro zwykle walczymy na ziemi wroga, a nie w ojczyźnie.

Angielski poeta i żołnierz walczący w I wojnie światowej, Rupert Brooke, rozumiał dlaczego Brytyjczycy zgod-

nie z tradycją nie zabierają swoich poległych do domu i wyraził to tak:

Jeśli zginę, wspomnijcie o mnie tylko, Ze gdzieś tam jest obcego ładu skrawek, Co na zawsze pozostanie Anglią...

Nie ma na świecie Foki, który by nie rozumiał tych wersów i powodu, dla którego Brooke je stworzył.

Jest to święta obietnica złożona nam przez najwyższe dowództwo. Dlatego wtłaczana jest nam od pierwszego dnia w Coronado - nigdy nie zostaniesz sam. Nigdy. Nigdy też nie zostawisz swojego partnera samego.

Miałem mały wypadek na początku tamtego lata w Grupie Szkoleniowej nr 226.

Udało mi się spaść podczas wspinaczki po linie z wysokości około 15 metrów i stłuc biodro. Instruktor podbiegł do mnie i zapytał:

- Chcesz zrezygnować? -Nie!

- No to włącz tam natychmiast z powrotem - warknął.

Wspiąłem się, odpadłem ponownie, ale nie zrezygnowałem. Noga bolała jak cholera, ale zasuwałem na treningach jeszcze dwa tygodnie, zanim lekarz stwierdził złamanie kości udowej! Dostałem kule, ale dalej kuśtykałem po plaży i w wodzie z całą resztą.

Warunki bojowe, tak czy nie?

W końcu, kiedy noga wydobrzała, wróciłem do szkolenia BUD/S i w grudniu przydzielono mnie do Grupy 228 na Fazę Drugą. Mieszkaliśmy w małych barakach, zaraz za tzw. Młynkiem. Na tym betonowym placu pokolenia instruktorów SEALs miałą na pył nadzieje i marzenia tysięcy ludzi.

Instruktorzy patrzą, jak faceci nie dają rady, upadają, rezygnują. Przyglądają się w milczeniu, z twarzami bez wyrazu. Nie są jednak obojętni. Po prostu interesują ich tylko ci, którzy nie dają się złamać. Którzy prędzej zginą niż zrezygnują. W których nie ma wątpliwości.

Mój pierwszy dzień na Indoc. Zajmowałem pokój tuż obok pryszniców. Skoro o prysznicach mowa. Słowo prysznic, jest określeniem tak uprzejmym, że niemal eufemizmem. To były prysznic, owszem, ale nie w powszechnym, cywilizowanym znaczeniu tego słowa.

O wiele więcej miały wspólnego z myjnią samochodową, a nazywane były tutaj „kabiną odkażającą”. Włączano je około 4 nad ranem, a wycie sprężonego powietrza i odgłosy lodowatej wody torującej sobie drogę przez rury brzmiały, jakby ktoś próbował udusić silnik parowy.

Chryste, kiedy pierwszy raz to usłyszałem, pomyślałem, że zostaliśmy zaatakowani. Znałem jednak dryl; wskoczyłem w moje płócienne bokserki i ruszyłem pod strumienie lodowatej wody. Szok niewiarygodny. Nienawidziliśmy rego tak długo, jak długo musieliśmy przez to przechodzić. To cholerstwo było specjalnie zaprojektowane, by zmywać pod ciśnieniem piach ze sprzętu, gdy wracaliśmy z

ćwiczeń na plaży. Szok był wtedy mniejszy o tyle, że wracaliśmy z kąpieli w Pacyfiku. Ale branie takiego prysznicza o 4 nad ranem od razu po wstaniu z łóżka?! Jeeeej! To się nie mieści w głowie. Nadal słyszę te gwizdzące, plujące wodą rury. Przemarznięci i mokrzy stawiliśmy się na basenie, zrolowaliśmy i zdjęliśmy zakrywającą go plandekę. Następnie, tuż przed 5 rano, w całkowitej ciemności, zebraliśmy się na Młynku i siedliśmy w rzędach, jeden za drugim, przytuleni plecami, by zachować choć trochę ciepła. Powinno być nas 180, jednak z różnych względów było tylko 164.

Mieliśmy już lidera, kapitana Davida Ismaya ze Szkoły Morskiej, laureata stypendium Rhodesa na uniwersytecie w Oksfordzie, który miał już za sobą 2 lata na morzu i był oficerem wykwalifikowanym do działań na wodzie. David za wszelką cenę chciał zrealizować marzenie swojego życia, czyli zostać Foką. Musiało mu się udać za pierwszym razem, bo oficerowie dostają tylko jedną szansę na wzięcie udziału w BUD/S. Oczekuje się od nich lepszego rozeznania w swoich możliwościach i nie marnowania czasu, jeśli nie są wystarczająco dobrzy.

Człowiek, na którego czekaliśmy na Młynku, to nasz opiekun. Instruktor wyznaczony do pilnowania nas, obserwowania, uczenia, torturowania i wyrzucania ze szkolenia, jeśli zajdzie taka potrzeba. Instruktor Reno Al-berto, mierzący metr siedemdziesiąt, tytan sprawności fizycznej, dyscypliny i inteligencji. Był bezlitosnym, okrutnym i nieustępliwym nauczycielem, a my kochaliśmy go z dwóch powodów: był bardzo sprawiedliwy i oczekiwał od nas najlepszych wyników. Dla instruktora Reno robiliśmy wszystko, czego chciał, bo był świetnym facetem. Ztesztą jeśli nie dałbyś z siebie wszystkiego, wywaliłby cię, zanim zdążyłbyś krzyknąć: „Tak jest!”.

Zjawił się punktualnie o 5:00. Mieliśmy rytuał, którego zawsze przestrzegaliśmy, a wyglądało to tak:

- Powstań! — krzyczał lider Grupy.
- Powstań! - echo nocnej ciszy rozrywała odpowiedź, a stu sześćdziesięciu czterech chłopów zrywało się na nogi i próbowało ustawić w szetegu.
- In-stru-ktor Ree-no! - wołał lider.

- Uu-ja, Instruktorze Ree-no! - darliśmy się zgodnym chórem.

Przyzwyczaj się do tego: Uu-ja. Nie mówimy: „tak jest”, ani „rozkaz”, czy „dzięki” lub „zrozumiałem, wykonuję”. Mówimy: Uu-ja. To hasło specyficzne dla BUD/S i nikt nie wie skąd się naprawdę wzięło. Jest tak dużo wyjaśnień, że nawet nie będę zapuszczał się w ten gąszcz. Po prostu kto chce zostać SEALsem, tak odnosi się do swojego instrukto-ra - z pozdrowieniem czy potwierdzeniem rozkazu. Uu-ja.

Z jakichś powodów do instruktora Reno zwracano się używając jego imienia. Każdy inny był instruktorem Pe-tersonem, Matthewsem czy Hendersonem, a tylko Reno Alberto nalegał na zwracanie się do niego po imieniu. Zawsze uważałem, że to dobrze, że nie nosił imienia Fred czy Spike. Reno dobrze do niego pasowało.

Kiedy tamtego ranka wkroczył na Młynek, wiedzieliśmy że mamy do czynienia z wielkim człowiekiem. Jak wspomniałem, było całkowicie ciemno, a on miał na sobie okulary przeciwsłoneczne, błyszczące i czarne. Wyglądało na to, że nie zdejmuje ich nigdy, ani w dzień, ani w nocy. Prawdę mówiąc, raz przyłapałem go bez tych okularów, a on, kiedy tylko mnie zobaczył, natychmiast sięgnął do kieszeni i je założył.

Domyślałem się, że nosił je, bo nie chciał, żebyśmy kiedykolwiek dostrzegli wyraz jego oczu. W stalowej zbroi krył się nieprzeciętnie inteligentny człowiek, więc śmieszyło go to codzienne zgrywanie przed nami Attyli, wodza Hunów. Nie chciał jednak, abyśmy w jego oczach dostrzegli to rozbawienie i z tego powodu nie odsłaniał się przed nami.

Tamtego mrocznego i nieco mglistego poranka srał z założonymi rękoma i lustrował basen. Potem odwrócił się twarzą do nas, przybierając przy tym surowy wyraz twarzy. Nie mieliśmy pojęcia, czego możemy się spodziewać. Instruktor Reno rzekł beznamiętnie:

— Na ziemię.

— Na ziemię! - odkrzyknęliśmy i runęliśmy na beton, przyjmując pozycję do pompek.

— Pompować - powiedział Reno.

— Pompki — rzucił lider grupy.

— Pompki! — odkrzyknęliśmy. -Dół.

-Raz. -Dół.

— Dwa.

Odliczyliśmy wszystkie dwadzieścia pompek w serii i powróciliśmy do pozycji wyjściowej, z wyprostowanymi, opartymi o beton tękoma. Lider zawołał:

— In-stru-ktor Ree-no!

— Uu-ja, Instruktorze Ree-no! - ryknęliśmy. Zignorował nas. Po chwili powiedział cicho:

— Pompować.

Powtórzył to jeszcze dwukrotnie, po czym, kiedy już mięśnie rwały z bólu, kazał pozostać nam w pozycji wyjściowej, na wyprostowanych rękach. Trwaliśmy w bezruchu niecałe pięć minut, a nasze mięśnie drżały. Osiemdziesiąt pompek i teraz ten nowy rodzaj tortury, która zakończyła się dopiero wtedy, kiedy powiedział - bardzo powoli i spokojnie:

- Powstań. Odkrzyknęliśmy:

- Powstań!

Jakoś daliśmy radę wstać, nie przewracając się na ziemię. Wtedy David Ismay zameldował błędną liczbę obecnych. Nie była to jego wina. Po prostu któryś z nas się ulotnił. Reno wszedł na Ismay'a w mgnieniu oka. Nie pamiętam, jakie zdanie padło z jego ust, ale z pewnością głośno wymówił słowo: „Błędna”.

Po czym rozkazał kapitanowi Isma'yowi:

- Na ziemię i pompować.

Pamiętam jak dziś, siedzieliśmy i patrzyliśmy jak Dave wykonuje te pompki. Kiedy skończył, bliski wycieńczenia, zawołał:

- Uu-ja, instruktorze Reno!

- Pompować — odrzekł spokojnie Reno. Przystąpił do kolejnych dwudziestu powtórzeń tej zabójczej kary, a kiedy skończył z pewnością tak jak i reszta z nas, zastanawiał się w, co się wpakował do ciężkiej cholery. Założę się jednak, że nigdy więcej nie zameldował błędnej liczby obecnych.

Po latach doskonale rozumiem tę zasadę SEALsów — oficer musi mieć rozeznanie,

gdzie jest każdy z jego ludzi. I to dokładnie. W tamtej, wczesnej fazie naszego szkolenia, nasz lider, David Ismay, nie wiedział, gdzie są jego podwładni. Za to Reno, który był z nami zaledwie od piętnastu minut — wiedział.

Ogarnął wzrokiem swoje królestwo i przemówił:

- Większości z was nie będzie tu za parę miesięcy —

rzekł, po czym, jakby winiąc nas wszystkich za tę błędną liczbę, dodał: - Ale jeśli nie zaczniecie działać jak jeden zgrany team, żaden z was nie przetrwa.

Następnie oświadczył, że ponownie przejdziemy wstępną weryfikację do BUD/S.

Nadal mam przed oczami jego obraz, kiedy przypomina nam, że już raz przeszliśmy ten test po to, aby się tam znaleźć.

— Jeśli dziś rano nie zaliczycie go raz jeszcze — dodał

— odeślemy was z powrotem do marynarki najbliższym transportem.

W tamtym momencie żaden z nas nie czuł się... hmm... mile widziany. Właściwie to czuliśmy się osamotnieni w tym, znanym na całym świecie, wojskowym Koloseum - miejscu, do którego za chwilę ktoś wpuści lwy. Czekał nas pięciopunktowy test weryfikacyjny:

Pokonanie 500 metrów na basenie, żabką lub kraulem, w maksymalnym czasie 12 minut i 30 sekund; Minimum 42 pompki w ciągu 2 minut; Minimum 50 przysiadów w ciągu 2 minut; Minimum 6 pełnych podciągnięć na drążku; Bieg na dystansie 2,5 kilometra w czasie 11 minut i 30 sekund, w ciężkich butach i długich spodniach.

Tylko jednemu się nie powiodło, a większości poszło lepiej niż za pierwszym razem.

Pamiętam, że udało mi się wykonać prawie osiemdziesiąt pompek i sto przysiadów.

Przypuszczam, że widmo Billy'ego Sheltona wisiało nad moją głową, próbując przestraszyć mnie na śmierć, gotowe wyrzucić mnie z marynarki, jeśli obleję.

Co istotniejsze, instruktor Reno świdrował nas oczami niczym radar. Wiele miesięcy później przyznał, że już tego pierwszego dnia dostrzegł moje maksymalne zaangażowanie. Właśnie wtedy wyrobił sobie o mnie zdanie. Przyznał też, że nigdy tego zdania nie zmienił. Dobrze mnie ocenił. Daję z siebie wszystko. Wtedy, kiedy trzeba. Za każdym

razem. Może nie zawsze wykonuję zadanie perfekcyjnie, ale zawsze najlepiej jak

potrafię.

Patrząc wstecz nie sędzę, żeby ten sprawdzian wiele pokazał. Było tam sporo mocno umięśnionych, pakujących typów, którzy wyglądali na niezwykle sprawnych.

Pamiętam też, że tacy odpadali najwcześniej, bo nie dawali rady. Po prostu byli zbyt ciężcy.

W SEALs bardzo liczy się siła fizyczna, ale jeszcze bardziej — szybkość. Szybkość w wodzie, na łądzie oraz szybkość myślenia. W Coronado nie ma nagród za lśniące, naoliwione mięśnie. Masa sprawia, że stajesz się powolny, zwłaszcza w piachu, a z nim właśnie musieliśmy mierzyć się każdego dnia, kilometr po kilometrze.

Pierwszego ranka w Grupie 226 z miejsca pojęliśmy również inną wartość specyficzną dla BUD/S. Nie przechadzamy się, nie spacerujemy, nie truchtamy tylko biegniemy. Właściwie lecimy jak opętani. Wszędzie. Cały dzień. Pamiętasz tę słynną kwestię Toma Hanksa z filmu „Ich własna liga”: „W baseballu nie ma miejsca na płacz”? W Coronado mawia się: „Nie ma spacerowania podczas BUD/S”.

Pierwsze nasze zetknięcie z tą zasadą nastąpiło w drodze na śniadanie. Kantyna znajdowała się około półtora kilometra od Młynka. Musieliśmy więc przebiec ponad 3 kilometry, żeby zjeść grzanekę, jajka i bekon. To samo z lunchem. To samo z obiadem. Jeśli masz kłopoty z liczeniem, to ci pomogę - każdego dnia przebiegaliśmy 10 kilometrów tylko po to, żeby coś zjeść. A przecież codziennie odbywaliśmy regularne ćwiczenia, podczas których często przebiegaliśmy kolejne 13 kilometrów. Tamtego poranka biegliśmy w szyku przez całą bazę do Centrum Wojskowych Operacji Specjalnych (Special Warfare Center). A tam instruktor Reno, po tysiącu pompek i diabli wiedzą czego jeszcze, pozwolił nam wreszcie usiąść i skupić całą uwagę na nim. Nie było to trudne, gdyż miał oczy jak orzeł i bardzo wysokie oceny z zarządzania na Uniwersytecie Południowej Karoliny.

W tym momencie przypomniałem sobie lekcję wbijaną mi przed laty do głowy przez Billego Sheltona: kiedy dowódca nawiązuje, choćby przelotnie, do kwestii, która może być istotna, wysłuchaj, po czym wykonaj. Nawet jeśli jest to rzucona od niechcienia sugestia, a nie rozkaz. Nawet, jeśli zaczyna się od słów: „Myślę, że byłoby dobrze...”.

Zawsze wysłuchaj uważnie i wykonaj zadanie, nawet jeśli wydaje ci się błahe. Billy miał na myśli to, że instruktorzy Sił Specjalnych zawsze szukają najlepszych, a różnice pomiędzy tymi, którzy są bardzo dobrzy a tymi, którzy są doskonali, bywają naprawdę nieznaczne.

— Zapamiętaj, Marcus — rzekł pewnego razu Billy — zawsze słuchaj i w podskokach wykonuj wszystko, co mówi twój instruktor. Bądź pierwszy w szeregu. Jak najszybciej. A potem sprawdź, czy na pewno tam jesteś.

Zatem tamtego ranka instruktor Reno wyprostowany na całą swoją wysokość czterech i pół metra - tak mi się wtedy wydawało — zapowiedział krótki wykład i nakazał pilną uwagę, a jeszcze lepiej, robienie notatek.

W tej sekundzie wyjąłem z mojej wodoszczelnej torebki suchy notatnik i parę ołówków. Nauka Billy'ego Sheltona brzęczała mi w uszach; nawet jeśli jest to sugestia — wykonaj.

Rozejrzałem się po sali i zobaczyłem, że kilku zrobiło to samo, ale nie wszyscy. Zdecydowanie nie wszyscy. Niektórzy siedzieli gapiąc się na instruktora Reno, który po chwili zapytał spokojnie:

- Ilu z was ma ołówki i papier?

Podniosłem rękę, tak jak i inni, którzy je mieli. Nagle na twarzy Reno pojawiła się gradowa chmura.

- Na ziemię! Wszyscy! - wykrzyknął.

Rozległ się niebывały harmider odsuwanych szybko krzeseł i jak jeden pacnęliśmy na podłogę do pozycji z wyprostowanymi ramionami.

— Pompować! — rzucił.

Strzeliliśmy dwudziestkę i zamarliśmy w pozycji wyjściowej. Spojrzał na nas i rzekł:

- Posłuchajcie. Mielście powiedziane, żeby zawsze mieć przy sobie papier i ołówek.

Dlaczego więc nie macie? Dlaczego, do cholery, nie macie ich reraz?!

W sali zapanowała grobowa cisza. Reno patrzył na nas gniewnie. Ponieważ opierając się dłońmi o podłogę nie mogłem notować, nie przytoczę jego słów dokładnie, ale cholernie dobrze oddam ich sens:

- To jest szkoła wojowników, rozumiano? A to najpoważniejsze zajęcie jakie



istnieje, więc jeśli nie macie ochoty tego robić, wynoście się stąd w tej chwili.

Chryste, on nie żartował. Miałem ogromną nadzieję, że zauważył, kto ma papier i ołówki, a kto nie. Kilka miesięcy później przypomniałem mu ten dzień i zapytałem go o to.

- Oczywiście, że zauważyłem - odpowiedział, poprawiając okulary. — To był wasz pierwszy test. Nazwiska tych, którzy byli przygotowani, miałem zanotowane jeszcze zanim zrobiliście pierwsze dwadzieścia pompek. Dotąd pamiętam, że byłeś na liście. Tak czy inaczej, tego pierwszego ranka wykonaliśmy jeszcze dwie serie pompek i jakoś wydusiliśmy z siebie: „Uu-ja, instruktorze Reno!”, zanim pozwolił nam usiąść. Następnie wysłuchaliśmy prawdopodobnie najważniejszej lekcji zasad i etyki SEALsów, jaką udało mi się zaliczyć. Notowałem, ale nadal pamiętam wszystko, co nam wtedy powiedział i staram się stosować do tego tak, jak myślę, że chciałby tego Reno.

- To jest szkolenie wysokiego ryzyka. Zdajemy sobie sprawę, że występuje tu zagrożenie utraty zdrowia lub życia. Jeśli któryś z was dostrzeże niebezpieczeństwo, jakąkolwiek sytuację zagrożenia, informujecie natychmiast. Nie tolerujemy tu błędów, rozumiano?

- Uu-ja!

- Zawsze pamiętajcie o odpowiedzialności za siebie, przełożonych i towarzyszy. Hierarchia służbowa jest święta. Przestrzegajcie jej. Informujcie kapitanów waszych łodzi i liderów Grupy o każdej anomalii, jaką dostrzeżecie. I trzymajcie się partnerów. Nie obchodzi mnie, że jeden z was jest szybszy - macie trzymać się razem. Zrozumiano?

- Uu-ja!

- Szacunek. Oczekuję, że będziecie go okazywać instruktorom, oficerom i starszym podoficerom. Jesteście w armii, będziecie więc zawsze uprzejmi. Zrozumiano?

- Uu-ja!

- Uczciwość, panowie. Nie kłamiecie, nie oszukujecie, nie kradniecie. Nigdy. Jeśli zaginie wam sprzęt, wypełniacie kwit i meldujecie. Nie dotykajcie sprzętu kolegi. Nie będę udawał, że to się tu nigdy nie zdarzyło, bo to nieprawda. Zdarzało się. Ale

ci, którzy się tego dopuścili, byli skończeni. Ich noga więcej tu nie stanęła. Odsyłano ich tego samego dnia. Zatem szanujcie swoich kolegów. A także ich sprzęt. Nie ruszajcie nie swoich rzeczy. Zrozumiano?

- Uu-ja!

- Przez następne dwa tygodnie ja będę waszym opiekunem. Będę wam pomagał, jeśli będziecie potrzebowali pomocy w sprawach żołądka, problemów rodzinnych i osobistych. Jeśli zostanieie ranni, udacie się do lekarza, załatwicie sprawę i wracacie od razu na treningi. Jestem waszym opiekunem, ale nie waszą niańką. Jestem tu po to, by was uczyć. Będziecie trzymali się zasad — pomogę wam. Jeśli od nich odstąpicie — oberwiecie i wbiję wam je z powrotem do głowy młotkiem.

Zrozumiano?

- Uu-ja!

- Na koniec, reputacja. Reputacja każdego z was zaczyna się tutaj. Tak jak reputacja Grupy 226. Wasza rzutuje na moją. Jest to odpowiedzialność, którą traktuję bardzo poważnie, bo dobra opinia jest wszystkim. W ogóle w życiu. Tu, w Coronado — szczególnie. Zatem uważajcie i myślcie o tym, co robicie. Za każdym razem dawajcie z siebie sto procent, bo od razu zauważymy, jeśli będzie inaczej. I nigdy, przenigdy, nie odstępujcie swojego partnera. Pytania?

-Nie!

Kto mógłby zapomnieć coś takiego? Nie ja. Dotąd w głowie słyszę trzask, z jakim instruktor Reno zamknął swój notes. Dla mnie był jak Mojżesz składający razem kamienne tablice zawierające 10 przykazań. Reno był mierzającym metr siedemdziesiąt olbrzymem. Zaważył na naszym życiu.

Tamtego dnia wysypaliśmy się z sali i ruszyliśmy na ośmiokilometrowy bieg wzdłuż plaży. Trzy razy zatrzymywał nas, kazał wskakiwać do wody po to, by „zmoczyć się i upiaszczyć”.

Nasze buty wypełniała woda, więc każdy kilometr był katorgą. Nie mogliśmy pozbyć się piachu z szortów. Zdierał nam skórę, ale Reno miał to gdzieś. Pod koniec biegu rozkazał nam paść na piach i pompować. Zaordynował nam dwie serie po dwadzieścia, a pod koniec pierwszej zauważyłem, że ćwiczysz razem z nami. Tyle że

on opierał się tylko na jednej ręce i nawet przy tym nie dyszał.

Ten gość mógł powalić na rękę półtonowego goryla, a jego widok, pompującego tak lekko obok nas, dał nam pojęcie o poziomie sprawności i siły, jakiej potrzeba, by ukończyć BUD/S.

Kiedy koło południa zbieraliśmy się, by przebiec 1,5 kilometra do kantyny, Reno odezwał się do nas spokojnie:

- Pamiętajcie, tylko niewielu z was prędzej padnie niż zrezygnuje. Ja o tym wiem i już kilku takich namierzyłem. Jestem tu właśnie po to, żeby dowiedzieć, którzy z was mogą znieść ból, zimno i cierpienie. Jestem po to, by sprawdzić, kto najbardziej tego chce. Nic więcej. Niektórzy z was nie chcą, niektórzy nie mogą i nigdy nie będą mogli. Nie bierzcie tego do siebie. Po prostu nie marnujcie mojego czasu dłużej niż to konieczne.

Dzięki, Reno. Tylko nie mogę pojąć, czemu zawsze musisz tak owijać w bawełnę. Czemu nie możesz powiedzieć wprost? Oczywiście, nie powiedziałem tego na głos. Cztery godziny na pontonie w Coronado, wybiły mi z głowy cwaniackie odzywki. Poza tym, pewnie złamałby mi kość miednicy, gdybym zdążył uchylić się ze szczęką. Przydzielono nam nowego instruktora do zajęć na basenie i poszliśmy pod prysznice, żeby zmyć z siebie piach. Te cholerne prysznice ściągnęłyby łuskę nawet ze świeżego pstrąga. Następnie zebraliśmy się w basenie, rozdzieliliśmy na grupy i zaczęliśmy pokonywać pierwsze z około dziesięciu milionów długości, jakie mieliśmy do przepłynięcia, zanim minęły lata naszej służby w marynarce.

Przez kilka pierwszych dni instruktorzy pokazywali nam jak pływać i utrzymać się na powierzchni. Rozciągaliśmy się i uczyliśmy, jak przyjąć w wodzie maksymalnie długą sylwetkę. Instruktorzy poganiali i podkreślali złotą zasadę wszystkich młodych Fok — w wodzie musisz być dobry bez względu na wszystko. Tam zaczęli się wykruszać pierwsi chłopcy. Jeden koleś w ogóle nie umiał pływać! Inny przysięgał na Boga, że lekarze zakazali mu zanurzania głowy bez względu na okoliczności! Zatem dwóch już odpadło. Potem kazali nam pływać bez wynurzania całej głowy ponad wodę, uczyli płynnego oddychania bez wynurzania w całości ust. Pokazali nam standardowy styl pływania SEALsów podobny do kraula i bardzo efektywny,

jeśli używa się płetw. Nauczyli nas techniki kopnięcie-wymach-szybowanie, która jest podstawą fantastycznego systemu nurkowania SEALsów, umożliwiającego pokonywanie dużych odległości i orientacji pod wodą.

Nauczyli nas pływać jak ryby. Kazali pokonywać całe długości basenu tylko wymachując nogami. Mówili nam, że dla innych jednostek wojskowych woda jest jak wrzód na dupie, a dla nas to raj. Byli nieustępliwi, jeśli chodziło o czas. Ciągłe zmuszali nas do szybszego pływania i każdego dnia wyłączali stopery o kilka sekund wcześniej. Podkreślali, że siła fizyczna nie jest w wodzie najważniejsza. To co się naprawdę liczy, to technika, a oprócz niej... technika. Nic innego. I tak minął pierwszy tydzień.

Potem przeszliśmy do treningu nurkowego i to trwało do końca kursu. W sumie to nie było nic nadzwyczajnego. Jedynie związywali nam nogi w kostkach i tece w nadgarstkach za plecami, po czym wrzucali do basenu na głębszym końcu. Wywoływało to w nas sporą panikę, ale instrukcje były jasne; nabrać duży haust powietrza i opaść na dno w pozycji stojącej. Wytrzymać tam około minuty, z podskoku wynurzyć się po kolejną porcję powietrza i opaść z powrotem na dno na kolejną minutę lub dłużej, jeśli damy radę. Instruktorzy pływali wokół w maskach i płetwach. Po jakimś czasie wyglądali jak morświny, dość przyjaźnie. Z początku jednak zupełnie przypominali rekiny. Tu problemem była panika. Jeśli człowiek ma tendencję do histeryzowania, bo ma związane ręce i nogi pod wodą, prawdopodobnie nigdy nie zostanie nurkiem. Lęk tkwi w nim zbyt głęboko.

Z moim bratem Morganem nurkowaliśmy odkąd skończyliśmy 10 lat, więc pływanie było moją silną stroną. Równie swobodnie czułem się na, jak i pod powierzchnią wody. W dodatku byłem już przyzwyczajony do wstrzymywania oddechu na co najmniej 2 minuty. Pracowałem ciężko, dawałem z siebie wszystko i nigdy nie znalazłem się dalej niż 30 centymetrów od mojego partnera. Chyba, że był to wyścig, a on czekał na brzegu.

Byłem najlepszy w nurkowaniu bez płetw, na dystansie 50 metrów. Głęboko pod powierzchnią należało powiązać serię węzłów marynarskich. Nie mogę sobie

przypomnieć, jak wielu ludzi odpadło podczas tej części Indoc, ale było ich kilku. Ten drugi tydzień był bardzo ciężki. Pamiętam, że instruktorzy wpajali nam techniki oraz umiejętności ze wszystkich dziedzin. Działo się tak dlatego, że w następnym tygodniu, rozpoczynającym właściwe szkolenie BUD/S, musimy już wszystko umieć, bo instruktorzy zakładali, że wszystko czego nauczyliśmy się na Indoc, będziemy wykonywać z łatwością. Jeśli ktoś nie dawał tady, po prostu już go nie było. Instruktorzy Indoc. nie

otrzymaliby medali za przysłanie niedoszkolonych żołnierzy na najcięższe na świecie szkolenie wojskowe.

Kazali nam więc wskakiwać i wyskakiwać z basenu oraz Pacyfiku. Poddawali nas ostrej obróbce ćwiczeniami fizycznymi i ciśnieniem psychicznym. Nie dla nas była względnie gładka powierzchnia Młynka, betonowego placu w środku koszarów BUD/S. My, szczeniaki z Indoc, jeszcze nie gotowe, by wstąpić w święte szeregi rekrutów BUD/S, zesłani byliśmy na plażę poza terenem obozu.

A tam instruktor Reno i jego ludzie robili wszystko, co w ich mocy, abyśmy osiągnęli najwyższy poziom. Ooo, te stare dobre czasy serii po dwadzieścia rozdzierających ramiona pompek przeminęły. Teraz ro były serie po pięćdziesiąt, zazwyczaj przeplatane ćwiczeniami na równowagę i wzmocnienie mięśni ramion oraz brzucha. Instruktorzy mieli obsesję na punkcie mięśni brzucha, a powody tej obsesji dopiero teraz są dla mnie jasne. Brzuch jest podstawą dla wojownika przy wspinaniu na skały i po linach, przy wiosłowaniu, podnoszeniu ciężarów, pływaniu, walce oraz bieganiu. W czasie Indoc. nie rozumieliśmy jeszcze tego wszystkiego. Obchodziło nas tylko, że instruktorzy przeganiają nas codziennie przez piekło. Moim osobistym piekielkiem były nożyce; leżysz na plecach, nogi wyprostowane 15 centymetrów nad piachem i machasz tak, jakbyś płynął w basenie na plecach. Nie wolno ci nawet pomyśleć o opuszczeniu stóp, bo dookoła chodzą instruktorzy, srodzy niczym członkowie plutonu egzekucyjnego pod dowództwem Księcia Ciemności.

Raz, na samym początku, ból nerwów i ścięgien w pośladkach i plecach stał się tak nieznośny, że pozwoliłem stopom opaść na piasek. Właściwie opuściłem je trzykrotnie, a skończyło się tak, jakbym kogoś zamordował. Za pierwszym razem był

to ryk instruktora, za drugim razem ktoś nazwał mnie kutasem, a za trzecim razem był to ryk i ktoś inny nazwał mnie kutasem. Przy czym za każdym razem kazali mi wskoczyć do Pacyfiku, wyjść i wytarzać się w piachu.

Dopiero za trzecim razem zorientowałem się, że już prawie każdy z nas był w wodzie i tarzał się w piachu. Wszyscy wyglądaliśmy jak stwory z Czarnej Laguny. A instruktorzy kontynuowali, zmuszając nas do dokończenia ćwiczenia. Zabawne, ale po czterech czy pięciu dniach te wy-machy przestały być problemem, a my czuliśmy się dzięki nim bardziej sprawni. Czy wszyscy? No, większość. Dwóch czy trzech chłopaków nie dało rady i z uśmiechem na twarzach wycięli sobie nożycami drogę wiodącą poza Coronado.

A ja? Trzymałem się, odliczając wymachy, dając z siebie wszystko i przeklinając Billy'ego Sheltona za skazanie mnie na to wariatkowo, pomimo, że najwyraźniej nie była to jego wina.

Wytrzymałem z oczywistego powodu. Nie dlatego że chciałem zrobić wrażenie na instruktorach, ale dlatego, że zrobiłbym wtedy wszystko, żeby tylko nie wracać do lodowatego oceanu i nie tarzać się w piachu. A takie były konsekwencje, jeśli człowiek się nie starał. Instruktorzy nigdy nie przeoczyli obiboka. Mniej więcej co 2 minuty jakiś biedny sukinsyn słyszał:

- Do wody i w piach.

Nie było jednak tak źle. Kiedy tylko skończyliśmy gimnastykę i chwiejąc się stanęliśmy na nogach, instruktor Reno, bóg miłościwy, wysłał nas na sześciokilometro-wy bieg po miękkim piachu. Biegł razem z nami, na pół gwizdka (oczywiście jego gwizdka), stale namawiając nas do większego wysiłku, wyszczekując polecenia, obrażając nas i poganiając. Te biegi były nieprawdopodobnie trudne, zwłaszcza dla mnie. Zasuwałem na tyle grupy, starając się zmusić moje długie nogi do szybszej pracy.

Reno cholernie dobrze wiedział, że robię co mogę, ale w tych pierwszych dniach i tak stale wykrzykiwał moje nazwisko, każąc mi przyspieszać. Później wysłał mnie do wody i w piach, więc wpadałem do oceanu w ubraniu. Musiałem potem nadganiać z butami pełnymi wody

Myślę, że wiedział, że dam radę, ale nie wierzę, że nie podśmiewał się za zasłoną tych swoich czarnych okularów.

Nieuchronnie nadchodziła pora lunchu, więc mieliśmy do pokonania jeszcze półtora kilometra. Cały czas mówili nam o diecie; co jeść, czego nie tykać, jak często jeść. Jezu, przecież cudem w ogóle docieraliśmy do kantyny, nie mówiąc już o studiowaniu naszej diety.

Był też tor przeszkód, zwany przez nas Tor-P. Miejsce tak barbarzyńskiej męki, że prawdziwi SEALsi, weterani wojenni, przyjeżdżali tu, by potrenować. Często przygotowywali się tutaj do zamorskich operacji w rozmaitych warunkach: w dżungli, górach, na oceanach czy pustyniach.

Tor przeszkód w Coronado słynny jest na całym świecie. Jeśli używali go do treningów splamieni krwią wojownicy oddziałów specjalnych, możecie sobie wyobrazić, czym ten tor był dla nas — mięczaków po dziesięciu dniach szkolenia, świeżo po obozie dla rekrutów, słabych jak przedszkolaki w porównaniu z tymi kolesiami.

Pierwszego dnia stanąłem i gapiłem się na Tor-P. Na te wszystkie drewniane ścianki, przeszkody z siarki wysokie na 20 metrów, betonowe tunele, równoważnie, druty kolczaste, drabinki i mosty linowe.

Pierwszy raz w życiu zapragnąłem być o 30 centymetrów niższy, gdyż jasne było, że jest to zabawa dla małych chłopców. Instruktor Reno przeprowadził demonstrację, a wyglądało to tak, jakby urodził się na moście linowym. Dla mnie to musiało być trudne, jak każda wspinaczka, bo dźwigałem 105-kilogramowe cielsko. To dlatego wszyscy dobrzy wspinacze są drobnymi facecikami o pseudonimach takich jak „Mucha”, „Pchła” czy „Pająk” i ważą góra 55 kilogramów.

Słusznie domyślałem się, że to będzie dla mnie najtrudniejszy sprawdzian. Było jednak wielu ogromnych SEALsów, którzy pokonywali ten tor, a więc i ja mogłem. Tor-P nie zmienił mojego nastawienia — albo zrobię to jak trzeba, albo umrę, próbując. To drugie było bliższe rzeczywistości.

Tor składał się z piętnastu przeszkód i należało pokonać go przechodząc przez, obok, nad lub pod nimi. Oczywiście od startu mierzony był czas, a my potykaliśmy się,

odpadaliśmy, spadaliśmy, utykaliśmy i ogólnie dawaliśmy ciała. Tak jak podejrzewałem, więksi goście natychmiast wpadali w opały. Brakowało im poczucia równowagi i gibkości. Gimnastycy olimpijscy mierzą przeważnie metr dwadzieścia. A kiedy ostatnio widzieliście tancerza o wzroście 195 centymetrów ważącego 105 kilogramów?

Największym problemem dużych chłopców była wspinaczka. Jedną z przeszkód była tyrolka, czyli zjazd na rozpiętej pod kątem linie. Gruba, długa na 25 metrów nylonowa lina, jednym końcem przytwierdzona była do szczytu wysokiej wieży, drugim — do 3-metrowego słupa. Trzeba było wspiąć się na wieżę, po czym zjechać lub opuścić na rękach po linie — to drugie wydawało się łatwiejsze.

Na marginesie, o instruktora Reno. Kiedy my wspinaliśmy się na wieżę, on zabawiał się wspinaniem na tę samą wysokość, ale używał przy tym dwóch swobodnych lin — każdą z nich trzymał w jednej ręce. Po dziś dzień nie wierzę, że to było możliwe i Reno był chyba jakąś zjawą na plaży, noszącą okulary przeciwsłoneczne.

Ledwo włąziłem na szczyt wieży i zjeżdżałem. Jeden z kolegów, całkiem sporej budowy ciała, nie utrzymał się podczas zjazdu i spadł prosto w piach, łamiąc przy tym rękę i chyba nogę. Na tym skończyło się jego szkolenie. Inna przeszkoda, która utkwiła mi w pamięci, to siatka. Wiecie o co chodzi - gruba, mocna lina powiązana supłami w kwadrany, wzięta wprost z doków ładunkowych. Absolutnie konieczne było, byśmy chodzenie po niej opanowali pioruńsko dobrze. SEALsi używają takich siatek do wsiadania i wysiadania z pontonów, okrętów oraz łodzi podwodnych.

Miałem z tym spore trudności. Wyglądało to tak, że kiedy wkładałem nogę w siatkę i wyciągałem ramię do góry, noga mi się ześlizgiwała i dłoń nie sięgała chwytu.

Jasne było, że gdybym ważył 55 kilogramów nie miałbym tego problemu. Za pierwszym razem, kiedy udało mi się wdrzeć na siatkę, pakując stopy w oczka, utknałem mniej więcej 15 metrów nad ziemią, z rozpostartymi ramionami i nogami.

Musiałem wyglądać jak Kapitan Ahab po zatonięciu wraz z Moby Dickiem, zaplątany w liny od harpunów.

Oczywiście to, jak i pozostałe ćwiczenia, polegało w całości na technice, a Reno był tam po to, żeby nas instruować. Cztery dni później sunąłem po siatce jak cyrkowy



akrobata. Dobra, może bardziej jak orangutan. Na górze dochodziłem do wielkiego drewnianego bala, przewalałem się na drugą stronę i schodziłem w dół po siatce jak Człowiek Pająk. OK... jak orangutan.

Podobne przygody miałem na moście linowym. Za każdym razem, gdy na niego wchodziłem, robił na mnie wrażenie popsutego. Straszliwie bujał się na boki. Na szczęście instruktor Reno był zawsze na swoim miejscu i szybko pomagał mi odzyskać równowagę — wysyłał mnie do tak lodowatego oceanu, że prawie stawało mi serce. Potem tarzałem się w piachu i dopóki nie trafiłem pod wodne bicze „kabin odkażającej”, przez resztę ćwiczeń wszystko mnie swędziało i drapało.

Na koniec zwykle musieliśmy jeszcze wskoczyć do basenu, w głębszym końcu, i pozostać tam tak długo, aż nie zapuścimy korzeni. Zwyczajny szczęśliwy dzień z życia żółtodzioba brnącego przez Indoc. Ma się rozumieć, liczebność Grupy 226 malała z każdym dniem, a nie zaczęliśmy nawet BUD/S.

Sądziłeś pewnie, że po takim dniu z wielką ulgą szliśmy do naszych pokoi, by odpocząć i może nawet się zdrzemnąć? Mogliśmy tylko o tym pomarzyć. W Coronado nie istnieje pojęcie odpoczynku. Miejsce to jest żywym odzwierciedleniem słów wielkiego rzymskiego stratega, który jako pierwszy obwieścił światu: *Qui desiderat pacem, praeparet bellum* („Kto pragnie pokoju, niech się gotuje do wojny” - Flawiusz Wegecjusz Renatus, IV w.n.e.). Lub, jak mógłby powiedzieć SEALs: „Chcesz, żeby było spokojnie, brachu? To lepiej wskakuj w sprzęt”.

Ten starożytny Rzymianin wiedział to i owo. Jego ttak-tat o wojskowości „*De Rei Militari*” („O sztuce wojennej”) był biblią europejskich armii przez ponad 1200 lat i nadal obowiązuje w Coronado. Podkreśla bowiem znaczenie nieustannej musztry, treningu i dyscypliny. Doradzał rzymskim dowódcom ciągle zbieranie informacji o przeciwniku, wykorzystywanie cech terenu i wysyłanie legionów do okrążenia przeciwnika. Tak mniej więcej postępujemy dzisiaj podczas zamorskich operacji przeciwko terrorystom. Uu-ja, Flawiuszu Wegecjuszu.

Coronado, tak jak Nowy Jork, jest miejscem, które nigdy nie zasypia. Instruktorzy patrolowali korytarze naszych baraków przez całą noc, aż do wczesnych godzin porannych. Kiedyś jeden z nich wszedł do mojej sali, tuż po tym jak umyłem podłogę

gorącą wodą i wypolerowałem tak, że można było się w niej przejrzeć. Rozsypał garść piasku i zbeształ mnie za to, że mieszkam w brudzie! Po czym wysłał do oceanu mnie i mojego partnera, żebyśmy się zmoczyli i chwycili trochę piachu. Musieliśmy potem przejść przez „kabinę odkażającą” i jej wyjące rury, a huk tryskającej wody obudził połowę baraku. Nieważne, że była druga nad ranem i do następnego prysznica pozostały nam tylko dwie godziny.

Myślę, choć nie mam pewności, że właśnie tamtej nocy kolega z mojej sali zrezygnował. Kolana mu zmiękły, kiedy patrzył na to, co spotkało mnie. Nie mam pojęcia, czy wyobtaził sobie, jak przez to ja się czułem.

Pewnego razu, kiedy byliśmy na nocnym biegu, jeden z instruktorów wspiął się po zewnętrznej ścianie budynku, wszedł przez otwarte okno i totalnie zdemolował pokój jednego z chłopaków. Porozrzucił jego rzeczy i wysypał proszek do prania na łóżko. Wyszedł tą samą drogą, którą się tam dostał, zaczekał na nasz powrót i zapukał do drzwi tego chłopaka, zapowiadając kontrolę pokoju. Ten nieszczęśnik nie wiedział czy ma się wściec, czy załamać. Większość tamtej nocy spędził na sprzątniu, a i tak musiał stawić się pod prysznicem razem z nami o 4:30.

Zapytałem o to Reno kilka tygodni później, a on rzekł:

- Marcus, ciało może znieść bardzo dużo, prawie wszystko. To umysł wymaga treningu. Ten chłopak musiał zadać sobie pytanie: Czy mogę znieść taką niesprawiedliwość? Czy poradzę sobie z draństwem i upokorzeniem? Czy potrafię zacisnąć zęby i wytrwać, przysięgając na Boga, że nigdy nie zrezygnuję? Marcus, tego właśnie szukamy.

Nie twierdzę, zresztą jak zwykle, że cytuję instruktora Reno słowo w słowo, ale wiem co chciał powiedzieć i tak to zapamiętałem. Możecie mi wierzyć - każdy kto z nim rozmawia, wie o co mu chodzi.

Dotąd opisałem już dwa tygodnie szkolenia na łądzie i na basenie, a chyba nie wyjaśniłem jeszcze jak wielkie znaczenie przywiązywali instruktorzy do właściwej, zrównoważonej diety. Organizowali wykłady na ten temat, opowiadali o ilości warzyw i owoców jakich potrzebujemy, a także o konieczności spożywania ton węglowodanów i picia hektolitrów wody.

Mantra miała prostą treść: masz dbać o swoje ciało tak, jak dbasz o sprzęt. Organizm ma być dobrze odżywiony i nawodniony. Masz wypijać od 8 do 11 litrów dziennie. Nie zaczynasz żadnych ćwiczeń bez pełnego posiłku. W ten sposób twój organizm zniesie trudne zadania. A nie ulega wątpliwości, że w nadchodzących miesiącach będziesz takie zadania musiał znosić.

Pamiętam, że była to dziedzina, w której pojawiało się wiele pytań, ponieważ już po kilku dniach szkolenia chłopaki odczuwali jego skutki: rwanie mięśni, bóle w ramionach, udach oraz plecach - miejsca, w których bólu nigdy wcześniej nie odczuwali.

Instruktor prowadzący tę część szkolenia ostrzegał nas przed silnymi środkami przeciwbólowymi, takimi jak Ty-

lenol - chyba, że chcemy zwalczyć gorączkę - ale przyznał, że możemy potrzebować Ibuprofenu. Zapowiedział, że będzie nam trudno bez niego przetrwać czekający nas Tydzień w Piekło i obiecał, że dział medyczny dostarczy nam wystarczającą, jednak niezbyt dużą ilość tego leku. Pamiętam, że powiedział tak:

- Dopóki tu jesteście, będzie bolało. Naszym zadaniem jest zadawanie bólu.

Oczywiście, nie chcemy was okaleczyć, ale ranić musimy. To jeden z elementów stawania się Foką. Musicie dowieść, że możecie znieść kary. Metoda na ich przetrwanie tkwi w waszych umysłach. Nie uginajcie się pod ciężarem ran. Zbierzcie w sobie siłę i motywację, i wracajcie na kurs. Często powtarzajcie sobie, jak bardzo chcecie tu być.

Ostatnia część Indoc. zawierała zajęcia na małych pontonach lub jak je nazywaliśmy „okręcikach”. Każda z takich łodzi mierzy około 4 metry długości i waży niecałe 80 kilogramów. Są niewygodne, nieporęczne. Od pokoleń służą przechodzącym szkolenie BUD/S do nauki zgranego wiosłowania w teamie, przebijania się przez fale, radzenia sobie z osprzętem i... wciągania łodzi na plażę, by ustawiać się z nimi w szeregu mniej więcej co siedem minut. Przynajmniej tak to widzieliśmy.

I właśnie zaczęliśmy tę część szkolenia od stania w szeregu przy pontonach, ubrani w kamizelki ratunkowe. Wewnątrz pontonów leżały wiosła ułożone z geometryczną precyzją, a cumy dziobowe i rufowe były zwinięte na gumowej podłodze równiutko,

co do milimetra.

Zanim rozpoczęliśmy serię wyścigów, kapitanowie wybrani spośród najbardziej doświadczonych marynarzy w każdej załodze, stanęli w szeregu przed instruktorami.

Swoje wiosła trzymali na ramionach, w pozycji „na ramię broń”. Zasalutowali instruktorom i zameldowali gotowość łodzi oraz załóg do wyjścia w morze.

Zazwyczaj, podczas gdy kapitanowie składali meldunek, inni instruktorzy sprawdzali pontony. Jeśli wiosło le-

żało nierówno, instruktor wyjmował je i odrzucał daleko na plażę. Tak właśnie zdarzyło się tego pierwszego dnia. Jeden z kolegów stojących tuż przy mnie ruszył po nie pędem, żeby przynieść i poprawić. Na nieszczęście jego partner zapomniał za nim pobiec, co doprowadziło instruktora do furii.

- Na ziemię! — ryknął.

Wszyscy runęliśmy na piach i zaczęliśmy robić pompki najgorszego typu; z nogami opartymi o gumowe krawędzie burt łodzi, w dodatku ubrani w kamizelki ratunkowe.

W moich uszach dźwięczały słowa Reno:

- Jeden spieprzy sprawę, wszyscy ponoszą konsekwencje. Ścigaliśmy się pontonami wypływając daleko poza linię

przyboju. Ścigaliśmy się tak długo, aż traciliśmy czucie w rękach. Wiosłowaliśmy, rozpędzając nasze groteskowe, niezgrabne łódki. To nie były wyścigi Yale z Harvardem na Tamizie, gdzie wszyscy wiosłują równiutko. Przypominało to raczej pływający dom wariatów. Ale to był właśnie mój żywioł.

Ćwiczenia na pontonach to zabawa dla dużych, silnych chłopców, którzy potrafią wiosłować i to wiosłować nie byle jak. Jest to również zabawa dla siłaczy, którzy są w stanie wraz ze swoją załogą podnieść ponton i biec.

Pozwólcie, że zabiorę was na taki wyścig. Po pierwsze, wyciągnęliśmy ponton, wyważyliśmy go na płyciźnie i obserwowaliśmy jak do nas podpływa. Kapitan naszej załogi zrobił nam minutową odprawę, po czym obserwowaliśmy wzór, jaki tworzyły półtora, może dwumetrowe fale. Musimy przebić się przez te fale, a polega to na wyczekiwaniu odpowiedniego momentu. Oczywiście nie możemy czekać zbyt długo, ale też nie chcemy przebijać się przez największą nadchodzącą falę.

Temperatura wody wynosiła niewiele ponad 15°C. Każdy z nas wiedział, że musimy się spieszyć, ale nie chcieliśmy zderzyć się z gigantem, więc czekaliśmy. Kiedy nasz dowódca dostrzegł mniejszą falę, krzyknął:

- Teraz! Teraz! Teraz!

Ruszyliśmy przed siebie, modląc się, by nie wywróciło nas na bok. Jeden po drugim rzucaliśmy się do pontonu, zanurzaliśmy wiosła jak najgłębiej i próbowaliśmy przebić się przez wiszący nad nami grzbiet fali rozbryzgiwanej wiatrem od lądu.

- Wiosłować! Dalej! Dalej! - wykrzykiwał nasz kapitan, kiedy zbliżaliśmy się do kolejnych dwóch ścian wody. To był jednak Pacyfik, a nie jakieś jezioro w Teksasie.

W pobliżu nas jeden z pontonów wywrócił się, a cała załoga razem z wiosłami wylądowała w wodzie. Nie słyszeliśmy nic poza hukami fal i krzykami:

- Dalej! Dalej! Na lewą burtę! Na prawą burtę! Dalej! Szybciej! Szybciej!

Ciągnąłem za wiosło tak mocno i długo, aż w pewnym momencie poczułem, że moje płuca zaraz eksplodują. Na szczęście znaleźliśmy się poza linią fal. Dowódca całej grupy rzucił rozkaz:

- Opuścić łodzie!

Ci, którzy znajdowali się przy burtach ześlizgiwali się przez nie do wody, a pozostali - tak jak ja - łapali taśmy przymocowane do gumowych kadłubów i skakali do wody na jedną stronę wywracając łodzie i przykrywając nimi całą załogę.

Kiedy ponton opadł już do góry dnem na wodę, trzech z nas chwyciło z powrotem za taśmy i wspinało się na wierzch. Pamiętam, że pierwszego dnia byłem najszybszy. W wodzie jesteś lżejszy, nie czujesz swojego ciężaru, co? No to spróbuj.

Po wdrapaniu się na górę, przechodziliśmy na przeciwległą stronę kadłuba i ciągnęliśmy za taśmy, przekręcając ponton do właściwej pozycji. Mieliśmy świadomość, że przybój znosi nas z powrotem ku wysokim falom, więc ogarnięci czymś pomiędzy paniką a szaleństwem, ładowaliśmy się czym prędzej na pokład i grzaliśmy na spokojniejsze wody, w kierunku mery.

Wiosłowaliśmy jak opętani. Zazwyczaj meta była przy jednej z wież na plaży. Gdy tam dopływaliśmy, odwracaliśmy

pontony dnem do góry, łapaliśmy je za taśmy, wyciągaliśmy przez płyciznę na plażę i

zarzucaliśmy je sobie nad głowy.

Biegliśmy przez wydmy, okrążyliśmy na przykład jakąś ciężarówkę, cały czas z pontonami na wyciągniętych nad głowami rękach, a następnie, tak szybko jak tylko się dało, z powrotem po plaży do miejsca, z którego wystartowaliśmy. Tam czekali na nas instruktorzy, notując lokaty załóg i czasy, jakie udało się uzyskać.

Wspaniałomyślnie zezwalali zwycięskiej załodze na odpoczynek, przegrani otrzymywali rozkaz: „Pompować!”. Nierzadko zdarzało nam się odbyć sześć rakich wyścigów w jedno popołudnie, więc do końca drugiego tygodnia Indoc. odpadło dwudziestu pięciu ludzi.

Większości udało się jednak jakoś przekonać instruktora Reno i jego kolegów, że jesteśmy w formie i wystarczająco sprawni, by przystąpić do szkolenia BUD/S, które miało rozpocząć się w nadchodzącym tygodniu. Zanim podeszliśmy do Fazy Pierwszej BUD/S, Reno zaordynował nam jeszcze jeden wykład.

Tuż przed wykładem natknąłem się na niego przed salą konferencyjną, a on — nadal w swoich okularach przeciwsłonecznych — wyciągnął do mnie dłoń i uśmiechnął się.

— Dobra robota, Marcus — powiedział.

Uścisk jego dłoni był jak uścisk imadła. Chwyciłem ten kawał stali z całej siły i odparłem:

— Dziękuję, sir.

Reno zmienił nas w czasie tych dwóch tygodni. Pokazał, jak wiele musimy jeszcze osiągnąć i dał przedsmak czekających nas tortur BUD/S. Pozbawił reż całej pychy, jaką w sobie nosiliśmy.

Byliśmy teraz o wiele mocniejsi. Choć byłem od niego wyższy, Reno Alberro jawił mi się jako pięciometrowy gigant. I tak już pozostało.

Rozdział 4 Witajcie w piekle, panowie

Ćwiczenia bojowe odbywały się w totalnym chaosie, wśród bijących w nas pod ciśnieniem strumieni wody, ogłuszających eksplozji i wrzeszczących instruktorów.

- Czołgać się w kierunku gwizdka, ludzie! Czołgać się! I trzymać te cholerne głowy nisko!

Ostatniego dnia Indoc, około 13:00, zebraliśmy się w sali konferencyjnej. Instruktor Reno wkroczył jak Cezar do Rzymu, z głową dumnie uniesioną. Natychmiast rozkazał nam pompować. Jak zwykle, pchnęliśmy nasze krzesła, padliśmy na podłogę i zaczęliśmy odliczać pompki.

Przy dwudziestej Reno nakazał nam pozostać w pozycji wyjściowej, a po chwili rzucił:

- Powstań.

- Uu-ja, instruktorze Reno!

- Raport, panie Ismay.

- Stu trzynastu kadetów, instruktorze Reno. Wszyscy obecni, z wyjątkiem dwóch ludzi u medyka.

- Prawie dobrze, panie Ismay Dwóch ludzi zrezygnowało kilka minut temu.

Zastanawialiśmy się kto. Ludzie z załogi mojego pontonu? Rozglądaliśmy się po sali. Nie miałem pojęcia, kto odpadł na ostatnich wybojach.

- To nie pana wina, panie Ismay. Kiedy zrezygnowali, pan był tutaj, w sali. Grupa 226 przechodzi do Fazy Pierwszej BUD/S ze stanem stu jedenastu ludzi.

- Uu-ja!

Zdałem sobie sprawę z tego, że stale traciliśmy kolejnych ludzi. Według raportów Grupa 226 liczyła na początku stu sześćdziesięciu czterech członków, więc odeszło ponad pięćdziesięciu. Wiem, że kilku w ogóle nie podeszło do szkolenia wstępnego, głównie ze strachu. Pozostali jakby się rozplnęli — nigdy nie widziałem jak odchodzili, nawet wtedy, kiedy odpadł mój współlokator. Nadal nie mogę zrozumieć jak to się działo. Może po prostu docierali do jakiegoś punkru krytycznego, a może już od dłuższego czasu czuli, że odpadną. W męskim świecie marynarki, kiedy odchodzisz, to już na dobre. Wtedy ja i moich stu dziesięciu kolegów, nie do końca zdawaliśmy sobie z tego sprawę, ale byliśmy świadkami działania systemu wykluczania słabych ogniwi. Siły zbrojne Stanów Zjednoczonych nie mogą sobie pozwolić na słabe ogniwa.

Reno oświadczył oficjalnie:

— Wchodźcie w Fazę Pierwszą BUD/S i chcę żeby każdy z was był dla mnie

powodem do dumy. Ci z was, którzy przetrwają Tydzień w Piekło, będą musieli w Fazie Drugiej przejść sprawdzian umiejętności pływackich i w Fazie Trzeciej - wykazać się talentem strzeleckim. Będę uczestniczył w zakończeniu szkolenia i chcę wtedy uściskać wasze dłonie. Chcę myśleć o was, że jesteście „wojownikami Reno”.

— Uu-ja, Instruktorze Reno!

Wydaliśmy z siebie okrzyk z pięściami wycelowanymi w sufit, który o mało się nie zawalił. Kochaliśmy Reno. Czuliśmy, że naprawdę mu na nas zależy. Chcemy, żebyśmy byli najlepsi. W tym co robił, nie było krzty złości. Po prostu był zdeterminowany.

Powtórzył zalecenia, które dawał nam od dwóch tygodni:

— Stale bądźcie czujni, punktualni i odpowiedzialni za swoje czyny, w mundurze czy bez. Pamiętajcie, reputacja to podstawa. Macie szansę nadal ją budować, a zaczynacie w tej sali, w poniedziałek o 5 rano. Wtedy zaczyna się Faza Pierwsza.

— Kiedy już będziecie formować załogi, pamiętajcie, że wstępujecie do bractwa. Staniecie się sobie bliżsi niż kiedykolwiek byliście dla kolegów z gimnazjum czy szkoły średniej. Będziecie razem żyli... a w czasie walki, być może razem zginiecie.

Wasze rodziny zawsze będą dla was

najważniejsze, ale Navy SEALs jest szczególną wspólnotą. Chcemy, żebyście o tym pamiętali.

Po tych słowach odszedł. Zniknął w tylnych drzwiach, zostawiając za sobą bardzo długi cień: bandę nakręconych facerów, pełnych werwy i gotowych na wyzwania czekającego ich szkolenia. Dokładnie tego chciał Reno.

Wtedy pojawił się instruktor Sean Mruk, były SEALs z 2. Zespołu, weteran zamorskich operacji, pochodzący ze stanu Ohio. Sympatycznie wyglądający człowiek, z którym nie mieliśmy jeszcze do czynienia. Był asystentem naszego nowego opiekuna. Nim go ujrzeliśmy, usłyszeliśmy cichą komendę:

- Na ziemię, pompować - rzucił ją, jeszcze przed wejściem do sali.

Przez następne kilka minut wyliczał miliony zadań, jakie będziemy mieli do wykonania, poza godzinami zwykłych treningów Fazy Pierwszej. Dotyczyło to m.in. przygotowywania łodzi, pojazdów i sprawdzanie stanu zasobów. Ostzegł nas, że jeśli



nie będziemy pracowali na pełnych obrotach przez cały czas szkolenia, spotkają nas przykre konsekwencje.

Dopilnował przeprowadzki z baraków Indoc. mieszczących się za Młynkiem, do baraków sił specjalnych marynarki, położonych kilkaset metrów na północ od centrum obozu. Luksusowe lokum przy samej plaży było reraż nasze — tak długo, jak długo wytrzymamy BUD/S i utrzymamy się w Grupie 226. Numer ten mieliśmy niebawem nosić na naszych zielonych hełmach. Miał pozostać z nami tak długo, jak długo będzie trwała nasza służba w Navy SEALs. Numer 226 miał wkrótce stać się najsłodszy dźwiękiem, jaki kiedykolwiek słyszałem.

Instruktor Mruk pokiwał głową i poinformował, że przyjdzie do naszej nowej kwatery w niedzielę o 10:00 i pokaże, jak mamy przygotować nasze sale do inspekcji.

- Teraz już oficjalnie jesteście Grupą. Faza Pierwsza to teraz całe wasze życie - rzucił na koniec.

I tak zebraliśmy się przed barakami w bezchmurny poniedziałkowy ranek 18 czerwca, na dwie godziny przed świtem. Była 5:00, temperatura wynosiła nieco powyżej 10°C. Nasz nowy instruktor, którego jeszcze nie znaliśmy, stał tam w milczeniu. Kapitan Ismay zameldował oficjalnym tonem:

- Panie dowódco, Grupa 226 w komplecie. Dziewięćdziesięciu ośmiu obecnych.

David Ismay zaszalutował. Dowódca Stephen Schulz oddał honory, nie mówiąc ani „Dzień dobry”, ani „Jak się macie?”. Zamiasr tego rzucił po prostu:

- Do wody, panowie. Wszyscy. Potem zameldować się w sali konferencyjnej.

Znowu się zaczęło. Grupa 226 wybiegła z koszar i ruszyła przez plażę prosto do oceanu. Wpadliśmy do lodowatej wody, zmoczyliśmy się i chlupocząc pobiegliśmy do sali - zmarznięci, ociekający słoną wodą i już pełni obaw.

- Na ziemię, pompować! — rozkazał instruktor. I jeszcze raz. I jeszcze raz.

W końcu chorąży Joe Burns, oficer SEALsów o ponurym spojrzeniu, zajął miejsce przed nami i przedstawił się jako dowódca Fazy Pierwszej. Kilku z nas wzdrygnęło się. Burns miał opinię twardziela. Później okazało się, że był jednym z najtwardszych ludzi, jakich kiedykolwiek spotkałem.

- Rozumiem, że wszyscy chcecie zostać nurkami?

- Uu-ja!

- To się jeszcze okaże — odparł chorąży Burns. - Zobaczymy, jak bardzo tego chcecie. Ja dowodzę Faza Pierwszą, a to są moi instruktorzy

Każdy z czternastu instruktorów przedstawił się imieniem i nazwiskiem. Następnie dowódca Schulz, zapewne z obawy, że po całych dwóch minutach gadania za bardzo go polubimy, rozkazał:

- Na ziemię, pompować.

I jeszcze raz. I jeszcze raz. Wreszcie nakazał zbiórkę na Młynku.

- Ruszać się! Ruszać! Ruszać!

W końcu zebraliśmy się na najbardziej znieawidzonym kawałku betonu w całych Siłach Zbrojnych Stanów Zjednoczonych. Była już 5:15. Nasze pozycje zaznaczone były małymi płetwami wymalowanymi na betonie. Niedługo na nich pozostaliśmy.

- Na fale! Do wody i w piach! - ryknął Schulz. - Pędem! Adrenalina skoczyła.

Ruszyły nasze nogi i ręce. Serca

pompowały jak szalone. Każda część naszych ciał pulsowała, kiedy wylatywaliśmy z Młynka w butach nadal wypełnionych słoną wodą i w przemoczonych polowych spodniach. Pognaliśmy przez plażę i rzuciliśmy się w fale.

Jezu, ależ były zimne. Załamywały się nade mną, kiedy próbowałem dostać się przez płytcinę z powrotem na plażę. Rzuciłem się na piach, przetoczyłem kilka razy i wstałem wyglądając jak Piaskowy Dziadek, z tą tylko różnicą, że ja nie byłem z żadnej bajki. Dookoła słyszałem głosy kolegów, a w pewnym momencie doleciał do mnie głos Schulza:

- Biegiem!

Przypomniałem sobie lekcję Billy'ego Sheltona; uważaj na najłżejszą choćby sugestię... rzuciłem się więc jak opę-rany z powrotem na Młynek, w pierwszym szeregu.

- Za wolno! - wykrzykiwał Schulz. — Zdecydowanie zbyt wolno... padnij!

Instruktorzy Schulza krążyli pomiędzy nami, gromiąc nas, drąc się i bluzgając, kiedy my, spoceni i przemoczeni, zmuszaliśmy nasze ciała do pompowania.

- Co to za cholerne ciory!

- Weź się w garść, ciemiego!
- Na litość boską, chociaż udawaj, że próbujesz.
- No dalej! Dalej! Dalej!
- Jesteście pewni, że chcecie tu być? Może jednak od razu zrezygnujecie?

W ciągu kilku następnych minut pojąłem różnicę pomiędzy „do wody i w piach” a zwykłym „do wody”.

Z boku Młynka stały dwa pontony wypełnione po brzegi wodą z lodem. „Do wody” znaczyło zsunąć się po burcie do środka, pod wodę, w łód, przeczołgać się pod wspornikami siedzeń i wyjść po drugiej stronie pontonu. 5 sekund, w ciemności, w lodzie, pod wodą. Nawet orka błagałaby o litość.

Powiesz, że przecież moczyłem się już wcześniej w lodowatym Pacyfiku, tak? Ale woda w tej małej łodzi odmroziłaby jaja nawet małpie z brązu. Wygrzebałem się z pontonu prawie fioletowy z zimna, z włosami pokrytymi lodem i ruszyłem do mojego znaczka z płetwami. Przynajmniej, tak jak i pozostali, pozbyłem się piachu. Dwóch instruktorów ruszyło wzdłuż szeregu, spryskując każdego z nas od stóp do głów lodowatą wodą z pompy.

Do godziny 6:00 naliczyłem ponad 450 pompek. Zrobiłem ich na pewno więcej, ale po 450. nie miałem już siły liczyć. Zrobiłem też ponad 50 przysiadów. Z jednego ćwiczenia przechodziliśmy natychmiast do następnego. Kto się ociągał, musiał dodatkowo wykonać serię nożyc.

W rezultacie na Młynku zapanował totalny bałagan. Jedni nie nadążali, inni robili pompki zamiast przysiadów, przewracali się, padali twarzami na beton. Pod koniec połowa z nas nie wiedziała już ani gdzie jesteśmy, ani co tak naprawdę mamy robić. Ja po prostu robiłem swoje, najlepiej jak się dało wśród tych wrzasków, poniżania i uderzających strumieni lodowatej wody: pompki, przysiady, skręty. W pewnym momencie było mi wszystko jedno, co tobie. Każdy mięsień w moim ciele palił z bólu, a najbardziej mięśnie brzucha i ramion.

Wreszcie Schulz okazał nam litość i pozwolił się napić.

- Nawodnić się! - ryknął ze swoją staroświecką elegancją, która przychodziła mu tak łatwo. Ruszyliśmy do kantyny i zaczęliśmy pić łąpczywie.

- Kantyna zamknięta! - w głosie Schulza zabrzmiała wściekłość. - A tetaz pompować! A tak, oczywiście, zapomniałem, to przecież była 9-sekundowa przerwa. Ponownie runęliśmy na beton

i zabraliśmy się do roboty, ostatkiem sił odliczając kolejne pompki. Tym razem zrobiliśmy tylko dwadzieścia, zanim Schulza dopadły wyrzuty sumienia.

— Do wody! — wrzasnął. — Natychmiast!

Potyając się dotarliśmy do plaży i przeklinając popadaliśmy między falami. Byliśmy tak rozgrzani, że zimno nie robiło już na nas wrażenia. No, może niewielkie. A kiedy wypełzliśmy na piach, dowódca Schulz już na nas czekał wściekły i rozkazał biec półtora kilometra do kantyny.

— Ruszać się - rzucił. — Nie mamy całego dnia.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, byłem już kompletnie wyczerpany. Wydawało mi się, że nie starczy mi siły na przegryzienie jajka na miękko. Wchodząc do jadalni wyglądaliśmy jak armia napoleońska podczas odwrotu spod Moskwy. Przemoczeni, wymięci, zmęczeni, bez tchu, zbyt głodni, by jeść, zbyt zmalretowani, by się tym wszystkim przejmować.

Oczywiście, tak miało być. Nie były to przecież jakieś śmieszne ćwiczenia przeciwpożarowe wymyślone dla nas przez instruktora. Był to śmiertelnie poważny program oceny materiału, jaki dostali do wyszkolenia. Metoda używana do wyznaczenia w najtrudniejszy możliwy sposób tych, którzy naprawdę chcą to robić. Którym zależy na tyle, że przetrwają następne cztery tygodnie zanim nadejdzie Tydzień w Piekło i sprawy przybiorą naprawdę poważny obrót.

W ten sposób zmuszali nas do ponownego szacowania naszego zaangażowania. Czy naprawdę możemy znieść takie trudy? Dwie godziny przed śniadaniem dziewięćdziesięciu ośmiu ludzi ustawiło się na Młynku. Po śniadaniu było nas już sześćdziesięciu sześciu.

Nadal wszystko mieliśmy przemoczone — buty, spodnie, t-shirry. Po raz kolejny ruszyliśmy w stronę plaży, a obok nas nagle znikąd zjawił się instruktor, który biegnąc równo z nami popędzał nas krzykiem. Wiedzieliśmy już, co nas czeka: sześciokilometrowy bieg po plaży w kierunku południowym - rrrzy kilometry tam i

trzy z powro-

tem. Dostaliśmy na to 32 minuty i niech Bóg ma w swojej opiece tych, którzy nie potrafią pokonać kilometra po piachu w pięć i pół minuty.

Bałem się tego biegu, bo wiedziałem, że nie jestem szybki, nastawiłem się więc na maksymalny wysiłek. Właściwie całe życie tak robiłem, więc kiedy byliśmy już na plaży wiedziałem, że ten wysiłek będzie konieczny. A nie mogło być gorszego momentu na bieganie niż tamten. Przyływ był już prawie w pełni, woda sięgała coraz dalej na plażę i nie pozostawiała nam zbyt wiele mokrej, twardej powierzchni. Oznaczało to bieg albo w płytkiej wodzie, albo po suchym, mialkim piasku, co w obu przypadkach było męczące.

Instruktor, Ken Taylot, ustawił nas w szeregu, opowiedział o mękach jakie czekają tych, dla których 32 minuty okażą się niewystarczające, po czym dał sygnał do startu. Ruszyliśmy, mając wschodzące nad Pacyfikiem słońce po prawej. Wyzaczyłem sobie linię, po której będę biegł. Tuż na granicy przyływu, gdzie woda pozostawiała wąski pasek twardego piachu. W ten sposób pod burami miałbym czasem tylko trochę piany pozostawianej przez fale, a było to o wiele lepsze niż miękki piach, który rozciągał się po lewej stronie.

Problem tkwił w tym, że musiałem trzymać się tej linii. Moje buty były cały czas mokre, więc po każdym kroku w suchym piasku, dźwigałbym na butach o pół kilograma więcej. Nie spodziewałem się dotrzymać kroku liderom, miałem jednak nadzieję utrzymać się w grupie tuż za nimi. Tak więc opuściłem głowę i - obserwując uważnie linię przyływu — waliłem przed siebie, starając się trafić w najtwardszy piach.

Pierwsze trzy kilometry nie były takie straszne. Utrzymałem się z przodu grupy i czułem się dobrze. Jednak w drodze powrotnej osłabłem. Rozejrzałem się i zobaczyłem, że pozostali też wyglądają na bardzo zmęczonych. Wtedy zdecydowałem przyspieszyć. Dodałem gazu i rzuciłem się naprzód.

W czasie pierwszych 20 minut naszego biegu przyływ powoli zamienił się w odpływ, a na plaży pozostał tylko wąski pas wilgotnego piachu, na który woda już nie wpływała. Ruszyłem tym pasem ze wszystkich sił. Momentami zdawało mi się, że

padam. Za każdym razem, kiedy kogoś doganiałem, rzucałem sobie kolejne wyzwanie i tak mijałem jednego kumpla po drugim. W końcu zmieściłem się w 30 minutach, co nie było takim złym wynikiem, jak na konia pociągowego, za którego się uważałem.

Nie pamiętam już, kto przybiegł pierwszy, chyba pewien twardy chłopak ze wsi w stopniu podoficera, ale był tylko o 2 minuty lepszy ode mnie. Tak czy inaczej, chłopcy, którzy zmieścili się w czasie, dostali pozwolenie na odpoczynek na suchym, miękkim piasku.

Zdaje się, że tych którzy się nie zmieścili było osiemnastu. Każdy z nich usłyszał: „Na ziemię!” i pompował. Większość i tak już padała ze zmęczenia. W pewien sposób mieli więc już zaliczony początek następnego ćwiczenia, czyli czołgania do wody, prosto w nachodzące fale. Instruktor Taylor kazał im pęzać, aż woda zaczęła sięgać im do brody.

Pozostali tam przez dwadzieścia minut, skrupulatnie odliczonych stoperami. Teraz wiem, że dzięki temu nie nabawili się hipotermii. Taylor i jego ludzie mieli nawer bardzo precyzyjny wykres pokazujący jak długo człowiek może wytrzymać tak niską temperaturę. Następnie jeden po drugim byli wywoływani na brzeg i zdumiewająco bezlitośnie opieprzani za przekroczenie limitu 32 minut.

Rozumiałem, że niektórzy po prostu się poddali, ale inni zwyczajnie nie mogli biec szybciej. Niestety instruktorzy mieli na ten temat własne zdanie i pozostali nieugięci. W czasie, kiedy ci nieszczęśnicy wychodzili jeden po drugim na brzeg, my robiliśmy pompki, a ponieważ byliśmy już do tego przyzwyczajeni, podniosłem głowę i obserwowałem marny los moich wolniejszych kolegów. Taylor, bóg tej plaży, nakazał pólżywym, podtopionym i prawie zamrożonym biedakom położyć się na plecach, z głowami i ramionami tuż nad wodą napływającą i odpływającą z rytmem fal. W tej pozycji mieli robić nożyce. Po krótkim czasie większość krztusiła się, pluła słoną wodą, kasłała i jeden Bóg wie, co jeszcze.

Dopiero wtedy Taylor ich zwolnił. Wrzeszczał, że my — ci którzy robia pompki na suchym piachu - jesteście zwycięzcami, a oni przegranymi! Zagroził im, że jeśli nie zaczną szkolenia traktować poważnie, zostaną odesłani tam, skąd przyszli.

— Ci goście, tam, ci co mają teraz luzik, zapłacili za to! -darł się - uczciwą cenę. Wy nie. Ponieśliście kłeskę, a tacy jak wy muszą płacić podwójnie. Zrozumieliście?! Wiedział, że jest to szokująco niesprawiedliwe, bo wielu z nich dało z siebie naprawdę wszystko. Jednak musiał mieć pewność — którzy spośród nas wierzą, że mogą więcej, lepiej i szybciej. Którzy są na tyle zdeterminowani, by po-zosrać na szkoleniu. A którzy już są jedną nogą za bramą.

Kolejne ćwiczenie — dźwiganie kłody — było dla wszystkich całkowitą nowością. Ubrani w mundury polowe i czapki, usrawiliśmy się w rzędach załogami po siedmiu, przy kłodach mierzących po 2,5 metra długości i 30 centymetrów średnicy. Nie pamiętam dokładnie, ale ważyły mniej więcej tyle, co szczupły chłopak, powiedzmy 70-75 kilogramów. Ciężkie, co? Już miałem przyjąć postawę konia pociągowego, kiedy instruktor zawołał:

— Idźcie się zmoczyć i złapać trochę piachu.

W przyjemnie suchych ciuchach pobieглиśmy w stronę oceanu, przez wydmy, prosto do wody. Wskoczyliśmy z fal, z powrotem na wydmę, przetoczyliśmy się po piachu na drugą stronę i stanęliśmy w rzędach, jak zaginiona kompania komandosów Plutonu Zamek z Piasku.

Wtedy instruktor polecił nam zamoczyć i wpakować w piach nasze kłody.

Dźwignęliśmy je więc i, trzymając na wysokości pasa, zataszczyliśmy na szczyt wydmy. Po drugiej stronie już zbiegliśmy, spuściliśmy przekłete kłodzi-ska do wody, wyciągnęliśmy, wtaszczyliśmy ponownie na szczyt wydmy i stoczyliśmy po drugiej stronie.

Załoga biegnąca obok mojej niestety upuściła swoją kłodę po niewłaściwej stronie wydmy.

-Jeżeli jeszcze raz, kiedykolwiek upuścicie moją kłodę... - wykrzyknął instruktor. - Nawet nie chcę mówić, co was spotka! I to wszystkich!

Wykrzyczał to tak wściekłym i mściwym głosem, jakby miał na myśli:

— Jeśli jeszcze raz, kiedykolwiek, zgwałcicie wszyscy moją matkę...

Staliśmy w rzędzie, z kłodami na wyprostowanych nad głowami rękach. Zazwyczaj załogi kompletowane są z ludzi o mniej więcej tym samym wzroście, ale moje 195

centymetrów oznaczało, że zawsze będę dźwigał więcej niż pozostali.

Kolejni ludzie obrywali za ociąganie się, coraz więcej robiło pompki, a ja i kilku większych gości dźwigaliśmy w tym czasie cały ciężar. Musieliśmy wyglądać jak te trzy filary Coronado, kolumny z piaskowca podtrzymujące świątynię, kamienny wzrok wbijające w dziwne, piaskowe stwory, pompujące i walczące o każdy oddech. Zaraz potem nauczyli nas wszystkich ruchów, jakie mieliśmy wykonywać w trakcie tego treningu; kucania, prze-rzucania kłody nad głowami i całej masy innych. Nadal stojąc w rzędach usłyszeliśmy rozkaz:

— Ustawić się w szeregu przy kłodach. Ruszyliśmy naprzód.

— Za wolno! Do wody i w piach!

Z powrotem do oceanu pomiędzy fale i w piach. W tym czasie byliśmy już wykończeni i instruktorzy o tym wiedzieli. Tak naprawdę nie chodziło im o to, żebyśmy całkiem padli, więc przeszli do długiego instruktażu o ważniejszych aspektach zespołowej pracy z kłodą. Ku naszemu wielkiemu szczęściu zakończyli poranek chwając nas za kawał dobrej roboty. Stwierdzili, że początek świetnie nam idzie i pozwolili iść na lunch.

Wielu z nas wzięło to za dobrą monerę, ale siedmiu jednak nie dało się zwieść tej nagłej i niespodziewanej porcji słodyczy ze strony gości, którzy przypominali raczej jeźdźców upiornej kawalerii z Władcy Pierścieni. Ta siódemka ruszyła prosto na Młynek, zadzwonili w dzwon i złożyli hełmy przed drzwiami naszego dowódcy. Tak się to robi podczas BUD/S. To rytuał odejścia. Było tam już dwanaście hełmów oznaczających rezygnację, a nie dobrnęliśmy nawet do lunchu pierwszego dnia.

Większość z nas uważała, że chłopcy zrobili to zbyt pochopnie. Wszyscy wiedzieli, że sporą część popołudnia zajmie cotygodniowa inspekcja kwater. Większość z nas spędziła całą niedzielę na układaniu rzeczy, myciu i polerowaniu podłogi. Jakoś tak się stało, że byłem ostatni w kolejce do naszych dwóch froterek.

Musiałem poczekać na swoją kolej, więc skończyłem dopiero o 2 nad ranem, ale ten czas nie był stracony. Posłałem łóżko, wyprasowałem swój wykrochmalony mundur polowy i wypolerowałem buty na błysk. Wyglądałem teraz całkiem nieźle, a nie jak



jakiś nieszczęsny, pokryty piaskiem plażowicz.

Nadeszli instruktorzy, nie pamiętam jednak, który z nich wszedł do mojego pokoju. Na początek obrzucił pokój - będący według mnie wzorem wojskowego ładu i porządku — oraz mnie samego spojrzeniem pełnym odrazy. Następnie starannie powysuwał szuflady i rozrzucił wszystko, co tam znalazł, po podłodze. Zerwał z łóżka materac i rzucił obok. Opróżnił moją szafkę, z jej zawartości usypał stosik, po czym oświadczył, że nie jest przyzwyczajony do kadetów lubiących mieszkać w śmietniku. Właściwie słowa, których użył, były nieco bardziej dosadne, bardziej... hmm... przyziemne.

Nie tylko mój pokój, ale całe koszary wyglądały jak dom wariatów; rzeczy walały się dosłownie wszędzie. Stałem z rozdziawioną gębą i obserwowałem, jak instruktorzy demolują barak. Naraz usłyszałem, jak gdzieś na korytarzu ktoś opieprza Davida Ismaya, naszego lidera. Rozpoznałem miękki, melodyjny głos Schulza:

— Co to za szcurza nora, panie Ismay? Nigdy w życiu nie widziałem takiego burdelu w pokojach! A wasze mundury to po prostu hańba. Do wody!... Wszyscy! O ile pamiętam w baraku było 30 pokoi - tylko trzy przeszły inspekcję. Ich mieszkańcy niestety i tak musieli pobiec z nami. Pognaliśmy na plażę w błyszczących butach i wyprasowanych mundurach, zostawiając za sobą totalny chaos w baraku.

Wbiegliśmy do wody prosto pomiędzy fale, po czym wygrzebaliśmy się z powrotem na plażę, ustawiliśmy w kolumnę i ruszyliśmy do koszar. Ponownie zjawił się tam Taylor, zapewne szykując nam kolejne zajęcia, nie wiedzieliśmy jednak czy na plaży, czy w oceanie.

Cały dzień zastanawialiśmy się, kim on właściwie jest, ale nasze dochodzenie dało niewiele. Taylor był weteranem oddziałów specjalnych, który czterokrotnie brał udział w operacjach zamorskich, w tym w Wojnie w Zatoce. Średniego wzrostu, niesamowicie umięśniony, wyglądał jakby mógł przejść przez ścianę nie zwalniając nawet kroku. Dawało się też wyczuć, że ma poczucie humoru. Przyznał nawet, że „dajemy radę”. Miło z jego strony, prawda? Połowa z nas tkwiła tam już wyłącznie siłą woli.

A siły tej, jak się okazało, potrzebowaliśmy wiele, bo już po kilku minutach przygotowaliśmy pontony do ponownego wyjścia w morze. Nigdy nie zapomnę tego zadania, bo Taylor zmusił nas do wiosłowania do tyłu, z twarzami skierowanymi ku rufie. Wracając, nadal siedzieliśmy przodem do rufy, ale wiosłowaliśmy do przodu.

Za pierwszym razem pokonywanie fal w ten sposób wydawało się niemożliwe. Siedząc przodem do plaży nie widzieliśmy fal, które na nas nacierały, a w dodatku wiosła trzymaliśmy odwrotnie. Z czasem jednak szło nam coraz lepiej i jakoś się udawało. Tylko zanim to nastąpiło, musieliśmy przejść przez różne perypetie: pontony wywracały się do góry dnem, wypadaliśmy z nich, zderzaliśmy się z wielkimi falami, których nie sposób było uniknąć.

Wiele było też plucia i kasłania, kiedy usiłowaliśmy wykonać gwóźdź programu Taylora, to jest przewrócić łódź, postawić z powrotem, zamontować prawidłowo wiosła i przepłynąć tyłem przez fale do plaży.

Zanim wypłynęliśmy, wykonaliśmy zadanie zwane obserwacją fal, podczas którego dwuosobowe drużyny lustrują warunki na morzu i zdają raport. Skoncentrowałem się przy tym zadaniu i okazało się potem, że zrobiłem słusznie, gdyż od tamtej pory każdego ranka o 4:30 dwóch z nas miało schodzić na brzeg i wracać z raportem. Jak zwykle uśmiechnięty Taylor, zakończył instrukcję słowami:

— I nie spieprzcie mi tego raportu. Nie życzę sobie żadnych nieścisłości w sprawie stanu morza.

Tego wieczoru doprowadziliśmy do ładunku nasze pokoje, a następnego dnia rozpoczęliśmy zwyczajową porcję pompek, biegania, kąpieli w oceanie i tarzania w piachu. Na pierwszym wykładzie poznaliśmy naszego głównego podoficera, instruktora Boba Nielsena, kolejnego weterana Wojny w Zatoce i kilku innych operacji zamorskich. Był wysoki, bardzo szczupły jak na Fokę i, moim zdaniem, nieco złośliwy. Gdy przemawiał, często moralizował, trochę wygrażał, niemniej jednak był optymistycznie do nas nastawiony.

Przedstawił się i wyliczył swoje wymagania wobec nas. Tak, jakbyśmy nie wiedzieli; dacie z siebie wszystko, albo nie przetrwacie, tak? Pokazywał nam na slajdach każdą

część Fazy Pierwszej. Zanim pierwszy slajd zniknął z ekranu, Bob Nielsen ostrzegł nas, żebyśmy nie próbowali wykiwać instruktorów.

— Panowie — powiedział — widzieliśmy tu już wszystko. Możecie próbować, jeśli bardzo chcecie, ale nikomu to nie wyjdzie na dobre. Złapiemy każdego śmiałka, a wtedy pożałuje.

Jestem niemal pewien, że w tym momencie każdy z nas zanotował sobie w głowie „nie próbować”. Dalej słuchaliśmy bardzo uważnie, jak Nielsen pokrótce opowiadał o tym, czego mamy się spodziewać w pierwszych czterech tygodniach szkolenia - więcej biegania, kłód, pontonów i pływania, czyli, krótko mówiąc, więcej masakry. A wszystko po to, żeby przekonać się, jacy jesteśmy twardzi.

— Kondycja — powiedział. — Ćwiczenia kondycyjne

i dużo lodowatej wody. Przyzwyczajajcie się do tego, bo następny miesiąc będzie prawdziwym kopem w jaja. Mamy zamiar was zmiażdżyć.

Do dziś przechowuję notatki z jego wykładu.

- Nie sprostacie wymaganiom - wylatujecie. Z pewnością większość z was odpadnie i nie wróci już na szkolenie. Tak czy inaczej musicie pokonywać biegiem 6 kilometrów w 32 minuty i 3 kilometry wplaw w półtorej godziny. Przejdziecie też trudny pisemny test z wiedzy. Następnie sprawdziany umiejętności pływackich i podwodnych. Z płetwami i bez, wszystkie techniki.

— Być może zadajecie sobie pytanie: co muszę zrobić, żeby przez ro wszystko przejść? Smutna prawda jest taka, że dwie trzecie z siedzących tutaj, odpadną. Pamiętam jak stojąc tuż obok tzędu, w którym siedziałem, mówił:

- Widzę ru siedem rzędów pełnych ludzi. Tylko dwóm rzędom się uda.

Wydawało mi się, że patrzy prosto na mnie, kiedy rzekł:

- Reszta pozostanie fajfusami i będzie sobie żyć gdzieś w zapomnieniu. Tak to już było, jest i będzie. Postarajcie się udowodnić, że się mylę.

Dał nam jeszcze jedno ostrzeżenie:

— To szkolenie nie jest dla każdego. Czasem mamy tu naprawdę niezłych facetów, którzy po prostu decydują, że ich miejsce jest gdzie indziej. Mają takie ptawo i pozwalamy im odejść z godnością, rozumiecie? Jeśli przyłapiemy któregoś z was na

wyśmiewaniu kolegi, który rezygnuje na własne życzenie, kara będzie bolesna.

Bardzo bolesna. Możecie tego żałować bardzo długo, radzę więc nie rozważać nawet takiej opcji.

Wykład zakończył uświadamiając nam, że walkę wygrywa się umysłem. Wygrywają ci, którzy znają swoje słabe punkty — którzy najpierw je rozpoznają, a potem w szczegółach zaplanują jak je wzmocnić. Pracują nad słabościami i pokonują je, bo można je pokonać.

— W Fazie Pierwszej także budujecie swoją opinię, a chyba nie chcecie uchodzić za ludzi, którzy idą po linii najmniejszego oporu? Chcecie, by wszyscy dookoła wiedzieli, że stale dążycie do perfekcji, że chcecie być coraz lepsi, że całkowicie można na was polegać, bo zawsze dajecie z siebie wszystko? Tak to się tutaj robi.

— I niech każdy z was pamięta o jednym: w tej sali tylko jeden człowiek wie czy wam się uda, czy poniesiecie klęskę - tym człowiekiem jest każdy z was. Do roboty, panowie. Dajcie z siebie wszystko.

Nielsen wyszedł, a pięć minut później stanęliśmy do raportu przed głównym dowódcą. Sześciu instruktorów wkroczyło do sali i otoczyło komandora marynarki, o którym wszyscy już słyszeliśmy. Był to urodzony w Brooklynie komandor Joe Maguire, niemal legendarny już Najlepszy z Grupy 93., były dowódca 2. Zespołu SEALsów. Kilka lat później został kontradmirałem, dowódcą SPECWARCOM (Dowódczwa Operacji Specjalnych). Najznakomitszy wojownik SEALsów. Walczył na całym świecie i był kochany przez wszystkich w Coronado, m.in. za to, że był szyczą, a zawsze pamiętał nazwisko każdego, choćby nawet najmłodszego rekruta. Ptzemówił do nas spokojnie, dając dwie bezcenne wskazówki. Zaznaczył, że zwraca się do tych, którzy szczerze pragną takiego życia i wytrzymają każdą udrekę, jaką zaserwują nam obecni w sali instruktorzy.

— Po pierwsze nie chcę, żebyście poddawali się presji chwili. Niezależnie od tego jak bardzo będziecie cierpieć, macie wytrzymać do końca dnia. Jeśli nadal będziecie czuć się źle, najpierw długo i dokładnie przemyślcie czy rzeczywiście chcecie zrezygnować. Po drugie, koncentrujcie się tylko na tym, co macie do zrobienia, dzień po dniu, zadanie po zadaniu.

- Kontrolujcie wasze myśli, nie pozwólcie im wybiegać w przyszłość. Nie planujcie rezygnacji tylko dlatego, że boicie się, że nie wytrzymacie do końca szkolenia. Nie myślcie o bólu, który was czeka. Skupcie się na tym, co dzieje się w danym momencie i na tym, jak wspaniała kariera was czeka.

Tak mówił komandor Maguire, człowiek, który pewnego dnia miał zostać zastępcą Szefa Sztabu Amerykańskich Operacji Specjalnych w Rejonie Pacyfiku (COMPAC). Odznaczony dwoma orłami komandor Maguire przelał na nas swoją najcenniejszą wiedzę.

Zamyśliłem się nad jego słowami na kilka chwil i nagle sufit spadł na nasze głowy. — Na ziemię! — to zagrział jeden z instruktorów, który właśnie postanowił ukarać wszystkich za jednego. — Widziałem jak jeden z was przysnął w czasie, kiedy mówił pan komandor. Jak śmiecie! Jak śmiecie zasypiać w obecności tak wielkiego człowieka?! Zapłacicie za to, chłopcy! Pompowaaać!

Przećwiczył nas ostro, zarządził chyba ze sto pompek i przysiadów, po czym przegonił w górę i w dół po wielkiej wydmie tuż przed obozem. Pieklił się przy tym, bo tempo mieliśmy już słabsze niż na torze przeszkód, głównie z powodu paraliżującego zmęczenia.

I tak już było aż do końca tygodnia. Wyścigi wpraw w zatoce, półtota kilometra jeden na jednego. Treningi na basenie, w maskach i płetwach oraz bez nich. Pewnego razu musieliśmy położyć się na plecach w płetwach, z maskami pełnymi wody i robić nożyce, trzymając cały czas głowy nad wodą. Ćwiczenia z pontonami też były wyczerpującym doświadczeniem - wynoszenie pontonów z oceanu biegiem przez fale, przewracanie, odwracanie, wiosłowanie do tyłu, do przodu, ciągnięcie pontonów po piachu, noszenie nad głowami...

I tak bez końca. W ciągu kilku dni straciliśmy ponad dwudziestu ludzi. Jeden tezygnował cały we łzach, bo po prochu nie mógł już więcej z siebie dać. Jego nadzieje, marzenia, jego życiowe plany zostały rozbite w pył na plaży Coronado. Ponad sześćdziesiąt razy zadzwonił dzwon przed drzwiami dowództwa. Za każdym razem, kiedy się odzywał, wiedzieliśmy, że tracimy cennego człowieka. Nie było już słabych ludzi po Indoc, więc kiedy tak mijał dzień po dniu, a dzwon dzwonił, jego

głos brzmiał coraz bardziej smutno i melancholijnie.

Czy to możliwe, że za kilka dni to ja, złamany, stanę tam, przed drzwiami dowódcy?

To było możliwe, bo wielu z tych ludzi nie miało zamiaru rezygnować jeszcze na kilka godzin, a nawet minut przed tym, jak zadzwonili. Po prostu coś tam, głęboko w nich, pękało. Nie mogli iść dalej i nawet nie wiedzieli dlaczego.

Nie pytaj komu bije dzwon, Marcus, bo ten skurwysyn może bić tobie. Albo komukolwiek z sześćdziesięciu paru twoich kumpli, którzy przetrzymali pierwszy tydzień Fazy Pierwszej. Za każdym razem, kiedy przechodziliśmy przez Młynek, mieliśmy przed oczami dowód — dwadzieścia hełmów leżących w rzędzie obok dzwonu. Każdy z tych hełmów nosił nasz przyjaciel albo kolega, czy nawet rywal, ale zawsze ktoś, z kim wspólnie cierpieliśmy.

Te porzucone hełmy przypominały nie tylko o tym, co Coronado może zrobić z człowieka, ale również — jak wielka chwała czeka tych, którzy się nie poddadzą. To dodawało mi siłę. Za każdym razem, kiedy spoglądałem na te hełmy, zaciskałem zęby i coraz wyraźniej dostrzegałem cel, do którego zmierzam. I wciąż, tak jak pierwszego dnia, czułem, że prędzej umrę niż się poddam.

W trzecim tygodniu Fazy Pierwszej czekało nas nowe wyzwanie, określane „Lądowaniem na skale”. To niebezpieczne i trudne zadanie polegało na dopłynięciu do skał sterczących z oceanu na wysokości słynnego Hotelu del Coronado i wylądowaniu na nich. Nie mam na myśli

zwykłego cumowania, ale desant, wyciąganie pontonu na skałę wśród rozbryzgujących się dookoła fal, na przekór oceanowi, który próbuje porwać ponton z powrotem.

Sądziłem, że dzięki wzrosrowi i sile, dam radę, ale tak naprawdę nikt z mojej załogi na coś takiego nie był gotowy. Wszystkiego musieliśmy się nauczyć w trakcie. Z całej siły wiosłowaliśmy w stronę tych olbrzymich skał, prosto w przybój, który się rozpryskiwał we wszystkich kierunkach.

W końcu dziób pontonu uderzył o skalny ząb. Dziobowy skoczył do przodu, chwycił skałę jedną ręką, a wokół drugiej ręki mocno okręcił cumę. To było jego zadanie: wyskoczyć na ląd, zacumować i tkwić jak kabestan, nie pozwalając, by łódź

odpłynęła. Dziobowy był bystrym chłopakiem, więc wcisnął się pomiędzy dwa głazy i zawołał do nas:

— Dziobowy bezpieczny!

Powtórzył jeszcze swój okrzyk, żebyśmy mieli pewność, jaka jest sytuacja. Niestety, ponton utknął wciśnięty dziobem między skały. Nie kołysał się na wodzie, za to był wystawiony na każdy bryzg fal rozbijających się za rufą. Nie mogliśmy dobić do brzegu skalnej wyspy.

— Woda, woda!!!

Krzyki naszego kapitana niewiele pomagały. Fale się rozbijały o ponton i przewalały nad nami. Na szczęście mieliśmy na sobie kamizelki ratunkowe. Najmniejszy z naszej załogi musiał wyskoczyć do wody i wytaszczyć wszystkie wiosła na suchy ląd.

Potem jeden po drugim opuszczaliśmy pokład i wspinaliśmy się po skałach, a nieszczęsny dziobowy walczył o życie wciśnięty między głazy, z przywiązaną do ręki łodzią. Żeby wynieść ponton na skały złapaliśmy uchwyty na burtach, ale dziobowy i tak musiał tuszyć pierwszy, by zająć pozycję nieco wyżej. Zawołał:

— Dziobowy rusza!

Zebrałem się w sobie i pociągnąłem z całych sił. W tym momencie fala zalała ponton i o mało nie zabrała nas wszystkich ze sobą. Wytrzymałiśmy.

- Dziobowy bezpieczny!

Na ten okrzyk ruszyliśmy razem pełną parą. Jeśli nie zluzowalibyśmy dziobowego przy kolejnej fali, wyszrrzeł-by spomiędzy skał jak torpeda. Cudem udało nam się pociągnąć naszą dziecinę w górę, wyciągnąć cało z wód Pacyfiku, wykiwać Mrocznego Żniwiarza i zanieść w bezpieczne miejsce wysoko na skały.

- Za wolno - orzekł instruktor, po czym usłyszeliśmy litanie wszystkich naszych błędów.

Ociągałiśmy się już od początku, dziobowy zbyt wolno gramolił się na skały, za długo wyciągałiśmy ponton, za długo smagały nas fale.

Instruktor kazał nam przenieść ponton na plażę, wykonać serię dwudziestu pompek, po czym wrócić tam skąd przybyliśmy, czyli na szczyt skał, spuścić łódź do wody,

dziobowy zabezpiecza, kiedy my prawie już toniemy... na pokład, ruszać się, zamknąć gęby i wiosłować. Pestka.

Koniec pierwszego miesiąca zasrał nas w bardzo podobnym stanie, w jakim go rozpoczęliśmy: ociekających słońną wodą, zziębniętych, zmęczonych i w mocno uszczuplonym składzie. Po czterech tygodniach instruktorzy mieli do podjęcia trudne decyzje. Oceniali, kto z nas jest najsłabszy, kto nie zaliczył jednego czy więcej testów. Spośród zdeterminowanych młodych ludzi, którzy prędzej by padli niż zrezygnowali, mieli wyłowić tych, którzy niewystarczająco dobrze pływali, za wolno biegali, byli słabi. Również tych chłopaków, którym zabrakło odporności, wytrzymałości, pewności siebie.

Trudno ich było odsyłać, ponieważ spisywali się najlepiej jak potrafili. Po prostu zabrakło im odrobiny iskry bożej, koniecznej, by służyć w SEALsach. Przez kilka następnych lat niektórych instruktorów całkiem nieźle poznałem i o weryfikacji w Fазie Pierwszej, tuż przed Tygodniem w Piekło, wszyscy mówili to samo:

- Ciężko to przeżywaliśmy. Nikt z nas nie chciał łamać dzieciakom serc.

Niestety, nie mogli pozwolić by ci słabsi, nie rokujący nadziei rekruci przeszli do następnej, sześciodniowej fazy szkolenia. To miało być najtrudniejsze spośród szkoleń prowadzonych we wszystkich siłach zbrojnych na całym świecie. Nie mam tu na myśli świata zachodniego, ale cały świat jako taki. Może tylko brytyjska SAS organizuje coś porównywalnego z Tygodniem w Piekło.

Po weryfikacji na zakończenie pierwszych czterech tygodni zostało nas już tylko pięćdziesięciu czterech. Pięćdziesięciu czterech z dziewięćdziesięciu ośmiu, którzy zaczęli. Grupa 226, jak wszystkie inne grupy, miała rozpocząć Tydzień w Piekło w niedzielne południe.

Wcześniej, w piątek wieczorem, zebraliśmy się w sali konferencyjnej, by ponownie wysłuchać komandora Maguire'a, któremu Towarzyszyło kilku instruktorów i dowódców.

— Jesteście gotowi na Tydzień w Piekło? — zapytał z uśmiechem.

— Uu-ja!

— Znakomicie — odrzekł. — Ponieważ macie przed sobą bardzo dokładny i bolesny



sprawdzian. Każdy z was przekona się, na ile naprawdę go stać. Na każdym kroku będziecie musieli wybierać - skapitulować przed bólem i zimnem czy iść dalej. Decyzja zależy tylko od was. Nie będzie już zaliczeń i testów. Już nie my decydujemy czy przechodzicie dalej, czy nie. Będę tu za tydzień i chcę uścisnąć dłoń każdemu z tutaj obecnych.

Z szacunkiem powstaliśmy, kiedy z sali wychodził komandor Maguire, bożyszcze Coronado, człowiek, który reprezentował dumę z osiągnięcia najlepszych rezultatów i wiedział, co jest najważniejsze w służbie i w życiu. Był ponadczasowym dowódcą. Chwilę później dowiedzieliśmy się, co mamy przygotować na niedzielę — sprzęt, wyposażenie, suche mundury na zmianę i trochę cywilnych ubrań, które miały zostać zapakowane i przechowane, żeby chłopcy, którym się uda przetrwać, mieli co na siebie założyć, kiedy będzie już po wszystkim. Ci, którzy zrezygnują na własne życzenie, będą mogli je odebrać, kiedy będą odchodzić.

Instruktor polecił nam, żebyśmy przez cały weekend dużo jedli i dodał, że niedzielny wieczór spędzimy zamknięci w tej sali, a pidżamy nie będą nam potrzebne; - Będziecie i tak zbyt przejęci, żeby zasnąć - stwierdził wesoło. - Zbierzcie się tutaj, zrelaksujcie, pogłóżcie filmy i przygotujcie się.

Na tablicy ogłoszeń wisały oficjalne założenia dotyczące piątego tygodnia Fazy Pierwszej:

„W czasie Tygodnia w Piekło rekruci wykażą się takimi cechami charakteru jak determinacja, odwaga, poświęcenie, gotowość do współpracy i przewodzenia grupie oraz niezłomnością i wytrwałością w trudnych warunkach, w obliczu zmęczenia i stresu”.

Czyli chodzi o to, że mamy podjąć wyzwanie, tak? Prawie. Tydzień w Piekło okazał się o wiele gorszy, niż można było przypuszczać.

Weekend zszedł nam na przygotowaniach, a w niedzielę, 18 lipca, zebraliśmy się w sali konferencyjnej. Znalazło się tam również dwudziestu czterech nowych instruktorów, przybyłych z innych części obozu Coronado. Aż tylu instruktorów trzeba, żeby przeprowadzić jedną grupę przez Tydzień w Piekło. Do tego dochodzą

jeszcze lekarze, logistycy i wsparcie. Cała ta załoga pracuje przy najtrudniejszym teście fizycznym, przez jaki przechodzi elita żołnierzy Marynarki Wojennej.

Tak rozpoczęła się Izolacja w PrzedSIONKU Piekła: nikt nie może wyjść, przez całe popołudnie siedzimy i czekamy. Mamy przy sobie nasze marynarskie worki, a papierowe torby z suchymi ubraniami, oznaczone nazwiskami, stoją w rzędzie.

Późnym popołudniem dostarczają nam pizzę, całą masę pizzy.

Na zewnątrz cisza. Nikt się nie kręci, nie ma paroli, ani innych rekrutów. Wszyscy w bazie wiedzą, że właśnie zaczyna się Tydzień w Piekło dla Grupy 226. Nie chcę powiedzieć, że to był już przejaw szacunku dla poległych, ale mniej więcej to mam na myśli.

Pamiętam, że tamten dzień był gorący. W sali musiało być około 30 stopni Celsjusza. Ubrani byliśmy jak w każdą niedzielę, na luzie i wyglupialiśmy się ile weszło, czując że coś się w końcu musi wydarzyć. Na ekranie leciały filmy i tak nam mijały godziny. W powietrzu czuło się rosnące napięcie. Czekaliśmy na sygnał do startu.

Tydzień w Piekło zaczyna się szaleństwem zwanym Wybuchem i kiedy w końcu on nastąpił, usłyszeliśmy o wiele więcej niż pistolecik startowy.

Nie powiem wam dokładnie, która była godzina, ale już po 20:30, a jeszcze przed 21:00. Nagle usłyszeliśmy głośny okrzyk i ktoś z zewnątrz z kopa otworzył na oścież boczne drzwi. Bum! Facet z karabinem maszynowym. Za nim dwóch następnych.

Wpadli do sali i zaczęli strzelać z biodra. Światło zgasło, a ci goście dosłownie zasypali nas gradem pocisków — miałem nadzieję, że to ślepaki.

Kiedy drugie drzwi wpadły do środka razem z trzema kolejnymi napastnikami, powietrze już tylko przeszywały strzały i dźwięk gwizdków. Mogliśmy zrobić tylko jedno - rzuciliśmy się na podłogę, przyjmując pozycję ochronną: leżenie na brzuchu, nogi skrzyżowane, uszy zasłonięte dłońmi.

— Na pokład! Głowy w dół! Wchodzimy!

Wtem rozbrzmiał nowy głos - donośny i wyraźny. Było całkiem ciemno, nie licząc momentów, gdy z luf karabinów leciały iskry, więc instruktora Mruka rozpoznałem tylko po głosie:

- Witamy w Piekło, panowie.

Przez następne kilka minut nie słyszałem niczego poza ogłuszającą strzelaniną. To musiały być ślepaki, inaczej połowa z nas już by nie żyła, ale uwierzcie mi - hałasowały jak prawdziwe, ostre naboje. Instruktorzy strzelali z M43. Krzyki zagłuszały gwizdki, a gwizdki zagłuszał terkot karabinów.

Po tych kilku minutach atmosfera w sali stała się nie do zniesienia. Powietrze przesiąknięte było wonią kordytu, a ciemność przerywana jedynie błyskami strzałów. Przyciskałem głowę do podłogi. Między nami przechodzili instruktorzy, uważając jednak, żeby gorące łuski nie lądowały nam na skórze.

W pewnym momencie zapadła cisza. Po kilku sekundach rozdarł ją krzyk, najwyraźniej skierowany do nas:

— Wszyscy na zewnątrz! Ruszać się! Dalej! Dalej! Ruchy! Dźwignąłem moje ciało z podłogi i dołączyłem do

tłumu, pędzącego w kierunku drzwi. Dobiegliśmy do Młynka, gdzie zapanował obłądny harmider: strzelanina, niekończące się wrzaski i znowu gwizdki. Ponownie padliśmy przyjmując pozycję ochronną. W beczkach ustawionych dookoła Młynka automatyczne zapalniki odpalały pociski. Nie mam pojęcia, gdzie w tym czasie znajdował się komandor Maguire, ale gdyby był z nami, zapewne pomyślałby, że znów jest w środku jakiejś bitwy. Przynajmniej gdyby zamknął oczy, mógłby tak pomyśleć.

Chwilę później instruktorzy otworzyli prawdziwy ogień, ale tym razem nie z karabinów, a z pomp wodnych. Strzelali w nas silnymi strumieniami, które przewracały każdego, kto próbował się podnieść. Dookoła pełno było wody, niewiele widzieliśmy. Nie słyszeliśmy też nic poza strzałami i wybuchami pocisków artyleryjskich.

Ćwiczenie bojowe odbywało się w totalnym chaosie, wstód strumieni wody bijącej w nas pod ciśnieniem, ogłuszających eksplozji i wrzeszczących instruktorów:

— Czołgać się w kierunku gwizdka, ludzie! Czołgać się! I trzymać te cholerne głowy nisko!

Niektórzy całkowicie stracili orientację. Jeden z kumpli nawet rzucił się do ucieczki,

prosro przez plażę do oceanu. Znałem go bardzo dobrze, pomyślałem więc, że oszalał. Tkwiliśmy w środku symulowanej bitwy o Normandię, w sytuacji, która wyzwaliała sporą dawkę paniki, jako że nikt z nas nie wiedział, co się dzieje i co możemy zrobić poza leżeniem na ziemi.

Instruktorzy spodziewali się tego. Zdawali sobie też sprawę, że wielu z nas już bardzo osłabło. Jednak nie ja.

Zawsze dobrze znosiłem zamieszanie i byłem pewien, że jednak nie zamierzają nas pozabijać. Instruktorzy wiedzieli, że nie wszyscy trzymają się tak jak ja, więc chodzili pomiędzy leżącymi i namawiali nas do rezygnacji „dopóki jeszcze jest na to czas”:

- Musicie tylko zadzwonić w ten tam dzwoneczek. Kiedy leżąc w ciemnościach, zziębnięty i przemoczony do suchej nitki, za bardzo przerażony by wstać, odwark-nąłem jednemu z nich, żeby wsadził sobie ten dzwoneczek w dupę, usłyszałem tylko wybuch śmiechu. Nigdy nie powtórzyłem tego numeru i dopiero teraz, po raz pierwszy, przyznaję się, że to zrobiłem. Widzisz? Nawet w tym otepiającym pierdolniku pozostałem przemądrzałym Marcusem.

W końcu byliśmy już całkowicie ogłupiali i zdezorientowani. Po prosru staraliśmy się pozostać na Młynku. W tym momencie zadźwięczała w mojej głowie mantra o współpracy. Nie chciałem być w tym piekle sam, chciałem wiedzieć, że moi przemoczeni towarzysze są ze mną, bez względu na to, co do cholery mielibyśmy razem zrobić.

Wtedy usłyszałem głos, który orzekł, że brakuje jednego z nas. Na to inny głos, ostry i stanowczy, brzmiący jak głos Najwyższego Bossa Joe Maguire'a, odparł poważnie:

- Jak to „brakuje jednego”? Przeliczyć natychmiast! Na rozkaz skoczyliśmy na nogi i przeliczyliśmy, jeden

po drugim, aż doszliśmy do pięćdziesięciu trzech. Jednego brakowało. O żesz...! Było źle. Naprawdę poważna sytuacja, nawet ja to rozumiałem. Część grupy została wysłana na poszukiwania. Kilku dostrzegło z plaży zaginionego chłopaka, szamoczącego się rozpaczliwie wśród fal przyływu.

Ktoś wrócił szybko na Młynek z raportem. Usłyszałem jak jeden z instruktorów rzucił:

- Wszyscy do oceanu. Później zrobimy z wami porządek. Ja zwykle pobieглиśmy na plażę, zostawiając za sobą strzelaninę i całe to wariatkowo. Wbiegliśmy do lodowatego Pacyfiku. Był już chyba środek nocy, a my jak zawsze byliśmy zbyt przemoczeni i zmarznięci, żeby się tym przejmować. Kiedy jednak wywołali nas wody, stało się coś innego niż zazwyczaj. Znow usłyszeliśmy gwizdki, a to oznaczało, że mamy się czołgać w ich kierunku, tylko już nie po gładkim betonie, a po miękkim piachu.

Momentami wyglądaliśmy jak piaskowe żuki łązące po wydmach. Raz po raz powietrze przeszywały gwizdy, a my czołgaliśmy się i czołgaliśmy. Moje łokcie zaczynały palić i szczypać, a i kolana nie były w lepszym stanie. Czulem, że mam skórę zdartą do krwi, ale parłem przed siebie, aż usłyszałem kolejną komendę. Instruktorzy rozkazali nam wracać do oceanu, tym razem na głębszą wodę. Mieliśmy tam pozosrać zanurzeni na maksymalnie 15 minut, bo woda miała temperaturę około 15 stopni. Tkwiliśmy w wodzie trzymając się za ręce, aż wywołali nas na kolejne czołganie przy dźwiękach gwizdków.

Potem kazali nam wracać do wody i robić nożyce, trzymając głowy pod wodą. Potem kolejne gwizdki i czołganie, i do wody na 15 minut. W pewnym momencie, stojący obok mnie jeden z najlepszych ludzi w grupie, oficer i dowódca załogi pontonu, szybki biegacz i świetny pływak - nagle się poddał.

To był szok. Sytuacja wyglądała tak: inny oficer, kolega z jego załogi, ruszył za nim biegiem przez plażę, namawiając go na powrót. Instruktorowi powiedział, że bierze za tamtego odpowiedzialność, że on tak naprawdę nie chciał zrezygnować - „Nie, sir!”. Instruktor dał chłopakowi szansę, powiedział, że nie jest jeszcze za późno, że może wracać do wody.

Jednak decyzja zapadła i umysł tego człowieka już był zamknięty na namowy. Szedł sztywno, prosto przed siebie. Instruktor tylko rzucił za nim, żeby wsiadł do wozu zaparkowanego tuż przy ambulansie. Zapytał też chłopaka, który tamtego namawiał,

czy on też chce zrezygnować. Usłyszeliśmy krótkie: „Nie!” i już widzieliśmy go jak pędzi przez plażę do nas, do oceanu.

Temperatura wody zdawała się spadać, kiedy tak kolejne minuty drepraliśmy pomiędzy falami. W końcu wywołali nas i znowu usłyszeliśmy gwizdki.

Zanurkowaliśmy przez fale do brzegu. Czołgaliśmy się, czując swędzenie i pieczenie. Nagle pięciu ludzi zrezygnowało i zostali odesłani do wozu. Nic z tego nie rozumiałem, przecież robiliśmy takie rzeczy już od jakiegoś czasu. Było źle, ale na litość boską, nie aż tak źle. Pomyślałem, że ci goście przestraszyli się tego, co nas czeka w kolejnych pięciu dniach, czyli zrobili dokładnie to, przed czym przestrzegał komandor Maguire.

Tak czy inaczej, reraz mieliśmy zabrać pontony i wypłynąć na ocean, a to zrobiliśmy bez problemu. Niestety potem kazali nam wiosłować setki metrów, przewracać pontony dnem do góry i z powrotem, pływać z nimi wplaw, chodzić z nimi i biegać, czołgać się, żyć i umierać. A byliśmy już tak zrębani, że było nam wszystko jedno. Ledwo docierało do nas gdzie jesteśmy. Po prostu miotaliśmy się na krwawiących kolanach i łokciach, dopóki nie wywołali nas z wody.

Myślę, że było tuż przed północą, ale równie dobrze mógł to być bożonarodzeniowy poranek. Zmienili nam zabawę na dźwiganie kłody w wodzie. W całej historii świata żaden kawał drewna, może z wyjątkiem Krzyża, który dźwigał Chrystus, nie był cięższy niż ta nasza trzymetrowa kłoda, którą taszczyliśmy przez wody Pacyfiku. Po wszystkich wcześniejszych zmaganiach to było coś, co mogłoby złamać każdego. Trzech ludzi odeszło.

Wreszcie instruktorzy wpadli na całkiem nowy i wielce oryginalny pomysł. Kazali nam chwycić pontony i pokonać z nimi tor przeszkód, przenosząc łodzie nad każdą z tych przeklętych przeszkód. Jeszcze jeden z nas zrezygnował i tak pozostało czterdziestu sześciu.

Następnie mieliśmy przystąpić do lądowania na skałach, więc czym prędzej pokonaliśmy plażę i zwodowaliśmy pontony. Przez fale, na szczęście niewielkie, przeszliśmy jak profesjonalści. Dalej zasuwaliliśmy z całych sił, aczkolwiek lecąc już na oparach, w

kierunku skał przy Hotelu del Coronado. Naszą załogą dowodził teraz mój partner, Matt McGraw. Dopłynęliśmy do celu i uderzyliśmy w skałę. Nasz dziobowy skoczył na nią, jakby chodziło o jego życie, i pociągnął linkę cumowniczą. Unieruchomiliśmy ponton za pomocą wiosł i już myślałem, że idzie nam świetnie.

Nagle, o cholernej drugiej nad ranem, instruktor stojący na szczycie skał, krzyknął do kapitana naszej załogi:

- Ty! Tak, do ciebie mówię. Właśnie uśmierciłeś całą swoją załogę. Przestańcie wchodzić pomiędzy ponton a skały!

Wiedzieliśmy, co to znaczy. Wyciągnęliśmy łódź z wody, przenieśliśmy na skały i dalej na plażę. Instruktor zaordynował nam dwie serie pompek i odesłał z powrotem do wody. Jeszcze dwukrotnie przypuszczaliśmy szturm na skały. Powolnie i niezdarnie, jak sędzę, bo instruktor nieustannie wydzierał się na nas jak opętany. Na koniec musieliśmy przebiec z pontonem wzdłuż plaży, zostawić go i wbiec do oceanu, zrobić serię nożyc, poprawić pompkami i przysiadami. Dwóch kolejnych odpadło.

Zdarzyło się to tuż obok mnie, słyszałem więc wyraźnie jak instruktorzy namawiali tych ludzi do przemyślenia decyzji. Gdyby chcieli, mogliby zostać i wrócić do wody. Jeden z nich zawahał się. Oświadczył, że może zostać, jeśli ten drugi też zostanie.

Niestety tamten wymiękł:

- Mam dość tego gówna - odparł. - Spieprzam stąd.

I tak odeszli razem. Instruktor robił wrażenie jakby miał to w dupie. Później zrozumiałem, że kiedy człowiek rezygnuje, ale dostaje szansę i zostaje, nigdy nie udaje mu się dokończyć szkolenia i każdy instruktor o tym wie. Jeśli człowiek, choć raz pomyśli o biciu w dzwon, nie nadaje się na Fokę.

Myślę, że zwarpienie od początku tkwi w takim człowieku. Zrozumiałem to zjawisko tej pierwszej nocy Tygodnia w Piekło, kiedy dyszałem, pocilem się i traciłem siły. Zrozumiałem to, ponieważ taka myśl nigdy nie zagościła w mojej głowie. Dopóki słońce wstaje na wscho-

dzie, cały ból w Coronado nie wsączyłby tej trucizny w mój umysł. Mógłbym zemdleć, dostać ataku serca albo zostać rozszrzelanym przez pluton egzekucyjny, ale

nigdy bym nie zrezygnował.

Jak tylko ci dwaj odeszli, wróciliśmy do zajęć. Zarzuciliśmy pontony na głowy i pobieглиśmy z nimi do kantyny. Kolejne półtora kilometra w nogach. Po tej przebieżce byłem tak samo bliski omdlenia jak zawsze, ale musieliśmy jeszcze zrobić serię pompek i ponownie podrzucić pontony nad głowy. Zapewne po to, by nabrać apetytu. Ostatecznie pozwolili nam zjeść śniadanie. Straciliśmy dziesięciu ludzi przez ostatnie dziewięć godzin. Dziewięć godzin odkąd rozpoczął się dla nas Tydzień w Piekło. Dziewięć godzin od momentu, kiedy ci wrzeszczący uzbrojeni faceci wykurzyli Grupę 226 z sali konferencyjnej. Dziewięć godzin od czasu, kiedy ostatni raz czuliśmy się suchymi, mniej więcej normalnymi ludźmi.

Tym, którzy nie mogli wytrzymać, z pewnością te dziewięć godzin zmieniło punkt widzenia na życie i świat. Miałem też wątpliwości czy ktokolwiek z nas, pozostałych, będzie jeszcze kiedykolwiek taki jak wcześniej.

W jadalni zobaczyłem, że niektórzy są w szoku. Siedzieli i gapili się tępo w talerze, niezdolni do jakiegokolwiek ruchu. Ze mną, na szczęście, było inaczej. Czulem tylko, że zaraz umrę z głodu. Rzuciłem się więc na te smakowite jajka, tosty i kielbaski, delektowałem się każdym kęsem i rozkoszowałem wolnością od wrzasków i rozkazów instruktorów.

Dobrze zrobiłem, że wykorzystałem ten moment. Siedem minut po tym, jak skończyłem jeść, pojawiła się nowa grupa ujadających instruktorów.

- Dobra dzieciaki, wynocha stąd! Idziemy na zewnątrz! Natychmiast! Ruszać się! Ruchy! Ruchy! Ruchy! Zaczniemy dzionek po bożemu!

Zaczniemy dzionek! Co ten koleś, zwariował? Przecież byliśmy przemoczeni, uwalani piachem. Mordowaliśmy się już przez całą noc.

I w tym momencie dotarło do mnie w końcu: nie było litości w tym tygodniu. To było Piekło i wszystko, co wcześniej o nim słyszeliśmy, było prawdą. Myślisz, że jesteś twardzielem, chłopcze? No to chodź i nam to udowodnij.

Rozdział 5 Szczątki rozgromionej armii

Pomagaliśmy sobie nawzajem przebrnąć przez wydmy. Podnosiliśmy tych, którzy upadli, podtrzymywaliśmy tych, którzy nie mogli iść... Chrzest bojowy, który powalił



połowę Grupy 226 skończył się... Nikt z nas nie przypuszczał wcześniej, że będzie aż tak ciężko.

Ustawiliśmy się przed kantyną i zarzuciliśmy pontony nad głowy. Teraz już było oczywiste, że bez nich nigdzie się nie ruszymy. Tak jak bankierzy noszą swoje teczki, modelki zabierają wszędzie swoje torebeczki, tak my spacerowaliśmy z łodziami nad głowami. Taka moda w Piekło.

Muszę przyznać, że poza pierwszymi trzydziestoma godzinami, słabo pamiętam pozostałe pięć dni. Nie chodzi o to co się działo, ale o to w jakiej kolejności. Kiedy zbliżasz się do czterdziestej bezsennej godziny, twój umysł zaczyna płać figle.

Zamienia przelatujące przez niego myśli w rzeczywistość. Potrząsaszesz głową, żeby nie zasnąć i nagle zastanawiasz się, gdzie do diabła jesteś. Dlaczego twoja mama trzyma wielki, soczysty stek i wiosłuje nim siedząc obok ciebie.

To pierwsze objawy prawdziwych halucynacji, takie pół-haluny. Przychodzą powoli. Z czasem stają się coraz głębsze. A pamiętajcie, że instruktorzy robią wszystko żebyśmy nie zasnęli. Dostawaliśmy piętnastominutowe dawki ciężkich ćwiczeń fizycznych przed i po śniadaniu. Biegaliśmy do oceanu szybko i często. Woda była lodowata, a za każdym razem, kiedy ścigaliśmy się przez wielkie fale z pozostałymi czterema załogami, dostawaliśmy rozkaz przewracania łodzi. Ściągaliśmy sobie te cholery na głowy, stawialiśmy, włączaliśmy z powrotem i dalej wiosłowaliśmy do mety.

Nagrodą dla zwycięzców zawsze był odpoczynek i właśnie dlatego tak bardzo się staraliśmy. To samo było z sześciokilometrowymi biegami. Byliśmy coraz wolniejsi, czasy rosły nam powyżej 32 minut. Instruktorzy udawali, że są na nas wściekli, zupełnie jakbyśmy nie byli bliscy wyczerpania. Do poniedziałkowego wieczora zaliczyliśmy już trzydzieści sześć godzin mordęgi bez snu i zasuwaliliśmy dalej.

Większość z nas przetykała wczesny obiad jak zombie. Zaraz po obiedzie wymaszerowaliśmy z jadalni po kolejne rozkazy. Pamiętam, że trzech gości wtedy zrezygnowało. Wszyscy w jednej chwili. Zostało nam już tylko sześciu z dwunastu oficerów, których mieliśmy w grupie na początku szkolenia.

Pattząc na jednego z nich, chłopaka którego dobrze znałem, pomyślałem, że są w podobnym stanie jak dwanaście godzin wcześniej. Może trochę bardziej zmęczeni, ale przecież nie robiliśmy w tym czasie nic nowego, wszystko było już prawie rutyną. W moim przekonaniu nie posłuchali rad, które dostaliśmy od komandora Maguire'a. Nie koncentrowali się wyłącznie na zadaniu do wykonania, nie byli tu i teraz. Dopuścili do siebie strach przed bólem i udręką, jakie na nas dopiero czekały. A Maguire przecież mówił, żeby nigdy tego nie robić. Żeby żyć tylko chwilą obecną i nie zerkać w przyszłość. Posuwasz się do przodu, aż znajdziesz schronienie. Myślę, że kiedy mówi do człowieka legenda SEALsów, bohater wojenny, lepiej wziąć sobie jego słowa do serca. Zasłużył na prawo wypowiedzania takich słów i podzielił się z nami bezcennym doświadczeniem. Tak jak uczył mnie Billy Shelton - nawet najdrobniejsza sugestia jest ważna.

Nie mieliśmy czasu na opłakiwanie kolegów. Na rozkaz instruktorów pomaszerowaliśmy do miejsca zwanego Stalowym Molo, używanego dawniej do treningów przez 1. Zespół SDV, zanim przenieśli się na Hawaje. Słońce dawno już zaszło, a woda była bardzo zimna, ale na rozkaz wskoczyliśmy do niej i pozostaliśmy tam przez piętnaście minut.

Kiedy wyszliśmy na suchy ląd, odpracowaliśmy solidną porcję ćwiczeń gimnastycznych. To mnie trochę rozgrzało, ale nadal mimowolnie szczekałem zębami. Niestety znowu musieliśmy wskoczyć do wody na piętnaście minut, najdłużej jak można było wytrzymać nie łapiąc hipotermii. Te drugie piętnaście minut już mnie trochę przeraziło. Czulem, że mogę w każdej chwili stracić przytomność na skutek wyziębienia.

Niedaleko stał ambulans przygotowany na taką ewentualność, ale szczęśliwie wszyscy wytrzymaliśmy. Dokładniej, większość z nas — jeden z oficerów wyskoczył z wody przed czasem i zrezygnował ze szkolenia. Był tym faktem tak samo zdumiony jak my Instruktor od razu pozwolił mu odejść i kontynuował odliczanie czasu naszego zanurzenia.

Kiedy wreszcie znaleźliśmy się na dobre na suchym lądzie, nie mieliśmy siły nawet mówić, a jeszcze czekała nas kolejna porcja gimnastyki i powrót do wody. Nie

pamiętam już na jak długo tym razem - może pięć, a może dziesięć minut. Czas po prostu przestał dla mnie płynąć. Instruktorzy zauważyli już, że jesteśmy u kresu wytrzymałości, przynieśli nam więc kubki z gorącym bulionem. Trząśłem się tak bardzo, że ledwo urzymałem kubek w dłoniach.

Nic nigdy nie smakowało mi lepiej niż ten rosółek. Możliwe, że znowu ktoś wtedy odpadł, ale nie zwracałem już na to uwagi. Nie zauważyłbym nawet, gdyby rezygnował sam komandor Maguire. Wiedziałem tylko tyle, że została już tylko połowa z tych, którzy zaczęli Tydzień w Piekło. Pora robiła się już późna, a końca nie było widać. Mieliśmy obsadę jeszcze na pięć pontonów, więc instruktorzy przerasowali załogi i rozkazali wiosłować do Turners Field, czyli do wschodniego skrzydła bazy.

Tam, z pontonami nad głowami, zrobiliśmy wielką pętlę biegiem, po czym instruktorzy urządzili nam wyścig już bez pontonów. Po zawodach spędziłem sporo czasu w wodzie. Pod koniec tego moczenia, chłopaka z pierwszej załogi, twardego jak skała Teksańczyka, powalił chyba atak wyrostka robaczkowego. Cokolwiek to było, do mnie już nic nie docierało. Zapomniałem nawet jak mam na imię. Karetka zabrała mnie do ambulatorium na kontrolę.

Kiedy odzyskałem przytomność, zeskoczyłem z leżanki i wróciłem na zajęcia. Nawet nie pomyślałem o rezygnacji. Pamiętam, że instruktorzy pogratulowali mi moich nowych, ciepłych, suchych ciuchów, po czym wysłali prosto do oceanu.

- Zmocz się trochę i wytarżaj w piachu. Żebyś nie zapomniał, co tutaj robimy.

Od godziny 2:00 nad ranem biegaliśmy dookoła obozu z pieprzonymi pontonami nad głowami. Dopiero o 5:00 zwolnili nas na śniadanie, po którym wtorek rozwijał się zupełnie tak samo jak poniedziałek. Bez snu, w przenikającym zimnie i dezorientacji spowodowanej zmęczeniem. Kiedy zakończyliśmy wiosłowanie przez 4,5 kilometra do North Island i z powrotem, był już późny wieczór, a my mieliśmy za sobą ponad sześćdziesiąt godzin bez snu.

Wydłużała się też lista odniesionych ran: rozcięcia skóry, zwichnięcia kończyn, pęcherze, zadrapania, siniaki, naderwane mięśnie i chyba ze trzy przypadki zapalenia

płuc. Zasuwaliliśmy dalej przez całą noc, zrobiliśmy jeszcze 10 kilometrów wiosłując i dotarliśmy na śniadanie

O 5:00. Była już środa. Nie spaliśmy od trzech dni, ale nikt więcej już nie rezygnował.

Cały poranek spędziliśmy w oceanie, na zmianę pływając i wiosłując, po czym bieглиśmy wzdłuż plaży. W południe kazano nam zanieść ponrony do kantyny, po czym pozwolono nam iść spać do namiotu na godzinę

1 45 minut. Zostało nas trzydziestu sześciu.

Niewielu skorzystało z krótkiego snu. Niektórzy z nas nie mogli zasnąć, w tym ja. Innym, rym którzy odnieśli rany, lekarze próbowali pomóc, rak żeby od razu mogli wrócić do gry. Najwięcej problemów było ze ścięgnami i stawami biodrowymi, a wszyscy potrzebowaliśmy ćwiczeń rozciągających, aby przywrócić mięśniom sprężystość ptzed kolejnym dniem otki.

Pojawiła się świeża zmiana instruktorów. Wrzaskiem zmusili nas do wstania i wyjścia z namiotu. Równie dobrze mogliby wbiec na środek cmentarza i próbować obudzić nieboszczyków. Do śpiących powolutku docierał najgorszy koszmar - zaczynaliśmy od nowa. Ktoś znowu zmuszał nas do wysiłku.

Na początek wysłali nas do oceanu, gdzie dotarliśmy potykając się, czołgając i staczając z piaszczystej wydmy, wprost do lodowatej wody. Przez nasępne 15 minut torturowali gimnastyką w wodzie, wywołali na plażę, nakazali zarzucić pontony nad głowy i pomaszerować do kantyny.

Przeganiiali nas tak przez całą noc, do wody i z wody, kazali maszerować po plaży w tę i z powrotem, Bóg wie ile kilometrów. Wreszcie około 4:00 nad ranem pozwolili nam się zdrzemnąć. Wbrew naszym pesymistycznym oczekiwaniom, po pobudce zanieśliśmy łodzie do kantyny i zjedliśmy śniadanie. Niestety po śniadaniu nie mieli już litości — urządzili wyścigi na pontonach, tyle że bez wiosła. Wiosłowaliśmy więc gołymi rękami, a później popychaliśmy pontony płynąc wpław, jeden przy drugim. Środa niepostrzeżenie przeszła w czwartek, byliśmy więc już na ostatniej prostej Tygodnia w Piekło. Czekał nas jeszcze legendarny „Wyścig dookoła świata”, największe wyzwanie całego tego tygodnia. Około 19:30 wsiedliśmy do pontonów i

wyruszyliśmy na ocean z Centrum Operacji Specjalnych. Opłynęliśmy północny kraniec wyspy i skierowaliśmy łodzie przez Zatokę San Diego z powrotem do bazy desantowej. Żadna noc, w całym moim życiu, nie trwała dłużej niż ta.

Niektórzy mieli już poważne halucynacje, więc zastosowaliśmy taki system: jeden śpi, podczas gdy trzech po-zosrałych wiosłuje. Nie potrafię wyrazić jak bardzo byliśmy przemęczeni. Każde światelko zamieniało się w ogromny budynek stojący przed nami na wodzie, a każda przypadkowa myśl stawała się w mgnieniu oka rzeczywistością. Kiedy myślałem o domu, a myślałem dużo, wydawało mi się, że wiosłuję prosto na bramę ran-cza. Jedynym błogosławieństwem tej nocy było to, że nasze ubrania nadal pozostawały suche. Pewien chłopak z naszej załogi był tak blisko całkowitego wycieńczenia, że w pewnym momencie po prostu fiknął do wody i wciąż trzymając wiosło uderzał nim automatycznie, jakby nadal popychał łódkę do przodu. Wciągnęliśmy go z powrotem na pokład, a on nawet nie zauważył, że właśnie spędził pięć minut w wodach Zatoki San Diego. Myślę, że pod koniec tej nocy wszyscy już spaliliśmy, oczywiście nadal wiosłując.

Po trzech godzinach zawołali nas na brzeg na kontrolę lekarską i podali gorącą zupę. Po tej przerwie kontynuowaliśmy rejs, aż do 2:00 nad ranem w piątek, kiedy od strony plaży usłyszeliśmy dźwięki rogu. Każdy z nas zapamięta ten moment do końca życia. Jeden z tych skurwieli jeszcze krzyknął: „Przewrócić łódź!”.

Kopali leżącego, ale trzymaliśmy gęby na kłódkę. W przeciwieństwie do pewnego rekruta, który zasłużył sobie na wieczną hańbę najbardziej chamską odpowiedzią, jaka kiedykolwiek padła pod adresem instruktora. Nie było „Uu-ja, instruktorze Patstone!” (Terry Patstone był świetnym facetem, bardzo wymagającym, ale sprawiedliwym). Ten szalony, machający wiosłem głupek odkrzyknął: „Ni ch-uu-ja!”, a jego okrzyk rozniósł się echem po oceanie. Skwitowany został jedynie wybuchem śmiechu nocnej zmiany instruktorów. Rozumieli nas, więc nigdy później już o tym nie wspomnieli.

Tak więc pokornie ześlizgnęliśmy się po burcie do mroźnych wód oceanu, przewróciliśmy ponton do góry dnem i z powrotem, potem wspięliśmy się na pokład,

oczywiście już przemoczeni, i złapaliśmy za wiosła. Miałem w głowie jedną myśl, której uczepiłem się na dobre. Każdy kto przed nami został Foką ukończył taki rejs, więc my też tego dokonamy.

Do plaży dotarliśmy w piątek około 5:00 rano. Instruktor Patstone wiedział doskonale, że chcemy już tylko rzucić pontony i pójść się najeść. Miał jednak inne plany. Rozkazał nam podnosić i opuszczać łodzie. Następnie zaproponował pompki z nogami na burtach. Trzymał nas na plaży jeszcze pół godziny, zanim pozwolił ruszyć do kantyny na śniadanie. Zjedliśmy w pośpiechu, bo już gonili na zewnątrz. Ranek wypełniły długodystansowe wyścigi pontonów i serie koszmarnych męczarni na dołach ćwiczebnych. Są to wypełnione szlamem, mułem i śmierdzącą morską pianą kanały, które pokonywaliśmy przeciągając się po dwóch linach zawieszonych nad powierzchnią, a nie było sposobu na to, żeby nie spaść. Na domiar złego wmówili nam, że jest czwartek a nie piątek. Cała zabawa przebiegała w warunkach bojowych — strzały, dym, druty kolczaste, a my suniemy, raz po raz wpadając do cuchnącej mazi.

Wreszcie instruktor Burns odesłał nas do oceanu, cały czas powtarzając jacy powolni jesteście, jak wiele jeszcze przed nami tego dnia i jak bardzo żałuje, że to jeszcze nie koniec szkolenia Grupy 226. Lodowata woda zmroziła nas prawie na kość, ale przynajmniej oczyściła z błota i już po dziesięciu minutach Burns zawołał wszystkich na plażę.

Naprawdę nie mieliśmy pojęcia czy to czwartek, czy piątek. Jedni padali na piach nieprzytomni, inni sterczeli jak słupy, nie czując nic poza lękiem przed następnymi godzinami, zastanawiając się czy przeżyją. Ja należałem do tych dtugich. Kolana mi się trzęsły, ścięgna pulsowały. Myślę, że żaden z nas już nie mógł stać bez uczucia piekącego bólu.

Burns podszedł do nas i zawołał:

- OK, panowie, przystąpimy teraz do następnego zadania. Nie będzie lekko, ale myślę, że sobie poradzicie.

Nasze „Uu-ja” zabrzmiało wyjątkowo słabo. Ochryple i głucho. Nie wiem, kto

poruszał moimi ustami, ale z pewnością nie byłem to ja.

Joe Burns kiwnął głową i dodał:

- Prawdę mówiąc, chłopcy, nie ma już żadnego zadania. Wszyscy na Młynek.

Żaden z nas nie uwierzył. Ale moment! Przecież ten facet by nie skłamał. Mógł się wygłupiać, ale nie kłamać. Z wolna docierało do nas, że Tydzień w Piekło właśnie się skończył. Sraliśmy tam ogłupiali, nie wierząc własnym uszom. Kapitan Ismay, mocno poturbowany i obolały, wychrypiał:

- Daliśmy radę, chłopaki. Kurwa, daliśmy radę. Odwróciłem się do Marta McGrawa i powiedziałem:

- Cholera, skąd się tu wzięłeś, dzieciaku? Powinieneś być w szkole.

Matt już odpływał, ale potrząsnął głową i odparł:

- Dzięki Bogu, Marcus, dzięki Bogu.

Wiem, że to brzmi dziwacznie dla kogoś, kto nie przeszedł przez to, co my przeszliśmy wtedy, ale to był niezapomniany moment. Dwóch chłopaków padło na kolana i zapłakało. Potem wszyscy zaczęliśmy się ściskać. Ktoś wyszeptał:

- Już po wszystkim.

Jak niedobitki z rozgromionej armii, pomagaliśmy sobie nawzajem przebrnąć przez wydmy. Podnosiliśmy tych, którzy upadli, podtrzymywaliśmy tych, którzy nie mogli iść. Tak dotarliśmy do autokaru, który zabrał nas do bazy, a tam czekał na nas komandor Joe Maguire, oficerowie dowodzący i srarsi dowódcy. Przybył też były SEALs, obecnie gubernator stanu Minnesota, Jesse Ventura, który miał poprowadzić oficjalną ceremonię na Młynku.

Dla nas ważne było tylko jedno — chrzesz bojowy, który powalił ponad połowę Grupy 226 skończył się. Nie poddało się trzydziestu dwóch. Koniec tortur. Nikt z nas nie przypuszczał wcześniej, nie śnił w najgorszych snach, że będzie aż tak ciężko.

Bóg oddał nam sprawiedliwość.

Ustawiliśmy się na uświęconym trudem betonie Młynka, a gubernator Ventura wygłosił mowę o tym, że już nigdy nie będziemy musieli zmierzyć się z Tygodniem w Piekło:

- Grupa 226! Jesteście bezpieczni.

- Uu-ja, Gubernatorze Ventura! - odkrzyknęliśmy z entuzjazmem.

Burns przywołał nas do porządku i przemówił:

— Panowie, pewnie w życiu zaliczycie jeszcze wiele porażek. Gwarantuję wam, że nie będą one miały na was takiego wpływu, jak na zwykłych ludzi. Dokonałiście czegoś, co jest możliwe tylko dla nielicznych. Ten tydzień pozostanie w was na zawsze. Nigdy go nie zapomnicie, a ro oznacza jedno: jeśli mogliście przetrwać Tydzień w Piekło, nie ma na świecie takiego wyzwania, któremu nie moglibyście sprostać.

Nie upieram się, że powtórzyłem jego słowa dokładnie, ale ich znaczenie było właśnie takie. Oddają myśl, którą przekazał nam wtedy Joe Burns.

Słowa te zapadły głęboko w nasze dusze. Podnieśliśmy głowy i nocną ciszę nad Coronado rozdarł okrzyk:

- Uu-ja, instruktore Burns! Popłynął wprost z naszych setc.

Dowódcy SEALs podeszli i ściskali każdemu z nas dłoń mówiąc: „Gratuluję”. Dodawali też słowa otuchy na przyszłość, zachęcali, żebyśmy dołączyli do ich oddziałów po zakończeniu szkolenia.

Prawdę mówiąc, scena ta trochę zamazała się w mojej pamięci. Nie mogę sobie przypomnieć kto mnie zapraszał i do czego, ale jedną rzecz pamiętam wyjątkowo. Uścisnąłem dłoń wielkiego wojownika, Joe Maguire'a, a on przemówił do mnie ciepło. W całym życiu nie spotkał mnie większy zaszczyt.

\* \* \*

W tamten weekend prawdopodobnie pobiliśmy rekord świata w jedzeniu. Apetyty wróciły nam z całą mocą i rosły w miarę, jak żołądki przyzwyczajały się do coraz obfitszych posiłków. Do końca Fazy Pierwszej mieliśmy jeszcze trzy tygodnie, ale nie zdarzyło się już nic podobnego do Tygodnia w Piekło. Szlifowaliśmy wiedzę z zakresu hydrologii, poznawaliśmy pływy i budowę dna oceanu. To jest prawdziwa domena SEALsów i wiedza bezcenna dla marynarzy. Oni planują lądowanie floty, ale to my docieramy na miejsce jako pierwsi. Szybko dokonujemy rozpoznania terenu i przekazujemy im informacje o tym, czego mogą się spodziewać.



W Grupie pozostało nas trzydziestu dwóch, głównie na skutek ran i chorób, jakie pozostali złapali podczas Tygodnia w Piekło. Do nich dołączali podobnie poszkodowani z innych grup i wszyscy dostawali drugą szansę.

Tak stało się też ze mną, ponieważ miałem przechodzone złamanie kości udowej.

Kiedy wróciłem na szkolenie, tuż przed Fazą Drugą, zostałem przydzielony do Grupy 228. Zaczęliśmy od nurkowania. Uczyliśmy się obsługi aparatów tlenowych.

Instruktorzy pokazywali nam, jak wymienić się aparatami pod wodą, bez wychodzenia na powierzchnię. Jest to bardzo trudne, jednak przed testem sprawności podwodnych musieliśmy opanować tę sztukę do perfekcji.

Test z nurkowania oblałem, jak wielu moich kolegów. Wściekle trudny skurczybyk wygląda tak: z dwiema 36-kilogramowymi butlami tlenowymi na grzbiecie schodzisz na dno basenu, a dwóch instruktorów cię atakuje. Przy rym nie wolno ci postawić stopy na dnie i wybić się na powierzchnię. Jeśli to zrobisz, oblałeś i koniec.

Najpierw instruktorzy ściągają ci maskę, po czym wyjmują ustnik, musisz więc bardzo szybko złapać i przytrzymać powietrze. Walczysz z nimi o swój ustnik, a oni odłączają rurkę doprowadzającą tlen. Musisz jak najszybciej podłączyć ją z powrotem, co jest o tyle trudne, że możesz to zrobić tylko jedną ręką, sięgając przez ramię i po omacku szukając uchwytu.

W końcu możesz już wdychać tlen, ale wydychać możesz tylko nosem, a wielu ludzi reaguje dezorientacją na kaskady bąbelków pojawiające się wokół twarzy.

Instruktorzy ponownie odłączają rurki, ale tym razem zawiązują je na supeł. Musisz jak najszybciej doprowadzić aparat do porządku. Jeśli ci się to nie uda, poległeś.

Szruka polega na

tym, żeby złapać jak najwięcej tlenu zanim ci go odetną, a potem wymacać sobie za plecami ten węzeł i próbować go rozplatać. Można wyczuć, kiedy to niemożliwe - instruktorzy nazywają taki węzeł: kłapa. Jeśli stwierdzisz, że tak właśnie jest, wykonujesz dłonią gest, jakbyś podrzywał sobie gardło i pokazujesz instruktorom kciuki wystawione do góry. Oznacza to: „Nie dam rady rozwiązać tego węzła, proszę o pozwolenie wyjścia na powierzchnię”. W tym momencie instruktorzy puszczają cię wolno i pozwalają wypłynąć. Lepiej jednak, żebyś nie pomylił się w ocenie węzła.

Ja niestety zbyt pośpiesznie uznałem, że mój węzeł jest nie do rozwiązania. Dałem sygnał, zarzuciłem aparat na ramię i wypłynąłem na powierzchnię. Instruktorzy mieli odmienne zdanie i uznali, że wykręciłem się sianem z rrudnej sytuacji. Zawaliłem test.

Musiałem usiąść pod ścianą basenu. Byłoby to miejsce hańby, gdyby nie to, że już wielu moich kolegów tam siedziało. Instruktorzy kazali mi podejść do zadania jeszcze raz i nie popełnić błędu. Tym razem rozplatałem pieprzony węzeł i zaliczyłem.

Kilku kumplom się nie udało, co było przykre, ale niestety nie można zostać Foką, jeśli człowiek pod wodą nie trzyma nerwów na wodzy. Jak powiedział mi jeden z instruktorów:

— Widzisz tego kolesia, który tam panikuje? Widać po nim, że się pogubił. Któregoś dnia twoje życie mogłoby znaleźć się w jego rękach. Marcus, nie możemy do rego dopuścić i nie dopuścimy.

Test basenowy jest najtrudniejszym ze wszystkich sprawdzianów, po prostu dlatego, że ogromnie dużo czasu spędziłem już pod wodą i musimy udowodnić, że mamy naturę prawdziwego SEALsa, kogoś dla kogo woda jest jak powietrze.

Woda nie może być dla nas zagrożeniem, ani nawet przeszkodą. To miejsce, w którym możemy przeżyć zdani tylko na siebie. Niektórzy z instruktorów zżyli się z nami w czasie szkolenia i bardzo chcieli, żebyśmy zaliczyli. Jednak nie podjęliby ryzyka przepuszczenia kogoś, kto okazałby najmniejszą nawet słabość.

Po zaliczeniu sprawdzianu na basenie przeszliśmy do Fazy Trzeciej. Doliczając kilku ludzi z innych grup, było nas dwudziestu jeden. Na naszej półkuli nastąpiła już zima. Z początkiem lutego zaczęliśmy przygotowania do ciężkiej harówki na szkoleniu z walki na lądzie. W tej fazie mieliśmy stać się komandosami.

Oficjalnie kurs nazywa się „Walka i taktyka”, a treningi są tak samo ciężkie i ostre jak wszysrko, z czym dotąd mieliśmy do czynienia. Powszechnie wiadomo, że instruktorzy prowadzący Fazę Trzecią to najsprawniejsi fizycznie ludzie w Coronado i w krótkim czasie przekonaliśmy się, dlaczego tak jest. Nawet powitalna mowa

naszego nowego opiekuna najeżona była groźbami.

Instruktor Erie Hall był weteranem sześciu plutonów bojowych SEALsów i zanim w ogóle zaczęliśmy szkolenie, wyłożył kawę na ławę:

- Nie tolerujemy tu ludzi, którzy uważają się nad sobą. Odrobina narkotyków czy alkoholu i wylatujecie. W okolicy są cztery bary, do który czasem zaglądają chłopcy z oddziałów. Trzymacie tyłki z daleka od tych miejsc, rozumiano? Ponadto: ktokolwiek kłamie, oszukuje czy kradnie — wylatuje. Nie tolerujemy tu takich. Mam nadzieję, że się rozumiemy, panowie.

Przypomniał, że szkolenie trwa dziesięć tygodni i że już niedaleko do końca.

Powiedział też, gdzie będziemy się szkolić; pięć tygodni tutaj, w bazie desantowej, w tym kilka dni szkolenia z nawigacji naziemnej w bazie szkoleniowej La Posta.

Następnie cztery dni strzelania w warunkach bojowych w Pendleton - ogromnej, liczącej ponad 50 tysięcy hektarów bazie marynarki położonej między Los Angeles i San Diego. Na zakończenie kursy zaawansowanych technik strzeleckich, taktyki, walki i treningu polowego na wyspie San Clemente — wśród SEALsów znanej jako Skała - oraz w głównej bazie.

Erie Hall zakończył mowę charakterystycznym akcentem:

- Dajcie mi sto dziesięć procent waszych możliwości i nie spieprzcie tego jakąś głupotą.

Tak więc kolejną, mającą trwać dwa i pół miesiąca część szkolenia rozpoczęliśmy w obozie treningowym w La Posta, położonym na wysokości 900 metrów nad poziomem morza w górach Laguna, 130 kilometrów od San Diego. Tam uczyliśmy się metod walki w ukryciu, kamuflażu, przeszukiwania terenu oraz podstawowych umiejętności potrzebnych w działaniach na lądzie. Teren w La Posta był trudny i wymagający, góry są tam strome, a warunki do wspinaczki ciężkie. Niejednokrotnie nie wracaliśmy do koszar i spędzaliśmy noce w tych dzikich okolicach.

Uczyliśmy się nawigacji w terenie, z użyciem map i kompasu, a po tygodniu zaliczyliśmy pięciokilometro-wy bieg parami na orientację. Następnie wróciliśmy do bazy, by przygorować się do wyjazdu do Pendleton, gdzie mieliśmy przejść pierwsze poważne szkolenie z używania broni palnej.

Była to bardzo ważna część naszej edukacji. Treningi w strzelaniu z broni długiej i krótkiej miały przygotować nas do czekającej w niedalekiej przyszłości prawdziwej walki z użyciem karabinów M4, czyli podstawowej broni SEALsów.

Podstawową kwestią w tej części szkolenia jest bezpieczeństwo. Zanim więc rozpoczęliśmy treningi, musieliśmy przyswoić sobie cztery ważne zasady:

1. Zawsze zakładaj, że broń z którą masz do czynienia jest załadowana;
2. Nigdy nie kieruj lufy na obiekt, do którego nie zamierzasz strzelać;
3. Nigdy nie trzymaj palca na spuście, jeśli nie masz zamiaru strzelić;
4. Musisz wiedzieć, gdzie jest twój cel i co znajduje się za nim.

Treningi trwały godzinami, a w czasie przerw w strzelaniu ćwiczyliśmy składanie i rozkładanie karabinów maszynowych i M4, oczywiście pod okiem instruktorów mierzących nam czas. Kontynuowaliśmy też ćwiczenia sprawnościowe, w tej części nawet trudniejsze, ponieważ teraz biegaliśmy już z plecakami, obładowani dodatkowo amunicją i bronią.

Dwa tygodnie trwał kurs zasad burzenia obiektów i posługiwania się materiałami wybuchowymi. Zapoznaliśmy się z trotylem i plastikiem, ich właściwościami oraz zasadami bezpieczeństwa obowiązującymi przy ich używaniu. Część praktyczną mieliśmy przejść na wyspie San Clemen-te, przedtem jednak mieliśmy do zaliczenia ciężki trening fizyczny, między innymi 20-kilometrowy bieg po plaży.

Po raz pierwszy ścigaliśmy się w suchych ciuchach, nie pokryci piachem od stóp do głów. Wyobraźcie sobie: suche szorty, ani kropli wody w butach. Śmigaliśmy z przyjemnością.

Kiedy znaleźliśmy się na wyspie San Clemente była już połowa marca. Spędziliśmy tam cztery tygodnie, a każdy dzień, nawet weekendy, do późnego wieczora wypełniały nam zajęcia. San Clemente to wyspa o surowym, księżycowym krajobrazie, położona przy kalifornijskim wybrzeżu, około 100 kilometrów na zachód od San Diego, po drugiej stronie zatoki Santa Catalina.

Od pięćdziesięciu lat Marynarka Wojenna Stanów Zjednoczonych prowadzi na wyspie San Clemente szkolenia. Nie mieszkają w tym miejscu żadni cywile, ale część wyspy stanowi rezerwat dzikiej przyrody. Żyją tam rzadkie gatunki ptaków

oraz lwy morskie, najwyraźniej już przyzwyczajone do głośnych eksplozji, do statków i samolotów Marynarki Wojennej. Północno-zachodnią część wyspy zajmują Foki.

Na wyspie właśnie poznawaliśmy tajniki celnego i skutecznego strzelania w warunkach bojowych, błyskawicznej wymiany magazynków oraz sztuki snajperskiej. Nabyliśmy umiejętności, które miały wkrótce ratować nam życie. Dowiedzieliśmy się, jak namierzać pozycje przeciwnika i jak osłaniać ogniem towarzyszy. Na początku szło nam opornie, później coraz lepiej. Pierwsze treningi mieliśmy przy świetle dziennym, potem przeszliśmy do ćwiczeń nocnych.

Poznaliśmy wszystkie elementy współczesnych działań wojennych, między innymi organizowanie zasadzek, przeszukiwanie terenu, branie jeńców, planowanie ataków. Wiedza ta miała nam się niebawem przydać w Iraku i Afganistanie.

Następnie przeszliśmy do ładunków wybuchowych, granatów i rakiet. Ogólnie rzecz ujmując, chodziło o eksplozje na dużą skalę, które dopiero po jakimś czasie udawało nam się opanować.

Równie trudne były treningi w symulowanych warunkach bojowych. Przykładowo, odpływaliśmy pontonami na odległość kilkuset metrów od brzegu i zarzucaliśmy kotwicę. Z tej pozycji wysyłaliśmy kilku ludzi wplaw na plażę, na rozpoznanie terenu. Na ich znak podpływaliśmy, wybiegaliśmy na brzeg i kopaliśmy dla siebie kryjówki tuż za linią przypływu. Jest to najbardziej niebezpieczna faza operacji, ponieważ w tym momencie jesteśmy całkowicie odsłonięci. Instruktorzy jak sępy wypatrywali błędów, które mogłyby zagrozić oddziałowi.

Całymi nocami ćwiczyliśmy lądowania, biegając po plaży w pełnym rynsztunku bojowym, ale na koniec tych czterech tygodni wszyscy zaliczyliśmy sprawdzian.

Ukończyliśmy szkolenie BUD/S. Cała dwudziestka, która przybyła na wyspę.

Zapytałem jednego z instruktorów, czy jest w tym coś niezwykłego. Odpowiedział krótko:

- Marcus, szkolimy najlepszych z najlepszych, więc nas to nie dziwi. Poza tym wszyscy instruktorzy BUD/S starają się o to, żebyście wykorzystywali na maksa swoje możliwości.

Po zakończeniu szkolenia dostaliśmy dwa tygodnie wolnego. Po urlopie ponownie przystąpiłem do intensywnej nauki. Zacząłem od szkoły skoków spadochronowych w Forcie Benning, w stanie Georgia. Przez trzy tygodnie skakałem najpierw z wieży, a następnie z C-130. Każdy z nas musiał zaliczyć pięć skoków z tej maszyny.

Podczas lotu we wnętrzu samolotu C-130 panuje spory hałas, więc pierwszy skok może być trochę stresujący. Przedemną skakała dziewczyna z West Point, a zrobiła to tak, jakby niczym innym w życiu się nie zajmowała. Pamiętam, że pomyślałem: „Chryste! Jeśli ona to zrobiła, ja nie mam innego wyjścia” i zanurkowałem w przejrzyste powietrze nad Fort Benning.

Następnym moim przysrankiem był Fort Bragg, w Północnej Karolinie, gdzie przeszedłem szkolenie medyczne organizowane przez Delta Force. Zrobili tam ze mnie lekarza polowego. No, może raczej paramedyka, ale kurs i tak był intensywny: podstawy medycyny, zastrzyki, udzielanie pierwszej pomocy, intubacja, traumy bojowe, rany, oparzenia, zakładanie szwów, podawanie morfiny itd. Program obejmował mniej więcej wszystko, co może spotkać żołnierza w walce. Tylko pierwszego dnia musiałem zapamiętać 315 nowych słów związanych z medycyną, a dalej wcale nie było łatwiej. Uczyłem się bardzo intensywnie, przez cały dzień i pół nocy, a i tak zawsze był w pobliżu jakiś instruktor, który serwował mi wskakiwanie do wody i tarzanie się w piachu w ramach obowiązkowych treningów fizycznych. Prosto z Fort Bragg ruszyłem z powrotem do Coronado, na trening kwalifikacyjny do SEALsów. Były to kolejne trzy miesiące nurkowania, skakania ze spadochronem, strzelania, detonowania materiałów wybuchowych oraz wszystkiego, czego nauczyłem się wcześniej. Zaraz po tych trzech miesiącach wysłano mnie do Panamy na Florydzie, na szkolenie SDV — z łodzi podwodnych używanych przez SEALsów. Tam zasrał mnie 11 września 2001 roku. Nie zdawałem sobie sprawy jak wielkie znaczenie dla mojego życia będzie miało to makabryczne wydarzenie.

Pamiętam doskonale jak bardzo wszyscy byliśmy wzburzeni. Ktoś właśnie zaatakował Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, nasz ukochany kraj, którego przysięgaliśmy bronić. Oglądaliśmy relacje telewizyjne i naraszała w nas furia. Byliśmy bardzo młodzi i jeszcze niedoświadczeni, ale świadomi swojej siły i

doskonałego wyszkolenia. Wprost marzyliśmy o tym, żeby dobrać się do al-Kaidy, Osamy bin Ladena i jego band w Iraku, Iranie, Afganistanie, czy gdziekolwiek te świry mogły właśnie przebywać. Jak to mówią: „Ostrożnie z marzeniami, bo mogą się spełnić”.

Wielu moich kolegów przeszło pozytywnie kwalifikację do SEALsów i pewnego środowego popołudnia, 7 listopada 2001, otrzymali swoje upragnione Trójzęby. Krótka ceremonia odbyła się na Młynku i widać było, że dla tych chłopców nie ma ważniejszej rzeczy pod słońcem. Ze stu osiemdziesięciu ludzi, którzy wiele miesięcy wcześniej zaczęli szkolenie Indoc, pozostało tylko trzydziestu. Ja, z różnych powodów, musiałem poczekać na mój Trójzab do 31 stycznia 2002 roku.

Jednak moje szkolenie nie zostało przerwane. Zaraz po przystąpieniu do - jak nazywali to nasi dowódcy - „bractwa”, rozpocząłem kurs telekomunikacji, czyli wiedzy

o łączach satelitarnych, komunikacji radiowej, obliczaniu długości fal, komputerach, GPS-ach i całej reszcie.

Następnie pojechałem z powrotem do Pendleton, tym razem do szkoły snajperów.

Tam musiałem zdać dwa bardzo trudne egzaminy z użyciem M4, półautomatycznych katabinków snajperskich SR-25 oraz karabinów na po-ręczne naboje 300 Winchester Magnum, kaliber 308 mm. Snajper SEALs musi mieć to wszystko w małym palcu.

Potem czekał mnie prawdziwy test bojowy. SEALs musi umieć poruszać się niepostrzeżenie, być niewidzialny

i niesłyszalny, w trudnym i opanowanym przez wroga terenie, gdzie najdrobniejsza pomyłka może oznaczać jego śmierć. Lub — co gorsza — kłopoty dla całego oddziału.

Nasz instruktor był weteranem pierwszych oddziałów, jakie zostały wysłane przeciwko Osamie bin Ladenowi. Nazywał się Brendan Webb i był fantastycznym facetem, mistrzem podstępu - mógłby zadziwić niejednego Apacza. Razem z nim sprawdzian prowadził Erie Davis, znakomity snajper, który bezlitośnie testował nasze zdolności do bycia niewidzialnymi.

Naszą „bitwę” rozegraliśmy na ogromnej przestrzeni rozciągającej się tuż za

granicami bazy Pendleton, w skalistym terenie porośniętym głównie niską roślinnością, pełnym pagórków, dolin i wąwozów. Drzew, najbliższych przyjaciół każdego snajpera, było tam niewiele, co zapewne miało utrudniać nasze zadanie. Instruktorzy, zanim wypuścili nas na to pustkowie, dali nam kilka długich wykładów. Podkreślali w nich jak ważna jest precyzja, powtórzyli z nami całą wiedzę o kamuflażu, o brązowych i zielonych pastach maskujących oraz metodach zatykania gałązek na hełmach, które ułożone niewłaściwie mogły zdradzać nasze pozycje. Wiele godzin poświęciliśmy na ćwiczenia, w końcu posłali nas w teren. Wyruszyliśmy z punktu oddalonego o kilka kilometrów od wysokiej wieży, z której Webb i Davis jak dwa radary skanowali rozległy, pusty, księżycowy krajobraz. Zadanie polegało na tym, żeby zbliżyć się do wieży na odległość dwustu metrów i trafić z karabinu w cel. Wcześniejsze wielokrotne ćwiczenie tej operacji, samodzielnie i z partnerem, z pewnością nauczyło nas cierpliwości. Bywało tak, że pokonanie kilku metrów zajmowało kilka godzin. Najważniejszą rzeczą jest pozostanie niewidzialnym, bo kiedy instruktort namierzy cię przez potężną lornetkę, oblałeś.

W teście zaliczającym kurs brałem udział z partnerem, co oznaczało, że obaj musieliśmy pozostać niezauważonymi. Po podejściu do celu na odległość strzału on miał namierzyć cel, podać mi namiar, a ja na jego komendę strzelić. Okolice celu były patrolowane pieszo przez ludzi, którzy mieli radiowe połączenie z wieżą. Jeśli taki patrolujący zbliżyłby się do nas na odległość dwóch kroków, oblalibyśmy test. Test można zawalić nawet wtedy, kiedy człowiek już podszedł na wymaganą odległość, namierzył, strzelił i trafił, a potem dopiero zoszał zdemaskowany. To twarda, męska gra wymagająca również inteligencji. W czasie kursu instruktorzy podążali za nami przez całą zakazaną strefę, obserwując i notując uwagi. Na przykład taką, że mój partner, czyli obserwator, podał mi niewłaściwy namiar - odległość lub kierunek. W ten sposób, jeśli spudłowałem, wiedzieli, że nie była to moja wina. Jak zwykle pracujemy i jesteśmy oceniani jako team. Wiadomo, że nie mogę dobrze wycelować i trafić bez mojego obserwatora, a zatem lepiej dla nas obu, żeby się nie mylił.



Tylko raz w czasie całego kursu patrol mnie namierzył. Porównie się zestresowałem, ale to mnie nauczyło jednego: przeciwnik wiedział gdzie może mnie znaleźć, zanim w ogóle wyruszyłem. Wiedzieli, że będę kierował się instynktem żółtodzioba szukającego kryjówki, znali więc miejsca, w które ten instynkt może mnie zaprowadzić.

Tak poznałem podstawową zasadę każdego snajpera: nigdy, przenigdy nie kieruj się tam, gdzie wróg może się Ciebie spodziewać. Jedynym usprawiedliwieniem dla mnie może być fakt, że tamtego dnia instruktorzy znaleźli nas wszyskich.

W dniu końcowego sprawdzianu ponownie stanąłem w obliczu tego ogromnego, kamienistego pustkowia. Wyruszyłem wijąc się i pełzając po pylisrym podłożu z głową tuż przy ziemi, z gałązkami mocno zatkniętymi na hełmie, szukając przejścia pomiędzy nielicznymi głazami, które mogły mnie osłaniać. Kilka godzin zajęło mi dotarcie do punktu oznaczającego połowę dystansu, a jeszcze dłużej pokonanie ostatnich tztystu merrów do miejsca, które wybrałem na oddanie strzału.

Niewidoczny, poruszałem się bardzo powoli pomiędzy skałami, od głazu do głazu, przez cały czas trzymając się tuż przy ziemi. Kiedy już dotarłem na pozycję, szybko skleciłem z gałęzi i kamieni niewielką osłonę, za którą przycupnąłem gorowy do strzału. Naciskałem na spust bardzo powoli i płynnie, aż do momentu, kiedy kula z mojego karabinu wbiła się w sam środek metalowej tarczy. Gdyby to była ludzka głowa, jej właściciel już by nie żył.

Zobaczyłem jak instruktorzy biegną i szukają miejsca, z którego padł strzał.

Najwyraźniej jeszcze nie wiedzieli, gdzie jestem, więc wcisnąłem twarz w ziemię i pozostałem tak w bezruchu. Po około trzydziestu minutach zacząłem się wycofywać, nadal utrzymując ciało płasko, jak najbliżej ziemi, starając się nie poruszyć żadnej gałązki czy kamyka. Niezauważony snajper, dokładnie tak jak trzeba.

Trzymiesięczne szkolenie snajperskie ukończyłem z najwyższymi ocenami. SEALs nie szukają rozgłosu i sławy, więc nie powiem wam, kto został uznany za najlepszego w grupie.

Moim ostatnim ważnym szkoleniem był kurs taktyki powietrznej, który trwał miesiąc, a odbywał się w bazie lotniczej Fallon, w stanie Nevada. Obejmował

podstawową wiedzę o uzbrojeniu statków powietrznych, czyli o ponad dwustukilogramowych bombach i pociskach, o tym, co można nimi zniszczyć, a do czego się nie nadają. Poza tym uczono nas porozumiewania się z załogami samolotów bojowych, przekazywania im z ziemi informacji o terenie, a także przekazywania kontrolerom danych z satelitów.

Zdaję sobie sprawę z tego, że sporo czasu zajęło mi opowiadanie o tym, czym jest formacja Navy SEALs i czego trzeba, by się w niej znaleźć. Ale, jak zawsze nam powtarzano, na Trójzab, który nosisz każdego dnia, musisz zasłużyć, dlatego nigdy nie przestajemy się uczyć i stale trenujemy. Powiedzenie o kimś, że jest Foką nie opisuje nawet jednej tysięcznej prawdy o takim człowieku. To tak, jakby o generale Eisenhowerze powiedzieć, że kiedyś służył w wojsku.

Teraz już wiecie przez co przeszliśmy, co to dla nas znaczyło i prawdopodobnie dlaczego to zrobiliśmy. OK, może faktycznie jesteśmy nieco arogancy, ale za taką postawę zapłaciliśmy potem, krwią i koszmarnie ciężką pracą.

Zdecydowaliśmy się na to głównie dlatego, że jesteśmy patriotami i będziemy walczyć z każdym, kto zaatakuje Stany Zjednoczone. Jesteśmy pierwszą linią w tej walce, nieustraszeni i gotowi walczyć z al-Kaidą, fundamentalistami, terrorystami czy kimkolwiek, kto odważy się zagrozić naszemu narodowi.

Każdy SEALs całkowicie wierzy w siebie i swoje umiejętności, bo zostaliśmy nauczeni zwyciężać, nie patrząc na straty i żadna siła na świecie nie może nam się oprzeć w walce. Nas nie można pokonać ani zatrzymać. W to właśnie głęboko uwierzyłem, kiedy pewnego dnia na mojej piersi przypięto Trójzab. Wierzę w to nadal i zawsze będę wierzył.

Rozdział 6 Trzymajcie się, goście. Dokopcie im

Nadszedł rozkaz: „Operacja Czerwone Skrzydło, możecie ruszać”. Kontroler odliczał: „Minuta... trzydzieści sekund!... Ruszamy!”. Rampa opadła... Strzelec trzymał M60 gotowy do strzału... Księżyc za chmurami... Danny jako pierwszy ruszył w mrok.

Tego marcowego poranka 2005 roku słońce wschodzące nad Afganistanem zalewało powoli amerykańską bazę Bagram. Zainstalowaliśmy się już w naszym bataku i

zdażyliśmy złapać kilka godzin snu przed odprawą. Dan Healy, Shane, James, Axe, Mikey i ja - grupa z 1. Zespołu SDV - dostaliśmy właśnie przeniesienie do 10. Zespołu SEALsów z Virginia Beach. 10. Zespołem dowodził twardy jak skała komandor podporucznik Erie Kristensen, w zastępstwie stałego dowódcy, pełniącego w tym czasie obowiązki gdzie indziej.

Erie miał ogromne poczucie humoru. Zawsze dowcipkował, co prawdopodobnie odbijało się na jego karierze i opóźniało awanse na wyższe stopnie. Obecnie około 75 procent Fok ma dyplomy wyższych uczelni, więc różnice między oficerami i zwykłymi żołnierzami nie są już tak jaskrawe jak dawniej. Erie, syn admirała z Wirginii, miał wtedy 32 lata i pomimo tego, że drwił często z wyższych rangą oficerów, dowodzony przez niego oddział był jednym z najlepszych w całej amerykańskiej Marynarce Wojennej. 10. Zespół był też najlepiej wyszkolony do takich operacji, jak ta, którą właśnie mieliśmy rozpocząć. Komandor podporucznik Kristensen miał do pomocy dwóch świetnych ludzi, byli to Luke Newbold i starszy bosmanmat Walters. Muszę powiedzieć, że służba pod ich rozkazami była przyjemnością.

Nasze przygotowanie do operacji, jak przystało na elitarny 10. Zespół, stało na najwyższym poziomie. W czasie odprawy, zapoznaliśmy się dogłębnie z sytuacją na granicy afgańsko-pakistańskiej. To był raczej ponury obraz. Strome, skaliste górskie zbocza, szare, opuszczone przez ludzi i Boga połacie zajmowała armia talibów. Zajadli i wściekli bojownicy przegrupowywali się właśnie wzdłuż granicy przebiegającej wysoko w górach. Przygotowywali się do odbicia muzułmańskiego kraju z rąk Amerykanów, którzy w ich przekonaniu, zawłasczyli go i przekazali bezprawnie w ręce nowego, demokratycznie wybranego rządu.

Tam, wysoko w górach, drogi i ścieżki pojawiają się i znikają pomiędzy głazami. Na każdym kroku można potrącić kamień, który wywoła lawinę. Ostrożność musiała stać się naszą główną dewizą przed wejściem w labirynty cichych zboczy gór Hindukusz.

Tymi górskimi ścieżkami, setki lat wydeptywanymi przez plemiennych wojowników, talibowie i bojownicy al-Kaidy umykali po amerykańskich bombardowaniach w 2001

roku. Wkrótce i my mieliśmy je przemierzać.

Pierwszą misję rozpoczęliśmy już kilka godzin po odprawie. Nikt w bazie nie uważał nas za żółtodziobów; dla wszystkich byliśmy wyszkolonymi Fokami, gotowymi do akcji, w pełni przygotowanymi do wejścia w góry i zatrzymania napływającej z Pakistanu fali uzbrojonych bojowników.

Na wzgórza rozciągające się za głęboką doliną dolecieliśmy śmigłowcem. Było nas może dwudziestu. Kiedy tam dotarliśmy, wyskoczyliśmy z helikoptera i rozproszyliśmy się wokół jednej z gór. Axe, Mikey i James Suh (hasło Zielony Jeden) zajęli pozycje w odległości dwóch i pół kilometrów od dowodzącego Healy a, Shanea i mnie (hasło Zielony Trzy).

Miejsce, w którym wylądowaliśmy, leżało na granicy Afga-nisranu i Pakisranu.

Wojska talibów przechodziły tamtędy kilka razy w tygodniu, a czasem nawet kilka razy dziennie. Na-

szym zadaniem była obserwacja drogi wiodącej przez przełęcz leżącą pod nami. Tam miały pojawić się wielbłądy niosące talibów, ich materiały wybuchowe, broń i Bóg wie co jeszcze.

Poruszałem się bardzo ostrożnie. Ostrzegano nas, że wojownicy nie tylko groźnie wyglądają, ale też walczą zaciekle i nie dają się łatwo zastraszyć. Pamiętałem też, że dźwięk potraconego butem kamyka może zdradzić naszą pozycję. Miejscowe plemiona zamieszkiwały ten teren od tysiącleci. Przeciwnik znał każdy centymetr tej ziemi i miał sokoli wzrok. Jeśli zobaczy nas lub usłyszy, zaatakuje bez wahania.

Dzięki dowódcom nie mieliśmy złudzeń: to była naprawdę niebezpieczna sytuacja.

Mimo to musieliśmy powstrzymać napływ uzbrojonych terrorystów do kraju.

Czujnie posuwałem się wzdłuż krawędzi skał, co jakiś czas zatrzymując się i sprawdzając dalszą drogę przez lornerkę. Stąpałem cicho. Mój umysł był czysty i jasny. Gdyby nagle na przełęczy pojawiła karawana wielbłądów i srrzelających talibów, miałem wezwać posiłki przez radio. Gdyby pojawiła się mniejsza grupa, taka z którą poradziłibyśmy sobie sami, mieliśmy schwytać przywódcę, a z resztą rozprawić się na miejscu w dowolny sposób.

Przykucnąłem pomiędzy dwoma głazami i ponownie obejrzałem przełęcz. Pusto.

Podniosłem się i zrobiłem dwa kroki w stronę otwartej przestrzeni przełęczy. Nagle, nieco poniżej, zobaczyłem trzech uzbrojonych Afgańczyków. Momentalnie zacząłem oceniać sytuację. Od Shane'a dzieli mnie 60 metrów. Otwierać ogień? Jak wielu jeszcze może ich tam być?

Za późno. Oni zaczęli strzelać pierwsi. Grad pocisków z AK-47 uderzył w skały dookoła mnie. Rzuciłem się z powrotem między głazy. Wiedziałem, że Shane musiał ich usłyszeć. Po chwili wyskoczyłem i dałem im popalić. Widziałem jak chowają się za skały, skąd nie mogli uciec niezauważeni. Przynajmniej ich przyszpiliłem.

Niestety zaatakowali ponownie, więc odpowiedziałem ogniem. Wtedy odpalili w moim kierunku dwa granaty

z ręcznego granatnika przeciwpancernego RPG. Dzięki Bogu, zdążyłem je zobaczyć i ukryć się za głazami. Jeden z kamieni wyleciał w powierze, a dookoła s'migały rykoszetujące kule, pył, odłamki granatów i kawałki skał.

Poczułem się tak, jakbym walczył w tej wojnie w pojedynkę. Nie rozumiem jak to się stało, że nie oberwałem. Po chwili echo eksplozji ucichło i słyszałem już tylko karabiny tej nawiedzanej trójki. Odczekałem chwilę, do momentu kiedy zdawało mi się, że już wyszli z kryjówek i wyskoczyłem, naciskając jednocześnie na spust. Nie mam pojęcia w co i w kogo trafiłem, ale nagle zapadła taka cisza, jakby nic się nie wydarzyło. Witamy w Afganistanie, Marcus.

Tak wyglądały patrole tego typu. Zaczajaliśmy się przy przełęczach i robiliśmy wszystko, żeby nas nie wykryli. Zupełnie innym rodzajem misji był rekonesans i rozpoznanie (RS). Naszym zadaniem była obserwacja i fotografowanie wiosek w poszukiwaniu wroga. Zawsze mieliśmy duże szanse powodzenia, ponieważ nasz wywiad był bardzo sprawny, a często już wcześniej dostawaliśmy dobre zdjęcia. Za każdym razem polowaliśmy na jakiegoś sukinsyna w turbanie, którego ulubionym sportem było strzelanie do amerykańskich komandosów.

Takie wypadki w góry miały na celu namierzenie obiektu przez lornetki lub ogromne obiektywy naszych aparatów fotograficznych, zejście do wioski i pojmanie go. Jeśli był sam, nasz podstawowy plan zakładał przejęcie takiego człowieka, dostarczenie go do bazy i zmuszenie do mówienia. Musieliśmy dowiedzieć się, gdzie przebywają

talibowie i gdzie w górach ukrywają swoje ogromne zapasy amunicji oraz materiałów wybuchowych.

Ich arsenał miał jedno zastosowanie — wybicie amerykańskich żołnierzy wspierających afgański rząd. Mieliśmy też świadomość, że talibowie, których ścigamy ro ci sami ludzie, którzy ukrywają i ochraniają Osamę bin Ladena. Z naszych informacji wynikało ponad wszelką wątpliwość, że ten masowy morderca ukrywa się gdzieś w górach, całkiem niedaleko. Według naszych zasad, zadaniem było pojmać wyznaczonego człowieka, o ile miał nie więcej niż czterech ludzi obstawy. Żaden problem. Jeśli natomiast było ich więcej, ściągaliśmy do pomocy odpowiednie siły i wtedy dopiero załatwialiśmy sprawę. Tak czy inaczej, wraz z naszym przybyciem, skończyły się dobre czasy dla młodego Ab-dula Bombiarza, warzącego swój dynamir w chatce na kurzej łąpce w północno-wschodnim Afganistanie.

Kolejna nasza misja była już ogromną operacją. Około pięćdziesięciu ludzi wylądowało w najgorszej części gór, w najbardziej paskudnym terenie, jaki można sobie wyobrazić. Tam mogło się podobać tylko jakiejś kozicy albo może lwu, ale z pewnością nie nam. Dookoła pionowe zbocza, ziemia pokryta luźnym łupkiem, strome stoki, prawie żadnych krzaków czy drzew, nic, czego można by się przyttrzymać, żadnej osłony.

Wspominałem już w jak świetnej formie byliśmy. Moglibyśmy wspiąć się na cokolwiek i dotrzeć w każde miejsce. Jednak tam, możesz wierzyć lub nie, pokonanie dwóch i pół kilometra zajęło nam aż osiem godzin. Ludzie spadali z tej cholernej góry, obsuwali się, ranili. Było naprawdę niewesoło.

Jeden z kolegów wyznał mi później: „Rzuciłbym tę robotę. Zrobiłbym wszystko, żeby tylko stamtąd się wydostać”.

Wiem, że nie mówił poważnie, ale każdy z nas miał takie momenty. Byliśmy strasznie zmęczeni i sfrustrowani. Czołgaliśmy się wzdłuż zbocza tej góry związani linami, dźwigając pełne plecaki, broń i amunicję. Do dziś uważam, że była to najtrudniejsza przeprawa w całym moim życiu. Nie mieliśmy nawer do czynienia z wrogiem, a jednak było na tyle źle, że później ułożyliśmy tekst, do którego nasz

nadworny ekspert od gry na banjo podgrywał melodię przeboju Johnny Casha „Ring of Fire”:

Spadłem w dół i trafiłem w skałę

Lecę w dół, dół, dół... Oj, rozbiłem sobie pałę

Co za ból, ból, ból. Ten kawał skały, ten kawał skały...

Celem naszej misji były dwie wioski położone na górskim zboczu, jedna nad drugą.

Brakowało nam informacji, w której z nich kryje się więcej talibskich bojowników, więc dowództwo zdecydowało, że musimy wziąć na celownik obie osady

jednocześnie. Tak, tak. Naszym zadaniem było odszukanie pewnego bardzo młodego chłopaka, o którym mieliśmy sporo informacji z rozpoznania satelitarnego i od FBI.

Niestety nie dysponowaliśmy zdjęciami jego twarzy.

Nigdy nie dowiedziałem się, jaką uczelnię ten młody skończył, ale wiem, że miał dyplom z wiedzy o materiałach wybuchowych. Materiały, których używają tacy

ludzie nazywamy IED (improvised explosive devices) — materiały wybuchowe domowej roboty. Ten chłopak był Królem IED i razem ze swoimi ludźmi siał popłoch wśród amerykańskich wojsk, podkładając je pod wszystko, pod co tylko się dało.

Niedługo przed rozpoczęciem naszej misji wysadził w powietrze konwój Marynarki Wojennej, zabijając przy tym wielu ludzi.

Wczesnym tankiem, my, czyli Pluton Foxtrot, przegrupowaliśmy się i zajęliśmy pozycje wysoko nad górną wioską. Kiedy słońce już weszło, ruszyliśmy szybko w dół po zboczu i wpadliśmy do wioski, rozwalając drzwi domów i aresztując wszystkich, którzy wpadli nam w ręce. Nie strzelaliśmy, ale i tak bez wątpienia byliśmy przekonywujący, bo nikt się nie opierał. Naszego chłopaka jednak tam nie było.

Reszta, czyli większość 10. Zespołu pteczesaływa niżej położoną, większą wioskę.

Zajęło im to więcej czasu niż nam, a to z tego powodu, że mieli ludzi do przesłuchania. Dobrze wiemy jak to robić. Dociskamy wszystkich, aż znajdziemy kogoś kto kłamie, zmienia zeznania,

albo jakoś różni się od pozostałych. Tym razem szukaliśmy kogoś!, kro nie wyglądał na pasterza kóz, kogoś!, kto w ogóle nie wyglądał na mieszkańca gór.

Znaleźliśmy go. Było to moje pierwsze spotkanie z fanatycznym talibem. Nigdy nie zapomnę tego człowieka - był tak młody, że chyba po raz pierwszy w życiu wyrosła mu broda, ale miał też naprawdę dzikie spojrzenie. Wbił we mnie wzrok w rak sposób, jakbym właśnie przed chwilą zaprzeczył wszystkim naukom Koranu.

W tej sekundzie pojąłem, że gdyby mógł mnie zabić, zrobiłby to bez wahania. Ani wcześniej, ani później nikt nie patrzył na mnie z większą nienawiścią.

Ta druga misja, pojmanie Abdula Bombiarza, czy jak mu tam było naprawdę, uświadomiła nam, nowo przybyłym do Afganistanu Fokom, dwa aspekty konfliktu, w który byliśmy zaangażowani. Po pierwsze, zaciekle nienawiść jaką darzyli nas ci muzułmańscy ekstremiści, a po drugie, trudności jakie napotkamy, próbując trzymać się Zasad Użycia Siły w tego typu sytuacjach.

My, Foki, wzięwszy pod uwagę ptedyspozycje, trening i szkolenie, jesteśmy raczej rozgarniętymi ludźmi. Tak jak wszyscy czytamy gazety, wiemy więc, że zdarzają się przypadki, kiedy żołnierz sił specjalnych staje przed sądem pod zarzutem morderstwa, chociaż w jego przekonaniu wykonywał tylko swoje obowiązki, czyli walczył z wrogiem.

Zasady Użycia Siły, które obowiązywały nas w Afganistanie, mówiły że nie wolno nam zabić, zranić czy strzelać do nieuzbrojonej ludności cywilnej. A co w przypadku nieuzbrojonego cywila, który jest wyszkolonym szpiegiem i pracuje dla nielegalnej armii, którą mamy pokonać? Co z tą całą śmietniczością, rozproszoną, ukrytą w górach armią bojowników, którzy udają cywilów? Co mamy zrobić z niewinnie wyglądającymi poganiaczami wielbłądów, wędrującymi przez górskie przełęcze, obładowanymi taką ilością trotylu, że mogliby wysadzić w po-wietrze stadion? Co tobić?

Zrobilibyśmy to, o czym 99 procent Amerykanów nawet by nie pomyślało, bo wpojono nam, że jesteśmy tarczą tego narodu. Zostaliśmy wysłani do Afganistanu, by przeprowadzić bardzo niebezpieczne misje. Niestety powiedziano nam również, że nie mamy prawa strzelać do poganiacza wielbłądów, dopóki on nie wysadzi nas w powierze, bo być może jest on tylko nieuzbrojonym cywilem, który wyprowadza swoje wielbłądy i dynamit na spacer.



A jest jeszcze kolega tego poganiacza, chłopak który biegnie za zwierzętami z witką i smaga je po zadach. Co z nim zrobić? Może to on właśnie ma skoczyć pomiędzy skały do pobliskiej jaskini i sprowadzić swoich braci talibów wraz z ich granatnikami.

My nie możemy powstrzymać chłopaka przed zdradzeniem naszej pozycji, nie zrobią tego też politycy, którzy przygotowali dla nas Zasady Użycia Siły. Tych mądrych ludzi w garniturach nie będzie tu również wtedy, kiedy wybuchnie pierwszy granat i urwie któremuś z nas nogę.

Mamy więc zastrzelić tego małego skubańca zanim ruszy biegiem, czy jest on tylko nieuzbrojonym cywilem, który nikomu nie robi krzywdy? Może tylko wyprowadza na spacer swoje zapasy trotylu?

Tutejsi terroryści i buntownicy znają obowiązujące nas zasady tak samo dobrze, jak znali je w Iraku. Jednak to nie są ich zasady. To zasady cywilizowanego świata zachodniego i każdy terrorysta wie, jak wykorzystać je w swojej walce. Gdyby było inaczej, poganiacze wielbłądów mieliby przy sobie karabiny.

Ale nie mają. Wiedzą bowiem, że nie będziemy do nich strzelać z obawy przed oskarżeniem o morderstwo. Co zresztą jest dla nich śmieszne, choć może to być śmiech nieco historyczny.

Gdybyśmy zastłżelili paru z nich, inni złapią natychmiast za swoje telefony komórkowe i zadzwonią do arabskiej stacji telewizyjnej al-Dżazira:

**AMERYKAŃSKIE WOJSKO BRUTALNIE MORDUJE NIEWINNYCH AFGAŃSKICH WIEŚNIAKÓW** Dowództwo Amerykańskiej Marynarki Wojennej obiecuje postawić SEALsów przed wymiarem sprawiedliwości

Czy coś w tym rodzaju. W każdym razie wiesz, o co mi chodzi. Amerykańskie media ukrzyżowałyby nas w jednej chwili. Takie czasy. Pamiętasz być może wrzawę, jaka podniosła się w sprawie Abu Ghraib? Kiedy spoglądam z szerszej perspektywy i widzę tę sprawę w kontekście ogromu nieszczęść i zniszczenia, jakie na tym świecie spowodowali muzułmańscy ekstremiści, poniżenie kilku irackich więźniów nie oburza mnie aż tak bardzo. Ciebie też pewnie by nie oburzyło, gdybyś na własne oczy zobaczył do czego ci ludzie są zdolni. Jezu, oni potrafią obcinać ludziom głowy,

amerykańskie głowy, głowy pracowników organizacji, które niosą pomoc cywilom. Zabijanie tysięcy ludzi nie stanowi dla nich problemu. Okaleczali i zarzynali młodych amerykańskich żołnierzy jakby to nadal było średniowiecze.

Prawda jest taka, że w wojnie z terrorystami i buntownikami nie ma jak odróżnić cywila od uzbrojonego żołnierza. Jaki więc sens mają zasady, których nie można przestrzegać? Zasady te nie mogą dobrze funkcjonować, bo w połowie przypadków nie mamy pojęcia, kto jest wrogiem, a kogo nie. A kiedy już się dowiemy, może być za późno. Sensowne zastosowanie Zasad Użycia Siły w czasie operacji może być niemożliwe.

W dodatku nikt tak naprawdę nie wie, jak określić naszą obecność w Afganistanie. Czy jesteśmy siłami pokojowymi? Czy w interesie afgańskiego rządu prowadzimy wojnę z buntownikami? Może walczymy w imieniu Stanów Zjednoczonych?

Usiłujemy pojmać wielkiego terrorystę bin Ladena czy raczej powstrzymać talibów przed

przejęciem władzy nad krajem, bo to źli ludzie, którzy chronią bin Ladena i jego bandę?

Możesz sobie wybrać, ale to i tak nie zmieni sedna sprawy. Jesteśmy oddanymi sługami amerykańskiego rządu i robimy to, co nam nakazano. W Afganistanie walczymy na terenie wroga. Nie ma dla nas znaczenia, że zaprosił nas tutaj demokratycznie wybrany rząd, że nie wolno strzelać przez granicę na teren Pakistanu, że armia talibów jest nielegalna, że Konwencja Genewska, ple, ple, ple...

Kiedy patrolujemy góry, ze wszystkich sił starając się powstrzymać talibów, pojmać ich przywódców i speców od eksplozji, jesteśmy stale otoczeni przez dobrze uzbrojonego, groźnego przeciwnika, którego oficjalnym zamiarem jest uśmiercenie nas. To mam na myśli, mówiąc o walce na terenie wroga. Tak to właśnie wygląda, możesz mi wierzyć.

Jesteśmy na celowniku przez cały czas, każdego dnia. Ale rozkaz wykonamy do końca lub zginieemy, próbując go wykonać. Dla naszej ojczyzny. I nie mów kogo nam wolno atakować, a kogo nie. To powinna być wyłącznie nasza decyzja. Jeśli liberalne media i politycy nie mogą pogodzić się z tym, że na wojnie czasem giną niewinni

ludzie, mogą tylko zasugerować im, żeby dorośli i zaprosić na krótki wypad w góry Hindukusz. Prawdopodobnie żaden ze śmiałków by tam nie przetrwał.

Prawda jest taka, że każdy rząd, który uważa, że wojna jest rodzajem meczu o ustalonych regułach, w ogóle nie powinien nawet myśleć o angażowaniu się w nią.

Na wojnie nie obowiązują żadne przepisy, dlatego giną też niewinni ludzie. Tak dzieje się od tysięcy lat. Kiedy stajemy oko w oko z podrzynającymi gardła talibami,

nie mamy czasu na przepisy artykułu 4. Konwencji Genewskiej. Jedyne przepisy, które mogą zadziałać w takiej sytuacji to 5,56 mm - kaliber pocisków z naszych M4. Jeśli

ten numer komuś się nie podoba, niech spróbuje artykułu 7,62 mm ze skradzionego Rosjanom kałasznikowa. Tym zazwyczaj do nas strzelają, a strzelają po to, by zabić.

Niestety w tej światowej wojnie z terroryzmem my mamy zasady, a nasi przeciwnicy wykorzystują je przeciwko nam. Staramy się kierować sumieniem, ale oni nie cofną się przed niczym. Użyją każdej formy walki: tortur, obcinania głów, okaleczania.

Zaatakują cywili, kobiety i dzieci, użyją samochodów pułapek, wyślą na nas zamachowców-samobójców, zrobią wszystko, co tylko wpadnie im do głowy. To okazy z galerii największych historycznych rzeźników.

Kiedy zadaję sobie pytanie: kto posunie się dalej w tej walce? Odpowiedź brzmi: oni. Ochoczo poświęcą własne życie, byle tylko dorwać wroga. Są gotowi na absolutnie

wszystko, niezależnie od pory, miejsca czy okoliczności. No i nie obowiązują ich Zasady Użycia Siły.

Zasady Użycia Siły.

Jak widać, kiedy ruszamy przeciwko talibom i al-Ka-idzie, naprawdę mamy czego się bać. Boimy się o siebie, ale też obawiamy się naszych sędziów, amerykańskich

mediów i ich wpływu na polityków. Zmagamy się ze strachem przed zgnuśniałymi, niedouczone dziennikarzami, walczącymi o wielkie nagłówki, które uzasadnią ich

wysokie pensje i budżety. Nie myśl sobie, że to tylko moje zdanie. Wszyscy ich nie znosimy. Po części za ich brak rozsądku, ale najbardziej za ignorancję i oportunistyczny

W momencie, w którym konflikt zbrojny trafia na talerz mediów, staje się wojną medialną. Fakty przestają się liczyć, a wiadomości zapełniają liczne opinie i punkty

widzenia. Amerykańskie media w tej wojnie stawiają na dokręcanie nam śruby praw i zasad, dlatego nie mamy większej szansy na zwycięstwo. A to jest cholernie dobra

wiadomość dla naszego wroga.

Od czasu do czasu zdarza się, że jakiś zaangażowany dziennikarz czy fotoreporter wejdzie w drogę kuli z kałacha. Natychmiast taki wysoko opłacany pracownik mediów staje się bohaterem narodowym opiewanym w prasie i telewizji, jak Stany długie i szerokie. My, Foki nie jesteśmy zarozumiali, ale nie mogę przemilczeć tego, jak

bardzo ta sytuacja wkurza świetnie wykształconych, ale niezbyt dobrze opłacanych zawodowców, którzy na miejscu odwalają czarną robotę. SEALsi to najlepsi z najlepszych, a bez rozgłosu narażają się każdego dnia na rozmaite niebezpieczeństwa i zbyt często giną lub zostają ranni. Cisi bohaterowie, nieznanymi żołnierze, rozpoznawalni tylko w małych, rodzinnych społecznościach.

Pewnego razu trafiła nam się mordercza misja w górach przy 6. punkcie granicznym. Było nas dwudziestu. Ledwo zajęliśmy pozycje, kiedy ci dzicy Afgańczycy zarzucili nas z ukrycia gradem pocisków raketowych. Latały nad naszymi głowami i dziurawiły górskie zbocze za nami.

Nie mieliśmy pojęcia czy napastnicy zostaliby sklasyfikowani jako nieuzbrojeni cywile, czy uzbrojeni wrogowie Stanów Zjednoczonych. Trzy dni zajęło nam odparcie ich ataku, a i tak musieliśmy wezwać większe posiłki, żeby w ogóle się stamtąd wydostać. Po kolejnych trzech dniach zobaczyliśmy satelitarne zdjęcia tego miejsca, a na nich dwunastu podrzynaczy gardeł uzbrojonych w kałasznikowy i sztylety. Talibowie wysłali ich nocą, licząc na to, że wrócimy jeszcze na nasze pozycje i wpadniemy prosto pod ich noże.

Już słyszę liberałów grzmiących: „Przecież nie macie dowodu na to, że mieli taki zamiar!” Nie, oczywiście, że nie mamy dowodu. Właściwie możliwe, że wpadli tam tylko na kawę...

Nocne rajdy talibów na nasze pozycje to taktyka stosowana też wcześniej przez mudzahedinów przeciwko Rosjanom. Podkradali się nocą, by podrzynać gardła wartownikom, do momentu, kiedy sowiecka armia i rodziny młodych żołnierzy miały tego dość. Miejsce Mudzahedinów zajęli teraz talibowie i al-Kaida, a my jesteśmy równie zagrożeni, jak wtedy Rosjanie.

SEALs może poradzić sobie z takim wrogiem równie dobrze, jak z każdym innym, ale pod warunkiem, że nikt go za to nie posadzi w więzieniu, kiedy wróci do domu. W żadnym wypadku nie chcemy wałęsać się po tych górach, czekając aż ktoś przystawi nam nóż do gardła, a my nie będziemy mogli walczyć, z obawy, że mordercę da się sklasyfikować jako nieuzbrojonego afgańskiego rolnika.

Takie problemy obecnie ma amerykański żołnierz walczący za swój kraj. Wieczna obawa przed złamaniem jakiejś zasady i przed zemstą amerykańskich mediów. Czym sobie na to zasłużyliśmy? Tym, że kochamy nasz kraj i wszystkie wartości, na których został zbudowany?

W pierwszych tygodniach naszego pobytu w Afganistanie walki trwały nieustannie. Plutony co noc wychodziły na patrole, starając się wyłapać jak najwięcej bojowników przemykających przez górskie przełęcze. Wykorzystywaliśmy każdą pełnię księżyca, który rozpraszając górskie ciemności dawał nam nikłe oświetlenie terenu.

W takie noce wysyłaliśmy na granicę z Pakistanem helikoptery. Wyszukiwały brodatych fanatyków i otaczały reflektorami, jak psy pasrerskie otaczają stado owiec. Bojownicy uciekali i wpadali w zasadzki zastawiane przez nas i resztę amerykańskich wojsk, a my łapaliśmy ich i poddawaliśmy przesłuchaniom.

Może to się wydawać dziwne, że specjaliści od operacji podwodnych przeszukują tereny położone na wysokości trzech tysięcy metrów nad poziomem morza. SDV, nasze mini-łódzie podwodne, którymi docieramy do celów naszych misji, uznawane są za najlepiej zamaskowane i niedostrzegalne pojazdy bojowe na świecie. Co za tym idzie, ludzie używających takich pojazdów są uznawani za najlepiej ukrywających się i maskujących żołnierzy. To właśnie my — działamy głęboko za liniami frontowymi, na terenie wroga, obserwujemy, wysyłamy raporty. Niezauważeni, ale też żyjący w ciągłym napięciu, na granicy wytrzymałości własnych nerwów. Naszym najważniejszym zadaniem jest namierzenie nieprzyjaciela i skierowanie do akcji odpowiednich jednostek. Działania bezpośrednie to coś, co wojsko lubi najbardziej, ale nie można się do nich zabrać, nie wykonując wcześniej skrajnie niebezpiecznej

roboty, którą my wykonujemy - na przykład w takich opustoszałych okolicach jak szczyty Hindukuszu.

Komandor podporucznik Erie Kristensen w pełni doceniał nasze zdolności. Z czasem stał się moim przyjacielem i bywało, że nazywając nasze kolejne misje czerpał inspirację z mojego życiorysu. Jestem Teksaszczykiem, a on dżentelmenem z Wirginii, co z jakiegoś powodu szalenie go bawiło. Traktował mnie jak swego rodzaju skrzyżowanie Billy Kida z Buffalo Billem, czyli kowboja, który zawsze trzyma jedną rękę na swoim kolcie, gotowego strzelić, zanim zrobi to jego przeciwnik. Nie zwrócił uwagi na to, że obaj filmowi bohaterowie pochodzili z terenów położonych bardziej na północ, z Kansas czy jakoś tak. Dla Erica Teksas i wszystko co na północ i południe, to tereny zamieszkałe przez niebezpiecznych, wyjętych spod prawa ludzi, świat koltów kaliber .44, poganiaczy bydła i czer-wonoskórych.

Często więc wyruszaliśmy na operacje o kryptonimie Longhorn albo Lone Star.

Nadawanie im teksańskich nazw na moją cześć śmieszyło Erica do rozpuku.

Znakomita większość naszych akcji prowadzona była po cichu i polegała wyłącznie na obserwacji górskich przełęczy i wiosek. Stataliśmy się unikać wymiany ognia i poprzestawać na fotografowaniu i nalotach na cele. Za każdym razem szukaliśmy tego samego — człowieka, który nie pasował do reszty ludzi w wiosce, kogoś, kto nie wyglądał na wieśniaka.

Czasem trafialiśmy na całą grupę gości siedzących wokół ogniska, brodatych, posepnie sączących kawę, z kałasza-mi zawsze pod ręką. Najpierw musieliśmy zidentyfikować tych ludzi, a mogli być równie dobrze Pasztunami, pokojowo nastawionymi pasterzami kóz, co uzbrojonymi tali-bami, groźnymi i gotowymi natychmiast poderżnąć nam gardła. Już po kilku dniach nauczyliśmy się odróżniać talibów od ogorzałych i brudnych afgańskich wieśniaków. Wielu talibów pobierało wykształcenie w Stanach Zjednoczonych, a tu siedzieli starannie czyszcząc swoje karabiny i szykując się do zabijania nas.

Niebawem też przekonaliśmy się, jak skutecznie potrafią walczyć na swoim terenie.

Zanim spotkałem się z nimi w walce, myślałem, że kiedy ich zaskoczymy, odwrócą się i zaczną uciekać. Niesrety, nic z tego. Jeśli zajmowali albo mogli zająć pozycje powyżej naszych, stawali i walczyli. Jeśli natomiast zaskakiwaliśmy ich z góry, poddawali się albo uciekali przez granicę do Pakistanu, gdzie nie mogliśmy wkraczać. Kiedy stawaliśmy z nimi oko w oko, widzieliśmy w twarzach wyzwanie, nienawiść do Ameryki i blask tego ognia buntu, który płonął w ich duszach. Przerażało nas to tym bardziej, że tkwiliśmy w sercu ojczyzny terroryzmu, miejscu gdzie zrodziła się i wzrosła pielęgnowana przez talibów nienawiść, która zburzyła World Trade Center. Powiem szczerze, że wydawało się to nierealne, wprost niemożliwe, chociaż dobrze wiedzieliśmy, że to fakt. Przed naszymi oczami rozciągał się kraj, w którym to wszystko miało swoje korzenie, ojczyzna bojowników bin Laden, którzy nadal knują i planują zagładę Stanów Zjednoczonych. Miejsce, w którym panuje wstręt do Wujka Sama, gdzie kwitnie zło przekraczające możliwości pojmwania większości zachodnich umysłów. Zapewne dlatego, że to kraj bardzo różniący się od naszej części świata. Tu jest prawie tak, jak w średniowieczu. Mikey, Shane, Axe, ja i cała reszta wylądowaliśmy tam, w każdej chwili gotowi do starcia z cichymi, pewnymi siebie wojownikami, mistrzami walki w górach, uzbrojonymi w karabiny i sztylety.

Spotkanie z tymi ludźmi w dalekich pasztuńskich wioskach okazało się trudne i zaskakujące tym bardziej, że tutaj słowo „prymitywny” nabrało dla nas nowego znaczenia. Oto lepianki zbudowane z suszonej na słońcu gliny, klepiska zamiast podłóg, okropny smród moczu zmieszanego z odchodami mułów oraz kozy i kury zamieszkujące dolne poziomy domostw. A jednak tu, w tych jaskiniowych warunkach powstały, a potem zostały uskutecznione plany najbardziej szokującego ataku na serce cywilizacji XXI wieku.

Warunki sanitarne panujące w afgańskich wioskach pozostawiają wiele do życzenia. Mają tam wspólne wychodki, coś w rodzaju dziur wykopanych zaraz przy domach. Musieliśmy uważnie je omijać, szczególnie podczas nocnych patroli. Pewnego dnia źle obliczyłem odległość i wpakowałem nogę w takie szambo, co spowodowało wybuch śmiechu moich kumpli. Mnie naprawdę nie było do śmiechu.

W kolejnym tygodniu było jeszcze gorzej. Czołgaliśmy się w całkowitych ciemnościach, a naszym celem było ustawienie posterunku do obserwacji nad małą grupką lepianek i kóz. Nie sposób było dostrzec czegokolwiek bez noktowizorów, w pewnym momencie więc zacząłem ześlizgiwać się do kloaczego dołu.

Nie odważyłem się krzyknąć, chociaż przerażała mnie myśl o rym, w czym za chwilę wyląduję. Zdażyłem tylko wystawić rękę z karabinem prosto w górę i po prostu zanurzyłem się w kloace. W ostatnim momencie przed zanurzeniem usłyszałem szept któregoś z kumpli: „Patrzcie, Luttrell znowu wdepnął w gówno!”.

Chłopcy musieli wtedy powstrzymać największy atak śmiechu, jaki zdarzył im się na wszystkich afgańskich misjach, ale dla mnie to było jedno z najgorszych doświadczeń w całym życiu. Stałem się bombą biologiczną, która z powodzeniem mogła powalić tyfusem całą bazę Bagram. Pomimo tego, że noc była bardzo zimna, z radością wskoczyłem w pełnym umundurowaniu do rzeki, żeby zmyć z siebie szambo.

Czasem, kiedy wybuchały strzelaniny na punktach granicznych, ładowaliśmy się w osiemnastu ze sprzętem na Humvee — nasze terenowe półciężarówki — jechaliśmy w pobliże celu i dalej drałowaliśmy kilometrami. Problem polega na tym, że rząd pakistański sympatyzuje z talibami, więc północno-wschodnią część granicy pozostawia niestrzeżoną. Pakistan wydał dekret, według którego jego służby graniczne kontrolują drogi asfaltowe oraz pasy ziemi szerokości 20 metrów po każdej stronie. Talibowie korzystają z tej sytuacji, pokonując granicę jak i kiedy chcą, korzystając z udeptanych przez setki lat górskich ścieżek. Wielu z nich po prostu chce się przedostać, by ukraść trochę bydła, do czego my się nie wtrącamy. Talibowie wiedzą o rym, więc przekraczają górskie granice przebrani za poganiaczy, a to już się nam niepodoba. Szczególnie te zastępy wielbłądów obciążonych materiałami wybuchowymi.

W czasie patroli, za każdym razem, kiedy jakiś potrącony kamyk zdradził naszą pozycję, otwierali do nas ogień. Strzały często padały z pakistańskiej strony granicy, a tam nie mogliśmy przejść. Tak więc poruszaliśmy się w miarę możliwości niezauważeni, robiliśmy zdjęcia, zatrzymywaliśmy podejrzanych i, pozostając w



kontakcie z bazą, w razie kłopotów wzywaliśmy posiłki.

Zdaniem naszego dowództwa, podstawę udanej misji stanowią: dobry wywiad, identyfikacja speców od materiałów wybuchowych, namierzenie ich magazynów oraz wysadzenie ich w powietrze zanim zostaną użyte przeciwko nam. Niestety nie zawsze było to łatwe, gdyż nasz przeciwnik jest bruralny, dobrze się ukrywa i nie przejmuje się perspektywą długotrwałej walki. Talibowie będą walczyć tak długo, jak to będzie konieczne, wierząc, że w końcu uwolnią świętą ziemię od niewiernych, czyli nas. W końcu zawsze tak robili, nie? O przepraszam, nie!

Czasem, kiedy nasze szare komórki (tak w żargonie SEALsów nazywamy głównodowodzących) studiowały cel, my mieliśmy wolne. Ja przeznaczałem swój wolny czas na pracę w szpitalu polowym w Bagram. Pracowałem przeważnie w izbie przyjęć, gdzie pomagałem rannym, szlifując wiedzę, która mogła później przydać się mojemu plutonowi.

Praca w szpitalu otworzyła mi oczy. Leczone tam zarówno naszych żołnierzy, jak i rannych Afgańczyków, którzy zgłaszali się z różnymi ranami, głównie od kul, choć

zdarzały się też rany zadane sztyletami. Jednym z głównych problemów w Afganistanie jest powszechny, łatwy dostęp do broni palnej. Prawie w każdym domu można znaleźć AK-47. Stąd tyle ran postrzałowych. Afgańscy cywile nierzadko pojawiali się pod bramą bazy tak ciężko postrzeleni, że musieliśmy przewozić ich na ER-kę naszymi Humvee. Przyjmowaliśmy każdego, pomimo, że płacił amerykański podatek, a leczylimy rak dobrze, jak tylko mogliśmy.

Praca w szpitalu w bazie Bagram była dla mnie znakomitą okazją do szlifowania umiejętności, ale cieszyłem się też z tego, że mogę zrobić coś dobrego dla innych. Naturalnie za tę pracę nie pobierałem żołdu. Medycyna zawsze mnie pociągała, więc te długie godziny w szpitalu i tak były dla mnie bezcenne - miałem nadzieję kiedyś zostać prawdziwym lekarzem.

Gdy opatrywałem chorych i rannych, nasi dowódcy kontynuowali nigdy nie kończącą się pracę — analizowali raporty wywiadu wojskowego i CLA, starając się zidentyfikować przywódców talibów, żebyśmy później mogli zapobiec ich atakom.

Lista potencjalnych celów naszych misji zawsze była długa, ale informacje którymi dysponował sztab czasem pozwalały wskazać te ważniejsze postaci. W niektórych wioskach czy społecznościach z większym prawdopodobieństwem można było namierzyć naprawdę niebezpiecznych ludzi. Praca nad tym wymagała dużej wytrwałości i doświadczenia.

Oddziały stacjonujące w Bagram były w stałej gotowości do przeprowadzenia każdej niebezpiecznej misji, ale woleliśmy unikać wypadków do miejsc, gdzie szanse złapania ważniejszych talibskich terrorystów byłyby znikome. Ludzie z wywiadu musieli też brać pod uwagę fakt, że w górach sytuacja ciągle ulega zmianom, że talibowie nie tylko bez przerwy przemieszczają się, ale są też cwani. O możliwościach sił amerykańskich wiedzieli wiele, ale nie wszystko, rozumieli więc konieczność stałego przemieszczania się, z wioski do wioski, z jaskini do jaskini, tak żeby nigdy nie dostać się, razem z zapasami materiałów wybuchowych, w nasze ręce.

Nasz dowódca, Dan Healy, był znakomity w tej robocie. Wynajdował dla nas miejsca, gdzie mieliśmy duże szanse pojmania przeciwnika. Godzinami śleczął nad listami, sprawdzając i analizując ruchy najlepiej znanych nam terrorystów - gdzie spędzają czas, gdzie ostatnio byli widziani, etc.

Dowódca Healy przeglądał stosy fotografii, analizował mapy i wykresy, żeby tylko znaleźć miejsce, gdzie może nam się udać bez konieczności toczenia bitwy z całą armią bojowników. Założył własną listę najbardziej podejrzanych oraz miejsc, gdzie mogą oni przebywać i do czerwca zgromadził na niej całkiem sporo pozycji. Miał na niej najważniejszych talibów, informacje o ich metodach działania oraz o potencjalnym dostępie do TNT.

Jeden człowiek z listy zdecydowanie wysunął się na czoło. Ze względów bezpieczeństwa będę go nazywał Ben Sharmak. Wiadomo było, że to przywódca jednej z głównych talibskich organizacji bojowych, ponury człowiek gór, znany z napadów na miasta oraz uważany za bezpośrednio odpowiedzialnego za kilka zamachów bombowych na wojska Piechoty Morskiej USA. Sharmak miał wtedy około czterdziestu lat i dowodził grupą 140, może 150 uzbrojonych bojowników.

Miał wykształcenie, wiedzę z zakresu taktyki wojennej i władał pięcioma językami. Wiadomo było również, że jest jednym z najbliższych współpracowników Osamy bin Ladena.

Sharmak nieustannie przemieszczał swoje wojsko. Zatrzymywali się w pasztuńskich wioskach, gościnnie tam przyjmowani, lub rozbijali obozy w ich pobliżu. W drodze z jednego miejsca w drugie stale prowadzili rekrutację. Niezwykle trudno było ich namierzyć, jednak czasem musieli zatrzymywać się i korzystać z pomocy wieśniaków, aby odpocząć, najeść się czy choćby umyć.

Ptawie każdego ranka dowódca oddziału — Dan Healy, dowódca naszej grupy — Mikey i ja analizowaliśmy potencjalne cele. Healy przedstawiał nam listę około dwudziestu nazwisk i przypuszczalnych miejsc ich pobytu, a Mikey i ja wybieraliśmy kilku, których według nas moglibyśmy spróbować schwytać. W ten sposób tworzyliśmy galerię drani i na podstawie danych wywiadu wyznaczaliśmy kierunki następnych misji. Nazwisko Ben Sharmak wciąż pojawiał się na nowo, a szacunkowa liczba jego żołnierzy stale rosła.

W końcu zwołano wstępną naradę dotyczącą ewentualnego przeprowadzenia operacji Czerwone Skrzydło, której celem miało być schwytanie bądź likwidacja tego niebezpiecznego człowieka. Niestety nadal się wymykał. Pojawiał się raz tu, raz tam. Skakał jak cholerna pchła. W dodatku marnej jakości zdjęcia, które posiadaliśmy, przedstawiały tylko jego głowę i ramiona. Wiedzieliśmy jednak mniej więcej jak sukinsyn wygląda, można więc było założyć, że będzie to operacja jak każda inna - namierzenie celu z pozycji powyżej wioski, sfotografowanie i pojmanie.

Otrzymaliśmy sporo danych wywiadowczych na jego temat, co mogło oznaczać, że CIA i być może również FBI były zainteresowane jego pojmaniem lub likwidacją. Z czasem Sharmak zdawał się nabierać coraz większego znaczenia. Według raportów wywiadu jego wojska mogły liczyć od 80 do nawet 200 ludzi, co oznaczało, że operacja również musi być zakrojona na odpowiednio dużą skalę. Dowódca Healy uznał, że takie zadanie najlepiej mogą wykonać ja i moich trzech kolegów z plutonu Alfa.

Nikt nie oczekiwał, że rozprawimy się z całą tą armią rozbójników. Mieliśmy raczej pozostać całkowicie niezauważeni. „Znajdźcie sukinkota, a jego pozycję i siłę wojska nadajcie przez radio. Większe siły operacyjne dołączą z powietrza i zdejmą go”.

Proste, prawda?

Gdybyśmy uznali, że Sharmak planuje rychle opuszczenie wioski, w której stacjonował, wtedy ja lub Axe, mieliśmy go niezwłocznie zastrzelić. Była tylko jedna szansa na trafienie, tylko jeden strzał z odległości może 350 metrów.

Wiedziałem, że jeśli bym spudłował, Webb, Davis czy którykolwiek z wyższych rangą SEALsów, urwałyby mi jaja. W końcu przecież do takich właśnie zadań mnie wyszkolili.

Żeby rozwiać wszelkie wątpliwości powiem, że nie miałem absolutnie żadnych skrupułów przed wpakowaniem kuli w głowę tego sukinsyna. Był zaprzysięgłym, fanatycznym wrogiem Stanów Zjednoczonych i miał już na sumieniu wielu moich kolegów z Piechoty Morskiej. Poza tym, był to ten typ terrorysty, którego najważniejsza działalność to planowanie araków na teren USA, więc gdybym miał go na muszce, nacisnąłbym spust bez litości. Tego ode mnie oczekiwali dowódcy, a ja byłem dumny, że zostaliśmy uznani za odpowiednich do tej roboty i nie zamierzaliśmy zawieść tych oczekiwań.

Każdego dnia meldowaliśmy się w biurze wywiadu, żeby sprawdzić czy są nowe dane na temat Sharmaka. Healy nieustannie pracował nad tą sprawą, wspierany przez oficera operacyjnego i komandora porucznika Pero. Pytanie było zawsze to samo: gdzie jest nasz cel? Niestety ukrywał się lepiej niż Saddam Husajn, umykał z pola widzenia satelitów, a tożsamość i lokalizację udawało mu się ukryć nawet przed licznymi informatorami CIA, którzy rekrutowali się z jego otoczenia.

Naturalnie nie było sensu, żebyśmy wybierali się w góry uzbrojeni po zęby, z aparatami fotograficznymi, dopóki nie będziemy pewni, gdzie przebywa Sharmak. Talibowie sranowali poważne zagrożenie dla latających na niskich pułapach samolotów wojskowych. Piloci helikopterów zdawali sobie sprawę z tego, że w każdej chwili mogą zostać ostrzelani z ziemi, nawet podczas nocnych lotów. Nieprzyjaźni nam górale równie dobrze obchodzili się z wyrzutniami rakiet

przeciwlotniczych, jak z kałasznikowami.

Poza tym, każda operacja wymaga zaangażowania sporych zasobów: środków łączności, wsparcia powietrznego, amunicji, prowiantu, wody, środków medycznych, granatów ręcznych oraz broni. To wszystko musielibyśmy mieć pod ręką.

W pewnym momencie, we wczesnym stadium planowania operacji Czerwone Skrzydło, dostaliśmy zgodę na jej rozpoczęcie. Jednak gdy przygotowania szły już pełną parą, została odwołana. „Wstrzymać operację!”. To był fałszywy alarm.

Wywiad miał dane, które świadczyły o miejscu pobytu Sharmaka, ale nie dość dokładne. Studiowali mapy i ukształtowanie terenu, mieli zaznaczone pewne obszary, gdzie mógł się znajdować, przeanalizowali dane i nabrali pewności, że jest w jednym z tych miejsc. Niestety nie mogli określić dokładnie, w której wiosce czy obozie, a więc tym bardziej nie mogli podać namiarów potrzebnych snajperowi.

Wywiad czekał na postępy w swoim zadaniu, a my tymczasem prowadziliśmy kolejne rozpoznanie i obserwację, pewnie dla Operacji Kozi Postronek czy coś w tym stylu. Właśnie wróciliśmy z takiego wypadu, kiedy dowiedzieliśmy, że jest przełom w polowaniu na Sharmaka. Była to nagła zmiana sytuacji, domyśliliśmy się więc, że z pomocą przyszedł nam któryś z informatorów. Healy czekał tylko na komplet map oraz analizę terenu i wyglądało na to, że za chwilę znów wyruszamy.

Stawiliśmy się na odprawie: kapitan Mike Murphy, bosman Matthew Axelson, bosman Shane Patton i ja. Po zapoznaniu się z danymi nadal nie uważaliśmy tej operacji za nadzwyczajną. W ostatniej minucie wprowadzono sporą zmianę. Zapadła decyzja, że Shane'a zastąpi bosman Danny Dietz, 34-latek, którego znałem od lat. Był niskim (przynajmniej w porównaniu ze mną), dobrze umięśnionym chłopakiem urodzonym w Colorado, ale mieszkał już przy bazie w Virginia Beach, wraz ze swoją niezwykle piękną żoną Marią, nam znaną jako Patsy. Nie mieli dzieci, ale chowali dwa psy, buldoga i bul-mastiffa, oba tak silne jak ich pan.

Dannego znałem jeszcze ze szkolenia z SDV w Panama City na Florydzie, gdzie zastał nas dzień 9/11. Trenował jogę i wschodnie sztuki walki. Był też bliskim przyjacielem Shane'a. Myślę, że ci dwaj bogowie plaż i ludzie z żelaza, mieli wiele ze sobą wspólnego. Ucieszyłem się, że Danny będzie ze mną w zespole. Był nieco

powściągliwym, ale też bardzo wesołym i dobrym człowiekiem, chociaż wkurzenie go nie było dobrym pomysłem. Danny Dietz miał naturę okiełznanego, ale jednak tygrysa i był znakomitą Foką.

Wydawało się, że operacja Czerwone Skrzydło znowu dostała zielone światło, a skład zespołu ustalony. Dwóch snajperów - ja i Axe, oraz dwóch operatorów — Mikey i Danny. Dowodzącym zosrał Mikey. Łączność przydzielono mnie i Dannemu. Cel miał zostać „zdjęty” przez Axa lub mnie, po namierzeniu przez króregokolwiek z nas, w zależności od sytuacji w terenie.

Plan zakładał, że mamy ukryć się powyżej wioski, w krórej przebywa Sharmak i czekać. Nawet do czterech dni, jeśli będzie ro konieczne. Mogło się zdarzyć, że będziemy rkwili na tym pustkowiu w wysokich górach, nie ruszając się nawet o metr, jak martwi.

Mieliśmy pozostać przez cały czas jak najlepiej zamaskowani i ukryci przed uzbrojonymi po zęby góralami, ekspertami od lokalnego terenu. Naszym zadaniem była obserwacja i wyczekiwanie na okazję do zastrzelenia ich przywódcy. Niewiele jest rzeczy bardziej niebezpiecznych od takiej operacji.

Byliśmy już w śmigłowcu, ubrani, zorganizowani i gotowi do wylotu, z rozkazem wykonania, kiedy operacja ponownie została odwołana. „Zawracać!”. Tym razem nie tyle srracili Sharmaka z oczu, co skurczybyk pojawił się nagle w zupełnie innym miejscu.

Wysiedliśmy z helikoptera, odmaszerowaliśmy do koszar, zdjęliśmy mundury bojowe, zmyliśmy kamuflaż z rwarzy i znowu wyglądaliśmy jak ludzie. Przerwa trwała dwa tygodnie. W tym czasie wykonaliśmy kilka innych misji, a nawet dwukrotnie prawie daliśmy sobie odsrrzelić głowy.

Raz przeszedłem sam siebie, przyszpilając jednego z najgroźniejszych terrorystów w północno-wschodnim Afga-

nistanie. Miałem potwierdzoną jego pozycję i w pewnym momencie na własne oczy zobaczyłem gościa, jak jedzie sobie rowerkiem wzdłuż drogi, którą obserwowałem.

Nie zastrzeliłem go, bo to mogłoby zdradzić naszą pozycję, a w każdej chwili spodziewaliśmy całej karawany jego wielbłądów obładowanych materiałami

wybuchowymi. Chcieliśmy zdjąć i jego, i cały arsenał. Przynajmniej nie powtórzyłem akcji, którą wykonał wcześniej inny nasz kolega, który, według opowieści krążących wśród SEALsów, srrze-lił do obiektu, a następnie przekazał pilotowi krążącego w pobliżu bombowca pozycję według GPS. Potem przyglądał się jak dwustukilogramowa bomba z powierzchni ziemi terrorystę, jego wielbłąda i wszystko co przypadkiem znalazło się w promieniu 50 metrów od nich. W czasie mojej misji schwytaliśmy terrorystę, zatrzymaliśmy ka-rawanę i rozładowaliśmy materiały wybuchowe bez uciekania się do tak spektakularnych metod.

Sorry, lewaki, ale, jak mawiamy w Teksasie, męska robota to męska robota i już.

I tak mijały dni, aż do poniedziałku, 27 czerwca 2005 roku, kiedy nasz wywiad ponownie namierzył Sharmaka. Tym razem sytuacja wyglądała lepiej. Jeszcze przed południem otrzymaliśmy mapy i zdjęcia terenu. Dane wywiadu były znakomite, mapy niezłe, a zdjęcia uszły. Nadal brakowało wyraźnej fotografii Sharmaka, wciąż dysponowaliśmy jedynie zdjęciem głowy i ramion, ziarnistym i niewyraźnym.

Radziliśmy sobie już wcześniej z innymi zabójcami, mając jeszcze mniej materiału, więc teraz nie było wątpliwości. „Czerwone Skrzydło startuje”!

Zaraz po odprawie, dowódca Dan Healy szepnął do mnie:

- Marcus, teraz już ruszamy na serio. Przygotuj chłopaków. Rzuciłem krótką odpowiedź, taką jakiej w podobnych sytuacjach oczekuje dowódca SEALsów od lidera grupy operacyjnej:

- Tak jesr. Ruszamy.

Wyszedłem z sali odpraw i skierowałem się do koszar, w głowie mając mętlik. Nie potrafię wyjaśnić dlaczego,

ale nękały mnie wątpliwości i to uczucie niepokoju nie chciało mnie opuścić.

Widziałem mapy. Były bardzo przejrystsre. To, czego nie mogłem na nich zobaczyć, to miejsca odpowiedniego na kryjówkę. Nie mieliśmy wystarczających informacji o roślinności występującej na rym terenie. Hindukusz na wysokości 3 tysięcy m n.p.m. najwyraźniej był surową i nieurodzajną okolicą. Nie trzeba mieć dyplomu z geografii, żeby wiedzieć, że takie miejsca to spalone słońcem pustkowia, na których nic nie rośnie. Dobre dla wspinaczy, ale nie dla nas.

Wioska, krórą mieliśmy obserwować, liczyła trzydzieści dwie chary. Policzyłem je na zdjęciach satelitarnych. Nie wiedzieliśmy, w której mieszka Sharmak, nie miały też numerów, które przydałyby się nam, gdybyśmy, będąc już na miejscu, dostali bardziej precyzyjne dane.

Na fotografiach widoczny był rozkład zabudowań i trochę terenu wokół wsi. Dysponowaliśmy dokładnymi współrzędnymi geograficznymi (z GPS-a) i krótką listą stref dogodnych do lądowania. Nie były tak istotne na początku akcji, bo i tak używaliśmy lin do schodzenia ze śmigłowca na ziemię, ale przy odwróceniu były już krytyczne.

Byłem pewien, że będziemy musieli skosić materiałami wybuchowymi kilka drzew na jednej z niższych górskich półek, by zbudować osłonę dla odwrotu i pole dla helikopterów grupy do działań bezpośrednich (DA), jeśli będzie musiała wejść do gry. Takie puste, nieurodzajne górskie okolice nie są wymarzonymi miejscami na urządzenie tajnych lądowisk, kiedy dookoła roi się od uzbrojonych w rakiety talibów. Tym bardziej, jeśli jest to tak dobrze wyszkolona grupa, jaką dysponował Sharmak. Ten człowiek był niebezpiecznym zabójcą, a udowodnił to nie raz, wysadzając w powietrze naszych Marines.

Kiedy wracałem do koszar, by spotkać się z chłopakami, jedna kwestia zdominowała moje myśli. Nie było tam miejsca odpowiedniego, by się ukryć i obserwować. Jeśli nie masz wystarczająco dobrej pozycji, zwyczajnie nie możesz skutecznie prowadzić rozpoznania. A jeśli te górskie urwiska były tak gołe i kamieniste jak przypuszczałem, rzucalibyśmy się w oczy jak diament w kozim gównie.

Na dole miało być około dwustu uzbrojonych bojowników uważnie obserwujących teren otaczający kryjówkę ich dowódcy. Nie martwiła mnie liczebność naszego wroga, ale nikłe szanse na ukrycie się i - co za tym idzie - powodzenie misji. Jeśli nie znajdziemy wystarczająco dobrego miejsca, być może będziemy skazani na niekorzystny dla obserwacji kąt widzenia lub zbyt dużą odległość od obiektu.

W baraku natknąłem się na Mike'a. Powiedziałem mu, że wyruszamy i pokazałem mapy oraz zdjęcia, które dostałem. Zerknął na nie i powiedział:

- Pięknie. Kolejne trzy dni zabawy na słoneczku.



Kiedy jednak uważnie przeglądał zdjęcia gołych, stromych górskich zboczy całkowicie pozbawionych dogodnych miejsc na kryjówki, jego twarz powoli zmieniała wyraz.

Po chwili dołączyli do nas Axe i Danny. Przedstawiliśmy im sytuację i razem z nimi, nieco niepewnym krokiem, ruszyliśmy do kantyny na lunch. Zamówiłem wielką miskę spaghetti. Kiedy skończyliśmy jeść, wróciliśmy do koszar, żeby przebrać się i skompletować wyposażenie. Z danych wywiadowczych wynikało, że mamy wylądować w zadrzewionej okolicy, założyłem więc moje pustynne drelichy i bluzę z kamuflażem. Zabrałem też szalik snajperski.

Mikey i Danny wzięli swoje M4 i granaty, a Axe i ja karabiny Mark 12, kaliber .5,56. Poza rym każdy z nas wyposażony był w SIG-Sauera 9 mm. Zdecydowaliśmy, że nie zabierzemy cięższej broni, czyli ważącego wraz amunicją ponad 10 kilogramów karabinu maszynowego M60. Byliśmy już i tak obciążeni żelastwem, uznaliśmy więc, że będzie za ciężki do targania po tych stromiznach.

Zabrałem jednak kilka kierunkowych min odłamkowych. Zawierają one ładunki o dużej sile wybuchu i wyposażone są w linkę-pułapkę, którą rozciąga się nisko nad ziemią, na wypadek gdyby wróg chciał podejść po cichu.

O ich przydatności przekonałem się już pierwszego dnia, kiedy dwóch Afgańczyków podeszło do mnie tak blisko, że z powodzeniem mogli mnie wykończyć.

Spakowaliśmy też dużą rolkę lontu, która miała posłużyć do wysadzania drzew na lądowisku dla helikoptera, który miał nas stamtąd zabrać lub dla grupy do działań bezpośrednich, gdyby jej ściągnięcie okazało się konieczne. W ostatnim momencie, nadal nękany wątpliwościami, dołożyłem jeszcze trzy magazynki naboju do M12, czyli razem miałem już jedenaście, a w każdym z nich po Trzydzieści pocisków.

Standardowo na taką misję zabiera się osiem magazynków, ale w operacji Czerwone Skrzydło było coś, co nam wszystkim kazało zabrać dodatkowe magazynki.

Ja zabrałem też ISLiD, urządzenie do stabilizacji i kierowania światłem, przydatne przy naprowadzaniu helikopterów na lądowisko, a także lunetę i zapasowe baterie do wszystkich urządzeń. Danny spakował radio, a Mikey

1 Axe aparaty fotograficzne i komputery.

W końcu zabraliśmy też prowiant MRE (meal ready to eat) — suszoną wołowinę, makaron z kurczakiem, batony energetyczne, wodę, orzeszki ziemne i rodzyunki. Cały ten bagaż ważył 20 kilogramów, a w naszym świecie raki ciężar mieści się w kategorii „bagaż podręczny”. Shane przyszedł nam pomachać:

-Trzymajcie się, goście, dokopcie im!

Spakowani i gotowi pojechaliśmy na lądowisko helikopterów do operacji specjalnych. Ciekawiło nas, czy tym razem znów nie wstrzymają operacji w ostatniej chwili. Jeśli tak, byłoby to już trzecie przerwanie operacji Czerwone Skrzydło. Tymczasem odebraliśmy tylko instrukcję „Rolex, 1. godzina”, co znaczyło, że wyruszymy jak tylko zapadnie zmrok.

Złożyliśmy nasze bagaże na kupe, położyliśmy się przy pasie startowym i czekaliśmy. Musicie wiedzieć, że było bardzo zimno, a na szczytach gór leżał śnieg.

Mikey po-

kazał mi swój talizman. Był to ostro zakończony kawałek granitu, który trzy dni wcześniej, podczas innej misji, wbijał mu się w tyłek, kiedy tkwiliśmy w niepewnej kryjówce i nie mogliśmy się przesunąć nawet o milimetr.

- Na wypadek, gdybyś chciał go sobie wetknąć w dupę, aby przypominał ci o domu - rzucił.

I tak czekaliśmy, razem z kilkoma innymi ekipami, które również wyruszały tej nocy na misję. W tym samym czasie grupa z sił szybkiego reagowania (QRF) leciała do Asadabadu. My właśnie zakończyliśmy tam rozpoznanie, więc mieli ze sobą zrobioną przez nas dokumentację fotograficzną. W Asadabadzie, stolicy prowincji Kunar, znajdowała się opuszczona baza armii rosyjskiej, która nadal była uważana za niebezpieczne miejsce. Przed laty mudżahedini otoczyli to miejsce i wyrznęli wszystkich rosyjskich szeregowców i podoficerów. Był to początek końca radzieckiej nawały w 1989 roku, a miejsce to od celu naszej podróży dzieliło zaledwie jedno pasmo gór.

W końcu łopaty naszych helikopterów zawirowały. Najwyraźniej wszystkie te niepewne elementy planu operacji Czerwone Skrzydło nadal pozostawały niezmienione. Nadszedł rozkaz: „Czerwone Skrzydło rusza!”, dźwignęliśmy więc

nasz ładunek i wdrapaliśmy się na pokład Chinooka 47, który miał nas wyrzucić czterdzieści pięć minut później, na północny-wschód od bazy.

- Wygląda na to, że skurwiel Ben Sharmak jest nadal tam, gdzie myślimy, że jest — powiedział Mikey.

Pierwszym helikopterem, który wystartował, odleciało pięciu gości do Asadabadu. Potem my podnieśliśmy się z pola startowego, ptzelecieliśmy nad bazą i zakręciliśmy na właściwy kurs. Zapadł już zmrok, więc zamiast wyglądać przez okno, wbiłem wzrok w podłogę. Na swój sposób każdy z naszej czwórki, Mikey, Axe, Danny i ja, miał już pewność, że z tą misją jest coś nie tak. Było to odczucie niezwykle u ludzi, którzy zazwyczaj wyruszają w teren

pełni zapалу i werwy, wyszkolonych, by do walki rzucać się z okrzykiem: „Dawać ich tu, jesteście gotowi!”.

Żadna Foka nigdy nie przyznaje się do strachu przed czymkolwiek. Nawet jeśli czasem odczuwamy lęk, nie mówimy o tym głośno. Po prostu otwieramy drzwi i ruszamy na spotkanie z nieprzyjacielem, kimkolwiek by nie był. Czymkolwiek było uczucie, które dzieliliśmy tamtej nocy, nie było strachem przed wrogiem, ale raczej strachem przed nieznanym, ponieważ naprawdę nie wiedzieliśmy, czego możemy się spodziewać w rak rrudnym terenie.

Kiedy dolecieliśmy na miejsce, helikopter trzy razy podchodził do lądowania, zniżając pułap w rzech różnych punktach, odległych o kilka kilometrów. Za każdym razem były to miejsca, w które nie mieliśmy zamiaru się udać. Jeśli Afgańczycy obserwowali nasze manewry, musieli być zdezorientowani podobnie jak my.

Nadlatujemy, podnosimy się, wtacamy, krążymy, odlatujemy. Jestem pewien, że jeśli ludzie Sharmaka gdzieś tam się kryli, nie mieli bladego pojęcia gdzie jesteśmy, ani jak nas odnaleźć.

W końcu trafiliśmy na miejsce lądowania. Zabrzmiał rozkaz: „Czerwone Skrzydło rusza!”. Kontroler odliczał: „10 minut do celu”, „3 minuty do celu”, „Jedna minuta”, „30 sekund!”... „Ruszamy!”.

Rampa opadła, strzelec, który miał osłaniać nas w razie zasadzki, trzymał w gotowości swój M60. Na zewnątrz panowała całkowita ciemność, księżyc był

niewidoczny, łopaty naszego śmigłowca cięły wiatr z charakterystycznym: „Bum-bum-bum”. Jak dotąd nikt do nas nie strzelał.

Lina przymocowana do rampy opadła i dotknęła drugim końcem ziemi. Została umieszczona w taki sposób, byśmy w trakcie opuszczania śmigłowca nie zawadzali o niego sprzętem. Nikt się nie odzywał. Obładowani bronią i wyposażeniem ustawiliśmy się w szeregu, jeden za drugim. Danny ruszył w ciemność jako pierwszy, za nim ja, potem Mikey i na końcu Axe. Każdy z nas łapał linę i szybko zjeżdżał w dół. Specjalne rękawice chroniły dłonie przed poparzeniem. Zjeżdżaliśmy z wysokości 6 metrów, smagani przez silny wiatr.

Kiedy znaleźliśmy się na ziemi, natychmiast rozproszyliśmy się na odległość około 20 metrów jeden od drugiego. Było szalenie zimno, a silne podmuchy z wirników, smagające nas i wzbijające tumany kurzu, jeszcze potęgowały to odczucie. Nie wiedzieliśmy, czy jacyś ukryci wokół wojownicy obserwują nas, czy nie, ale w tej okolicy zawsze istniała taka możliwość. Usłyszeliśmy jak wzmagają się ryk silników odlarującego śmigłowca. Po chwili straciliśmy go z oczu. Coraz szybciej nabierał prędkości i wysokości, by jak najszybciej oddalić się od tego, zapomnianego przez Boga, górskiego zbocza.

Wtopiliśmy się w tło i znieruchomieliśmy na jakieś piętnaście minut, zachowując całkowitą ciszę. Żaden z nas się nie poruszył ani nie odezwał. Panowała kompletna cisza. To było nawet coś więcej niż cisza. Raczej całkowity bezruch i pustka. Jak kosmiczna próżnia. Daleko pod nami, w odległości około półtora kilometra migorały dwa ognie. Miałem nadzieję, że to ogniska lub pochodnie pasterzy pilnujących kóz. Minęło piętnaście minut. Po lewej miałem sięgającą nieba ścianę górskiego zbocza, a po prawej kępę wysokich drzew o bardzo grubych pniach. Otaczały nas niskie konary drzew i gęste listowie.

Znajdowaliśmy się dużo poniżej miejsca, z którego mieliśmy prowadzić obserwację. Było to bardzo niepokojące, ponieważ w tym miejscu mógł się ktoś ukrywać. Widoczność była znikoma i nie mogliśmy zorientować się, czy ktokolwiek jest w pobliżu. Możliwe, że 16 lat wcześniej nieszczęśni rosyjscy żołnierze lądowali w

podobnych okolicznościach. Potem ktoś podrzywał im gardła.

W końcu podnieśliśmy się. Podeszedłem do Dannego i poleciłem mu uruchomić radiostację i poinformować kontrolerów akcji, że jesteśmy na miejscu. Potem wspiałem się nieco wyżej do Mike'a i Axe, którzy stali przy linie. Z niezrozumiałych powodów została ona odcięta i opadła z helikoptera.

To był oczywisty błąd. Załoga śmigłowca powinna była zwinąć linę i zabrać ją ze sobą. Bóg raczy wiedzieć, po co ją zostawili. Ucieszyłem się jednak, że Mikey ją znalazł, bo gdyby tak się nie stało, któryś z wieśniaków lub bojowników mógłby się na nią natknąć. Szczególnie, że mogli usłyszeć nadlatujący helikopter Lina mogła zdradzić naszą obecność, a to równało się pewnej śmierci.

Nie mieliśmy przy sobie saperek, więc Mikey i Axe musieli ukryć linę pod stertą gałęzi, patyków i liści. Kiedy kończyli, nawiązałem łączność z załogą samolotu szturmowego AC-130 Spectre, który pilnował nas, krążąc gdzieś wysoko ponad nami. Przekazałem zwięzły komunikat:

- Snajper Dwa Jeden, tu Błysk Trzy — za chwilę ruszamy.

— Zrozumiałem.

I to był ostatni raz, kiedy z nimi rozmawiałem. Ruszyliśmy do miejsca przeznaczenia, oddalonego o jakieś sześć i pół kilometrów. Trasa była zaplanowana wcześniej.

Mieliśmy poruszać się wzdłuż górskiego grzbieca, który długo ciągnął się prosto, a później skręcał ostro w prawo.

Na mapie mieliśmy zaznaczone trzy punkty kontrolne, opisane współrzędnymi z GPS-a i wyraźnie ponumerowane: 1, 2 i 3.

Mniej więcej na tym kończyła się lista rzeczy prostych i oczywistych, bo teren był już absolutnym koszmarem, ciemność nocy nieprzenikniona, a szliśmy wzdłuż grani tak stromej, że tylko cudem nie spadliśmy i nie połamaliśmy sobie karków. Na dodatek powietrze było lodowate i zaczął zacinać deszcz. Po upływie 10 minut byliśmy tak przemoczeni, jak podczas słynnego Tygodnia w Piekło.

Poruszaliśmy się bardzo powoli, wspinaliśmy się, ślizgaliśmy i potykaliśmy.

Rozpaczliwie szukaliśmy oparcia dla stóp, dla dłoni. W ciągu pół godziny każdy z nas zaliczył upadek, ale najgorzej miałem ja, jako największy i najcięższy z naszej

czwórki. Pozostali wspinali się bardzo sprawnie, podczas gdy ja wciąż odpadałem pod ciężarem ciała i ładunku, który miałem na sobie. Gdy nadrabiałem, oni odpoczywali, a kiedy do nich dołączałem, Mikey natychmiast dawał znak do dalszej wspinaczki. Dla mnie nie było odpoczynku.

- Wal się, Murphy - rzuciłem, nawet nie udając, że żartuję. Właściwie warunki były tak trudne, że odpoczynek nie był

najlepszym pomysłem. Byliśmy tak przemoczeni, że tkwiąc w bezruchu mogliśmy zamarznąć już po pięciu minutach. Posuwaliśmy się więc stale w górę, starając się utrzymać jak najwyższą ciepłotę ciała. Niestety była to paskudna wspinaczka. Stale musieliśmy kryć się pod drzewami, pod ich zwisającymi gałęziami i jednocześnie starać się nie spaść.

Wreszcie dotarliśmy do szczytu góry, a tam odkryliśmy świeże ślady. Widać było, że spora grupa talibów niedawno przewinęła się tamtędy, co dla nas było bardzo dobrą wiadomością. Sharmak i jego ludzie byli niedaleko. Właśnie rozpoczęliśmy polowanie.

Kiedy weszliśmy na górę, księżyc nagle wyszedł zza chmur i naszym oczom ukazała się rozległa płaska przestrzeń porośnięta bardzo wysoką trawą. Rozciągała się przed nami jak rajska łąka oświetlona niezwykłym, bladym światłem. Ten przepiękny widok wywarł na nas takie wrażenie, że zatrzymaliśmy się w pół kroku.

Po chwili dotarło do nas, że w tej trawie łatwo mógł się ukryć nieprzyjaciel i w tej samej sekundzie przycupnęliśmy cichutko. Axe najpierw poszukał ścieżki, a kiedy nie znalazł, próbował sam torować drogę, jednak bez skutku. Trawa była zbyt gęsta, by się w niej potuszać i zakrywała go niemal całego. Wrócił po kilku minutach i w tym romantycznym świetle księżyca stebrzącym starożytnie, opiewane przez poetów góry sąsiadujące z samym dachem świata, zwrócił się w te słowa:

- No, chłopaki, kurewsko beznadziejna sprawa.

Po prawej mieliśmy głęboką dolinę otaczającą wioskę, w której znajdował się cel. Osiągnęliśmy pierwszy punkt kontrolny i nie pozostawało nic innego jak szukanie alternatywnej drogi wzdłuż zbocza. Nagle znikąd nadpłynął ogromny obłok mgły, zsunął się ze skarpy i podryfował przez dolinę.

Był to niezapomniany widok. Chmura lśniła w świetle księżyca, czysta i biała, robiła takie wrażenie, jakby można było po niej przejść na szczyt po drugiej stronie doliny. Scena ta oglądana przez NOD-y (night optic device), czyli noktowizory była tym bardziej rajską, że otaczał nas kraj pełen podstępów i nienawiści skierowanych przeciwko nam.

Kiedy staliśmy zauroczeni widokiem, Mikey ustalił, że znajdujemy się nieco powyżej 1. punktu kontrolnego, więc musimy posuwać się dalej kursem północnym, ale omijając wysoką trawę. Rozproszyliśmy się w poszukiwaniu innej drogi. Danny trafił na ścieżkę prowadzącą wokół góry, mniej więcej w kierunku, w którym mieliśmy podążać. Niestety, księżyc znowu schował się za chmurami, a deszcz zmienił się w ulewę.

Pokonaliśmy może pół mili, brnąc przez teren równie trudny jak dotąd, gdy niespodziewanie poczułem woń wiejskich chałupy i kozich odchodów. Była bardzo wyraźna, pomimo wilgoci siekącego deszczu. W tych ciemnościach weszliśmy niemal w sam środek podwórka. Sytuacja wymagała zachowania szczególnej ostrożności. Przykucnęliśmy i zaczęliśmy czołgać się wzdłuż szczytu, przez gęste zarośla, starając się pozostać niewidocznymi.

Warunki były koszmarne, jednak z punktu widzenia teorii o działaniach SEALsów prowadzonych na terenie wroga, ułatwiały zadanie. W ciemnościach trudno było nas dostrzec bez noktowizora. Deszcz i wiatr zagoniły tubylców do chat i nawet jeśli nie spali, to zapewne byli przekonani, że tylko wariat mógłby pozostawać na zewnątrz w taką pogodę. Co do tego mieli rację. Od początku drogi każdy z nas zaliczał ciężkie upadki, mniej więcej co 400-500 metrów. Byliśmy już cali pokryci błotem i przemoczeni, zupełnie jak w Fazie Drugiej szkolenia BUD/S. Tak, to prawda, tylko wariat albo Foka mógł z własnej woli spacerować w takim stanie.

Widzieliśmy niewiele poza zabudowaniami. Nagle księżyc wyszedł zza chmur, więc musieliśmy szybko poszukać kryjówki w cieniu.

Oddalaliśmy się od chałupy, poruszając się ciągle w górę, teraz już przez w miarę znośną roślinność. I nagle wszystkie moje najgorsze obawy stały się rzeczywistością. Wyszliśmy spomiędzy osłaniających drzew wprost na puste wzniesienie, przed

głównym zboczem stromo wznoszącym się w kierunku północnym.

Ani jednego drzewa, ani krzaczka, ryłko mokry, śliski łupek, błoto, kamyki i kawałki skał. Księżyc znajdował się za nami, a jego światło rzucało na wzgórze nasze długie cienie.

Tak właśnie wyglądał koszmar, który nawiedzał mnie od momentu, kiedy w sali odpraw po raz pierwszy obejrzałem mapy — nasza czwórka jasno oświetlona na tle nagiego górskiego zbocza, tuż nad wioską pełną talibów. Stanowiliśmy najłatwiejszy na świecie cel dla afgańskich czujek. Całkowicie odsłonięci, jasno oświetleni na pustkowiu, bez żadnej kryjówki w pobliżu.

- O żesz...! - rzucił Mikey.

Żegluję przez spokojne wody zatoki. Za moim prawym ramieniem powiewa amerykańska flaga. To rzadkość. Większość ludzi wie, że noszę ją w sercu. Fot.

Suzanne Robinson

Facet z przodu to Billy Shelton, miejscowy rwardziel, który trenował i nieomal zabił Morgana oraz mnie w trakcie prób przerobienia nas na Navy SEALs. Na tym zdjęciu jestem z moim dobrym kumplem, Tommy Richardsonem z Marines, też podopiecznym Sheltona. Fot. starszy sierżant Daniel Marshall

Załoga rekrutów do SEALsów (z tyłu) musi jakoś wylądować pontonem na skałach i potem wciągnąć ponton na plażę. Łatwo rozpoznać instruktora - to ten po lewej, który wrzeszczy: „Za wolno! Bezludnie! Ryzykownie! Starać się bardziej!”. Fot. fotograf US Navy Erie S. Logsdon

Noszenie kłody: grupa na szkoleniu BUD/S, podczas ćwiczenia na plaży z ciężkim kłocem - podciąganie, podrzucanie, bieganie. Proste, prawda? To waży tylko tyle, co słup telegraficzny. Fot. fotograf US Navy Erie S. Logsdon

Bosman Matthew Axelson w rynsztunku bojowym, gotowy stawić czoła wrogowi. Osłaniał naszą lewą flankę na górze przez dwie godziny, pod morderczym ogniem nieprzyjaciela. Postrzelony dwukrotnie, ciężko ranny, ale walczył nadal. Fot. ze zbiorów Cindy Axelson

Szkolenie SEALsów w najbardziej bezlitosnym momencie. Znane jako „moczenie i upiaszczanie”. Woda była lodowata. Instruktor straszny. „Jeśli teraz chcecie



zrezygnować, dalej chłopaki, dzwońcie w ten cholerny dzwon". Fot. fotograf US

Navy Erie S. Logsdon

Matthew Axelson z żoną, Cindy. Jego ostatnie słowa brzmiały: „Powiedz Cindy, że ją kocham". Fot. Jarrett D. Broughton

Kapitan Michael Murphy. Jeśli zbudują dla niego pomnik wysoki jak Empire State Building, nie będę uważał, że jest zbyt wysoki. Fot. ze zbiorów Daniela J. Murphy  
Kapitan Murphy i jego narzeczona, Heather Duggan. Planowali ślub w listopadzie 2005 roku. Fot. ze zbiorów Daniela J. Murphy

Bosman Danny Dietz osłaniał nas ogniem przez całe popołudnie. Raniony śmiertelnie jeszcze raz otworzył ogień do nieprzyjaciela, strzelając w kierunku szczytu. Fot. ze zbiorów Marii Dietz

Mój bliski przyjaciel Danny Dietz w Virginia Beach ze swoimi psami: wielkim mastiffem i buldogiem angielskim. Te psy były niemal I tak mocne jak on sam - jednak nie aż tak. Nikt nie był mocniejszy od Danny'ego. Fot. ze zbiorów Marii Dietz  
Wysoko w górach i na poziomie morza Danny był jednakowo w swoim żywiole. Jako wspinacz, rybak i wojownik - był mistrzem. Fot. ze zbiorów Marii Dietz

Erik Kristensen był SEALsem do szpiku kości i wiedział, kiedy sytuacja robi się naprawdę poważna. - Potrzebują każdego karabinu - wrzeszczał. - Ruszać się, chłopcy! Pospieszmy się! Fot. ze zbiorów Suzanne Kristensen

Komandor podporucznik Erik Kristensen, dowódca 10. Zespołu SEALs. Nie musiał lecieć, ale zostawił wszystko, złapał karabin i ruszył do helikoptera wraz z innymi. Odpowiedział na wołanie o pomoc. Fot. ze zbiorów Suzanne Kristensen.

Bosman sztabowy Dan Healy, człowiek z żelaza, strateg SEALsów. Zginął, gdy helikopter ratunkowy został zniszczony granatem w afgańskich górach. Fot. ze zbiorów Marynarki Wojennej, Pearl Harbor

Th

Shane Paton w ostatniej chwili opuścił skład grupy realizującej operację Czerwone Skrzydło. Stał w drzwiach i zegnał się z nami, życzył powodzenia. A kiedy poprosiliśmy o pomoc, jako drugi wsiadł do helikoptera ratunkowego. W niecałe dwie godziny później zginął w katastrofie. Fot. DCI Photography, Randy Adler

Żołnierz na tym zdjęciu to nie ja. Ale równie dobrze mógłbym być na takiej fotografii. Wielokrotnie stałem w odludnych Afgańskich górach wypatrując przemierzających doliny talib-skich konwojów. Fot. fotograf US Navy Mat Tim Turner

Żołnierze z amerykańskich sił specjalnych idą gęsiego przez pokryte śniegiem góry w północno-wschodnim Afganistanie. Fot. fotograf US Navy Mat Tim Turner

Surowe, suche obszary Afganistanu. Często w takich warunkach Nawy SEALsom trudno znaleźć jakąkolwiek kryjówkę. Mimo to potrafimy dostać się bardzo blisko zabudowań, jeśli uznamy, że wewnątrz mogą przebywać talibowie. Fot. fotograf US Navy Terry Cosgrove

Przez cały tydzień, dniem i nocą, ci ludzie nie opuszczali moich rodziców, kiedy wszyscy byli przekonani, że zginąłem. Część z nich zebrała się, by znaleźć się na tym zdjęciu w 5 minut po tym, jak dowództwo SEALsów zadzwoniło z Coronado, by przekazać, że doniesienia o mojej śmierci były mocno przesadzone. Fot. starszy Sierżant Daniel Marshall

Na szczęście, nie wszyscy Afgańczycy są do nas wrogo nastawieni. Na tym zdjęciu dwóch członków sił specjalnych USA przepytuje miejscowych, a wielu z nich chętnie pomaga. Fot. fotograf US Navy Mat Tim Turner

Niewielka część tłumu, jaki zgromadził się na naszym ranczu. W porze lanczu serwowano czasem nawet trzysta posiłków. Nikt nie wiedział skąd brało się tyle jedzenia. Po prostu stale pojawiała się go więcej i więcej. „Bóg wie jak to możliwe. To jak rozmnożenia chleba i ryb" — mawia moja matka. Fot. z archiwum Holly Luttrell

Dla kraju dałem z siebie wszystko na polu bitwy i zostałem za to uhonorowany. Na tym zdjęciu stoję ramię w ramię z moim najwyższym dowódcą. Fot. Erie Traper, zdjęcie z archiwum Białego Domu

Moment w moim życiu, kiedy byłem najbardziej dumny. Najwyższy dowódca przypina do mojego munduru Krzyż Marynarki, tuż obok Trójzęba SEALsów.

Gabinet Ovalny, 18 lipca 2006. Fot. Erie Traper, zdjęcie z archiwum Białego Domu

Rozdział 7 Lawina pocisków

Z góry, pod każdym możliwym kątem. Axe osłaniał lewą, ciągłym ogniem starając się zatrzymać nadchodzącą nawałę. Mikey odpalał ładunki... krzyczał... „Marcus, nie ma wyboru, bracie, rozwalmy ich wszystkich!”.

Cofnęliśmy się o kilka kroków, z powrotem w cień ostatnich drzew. Odczytaliśmy współrzędne z GPS-a i wyszło nam, że 2. punkt kontrolny znajduje się niedaleko przed nami. Mikey przekazał nawigację Axe'owi, na co ja aż jęknąłem. Matthew Axelson, ekspert od wspinaczki, mógł skakać po skałach jak jakaś pieprzona kozica, ale dla mnie łażenie w górę i w dół po tych zboczach było naprawdę trudne.

Przypomniałem o tym moim kolegom, a oni zaczęli się śmiać.

Z jakiegoś powodu, znanego tylko jemu, Axe poprowadził nas w dół zbocza, w kierunku doliny rozciągającej się w miejscu, gdzie górski grzbiet ostro zakręcał. Wyglądało to tak, jakby chciał skrócić drogę, ścinając zakręt i ruszyć prosto do 3. punktu kontrolnego.

Wszystko ładnie, pięknie, ale to oznaczało marsz półtora kilometra w dół stromego zbocza, a następnie — co logiczne - półtora kilometra w górę. Ja akurat urodziłem się do innych zadań, niemniej taka właśnie była nasza nowa trasa. Już po pięćdziesięciu metrach zacząłem mieć trudności. Nie nadażalem za nimi, kiedy schodziliśmy, więc co dopiero mówić o wspinaczce. Oni słyszeli jak ślizgałem się i kłąłem, próbując za nimi nadażyć, a ja słyszałem ich śmiech. Nie miałem problemów z formą, oddychałem swobodnie, ale byłem po prostu za duży jak na kozicę. Takie są prawa natury, prawda?

Posuwaliśmy się zygzakami, ponieważ Axe nieustannie starał się znajdować cień, omijać plamy księżycowego blasku. Zmieraliśmy po zboczach wprost do 3. punktu kontrolnego. Dorarliśmy do niego mniej więcej na godzinę przed wschodem słońca. Nasza pozycja, według GPS-a, była zgodna z planem ustalonym w bazie. Znaleźliśmy się na czubku granitowego stożka, gdzie Mikey wybrał dla nas miejsce na odpoczynek.

Zajęliśmy pozycję na samym szczycie, może 20 metrów poniżej, na najwyższym skalnym występie. Rosły tam drzewa, niektóre nawet blisko siebie, ale zaraz za nimi rozciągała się już pusta przestrzeń. Zrzuciliśmy nasze ciężkie ładunki. Pokonaliśmy

sześciokilometrową trasę, więc przyszedł czas na wyjęcie z butów kamyków, które zawsze jakimś cudem się tam dostają.

Z medycznego punktu widzenia, byliśmy cali. Żadnych obrażeń. Jednak po siedmiu godzinach zmagania z górskimi zboczami ogarnęło nas skrajne zmęczenie. Najbardziej Mike'a i mnie, głównie z powodu bezsenności, jaka męczyła nas jeszcze na etapie przygotowań do tej operacji. Nie spaliśmy też ostatniej nocy. Na domiar złego dręczyło nas przenikliwie zimno i, mimo że nocna ulewa ustała już jakiś czas temu, nadal byliśmy przemoczeni. Podobnie jak cały nasz sprzęt i prowiant.

Danny uruchomił radiostację i przekazał do dowództwa oraz kontrolującego nas z góry samolotu meldunek, że jesteśmy na pozycji i możemy zaczynać. Zrobił to trochę zbyt pośpiesznie, bo po chwili znowu wyszedł księżyc. Przeczesał okolicę noktowizorami i stwierdziliśmy, że nic nie widzimy. Ani śladu wioski, którą mieliśmy obserwować w ramach poszukiwań Sharmaka. Widok zasłaniały nam drzewa, a nie mogliśmy opuścić naszej kryjówki, bo znowu znaleźlibyśmy się na gołym kawałku skały, widoczni jak na dłoni. Jezu Chryste!

Z miejsca, w którym się znajdowaliśmy, tubylcy najwyraźniej pozyskiwali drewno. Wszędzie dookoła walały się kawałki ściętych pni. Niebo nad najwyższymi szczytami, daleko po naszej prawej, zaczęło się rozjaśniać. Nadchodził świt.

Danny i ja usiedliśmy na skale i wdaliśmy się w długą rozmowę o naszej sytuacji - na ile jest poważna i co możemy zrobić. Mieliśmy do czynienia z najgorszym koszmarem każdej Foki, czyli operacją w nierozpoznanym terenie, który okazał się tak zły lub nawet gorszy niż przewidywany w najczarniejszych scenariuszach. Danny i ja doszliśmy wspólnie do tego samego wniosku: byliśmy w dupie. Sytuacja była beznadziejna.

Mikey podszedł do nas, żeby chwilę pogadać. W trójkę obserwowaliśmy światło słońca wschodzącego zza szczytów na wschodzie. Kapitan Murphy, jako dowodzący, podjął decyzję i zakomenderował:

- Ruszamy za pięć minut.

Podnieśliśmy więc ponownie nasze plecaki i sprzęt, po czym ruszyliśmy z powrotem drogą, którą przyszliśmy. Po około 100 metrach spostrzeżliśmy ścieżkę prowadzącą

w dół grzbietu w trochę innym kierunku. Zeszliśmy nią i na wysokości punktu kontrolnego znaleźliśmy wśród drzew miejsce, skąd nasza wioska, odległa o około 2 kilometry, była dobrze widoczna.

Rozłożyliśmy nasz posrerek, wciskając się pomiędzy pnie drzew i głązy, starając się przybrać pozycje umożliwiające odpoczynek na tym niegościnnym zboczach.

Wypiłem trochę wody ze swojego zapasu i poczułem się tak dobrze, jak roślina, która za chwilę ma zakwitnąć. Danny siedział w pozycji lotosu, z nogami skrzyżowanymi i plecami opartymi o drzewo. Axe, zawsze czujny, pełnił straż, stopiony w jedno z skalistym zboczem. Odbezpieczył karabin, pomimo że wokół panowała kompletna cisza. Pomyślałem, że pewnie w głowie rozwiązuje, zapamięta-ną słowo w słowo, krzyżówkę z New York Timesa. Jednak nie dane mu było pozostać w spokoju zbyt długo. Drzewo, pod którym się ukryłem, okazało się być morwą, a ponieważ nie mogłem zasnąć, postanowiłem zemścić się na Akselsonie za trudy wspinaczki i zacząłem rzucać w niego owocami.

Po chwili nadpłynął kolejny obłok mgły, okrywając nas i dolinę. Znowu straciliśmy z oczu wioskę. Takie obłoki mają to do siebie, że lubią pokazywać się często w tych samych miejscach. Stało się jasne, że jeśli misja ma zakończyć się powodzeniem, powinniśmy znaleźć inne miejsce. Znowu musimy się ruszyć.

Mikey i rozłożyli mapy i sprawdzali ukształtowanie terenu leżącego wyżej, gdzie nie było tyle mgły. Danny i ja spoglądaliśmy przez lornetki w kierunku wioski, starając się zobaczyć cokolwiek, ale bez powodzenia. Po jakimś czasie Mikey oświadczył, że wyrusza sam i postara się znaleźć lepsze miejsce. Potem zmienił zdanie i zabrał ze sobą Axe'a. Nie zdziwiło mnie to. Okolica przyprawiała o dreszcze, bo nie dało się stwierdzić, czy w pobliżu ktoś jest, czy nie.

Danny i ja czekaliśmy na nich, a w tym czasie słońce wspięło się wysoko nad szczyty i zaczęło suszyć nasze mundury. Wrócili może po godzinie. Mikey zakomunikował, że znaleźli miejsce świetne do obserwacji wioski, ale już nic tak dobre na kryjówkę. Myślę, że zdawał sobie sprawę z ryzyka, na jakie będziemy narażeni w tym terenie, ale z drugiej strony, jeśli byśmy tego ryzyka nie podjęli, moglibyśmy tkwić tam do Bożego Narodzenia. I znowu dźwignęliśmy plecaki i

wyruszyliśmy do nowej kryjówki.

Była odległa o niecały kilometr, ale i tak dotarcie tam LajęJo nam godzinę — musieliśmy obejść kawał wokół góry, a potem wspiać się na granitową turnię na samym końcu grzbietu. Kiedy dotarliśmy na miejsce, przyznałem, że jest to świetny punkt obserwacyjny, wioska była widoczna pod idealnym kątem - i dla lunety, i do strzału. Jeśli Sharmak i jego ludzie byli w tej wiosce, nie mogli nam się wymknąć.

Jak zauważył Mikey:

Koleś nie dotrze niezauważony nawet do tego ich wspólnego sracza.

Odpowiedź Danego nie nadaje się do przytoczenia w takiej rodzinnej opowieści jak ta. Dość powiedzieć, że

zawierała szczegółowy plan odstrzelenia jednej z kluczowych części ciała Sharmaka.

Stałem i spoglądałem na naszą nową rwierdę, zewsząd otoczoną stromymi krawędziami opadających urwisk. Była znakomita, ale też bardzo niebezpieczna.

Jeśli zostalibyśmy zaatakowani, szczególnie nocą, musielibyśmy wywalczyć sobie drogę ucieczki. Gdyby nieprzyjaciel zaatakował nas z granatników RPG,

wylecielibyśmy wszyscy w powietrze. Można było wydostać się stamtąd tylko jedną drogą - tą, którą przyszliliśmy. Doświadczony strateg, taki jak Sharmak, zablokował by nas na tym pustym, kamiennym placu i musielibyśmy zabić wielu ludzi, żeby się

wycofać. A była też zawsze i taka możliwość, że gdzieś w pobliżu ukrywa się koleżka Sharmaka, bin Laden, wraz z najprawdopodobniej najsilniejszą komórką al-Kaidy, z jaką kiedykolwiek mogliśmy mieć do czynienia.

Jednak na swój sposób było to miejsce idealne pod względem obserwacyjnym, takie o jakim drużyna zwiadowcza zawsze marzy. Musieliśmy tylko jakoś okopać się na tej pustej skale, dobrze zamaskować, trzymać głowy nisko i utrzymać koncentrację.

Mogliśmy dać sobie świetnie radę pod warunkiem, że nikt by nas nie zobaczył.

Niestety nadal prześladował mnie niepokój. Moich kumpli również.

Zjedliśmy, wypiliśmy jeszcze trochę wody, a potem położyliśmy się na brzuchach, pozwalając mundurom parować w słońcu. Zrobiło się gorąco jak w piekle. Leżałem przy zwałonym pniu drzewa, przyciśnięty do niego jednym bokiem. Nieszczęśliwie położyłem się na kłujących pokrzywach, które teraz doprowadzały mnie do szału.

Oczywiście nie mogłem się poruszyć. W każdym momencie ktoś mógł skierować na nas lornetkę.

Ja patrzyłem przez swoją, czasem zamieniając ją na lunetę. Murph leżał 50 metrów dalej, nieco wyżej niż ja, wciśnięty pomiędzy skały. Axe'a miałem po prawej, ukrytego w pustym pniu martwego drzewa. Danny, jako jedyny miał rochę cienia, przykucnięty z radiostacją pod jednym z drzew rosnących w dół ode mnie, po lewej. Dochodziło południe, a słońce, niemal w zenicie, było naprawdę bardzo wysoko, wprost nad nami.

Nie mogliśmy być widoczni z dołu i zdecydowanie nie było żywej duszy na naszej wysokości i powyżej. Przynajmniej nie na tej górze, opanowanej teraz przez SEALsów. Musieliśmy tylko czekać. Skoncentrowani, cicho, w bezruchu. Dokładnie tak, jak zostaliśmy wyszkoleni.

Dookoła panowała całkowita cisza, taka sama jak w nocy. Przerzywały ją czasem nasze zwięzłe komunikaty, zwykle kierowane do Danny'ego, który zajmował uprzywilejowaną pozycję w cieniu, osłonięty przed palącymi promieniami słońca. Nie były to profesjonalne meldunki. Brakowało w nich też taktu i galanterii.

- Hej, Danny, chcesz się zamienić miejscami?

- Spieeeeprzaj...

Coś w tym stylu. Poza tym żaden hałas nie zakłócał spokoju nagrzanego, górskiego powietrza. Nagle usłyszałem dźwięk, który dotarł do mnie z południowego-zachodu, zza mojej kłody. Dźwięk, który niewątpliwie oznaczał delikatne kroki, ktoś poruszał się gdzieś nade mną. Jezu Chryste! Mało brakowało, a musiałbym zmieniać spodnie. Po chwili zjawiał się mężczyzna w turbanie, z pieprzoną siekierą w dłoni. Zeskoczył z kłody tuż obok mnie. Niemal zemdląłem na skutek szoku. Po prostu nie spodziewałem się tego. Przetoczyłem się na bok, chwyciłem karabin i wycelowałem prosto w przybysza.

W moim pojęciu miało go to powstrzymać przed odrąbaniem mi głowy. Najwyraźniej gość był jeszcze bardziej zaskoczony niż ja, bo upuścił siekierę.

Wtedy zobaczyłem, że Axe stoi obok i swoim karabinkiem celuje prosto w turban nieszczęśnika.

- Musiałeś widzieć go wcześniej niż ja - rzuciłem ostro w kierunku Axe'a. - Dlaczego, do cholery, mnie nie uprzedziłeś? O mało nie dostałem zawału.

— Nie chciałem hałasować - odparł Axe. - Wycelowałem w niego i trzymałem na muszce, kiedy zbliżał się do ciebie. Jeden fałszywy ruch i zabiłbym go na miejscu. Kazałem naszemu gościowi usiąść na pniu. W tym momencie srało się coś komicznego. Od strony drogi pojawiło się stado może stu kóz, z których każda miała na szyi małe dzwoneczki, a za nimi nadeszło jeszcze dwóch ludzi. Kozy wbiegły i rozproszyły się na wszystkie strony. Byliśmy dosłownie otoczeni. Kazałem im usiąść obok ich kolegi na pniu. Mam na myśli tych dwóch Afgańczyków, nie kozy. Mikey i Danny podeszli do nas, torując sobie drogę przez meczące stado i momentalnie zorientowali się w sytuacji. Jeden z Afgańczyków był jeszcze dzieckiem, miał może czternaście lat. Próbowałem dowiedzieć się od nich, czy są talibami. Wszyscy trzej potrząsali przecząco głowami, a najstarszy przemówił nawer po angielsku:

- Nie talibami, nie talibami.

Wręczyłem najmłodszemu jeden z moich batonów energetycznych, a on spojrzał na mnie gniewnie. Położył baton obok siebie na skale, nie podziękował, ani nawet nie skinął głową na znak wdzięczności. Dwaj starsi wpatrywali się w nas, a na ich twarzach wyraźnie było widać, że nie bardzo lubią amerykańskich żołnierzy. Jasne, prawdopodobnie zastanawiali się, co tam, do cholery, robimy, blakając się po ich terenie z arsenałem wystarczającym do podbicia całej prowincji.

A my po cichu zadawaliśmy sobie pytanie: „Co teraz?”. Najwyraźniej mieliśmy do czynienia z prostymi wieśniakami, pasterzami z gór. Lub też, jak określa to Konwencja Genewska, z nieuzbrojonymi cywilami. Natomiast z punktu widzenia czysto militarnego, najbardziej prawidłowym postępowaniem byłoby natychmiastowe zastrzelenie ich, jako że nie mogliśmy być pewni ich zamiarów. Jak mogliśmy dowiedzieć się czy współpracują z talibami, albo czy są związani jakąś plemienną złą, która nakazuje im informować przywódców talibów o wszystkich podejrzanych zjawiskach występujących w górach? A my przecież... o rany... wyglądaliśmy naprawdę podejrzanie.



Jedno wiedzieliśmy na pewno. Jeśli te trzy afgańskie kruki uciekną i odnajdą Sharmaka oraz jego bandę, my będziemy uwięzieni na tym szczycie w wielkich opałach. Decyzja wojskowa była jasna. Ci ludzie nie mogą odejść stąd żywi. Stałem tam, patrząc na ich brudne brody, pomarszczoną skórę, zniszczone dłonie i twarze zastygłe w gniewie. Ci goście za nami nie przepadali. Nie zachowywali się agresywnie, ale nie wyciągali do nas dłoni w geście sympatii i pojednania. Axelson był nie tylko mistrzem quizów i krzyżówek, ale również naszym nadwornym uczonym. Dlatego Mikey zapytał, co według Axe'a powinniśmy zrobić.

- Myślę, że powinniśmy ich zabić, nie możemy pozwolić im stąd odejść - odpowiedział Axe, aż do bólu logicznie.

- Co ty na to, Danny?

- Gównu mnie obchodzi, co zrobimy - odparł Danny. - Chcecie, żebym ich zastrzelił, to zastrzelę. Po prostu powiedzcie. Ja tu tylko pracuję.

- Marcus?

- Cóż, do tej pory myślałem, że powinniśmy ich zlikwidować, ale chcę najpierw usłyszeć twoje zdanie, Murph.

Mikey stał zamyślony.

- Słuchaj, Marcus. Jeśli ich zabijemy, ktoś niedługo znajdzie ciała. A przede wszystkim te cholerne kozy będą się tu kręcić cały czas. Jeśli ci goście nie wrócą do domu na obiad, przyjaciele i rodzina natychmiast zaczną ich szukać. Szczególnie tego tu gówniarza. Według mnie największy problem stanowią kozy, bo ich nie możemy ukryć, a szukający właśnie ich będą wypatrywać.

- Kiedy znajdą ciała, przywódcy talibów uruchomią arabskie media - ciągnął Mikey. - Wtedy przyczepią się nasze media i zaczną trąbić o brutalnych amerykańskich siłach zbrojnych. Niewiele czasu upłynie zanim skażą nas za morderstwo. Za zamordowanie niewinnych afgańskich wieśniaków.

Musiałem przyznać, że wcześniej o tym nie pomyślałem, ale w słowach Mike'a było wiele brutalnej prawdy

O naszej sytuacji. Czy ja się bałem tych wieśniaków? Nie. Czy bałem się ich kolegów talibów? Też nie. Czy przestraszyłem się liberalnych amerykańskich mediów? Tak.

I nagle przed oczami stanęła mi perspektywa spędzenia wielu lat w cywilnym więzieniu, w towarzystwie morderców i gwałcicieli.

A jednak... jako znakomicie wyszkolony członek amerykańskich sił specjalnych, w głębi mojej duszy wojownika czułem, że głupotą byłoby puścić tych pasterzy wolno. Próbowałem wyobrazić sobie, co na naszym miejscu zrobiliby wielcy dowódcy należący już do historii. Napoleon? Generał Patton? Omar Bradley? MacArthur? Czy na zimno podjęliby czysto taktyczną decyzję zastrzelenia tych ludzi, którzy w oczywisty sposób mogli zagrozić ich wojsku?

Jeśli ci Afgańczycy chcieliby naszej śmierci, zginęlibyśmy wszyscy na tym skalistym, rozgrzanym do czerwoności wzniesieniu, tysiące kilometrów od domu i całe lata świetlne od kogokolwiek, kto mógłby nas uratować. Przeciwno nam stanęłaby potężna siła. Puszczanie tych ludzi wolno byłoby samobójstwem.

Wiedzieliśmy, że Sharmak ma pod swoimi rozkazami od 80 do 200 uzbrojonych ludzi. O ile pamiętam, założyłem, że może ich mieć 140 i zapytałem sam siebie, jakie mamy szanse. Czterech przeciwko stu czterdziestu. Trzydziestu pięciu na jednego.

Niewielkie. Spojrzałem na Mike<sup>^</sup> i powiedziałem:

- Murph, musimy się skonsulrować.

Obaj zwróciliśmy się do Dannyego, który szybko uruchomił radiostację i zawzięcie próbował skontaktować się z dowództwem. Widzieliśmy, jak z każdą minutą rośnie jego frustracja, normalne zjawisko u operatora, który bezskutecznie próbuje uzyskać połączenie. Ciągle próbował, ale stawało się oczywiste, że radiostacja przestała działać.

- Może trzeba wymienić baterie? - zapyrałem.

- Nie. Są dobre... ale dlaczego oni nie odpowiadają, do cholery?

Mijały kolejne minuty. Afgańczycy siedzieli bez ruchu, Axe i Murph nadal celowali do nich z karabinów. Danny robił wrażenie, jakby chciał zrzucić radiostację z urwiska.

- Nie odpowiadają - syczał przez zaciśnięte zęby. - Nie wiem dlaczego. Jakby nikogo tam nie było.

- Musi ktoś być - odezwał się Murph, a w jego głosie usłyszałem niepokój.

- Musi, ale nie ma - odparł Danny.

- Przeklęte prawo Murphy'ego - mruknąłem. - Nie twoje, Mikey, tego drugiego kurasa, boga porażek.

Nikt się nie roześmiał. Nawet ja. Dotarła do nas gorzka prawda. Byliśmy zdani na siebie i sami musieliśmy podjąć decyzję.

Mike Murphy rzekł cicho:

- Nie chcemy zastrzelić tych kolesi, bo narobiliśmy hałasu. Mamy więc trzy wyjścia. Pierwsze: możemy skończyć z nimi po cichu i zrzucić ciała z urwiska, to będzie jakieś 300 metrów wysokości. Drugie: zabijamy ich i ukrywamy ich ciała tutaj, pod stertą piachu i kamieni. W obu przypadkach wynosimy się stąd po cichu i nic nikomu nie mówimy. Nawet wtedy, kiedy wypłynie historia o zamordowanych afgańskich pasterzach, a w nagłówkach gazet przeczytamy: „Navy SEALs podejrzani o morderstwo”.

- Trzecie wyjście: puszcza ich wolno i wynosimy się stąd jak najszybciej, zanim talibowie zaczną nas szukać.

Patrzył na nas. Pamiętam tę scenę tak żywo, jakby wydarzyła się wczoraj. Axe odezwał się stanowczo:

- Nie jesteśmy mordercami. Niezależnie od tego, co zrobimy. Jesteśmy na służbie, na terenie wroga, przysłali nas tu przełożeni. Mamy prawo zrobić wszystko, żeby uratować swoje życie. Z Taktycznego punktu widzenia, decyzja jest oczywista. Nie możemy puścić ich wolno.

Gdyby doszło wtedy do głosowania, a mogło tak się zdarzyć, Axe zagłosowałby za egzekucją Afgańczyków.

W głębi duszy wiedziałem, że ma rację. Nie mogliśmy ich puścić, ale mój problem polegał na tym, że mam jeszcze jedną duszę, chrześcijańską, a ta nie dawała mi spokoju. Z tyłu głowy krążyła myśl, że zabijając rych nieuzbrojonych wieśniaków z zimną krwią, postąpilibyśmy źle. A zatarcie śladów, wymknięcie się chyłkiem i zaprzeczenie wszystkiemu byłoby jeszcze większym złem.

Szczerze mówiąc, wolałbym postawić ich przed sobą, zastrzelić i zostawić. Byliby jedynie kolejnymi ludźmi, którzy znaleźli się w niewłaściwym miejscu o

niewłaściwym czasie. Kolejnymi ofiarami wojny. A my musielibyśmy po prostu bronić naszych racji przed amerykańskimi mediami, które próbowałyby nas powiesić za morderstwo.

Żadnemu z nas nie podobał się wybór, którego musieliśmy dokonać, to było pewne. Możliwe, że wszyscy czterej byliśmy chrześcijanami i jeśli myślelibyśmy jak normalni, przestrzegający prawa obywatele Stanów Zjednoczonych, mielibyśmy ogromne trudności z wykonaniem tego, co z czysto wojskowego punktu widzenia było nieuniknione. Każdy z wielkich dowódców powiedziałby to samo: ci ludzie nie mogą opuścić tego miejsca żywi. Ewentualne konsekwencje takiej decyzji były nie do przyjęcia. Z wojskowego punktu widzenia.

Kapitan Murphy odezwał się pierwszy:

- Axe?

- Nie mamy wyboru - wszyscy wiedzieliśmy, co ma na myśli.

- Danny?

- Już mówiłem. Nie obchodzi mnie, co wybieriecie. Po prostu powiedzcie mi, co mam robić.

- Marcus?

- Nie wiem, Mikey.

- No to posłuchaj mnie jeszcze raz. Jeśli ich zlikwidujemy, nie możemy tego ukryć.

Złożymy raport, w którym zeznamy jak było. Nie będziemy ściemniać. Chcę, żebyście to zrozumieli. Ich ciała zostraną znalezione prędzej czy

później, a talibowie wyciągną z tego ile się da. Rozsmarują to w gazetach, a

amerykańskie liberalne media zaatakują nas bez litości. Prawie na pewno zostaniemy postawieni w stan oskarżenia pod zarzutem morderstwa. Nie wiem jak wy się z tym czujecie... Marcus, poprę twoją decyzję. Mów.

A ja po prostu ram stałem. Patrzyłem na tych ponurych wieśniaków. Żaden nie próbował nawet się odezwać. Nie musieli. Ich posępne spojrzenia mówiły więcej niż słowa. Nie mieliśmy liny, którą moglibyśmy ich związać. Unieruchomienie ich, pozwoliłoby na poszukanie innej kryjówki.

Spojrzałem Mike'owi prosto w oczy i powiedziałem:

- Musimy ich puścić.

Była to najgłupsza, najbardziej brawurowa i pozbawiona sensu decyzja, jaką podjąłem w całym swoim życiu. Kompletnie mi odbiło. Zagłosowałem tak, pomimo, że ta decyzja była wyrokiem śmierci na nasz ream. Postąpiłem jak pierdolony liberał, półgłówek i ćwierćinteligent, mięczak o wielkim sercu i bardzo małym mózdzku. Takie mam teraz zdanie o tym, co wtedy zrobiłem. W tamtym momencie myślałem inaczej, ale szybko zmieniłem zdanie, i to na zawsze. Każdej nocy budzę się zlany zimnym potem, a przed oczami nadal mam tę scenę rozgrywającą się na górskim szczycie. Nigdy już się z tym nie pogodzę. Nie wolno mi się z tym pogodzić. To ja wypowiedziałem decydujące słowa i ten fakt będzie mnie prześladował, dopóki nie złożą mojego ciała w teksańskiej ziemi.

Mikey pokiwał głową.

— OK. — powiedział — Dwa do jednego, Danny się wstrzymał. Puszczamy ich.

Nikt się nie odezwał. Jedyne dźwięki, jakie się wokół rozlegały, to stukot kozich racic, meczenie i pobrzękiwanie dzwoneczków. Znakomite tło dźwiękowe dla mojej decyzji, która miałaby sens w bajeczce dla dzieci, ale nie na polu walki, na którym, chcąc nie chcąc, właśnie się znajdowaliśmy.

Axe powtórzył swoje zdanie:

- Nie jesteśmy mordercami. Nie bylibyśmy mordercami, nawet gdybyśmy postąpili inaczej.

Mikey zgadzał się z nim, ale odparł tylko:

- Wiem, Axe... wiem, bracie. Ale tak zagłosowaliśmy.

Gestem dałem pasterzom znak, żeby wstali, a karabinem wskazałem drogę. Żaden z nich nie skinął głową, w żaden sposób nie okazali wdzięczności. Wiedzieli przecież, że równie dobrze mogliśmy ich zabić. Odwrócili się w stronę wyżyny rozciągającej się za nami.

Nadal ich widzę. Splatają dłonie za plecami, w sposób często spotykany w rym kraju, i zaczynają biec szybko pod górę, a kozy ruszają za nimi klusem. Znikąd zjawia się chudy, brązowy pies i dołącza do tej grupy. Na widok tego psa pomyślałem o mojej wielkiej, czekoladowo-brą-zowej labradorce, Emmie, hasającej pewnie w tym

momencie, radośnie jak zawsze, po naszym ranczo.

Nagle ocknąłem się i w jednej chwili zapomniałem o przeklętych amerykańskich liberałach.

- Źle - powiedziałem. — Jest naptawdę źle. O kurwa, co my zrobiliśmy?

Axe potrząsnął głową. Danny wzruszył ramionami. Mikey, no cóż, wyglądał, jakby zobaczył upiora. Podobnie jak ja, zdał sobie sprawę z ogromu błędu, który właśnie popełniliśmy. Przeraziło nas to bardziej niż cokolwiek, z czym dotąd mieliśmy do czynienia. Gdzie ci goście tak biegają? Powariowaliśmy czy co?

Myśli przelatywały przez moją głowę z oszałamiającą prędkością. Nie mamy łączności z bazą, nie możemy się z nikim skonsultować. Jak dotąd nie mamy bladego pojęcia, czy nasz cel znajduje się w wiosce. Jesteśmy na odsłoniętej pozycji i najwyraźniej nie mamy jak poprosić o wsparcie z powietrza. Nawet raportu nie możemy złożyć. Na domiar złego, nie wiemy dokąd udali się pasterze. Kiedy sprawy idą naprawdę źle, to nie tylko jedna, ale wszystkie na raz.

Patrzyliśmy jak biegają i znikają w górach, z dłońmi wciąż splecionymi na plecach.

Przekonanie, że zrobiliśmy

coś strasznego, pozwalając im odejść, zagłuszyło wszystkie inne myśli. Teraz miałem już pewność. Wszystkich nas zatkało. Staliśmy jak zombie, nie wiedząc, czy wycofać się na którąś z poprzednich pozycji, czy wiać do bazy.

- Co teraz? - zapytał Danny. Mikey zaczął zbierać swój sprzęt:

- Ruszamy za pięć minut.

Spakowaliśmy się i wtedy wieśniacy zniknęli nam z oczu, rozplynęli się w blasku słońca gdzieś daleko na horyzoncie. Według mojego zegarka upłynęło dokładnie 19 minut od czasu, kiedy stąd wybiegli. Ogarnęło nas przygnębienie.

Ruszyliśmy w górę, po śladach pasterzy i ich srada. Szliśmy tak szybko, jak tylko się dało, ale zanim dotarliśmy do miejsca, gdzie zniknęli nam z oczu, upłynęło co najmniej 40 minut, a może nawet godzina. Mimo, że byliśmy na samym szczycie, nigdzie nie było ich widać. Kozy i ludzie wychowani w górach. Poruszali się po tych stromiznach szybko, jak rakiety.

Zaczęliśmy szukać ścieżki, którą tu przyszliśmy, znaleźliśmy ją i ruszyliśmy z

powrotem do naszej poprzedniej kryjówki, tej z której wioska widoczna była pod złym kątem, a z gór spływała mgła. Jeszcze raz uruchomiliśmy radiostację, ale nie udało nam się skontaktować z bazą.

Nasza ofensywny plan wziął w łeb, ale miejsce, do którego zmierzaliśmy, było najlepszą pozycją defensywną, jaką w tym terenie mogliśmy zająć. Skalny wysęp, około pięćdziesięciu metrów poniżej górskiego szczytu, porośnięty drzewami, które stanowiły niezłą osłonę. Przeczuwaliśmy, że w tej sytuacji musimy skupić się wyłącznie na działaniach obronnych, przez jakiś czas pozosrać w ukryciu i mieć nadzieję, że talibowie nie dowiedzą się o nas. Gdyby jednak się dowiedzieli, nie znajdą nas, bo będziemy zbyt dobrze ukryci. Byliśmy przecież ekspertami od przyczajania się i ukrywania.

Szliśmy wzdłuż zbocza i muszę powiedzieć, że w świetle dziennym okolica wyglądała zupełnie inaczej niż w nocy. Niemniej nadal miała swoje zalety i nawet z samego szczytu byłoby trudno nas dostrzec.

Zeszliśmy jeszcze kawałek w dół i zajęliśmy swoje poprzednie pozycje. Właściwie kontynuowaliśmy naszą misję, ale ponieważ znacznie wzrosło zagrożenie atakiem ze strony talibów, wzmogła się też nasza czujność. Wcisnąłem się w moje drzewo morwowe, pokryłem rwarz kamuflażem i wtopiłem w tło. Poniżej, może 30 metrów na prawo — patrząc w stronę szczytu - Danny usiadł pod swoim drzewem w pozycji lotosu i znów wyglądał trochę jak zaklinacz węży. Po lewej, w tej samej odległości co Danny'ego, miałem Axe'a i nasz najcięższy karabin. Mikey siedział pod osłoną wielkiego głazu, wprost pode mną, oddalony o jakieś 10 metrów. Za nami górska ściana była prawie gładka, na pewnej wysokości miała kilkumetrowy występ, ale dalej wznosiła się stromo do samego szczytu. Ja i Mikey sprawdziliśmy widok z góry i obaj stwierdziliśmy, że ten mały występ wystarcza, żebyśmy pozostali niewidoczni. Póki co, byliśmy bezpieczni. Najpierw Axe przez 20 minut lustrował okolice, a po nim ja przejąłem lornetkę na następne 20 minut. W wiosce nic się nie działo. Minęło już półtorej godziny od czasu, kiedy wypuściliśmy pasterzy i nadal było cicho i spokojnie. Tylko lekki wiaterek poruszał powietrze i upał dawał nam się we znaki.

Mikey, który był najbliżej mnie, wyszeptał:

- Chłopaki, mam pomysł.

- Jaki pomysł, sir? - zapytałem, zniecierpliwionym zmieniając ton na oficjalny, jakby nasza sytuacja wymagała okazania szacunku człowiekowi, który w razie czego obejmie dowodzenie.

- Zejdę do wioski i zobaczę czy uda mi się pożyczyć od nich telefon!

- Genialne - skomentował Axe. — Spróbuj zorganizować też kanapkę dla mnie.

- Nie ma sprawy - odparł Mikey - Wolisz z łajnem muła czy z kozim bobkiem?

- Byle bez majonezu - burknął Axe.

Wiem, te dowcipy były słabe, ale kiedy tkwiliśmy tak na afgańskiej skale, przeczuwając atak całej armii, były naszą najlepszą rozrywką.

Możliwe, że były też oznaką zdenerwowania, trochę tak, jak sarkastyczne uwagi rzucane na szpitalnym łóżku przed śmiercią. Ale skoro stać nas było na dowcipkowanie, to znaczyło, że czujemy się już trochę lepiej. Może nie wyśmienicie, ale wystarczająco dobrze, żeby skupić się na robocie i od czasu do czasu oderchnąć. Trochę tak, jakby nic się nie stało. Oświadczyłem, że przymknę na chwilę oczy, zsunąłem na twarz mój kamuflażowy kapelusz i próbowałem się zdrzemnąć, pomimo, że serce mi waliło. Na to nie miałem wpływu.

Minęło jakieś 10 minut. Nagle usłyszałem jak Mikey wydaje charakterystyczny dźwięk oznaczający alarm:

— Sssst! Sssst!

Podniosłem rondo kapelusza i odruchowo spojrzałem w lewo, nieco do tyłu, gdzie Axe miał osłaniać flankę. Axe siedział nietuchomo przy karabinie wycelowanym prosto w stronę szczytu naszej góry.

Odwróciłem się i spojrzałem. Mikey z wytrzeszczonymi oczami patrzył w górę i wydawał rozkazy. Kazał Danny emu sprawdzić radio i, jeśli zadziała, poprosić o natychmiastowe wsparcie z bazy. Zobaczył, że otworzyłem oczy, więc spojrzał na mnie znacząco, potem znowu na wzgórze i ge-srem polecił mi zrobić to samo.

Odbezpieczyłem M12, odsunąłem trochę głowę i spojrzałem w górę. Wzdłuż linii szczytu stało osiemdziesięciu, może stu uzbrojonych talibów, a każdy z nich celował



w dół swoim kałasznikowem. Niektórzy mieli jeszcze granatniki. Ruszyli wprost na nas. Wiedziałem, że widzą co jest poniżej, ale mnie jeszcze nie widzieli. Nie mogli też widzieć Axe'a i Danny'ego, ale nie miałem pewności, co do Mikea.

Serce skoczyło mi do gardła. Przekląłem cholernych pasterzy oraz siebie - za to, że nie trzymałem się zasad

wszystkich kodeksów wojskowych, jakie kiedykolwiek istniały, a które nakazywały mi zabić ich na miejscu. Zlekceważyłem też głos mojego instynktu, który podpowiadał, że Axe ma rację i że należy ich zlikwidować. Powinienem był posłać do wszystkich diabłów durnych liberałów, razem z ich pieprzonymi, gównem wartymi zasadami wojennej erykiery, prawami człowieka i wszystkimi innymi prawami, którymi się brandzują. Chcecie nas oskarżyć o morderstwo? No to, kurwa, oskarżajcie. Żywi możemy odpowiedzieć na oskarżenia. A tak...

Przywarłem mocno do pnia drzewa. Nadal miałem pewność, że mnie nie dostrzegli. Zrozumiałem, że zaczynają nas okrążyć, bo nadchodzili skrzydłami z lewej i z prawej. Spojrzałem prosto w górę. Szczyt nadal roił się od uzbrojonych ludzi. Pomyślałem, że jesr ich więcej niż chwilę temu. Nie mogliśmy uciekać w górę, nie mieliśmy też ruchu w lewo ani w prawo. Właściwie mieli nas w pułapce, o ile wiedzieli, gdzie jesteśmy, a tego wciąż nie byłem pewien.

Nadal nie padł ani jeden strzał. Znów spojrzałem w górę, na jedyne drzewo jakie rosło powyżej mojej pozycji, trochę na lewo, w odległości około dwudziestu metrów. Wydawało mi się, że zobaczyłem jak coś się tam poruszyło. Po chwili miałem pewność, że widzę turban i lufę kałacha wycelowaną w moją stronę, chociaż nie dokładnie we mnie.

Chwyciłem mocniej karabinek i skierowałem powoli w stronę drzewa. Ktokolwiek tam tkwił, nie mógł mnie zobaczyć, bo miałem znakomitą kryjówkę. Zastygłem w bezruchu, jak marmurowy posąg.

Zerknąłem na Mike'a, który także się nie ruszał. Spojrzałem ponownie na drzewo.

Teraz turban był już z drugiej strony pnia, a haczykowaty nos wystający znad czarnej brody oraz oczy taliba skierowane były prosto we mnie. Lufa jego kałacha wycelowana była prościutko w moją głowę. Widzi mnie? Otworzy ogień? Jak czuliby

się liberałowie na moim miejscu? Nie miałem na to czasu. Wystrzeliłem tylko raz i jego głowa rozleciała się na kawałki.

I w tym momencie rozpętało się piekło. Talibowie wypuścili na nas lawinę pocisków z góry, pod każdym możliwym kątem. Axe osłaniał lewą, ciągłym ogniem starając się zatrzymać nawałę. Mikey odpalał ładunki, które przelatywały mi nad głową. Ciskał wszystkim, co miał przy sobie. Danny strzelał do nich celując jedną ręką, bo drugą nadal próbował uruchomić radiostację.

Usłyszałem jak Mikey krzyczy:

— Danny, Danny, na rany boskie, uruchom to cholerstwo... Marcus, nie ma wyboru, bracie, rozwalmy ich wszystkich!

Wyglądało na to, że główna siła ognia nieprzyjaciela skierowana jest na nasze flanki. Wokół wybuchały gejzery skalnych odłamków i pyłu. Ogłuszający terkot kałachów wypełniał powietrze. A że nikt nie strzela tak dobrze jak my, talibowie wciąż spadali ze szczytu, jeden po drugim. Zostałem na pozycji i nadal wydawało mi się, że w moim kierunku idzie mniej ognia niż w pozostałych, ale w ciągu następnych kilku minut połapali się gdzie jestem i napór ognia zaczął rosnać. To źle. Bardzo źle. Zauważyłem, że Axe trafia częściej niż ja. Miał dodatkową lunetę. Ja też powinienem mieć, ale z jakiegoś powodu nie zamontowałem jej.

Byliśmy już maksymalnie skoncentrowani. SEALsi potrafią radzić sobie z takim ogniem, ale musieliśmy najpierw zmniejszyć liczbę przeciwników. Zdjąć jak najwięcej tych sukinsynów. Jak najszybciej. To byłaby dla nas szansa. Trudno było dostać nas z góry, skąd nadeszli, więc najsłabszym naszym punktem były flanki.

Dostrzegłem dwóch, którzy schodzili niżej, jeden z lewej, drugi z prawej.

Axe trafił jednego z nich, ale z prawej sytuacja wyglądała źle. Strzelali jak szaleni, choć na szczęście, niecelnie. Myślę, że my też się nie popisaliśmy. Nagle zważył się na mnie grad kul. Uderzały w pień drzewa i skały dookoła mnie. Nadlatywały najwytaźniej z flank.

Zawołałem do Mike'a:

- Damy im radę, ale musimy zmienić miejsce.

— Zrozumiałem — odkrzyknął.

Podobnie jak ja, Mikey widział, że nas oskrzydłają. Strzelaliśmy do nich od pięciu czy sześciu minut, ale za każdym razem, kiedy udało nam się oczyścić szczyt, nadchodzili nowi. Wyglądało to tak, jakby za wzgórzem czekały posiłki, gotowe zająć miejsce w pierwszej linii. Jakkolwiek by na to nie patrzeć, były tam tłumy gości chcących zabić cztery Foki.

W tamtej chwili nie mieliśmy żadnego wyboru. Nie mogliśmy ruszyć w górę, bo zostalibyśmy odcięci. Brali nas z lewej i prawej. Byliśmy otoczeni z trzech stron, a ogień nie osłabł nawet na sekundę. Połowy z nich nie widzieliśmy i nie mogliśmy się zorientować skąd nadlatują pociski. Walili w nas pod każdym kątem.

My bębniliśmy w odwecie ile weszło. Widzieliśmy jak padają, zmienialiśmy magazynki i jakoś trzymaliśmy ich na dystans. Nie mogło tak być w nieskończoność. W jakiś sposób musieliśmy opuścić to miejsce, więc postanowiłem dostać się do Mike'a, żeby ustalić strategię i - miałem taką nadzieję - ocalić nam życie.

Ruszyłem, ale Mikey, który był genialnym oficerem, ogarnął już całą sytuację i podjął decyzję.

- Odwrót!

Odwrót! Raczej odpad - od tej pieprzonej skalnej ściany. Tak to wyglądało - gładka, stroma skała tuż za nami. Bóg raczy wiedzieć, jak daleko w dół mogła się ciągnąć. Ale rozkaz to rozkaz. Chwyciłem swoje rzeczy i ruszyłem zygzakiem w dół zbocza. Niestety grawitacja zyskała nade mną przewagę, runąłem więc przed siebie, zrobiłem pełne salto i wylądowałem na plecach. Nadal poruszałem się szybko w dół, stopami rozpaczliwie szukając oparcia.

Czułem, że sunę z ogromną prędkością, ale oto Murphy mnie doganiał. Poznałem go po jasnoczerwonym emblemacie nowojorskiej straży pożarnej, który Mikey nosił od czasu ataku na World Trade Center. Właściwie, to było po prostu wszystko, co udało mi się zobaczyć.

- Zobaczymy się na dole - wrzasnąłem i w tym momencie uderzyłem w drzewo, Mikey zaś minął mnie i pomlmałajęj jak strzała.

Drzewo spowodowało, że poruszałem się już dużo wolniej. Spróbowałem stanąć, ale przewróciłem się i tak, koziołkując, doganiałem Mike'a. Obaj odbijaliśmy się jak

kulki we fliperze.

Przed nami pojawiła się kępa drzew, rosnących na mniej stromym fragmencie zbocza. Zrozumiałem, że to nasza ostatnia szansa, zanim spadniemy w przepaść.

Musiałem tylko złapać się czegokolwiek po drodze. Mikey myślał tak samo.

Zobaczyłem go niedaleko przed sobą, jak łapie za zwisające gałęzie drzew, ale wypuszcza je i leci dalej.

Przez ułamek sekundy miałem pewność, że już nic nie może nas uratować, że połamiemy sobie karki, po czym talibowie dobiją nas bez litości. Kiedy wjeżdżałem pomiędzy drzewa z prędkością 100 kilometrów na godzinę, mój mózg już się przegrzewał.

Podczas tego zjazdu straciłem prawie całe wyposażenie. Poza amunicją i granatami odpadło wszystko: apteczka, prowiant, woda, radio, telefon. Straciłem nawet hełm z wymalowaną na nim flagą Teksasu. Byłbym przeklęty, gdyby jakiś pieprzony terrorysta zaczął go nosić.

Po drodze widziałem, jak Mikey gubi antenę swojego radia. Niedobrze. Mój pas z nabojami odpadł, podobnie jak karabin. Na domiar złego nie mieliśmy pojęcia, co znajduje się poniżej tej kępy drzew, a z góry nie mogliśmy nic zobaczyć. Gdybyśmy mogli, może nie zdecydowalibyśmy się na odwrót. Przed nami teren opadał stromo i nagle się urywał. Wyglądało to jak wielka skocznia narciarska.

Zjeżdżałem ze skoczni z prędkością około 150 kilometrów na godzinę, na plecach, nogami do przodu. Po wybiciu z progu zrobiłem w powietrzu dwa pełne obroty w tył, zderzyłem się plecami z ziemią i z nogami nadal skierowanymi do przodu, pędziłem dalej, jak żółw na swojej skorupie. I wtedy przekonałem się, że Bóg istnieje.

Po pierwsze, nadal byłem żywy, co już było cudem na miarę Jezusa kroczącego po wodzie. Jeszcze bardziej zasko-

czył mnie widok mojego karabinu jadącego w odległości niespełna pół metra od mojej prawej ręki. Jakby Bóg we własnej osobie wyciągnął ramię i nappełnił mnie nadzieją.

- Marcus - usłyszałem jak przemówił. - Będiesz tego jeszcze potrzebował.

Myszę, że naprawdę Go usłyszałem. Właściwie, gotów jestem przysiąc na Boga, że

Go usłyszałem i nie mam żadnych wątpliwości, że zdarzył się cud. A przecież nie miałem nawet czasu, by zmówić modlitwę.

Nie wiem jak długą drogę pokonaliśmy, myślę, że jakieś 200, może 300 metrów, a nadal poruszaliśmy się z bardzo dużą prędkością. Przed sobą widziałem Mike'a, ale nie mogłem zorientować się czy jest jeszcze żywy. Wyglądał po prostu jak ciało obijające się o ziemię i kamienie. Cudem by było, gdyby nie miał złamanej choć jednej kości.

A ja? Byłem tak poobijany, że wcale nie czułem bólu. Obok nadal widziałem mój koziółkujący karabin, który przez cały ten karkołomny zjazd nie oddalił się od mojej ręki bardziej niż o pół metra. I zawsze będę mówił, że to był Palec Boży, dlatego, że po prostu nie ma innego wytłumaczenia.

Uderzyliśmy w końcu o ziemię z wielką siłą, jakbyśmy spadli z dachu wieżowca. Upadek wypompował całe powietrze z moich płuc, walczyłem więc o oddech i jednocześnie zacząłem sprawdzać jakie odniosłem obrażenia. Bolało mnie prawe ramię, plecy i jedna srona twarzy, z której skóra została w większości zdarta. Byłem cały zakrwawiony i posiniaczony.

Dałem radę wstać. Niestety był to zły pomysł, bo w tym momencie nadleciały granaty z RPG, a że lądowały blisko, padłem z powrotem na ziemię. Wybuchwały, na szczęście nie robiąc nam krzywdy, wzbijając tylko tumany kurzu, kamieni i kawałków kory z drzew. Mikey wylądował około 10 metrów ode mnie.

W końcu obaj podnieśliśmy się na nogi. Mikey nadal miał przy sobie karabin. Mój leżał na ziemi, tuż obok mnie. Podniosłem go więc i usłyszałem głos Mike'a:

— W porządku?

Odwróciłem się do niego i zobaczyłem, że całą twarz ma czarną od brudu, nawet zęby miał czarne.

— Wyglądasz jak fleja, stary—zauważyłem. — Ogarnij się! Pomimo naszego marnego położenia, Mikey roześmiał

się głośno i wtedy zauważyłem, że został postrzelony. Z jego brzucha falami wypływała krew. Zanim zareagowałem, powaliła nas eksplozja granatu, który trafił gdzieś bardzo blisko nas. Dużo za blisko. W jednej chwili turlaliśmy się w obłokach

kurzu i dymu, a za nami podążały dwa pnie zwalonych wybuchem drzew.

Leciały razem, skrzyżowane na końcach, jak wielkie chińskie pałeczki. Ja i Mikey rzuciliśmy się na boki, a kiedy pnie już upadły, wykorzystaliśmy je jako osłonę przed ostrzałem. Chwilowo byliśmy bezpieczni, uzbrojeni i gotowi do walki. Ja osłaniałem lewą flankę, a Mikey środek i prawą.

Teraz zobaczyliśmy wyraźnie jak pędzą na nas całą chmarą, w dół tego samego stoku, który właśnie pokonaliśmy koziołkując. Poruszali się bardzo szybko, ale nie aż tak jak my. Mikey miał ich jak na talerzu, a ja prawie tak samo. Otworzyliśmy ogień, zdejmowaliśmy ich, jednego po drugim, a oni wciąż się zbliżali. Było ich tak wielu, że mimo naszych celnych strzałów, nadal nacierał na nas tłum. Pomyślałem, że jednak szacowana w raportach wywiadu liczba 200 bojowników była znacznie bliższa prawdzie niż 80.

Musieli to być ludzie Sharmaka, ponieważ nie byli wytrawnymi strzelcami. Widać to było po sposobie, w jaki używają swoich karabinów - stzelali bezmyślnie. Jednak najwyraźniej mieli jakieś pojęcie o wojskowych zasadach stosowanych w tego typu atakach. Skrzydła szpaleru zbliżały się szybciej, najwyraźniej z zamiarem okrążenia nas i odcięcia drogi ucieczki. Mogliśmy trochę ich spowolnić, ale nie zatrzymać.

Ogień przeciwnika nie słabł nawet na pięć minut. Kule leciały non-stop w naszym kierunku lub w górę, kiedy tracili nas z oczu. Ogień z karabinów wzmocnili granatami z RPG. Dowódcą tych koleś nie był jakiś przypadkowy szaleniec, ale ktoś kto najwyraźniej znał się na swoim fachu. Znał się bardzo dobrze. Za dobrze. Skurwiel. Przy-szpilili nas za tymi pniami, ale chociaż pociski cały czas świstały nam nad głowami, jakoś wychodziliśmy na swoje w tej wymianie ciosów.

Mikey, nie zwracając uwagi na swoją ranę, walczył jak przystało na oficera SEALsów - niezłomnie, metodycznie, brutalnie, zawodowo. Widziałem po lewej gości padających jak muchy. Po mojej prawej stronie teren był nieco bardziej płaski, rosło tam kilka drzew, a napastników było jakby mniej. Oni się zbliżali, a ja ich odstrzeliwałem.

Prawdopodobnie zorientowali się, że nie dostaną nas, dopóki będziemy ukryci za pniami drzew. W pewnym momencie zasypał nas grad granatów z RPG.

Charakterystyczny białawy dym, który zawsze się za nimi snuje, wskazywał pozycję gdzieś wyżej na stoku. Trafiały przed naszą osłoną i po bokach, wzniecając przy tym fale pyłu, kamieni i dymu, zasłaniając nam widok, ale nie raniąc.

Pochyliliśmy głowy. Zapytałem Mike'a, gdzie, do cholery, mogą być Axe i Danny. Oczywiście żaden z nas tego nie wiedział. Przypuszczaliśmy tylko, że muszą być tam, na górze, skoro nie skoczyli tak jak my.

— Myślę, że Axe okopał się tam i walczy na lewej flance — powiedział Mikey — a Danny ma tam większe szanse nawiązać kontakt radiowy.

Zaryzykowaliśmy. Spojrzeliśmy w górę i przez chmury pyłu zobaczyliśmy postać koziółkującą po stoku w dół, nieco po lewej od naszej trasy. To był bez wątpienia Axe, ale czy przetrzyma ten upadek? Widzieliśmy go na gór-nym odcinku zbocza, a zaraz potem wyleciał z progu „skoczni”, obróciło go w powietrzu i łupnął o stromą ścianę klifu. Uratował go, tak jak mnie i Mike'a, kąt nachylenia zbocza. Tak jak stromizna na skoczni pozwala skoczkowi narciarskiemu po zerknięciu z ziemią zjechać, a nie uderzyć o płaską nawierzchnię.

Axe był w jednym kawałku, chociaż oszołomiony i zdezorientowany. Talibowie spostrzegli go i zaczęli do niego pruć jeszcze zanim wsrał z ziemi.

- Biegnij, Axe... Tutaj, bracie, pędem! - Mikey nawoływał z całych sił.

Axe naprawdę szybko otrząsnął się po upadku i pomiędzy świstającymi wokoło kulami przedarł się do naszej barykady i wylądował obok nas na plecach.

Niewiarygodne, czego może dokonać człowiek, kiedy jego życie jest zagrożone.

Nie zwlekając zajął pozycję najbardziej po lewej, załadował magazynek i zaczął walić w najmocniejszy punkt wroga. Teraz już we trzech utrzymywaliśmy pozycję, strzelaliśmy i modliliśmy się o to, żeby było ich mniej, żeby udało nam się wyrąbać wreszcie dziurę w tym szpalerze. Jednak jakoś na to nie wyglądało. Nadal nacierali, nadal strzelali i nadal hałas nas ogłuszał.

Najważniejszym pytaniem było: gdzie jest Danny? Czy ten mały lew nadal walczy? Czy nadal próbuje nawiązać kontakt z bazą i jednocześnie strzelać do ludzi Sharmaka? Żaden z nas nie mógł odpowiedzieć na te pytania, ale niebawem odpowiedź pojawiła się sama. Na górze po prawej dostrzegliśmy nagle ruch. Ktoś

spadał ze stoku i to musiał być Danny.

Sunąca w dół postać minęła kępę drzew, wybiła się z progu „skoczni”, obróciła kilka razy w powietrzu i lupnęła o glebę, wydając nieprzyjemny, głuchy dźwięk. Zupełnie jak wcześniej my trzej, z tym, że Danny już się nie poruszył, po prostu leżał tam, nieprzytomny albo nieżywy. Święta zasada naszej braci przemówiła wielkim głosem do mnie i do Mike'a: „Żaden SEALs nie był i nie będzie pozostawiony sam, by umrzeć na polu walki. Żaden SEALs”.

Opuściłem karabin na ziemię i wysunąłem się zza pnia po lewej stronie. Za mną ruszył Mikey. Axe nadal strzelał, teraz starając się nas osłaniać, a my, skuleni, biegliśmy ile sił w kierunku podstawy zbocza. Mikey nadal krwawił z brzucha, a ja czułem nieznośny ból, jakby pękł mi kręgosłup na odcinku lędźwiowym.

Do Danny'ego dotarliśmy jednocześnie, podnieśliśmy go i zaczęliśmy taszczyć do naszych dwóch pni, które w tych okolicznościach uchodziły za bezpieczne miejsce. Ostrzeliwali nas ze zbocza, ale żaden z nas nie dostał i - pomimo naprawdę minimalnych szans - nadal byliśmy cali, nie licząc rany Mike'a.

Jako nadworny medyk, powinienem był mu pomóc, ale całe wyposażenie zgubiłem w trakcie zjazdu zboczem. Poza tym nie mieliśmy chwili na nic poza strzelaniem do gości prujących do nas z kałasznikowów i modleniem się, żeby się poddali. Albo przynajmniej, żeby skończyły im się granaty. „Mogą przecież kogoś zranić, jeśli nie będą ostrożni... Skurwiele”.

Właśnie wtedy nabrałem pewności, że nam się uda. Za nami teren znowu opadał stromo, ale poniżej mieliśmy już wioskę, która była przecież naszym celem. To już była płaszczyna i solidnie wyglądające zabudowania, a my nade wszystko potrzebowaliśmy osłony i naszych przeciwników-platfusów ustawionych na płaskiej powierzchni. Damy radę. Dostaniemy ich.

Danny ocknął się, doszedł do siebie i spróbował stanąć na nogi. Na jego twarzy odmalował się grymas potwornego bólu. W tym momencie zobaczyłem, że z jego ręki płynie krew.

- Oberwałem, Marcus. Możesz mi pomóc? - zapytał.

- Każdy z nas oberwał - odparł Mikey. - Możesz walczyć? Nadal przyglądałem się



prawej dłoni Danny'ego - jego

kciuk został odstżelony. Widziałem, że zaciskał zęby, kiedy skinął głową. Po jego brudnej twarzy spływał pot. Chwytał karabin, wierzchem dłoni docisnął magazynek i zajął miejsce w środku naszej małej fortecy. Potem odwrócił się, by spojrzeć wrogowi w twarz. Jak wściekła bestia, z całych sił nacisnął spust.

Danny, Mikey i Axe ostrzeliwali lewe skrzydło nieprzyjaciela, podczas gdy ja atakowałem prawe. Pociski nadal nadlatywały ze wszysrkich trzech stron, ale wyczuliśmy, że po lewej jakby osłabli. Murph krzyknął:

- Przebijemy się wyżej, z tej strony.

Wtedy zmasowanym ogniem ze wszystkich czterech karabinów spróbowaliśmy oczyścić kawałek srromizny po lewej. Może nawet udałoby się nam przebić z powrotem na szczyt, gdybyśmy tylko zabili ich wystarczająco wielu.

Niestety im też zależało na tym kawałku stoku, bo wzmocnili swoją prawą stronę, napływając z góry. Robili wszystko, byle tylko powstrzymać nas przed przedosranieniem się na górę. Musieliśmy zabić ich już z pięćdziesięciu, albo i więcej, ale widać było, że są zdecydowani bić się do ostatniego żołnierza, byle tylko utrzymać swoją prawą flankę - naszą lewą.

Nadal było ich tak wielu, że nieuchronnie cofaliśmy się w dół zbocza pod naporem otaczających nas coraz bardziej turbanów, ich przewagi liczebnej i nieustającego ognia. Kiedy odpalili następną baterię RPG, nie mieliśmy innego wyjścia, jak tylko wycofać się i zanurkować z powrotem za nasze kłody, zanim odpadną nam głowy. Bóg jeden wie, jak wielki był arsenał, który mieli do dyspozycji. Przekonywaliśmy się jaką siłą był Sharmak i jego wojsko — wyszkoloną, dobrze uzbrojoną, nieustraszoną i przygotowaną strategicznie. Niezupełnie tego spodziewaliśmy się, gdy pierwszy raz wylądowaliśmy w Bagram.

Nadal strzelaliśmy zza osłony pni, kosząc, kiedy tylko można było dobrze wycelować. Nic się nie zmieniło. Zwarta, niewzruszona nawała sił Sharmaka, spychająca nas w dół, była przytłaczająca. Nie tyle z powodu nieustającego ognia, ale coraz głębszego oskrzydlenia naszej pozycji.

Pnie dawały nam dobrą osłonę z przodu i całkiem niezłą pod kątem 90 stopni po

bokach, ale kiedy przekroczyli tę granicę i zaczęli strzelać do nas nieco z tyłu... No cóż, z tego samego powodu już wcześniej skoczyliśmy na złamanie karku ze szczytu, nie wiedząc czy w ogóle, a jeśli tak, to kiedy, wylądujemy na jakimś twardym podłożu.

Było nas za mało, żeby obronić obie strony. Zbyt byliśmy pochłonięci odpieraniem ataku z przodu. Przypusz-

czam, że pasterze powiedzieli im, że jest nas tylko czterech. Z tego Sharmak szybko wywnioskował, że będziemy mieli słabe flanki.

Szacuję, że dwunastu SEALsów mogłoby powstrzymać ich i pokonać, ale wtedy siły rozłożyły by się inaczej: dziesięciu, może jedenastu na jednego. Nas było tylko czterech, a to oznaczało około trzydziestu pięciu na jednego. W prostych, żołnierskich słowach: walczyliśmy mając jaja przybite do drzewa. Tym bardziej, że najwyraźniej nie mieliśmy jak ściągnąć wsparcia z bazy.

Oto XXI wiek i współczesna wersja porażki Generała Custer nad Little Big Horn, ale tym razem to starcie z rurbanami. „Jeszcze nas nie dostali, a jeśli mam tu coś do powiedzenia, to nigdy im się to nie uda”. Wiem, że każdy z nas myślał tak samo. Jeśli chcieliśmy ich pokonać, potrzebowaliśmy płaskiego terenu. Tam na górze go brakowało, więc jedyna droga, jaką mogliśmy wybrać, prowadziła w dół. Do tyłu i prosto w dół.

Mike Murphy dał sygnał:

— Zabiją nas, jeśli dłużej tu zostaniemy! Skaczcicie, chłopaki, skaczcicie!

I jeszcze raz chwyciliśmy mocniej nasze karabiny, wstaliśmy, narażając się na spotkanie z pędzącymi kulami i rzuciliśmy się w przepaść. Spadliśmy w próżnię. Najpierw Mikey, za nim ja, potem Axe i na końcu Danny. Spadliśmy jakieś 10 metrów, wprost na kępę krzewów rosnących na brzegu strumyka.

Nie było to jeszcze samo podnóże góry, ale przynajmniej znajdowaliśmy się na płaskiej przestrzeni, a nie na srromym zboczu. Wylądowałem na Mike'u, a Axe i Danny spadli na mnie. Nie mieliśmy jednak czasu na przekleństwa.

Migiem rozproszyliśmy się i zajęliśmy pozycje do strzału, przygotowując się do odpierania następnych ataków na nasze flanki. Byliśmy pewni, że przeciwnik

zaatakujecie je w pierwszej kolejności. Pojawili się już po prawej i zaczęli schodzić do nas po skalnym zboczu, a ja robiłem wszystko, żeby nie dotarli na dół. Mój karabin rozgrzał się prawie do czerwoności, a ja tylko przeładowywałem i strzelałem dalej, żałując przy tym, że nie mam mojego hełmu z teksańską flagą.

Chcieliśmy przenieść się, póki czas, na lepsze pozycje. Skokami pomiędzy skałami pokonywaliśmy drogę do otwartej przestrzeni, ale już dolatywały nas pierwsze pociski. Talibowie zasypywali nas gradem kul, nadal stojąc na górze, skąd przed chwilą skoczyliśmy. Cofnęliśmy się więc pod skały. Danny znowu zosrał trafiony. Dosrał kulę nisko, w plecy. Pocisk przeszedł na wylot i wyrwał dziurę w jego brzuchu. Danny wciąż walczył, Bóg raczy wiedzieć jak to możliwe, ale tak było. Z jego rozchylonych warg ciekła strużka krwi. Krew była już wszędzie. W upale jej zapach stał się silnie wyczuwalny. Mieszał się z ciężką wonią kordytu i ogłuszającym zgiełkiem strzelaniny, który nie zamilkł ani na chwilę, odkąd po raz pierwszy otworzyli do nas ogień. W uszach nam dzwoniło, zupełnie jakbyśmy mieli na nich słuchawki.

Jeszcze raz odpalili granaty. Zobaczyliśmy siwy dym znaczący ich ślad w powietrzu, a po chwili spadały już wprost na nas. Wybuchły z przygniarającą siłą. Echo eksplozji odbijało się przez moment od skalnych ścian, które otaczały nas z trzech stron.

Było tak, jakby cały świat wokół nas wyleciał w powietrze, rozsiewając przy tym tony drzazg. Niektóre, całkiem spore, odbijały się od skalnych ścian. Kule rykoszerowały, wirujące obłoki dymu i odłamków otaczały nas zewsząd, dusiły i zasłaniały widok.

Murph oceniał sytuację. Rozpaczliwie usiłował podjąć dobrą decyzję, pomimo, że wybór mieliśmy bardzo ograniczony. Powiedzmy to sobie wprost: od momentu, kiedy wpakowałem pierwszą kulę w głowę tego gościa przy drzewie, sytuacja niewiele się zmieniła. W tej chwili nie byliśmy oflankowani, ale przeciwnik znajdował się tuż przed nami - nad naszymi głowami. Wyglądało to bardzo źle. Myślę, że najstarsza strategia bojową zakłada przejęcie terenu leżącego powyżej pozycji wroga. Z mojego doświadczenia wynika, że żaden talibski dowódca nigdy nie

rozkazał swojemu wojsku atakować przeciwnika z innej pozycji niż ta powyżej. A teraz mieli dokładnie tę przewagę. Gdybyśmy ukrywali się w polu kukurydzy, sytuacja nie byłaby nawet w połowie tak niebezpieczna, między innymi dlatego, że kule spadałyby na ziemię i tam pozostawały. Tymczasem my tkwiliśmy w kącie między ścianami granitu, które odbijały wszystko co leciało, z prędkością około miliona kilometrów na godzinę. To się nazywa rykoszetowanie. Wszystko - pociski, odłamki, kawałki skał - dzwoniąc odbijały się od skalnych ścian. Można powiedzieć, że praktycznie każdy strzał talibów miał podwójną siłę rażenia. Jeśli nie trafili od razu, mogliśmy dostać rykoszetem.

Wszyscy zastanawialiśmy się, jak długo możemy przetrwać takie bombardowanie. Murph i Danny walczyli po lewej, stale strzelając i nieźle trafiając. Ja strzelałem do góry, starając się trafiać wykorzystując skalne szczeliny, a Axe wcisnął się głęboko pomiędzy skałki i strzelał w kierunku nadchodzących z przodu turbanów.

Murph i ja czekaliśmy na choćby krótką przerwę w tej strzelaninie. Na przerwę, która oznaczałaby, że wyeliminowaliśmy wystarczającą liczbę nieprzyjaciół. Nie nastąpiła. Natomiast pojawiło się wsparcie. Talibskie wsparcie. Grupka nowych nadeszła z dołu wzmacniając frontową linię tej, już i tak licznej i silnej armii, walczącej na swoim terenie, uzbrojonej po zęby, a i tak nadał nie mogącej zabić ani jednego z naszej czwórki.

Staraliśmy się zdobyć przewagę, atakując ich najmocniejsze pozycje i zmusić ich w ten sposób do skupienia się na obronie. Nigdy nie było ludzi walczących bardziej mężnie i odważnie niż moi kumple. I pomimo, że otoczyli nas ciasno, nadal wierzyliśmy, że pokonamy wroga. Nadal mieliśmy sporo amunicji.

I wtedy Danny dostał po raz kolejny. Kula przeszła przez jego szyję. rjpadł tuż obok mnie. Wypuścił z rąk karabin, a jego ciało uderzyło o ziemię. Wyciągnąłem do niego tece) złapałem go i przyciągnąłem bliżej skalnej ściany. Udało mu się podnieść na nogi i nawet próbował przekonać mnie) że nic mu nie jest, pomimo, że dostał już cztery razy.

Danny nie mogli już mówić, ale nie chciał się poddać. Przywarł plecami do ściany i jeszcze raz otworzył ogień do talibów. Dał sygnał, że może potrzebować nowego

magazynka, a w rym resztki krwi wyciekały z jego ciała. Sterczałem tam bezradnie przez chwilę, walcząc z napływającymi łzami. Pierwszy raz w życiu miałem zaszczyt być świadkiem tak widkiej waleczności. Co za facet. Co za przyjaciel.

Murph \*awołał do mnie:

- Na dół chłopcze. To nasze jedyne wyjście. Tak jakbym tego nie wiedział.

Odkrzyknąłem:

— Zrozumiałem, sir.

Wiedziałem, że ma na myśli wioskę. Miał rację, to była nasza jedyna szansa. Jeśli zdołamy zająć jedną z tych chat, będziemy naprawdę nie do wykurzenia. Czterech SEALsów strzelających spod solidnej osłony to zazwyczaj gwarancja powodzenia misji. Musieliśmy tylko zwabić talibów na dół. Mogliśmy tego dokonać, gdyby nie to, co wydarzyło się 1<sup>1</sup> minut później.

Rozdział 8 Ostatnia bitwa o Wzgórze Murphyeego

Zatrzęsła się ziemia. Kilka drzew się zakołysało. Huk był głośniejszy niż którykolwiek tego dnia.... Talibowie z całych sił uderzyli, by nas wykończyć.

Runęliśmy na ziemię, unikając śmiertelnych odłamków i fragmentów skał.

Kapitan Mike Murphy wykrzyczał komendę, po raz trzeci w tej bitwie. Tę samą komendę:

— Odwrót! Axe i Marcus, wy pierwsi!

I znowu znaczyło to „spadamy”. Dosłownie. Axe i ja ruszyliśmy biegiem w kierunku krawędzi, a Murph i Danny przywarli do skał i strzelali, osłaniając naszą ucieczkę.

Zadałem sobie pytanie, czy Danny przy tylu ranach w ogóle będzie mógł się poruszać.

Wzdłuż krawędzi klifu leżał pień drzewa, pod którym deszcze wymyły spore wgłębienie. Axe, który w myśleniu był szybszy niż ktokolwiek kogo dotychczas spotkałem, od razu wpasował się w to wgłębienie, które dało mu osłonę w czasie spadania na cokolwiek, co znajdowało się poniżej.

Szczupły Axe odbił się od ziemi jak piłka, wskoczył w zagłębienie, wślizgnął pod pień i wyskoczył w przestrzeń. Ja natomiast odbiłem się jak teksański bawół, wyładowałem ciężko i utknąłem pod pniem. Nie mogłem ruszyć ani do przodu, ani

do tyłu. A niech to. To już koniec?

Talibowie mnie dostrzegli. Właściwie mogli widzieć tylko mnie. Usłyszałem jak chmara pocisków uderza dookoła. Jeden z nich wbił się w pień, tuż po mojej prawej. Pozostałe waliły w ziemię i wzniecały rumany kurzu. Pchnąłem pień, pchnąłem go z całych sił, ale nie ruszył. Znalazłem się w pułapce, przyciśnięty pniem do ziemi. Próbowałem popatrzeć do tyłu, zobaczyć czy Mike widzi mnie i czy może mi pomóc, kiedy w polu widzenia pojawił się ogon siwego dymu z nadlatującego od strony zbocza granaru wystrzelonego z RPG. Granat uderzył w pień, tuż obok mnie. Rozpaczliwie próbowałem odwrócić się od niego, kiedy eksplodował z oszałamiającą siłą. Nie wiem co się srało, ale tak czy inaczej rozwalił ren pień, a mnie wysrzedził w przestrzeń.

Jakieś cztery czy pięć metrów niżej Axe przyjmował już pozycję strzelecką, kiedy wylądowałem obok. Miałem wiele szczęścia, że mogłem usrać na nogach zważywszy, że właśnie zostałem wystrzelony z krawędzi klifu jak jakaś ludzka kula armatnia. Na ziemi obok mnie leżał mój karabin, złożony tam Ręką Boga, przez Niego osobiście.

Sięgnąłem, by podnieść broń, kiedy ponownie usłyszałem Jego głos. Tym razem nie były to żadne słowa, ale chwila całkowitej ciszy w moim umyśle. Ciszy wśród całego tego chaosu, wrogości, wściekłej walki o dominację, najwyraźniej toczonej w imieniu Jego Świątobliwości Proroka Mahometa.

Mam wtażenie, że żadnemu z Nich to się nie podobało. Niewiele mi wiadomo o Mahomecie, ale jeśli mówimy o świętości, myślę że mój Bóg raczej nie chciał mojej śmierci. Gdyby nie przejmował się moim ttudnym położeniem, z pewnością nie zaopiekowałby się karabinem z taką troską, prawda? Dotychczas zachodzę w głowę, jakim cudem miałem go nadal przy sobie.

Ten karabin walczył już tego dnia w trzech bitwach, w trzech różnych miejscach. Dwukrotnie zastał wyrwany z moich rąk, wysadzony w powietrze granatem z krawędzi klifu, spadał 300 metrów w dół i nadal znajdował się ruż przy mnie, nie dalej niż na długość ramienia. Przypadek? Mówcie, co chcecie, ale moja wiara pozosranie niewzruszona.

Tak czy inaczej, podniosłem go i wróciłem między skały, gdzie Axe brał na siebie ogień nieprzyjaciela. Miał

dobrą pozycję i dzielnie odpierał atak, siejąc pociskami na lewej flance, której desperacko bronił już bardzo długo. Tak naprawdę, to od jakichś czterdziestu minut, ale ciągnęły się jak dziesięć lat. Wciąż walczyliśmy.

Podobnie jak Mikey i Danny, którym jakoś udało się zeskoczyć i dołączyć do nas na dole, przy strumieniu. Na tej nowej pozycji atak talibów nie był aż tak groźny. Na razie. Niemniej wyglądaliśmy szokująco źle, najbardziej Danny, który od stóp do głowy zalany był krwią. Axe trzymał się nieźle, był tylko mocno poturbowany. Mikey broczył krwią z rany na brzuchu, nie tak bardzo jak Danny, ale też nie wyglądało to dobrze.

Ten wybuch granatu, który zrzucił mnie z klifu, powinien był mnie zabić, ale jedyną raną, jaką odniosłem, był złamany nos. Złamałem go uderzając półprzytomnie o ziemię. Jeśli mam być szczery, bolał straszliwie, podobnie zresztą jak plecy, a krew zaląła mi już cały sprzęt. Jednak nie zostałem postrzelony, jak moi dwaj koledzy.

Axe, leżąc spokojnie na skale, strzelał w górę klifu i powstrzymywał w ten sposób talibów przed zejściem niżej. Wyglądał w stu procentach jak elitarny wojownik w czasie birwy. Żadnej paniki, niewzruszony jak skała, mierzył

1 strzelał precyzyjnie, oszczędzając amunicję i trafiając za każdym razem. Ja leżałem tuż obok, w podobnej pozycji i obaj siekliśmy ich, jak trzeba. Nagle jeden z nich wyskoczył znikąd, wprost przed nami, nieco powyżej. Zastrzeliłem go natychmiast, z odległości około 30 metrów.

Niestety znowu znaleźliśmy się w pułapce. Nadal nacierało na nas około osiemdziesięciu szaleńców, a to spora siła wroga. Nie mam pewności, ilu ich zabiliśmy, chociaż i Mikey, i ja szacowaliśmy, że Sharmak rzucił do walki z nami 140 ludzi. Tak czy inaczej, nadal tam byli, a obawiałem się o to, jak długo Danny jeszcze pociągnie.

Mikey zbliżył się do mnie i odezwał się z charakterystycznym dla niego poczuciem humoru:

- Człowieku, tu jest do dupy.

Spojrzałem na niego i odparłem:

- Jeśli nie będziemy ostrożni, możemy tu, kurwa, zginąć...

- Wiem — odrzekł.

I rozpętała się prawdziwa bitwa. Zmasowany, wściekły atak bardzo zdeterminowanego nieprzyjaciela przeciwko naszej, bardziej wyważonej, lepiej dopracowanej w treningach obronie. Przeciw naszej niezwyklej koncentracji i wiedzy wojskowej. Jeszcze raz, setki pocisków rykoszetowały od otaczających nas skał. Jeszcze raz talibowie sięgnęli po granary i rozorali nimi ziemię wokół nas. Wciśnięci w skały strzelaliśmy nadal, ale Danny już był w poważnym stanie i obawiałem się, że może zaraz stracić przytomność.

I wtedy trafili go po raz kolejny, prosto w kark. Przerażony patrzyłem jak Danny pada na ziemię. Ten piękny chłopak; mąż Patsy; mój przyjaciel przez ostatnie cztery lata; człowiek, który zawsze ostatni schodził z pozycji, kiedy robiliśmy odwrót; człowiek, który osłaniał nas do ostatniego momentu.

Teraz leżał na ziemi, brocząc krwią z pięciu ran. A ja przecież miałem robić za pierdolonego lekarza SEALsów, a nie mogłem zrobić dla niego nic, bo my - pozostali moglibyśmy przez to zginąć. Upuściłem karabin, wspiąłem się na skałę i pobiegłem przez otwarty teren wprost do niego. Nie, nie będę wciskał bohaterskiego kitu - płakałem jak dziecko.

Danny był cały przesiąknięty krwią, ale nadal trzymał karabin i próbował strzelać do wroga. Niestety upadł na rwarz. Poprosiłem, żeby wyluzował i odwróciłem go twarzą do góry.

- Trzymaj się, Dan. Damy radę.

Przytaknął, a ja wiedziałem, że nie może mówić i że prawdopodobnie już nigdy nie będzie mógł. Najbardziej zapamiętałem to, że nie chciał wypuścić z ręki swojego karabinu. Złapałem go za ramiona i podniosłem prawie do pozycji siedzącej. Potem chwyciłem pod pachy i zacząłem ciągnąć w stronę naszej osłony. Uwierzycie, że ten mały,

ale niezniszczalny człowiek znowu orworzył ogień, niemal leżąc na plecach, strzelał w górę klifu, podczas gdy ja go ciągnąłem?



Pokonaliśmy może siedem metrów, kiedy stało się to, czego najbardziej się obawiałem. Byłem tam właściwie bezbronny, próbowałem iść tyłem, mając obie ręce zajęte, kiedy po naszej prawej stronie jeden z talibów nagle wychynął zza skał. Stał tuż nad nami i patrząc w dół, uśmiechał się celując swoim AK-47 prosto w moją głowę.

Zobaczyliśmy go za późno. Zmówiłem tylko krótką modlitwę i spojrzałem prosto w jego oczy. Dokładnie w tym momencie Axe wpakował mu dwie kule. Dokładnie między oczy. Zabił go na miejscu. Nie miałem czasu, żeby mu podziękować, bo granaty nadal nadlatywały, a ja musiałem dociągnąć Dannego do osłony. A Danny, tak jak Axe, nadal strzelał.

Dotarłem z nim do podnóża skały, kilka metrów od Mike<sup>^</sup>. Stawało się jasne, że wrogowi prawie udało się otoczyć nas już po raz czwarty tego dnia. Dało się to wyczytać z kierunków, z jakich nadlatywały kule i czasami granaty. Danny jeszcze żył i nadal chciał walczyć. Mikey walczył ramię w ramię z Axe'em i razem powodowali wielkie stłaty w szeregach nieprzyjaciela.

Wciąż myślałem, że mamy szansę z tego wyjść, ale po raz kolejny jedyna droga ucieczki prowadziła w dół, w stronę wioski, gdzie mogliśmy trafić na płaski teren. Strzelanie w górę, czyli to co robiliśmy od momentu, kiedy ta bitwa się rozpoczęła, było, jak powiedział już dowódca naszej misji Mikey, do dupy.

Krzyknąłem najgłośniej jak się dało:

- Axe! Ruszamy się! Zdażył jeszcze odkrzyknąć:

- Zrozumiałem!

I trafili go w klatkę piersiową. Patrzyłem jak karabin wypada z jego rąk. Pochylił się, oderwał od skalnej ściany, o którą się opierał i runął na ziemię.

Skamieniałem. To nie mogło dziać się naprawdę. Mart Axelson, przyjaciel naszej rodziny, najlepszy kumpel Morgana, był częścią mojego życia. Zacząłem wykrzykiwać jego imię, bezsensownie, raz po raz. Po cichu spodziewałem się śmierci Dannego, ale teraz patrzyłem na kałużę krwi rosnącą na ziemi w miejscu, gdzie upadł Axe. Przez krótką chwilę myślałem, że może to ja już zwariowałem.

I nagle Axe wyciągnął rękę po swój karabin i wstał. Wyrównał karabin, sięgnął po

nowy magazynek, wepchnął go w zamek i zaczął strzelać. Z jego piersi tryskała krew. Utrzymywał tę samą pozycję strzelecką, znów oparty o skalną ścianę. Prezentował tę samą, solidną postawę SEALsa, ten sam, godny podziwu stoicyzm. Jego niebieskie oczy, tak samo jak przed chwilą, skanowały teren przez lunetę.

To był największy dowód odwagi, jaki widziałem w życiu. Poza tym, co zrobił Danny. I poza tym, że Mikey nadal nami dowodził, choć już od dłuższego czasu kula tkwiła w jego brzuchu.

Murph obmyślał właśnie drogę w dół zbocza. Wybrał trasę i krzyknął do Axe'a, żeby trzymał się blisko niego. Kule talibów, którzy ruszyli w pościg, nadal świstały wokół nas. Mikey i Axe byli o jakieś 75 metrów przed nami. Podczas gdy ja ciągnąłem Danny'ego, on robił wszystko co było w jego mocy, żeby pomóc - próbował iść i jednocześnie osłaniać nas wszystkich ogniem.

- W porządku, Danny - powtarzałem w kółko. - Musimy tylko dołączyć do chłopaków. Damy radę.

Kula trafiła w górną część jego twarzy. Usłyszałem uderzenie, odwróciłem się, żeby mu pomóc, a wtedy krew z jego głowy zalała nas obu. Krzyknąłem do niego, ale było już za późno. Nie musiał już znosić okropnego bólu.

I już mnie nie usłyszał. Danny Dietz umarł na moich rękach. Nie wiem czego trzeba, żeby serce pękło, ale w tamtym momencie moje serce ledwo wytrzymało.

A strzelanina nie ustawała. Ściągnąłem ciało Dannyego z otwartej przestrzeni i pożegnałem się z nim. Ułożyłem

go na ziemi i musiałem go tak zostawić, inaczej sam bym tam zginął. Ale jedno wiedziałem na pewno. Nadal miałem swój karabin, więc nie byłem sam. Danny - gorliwy katolik - też nie został tam sam, zostawiłem go w rękach Boga.

Musiałem iść dalej i pomóc reszcie drużyny. To była najtrudniejsza rzecz, jaką zrobiłem w życiu.

Do dziś miewam nocne koszmary, w których Danny nadal do mnie mówi, dookoła pełno krwi, a ja muszę odejść i nawet nie wiem, dlaczego. Za każdym razem budzę się we łzach. Ten sen już zawsze będzie mnie nawiedzał, nigdy mnie nie opuści.

Usłyszałem, jak Murph do mnie krzyczy. Chwyciłem karabin, schyliłem się, ześlizgnąłem ze skały i zacząłem biec w stronę Mike'a i Axe'a, a oni w tym czasie ostro osłaniali mnie ogniem. Talibowie kryli się za skałami, jakieś czterdzieści metrów za nami.

Dobiegłem do brzegu skarpy, wpadłem na drzewo jak ślepiec, odbiłem się od pnia i zsunąłem po zboczu. Nie było zbyt wysokie. Wpadłem głową prosro w jakiś strumień. Jak każda doświadczona Foka, wkurzyłem się, bo znowu miałem pełno wody w butach. Nie znoszę tego.

Wreszcie udało mi się dołączyć do chłopaków. Axe'o-wi skończyła się amunicja, więc dałem mu magazynek. Mikey chciał wiedzieć, gdzie jest Danny, a ja musiałem powiedzieć mu, że Danny już nie żyje. Był w szoku, całkowicie zdruzgotany. Tak samo Axe. Chociaż Mikey tego nie powiedział, wiedziałem, że chciał wrócić po ciało. Jednak obaj wiedzieliśmy, że nie mamy na to czasu i nie ma to sensu. Nie mieliśmy dokąd zabrać zwłok naszego poległego kolegi i nie mogliśmy bronić się jednocześnie niosąc ciało.

Danny poległ. Dziwne, ale ro ja pierwszy pozbierałem się w sobie. Powiedziałem tak: - Wiecie co? Musimy zejść z tej przeklętej góry, inaczej wszyscy będziemy martwi. Talibowie, jakby chcieli pomóc nam podjąć decyzję, znowu nas oskrzydłali, próbując zamknąć w swoim kręgu.

Wyglądało na to, że im się udało, bo kule nadlatywały już nawet z dołu, od strony podnóża góry. Widzieliśmy jak się zbliżają, a ja znów próbowałem ich policzyć, tak jak to robiłem od prawie godziny.

Wydawało mi się, że jest ich już około pięćdziesięciu, może sześćdziesięciu. Ale kule nadal latały. Granaty nadal wybuchały wokół nas, blisko, wznecając gejzery ziemi i odłamków. Od początku nie było ani chwili przerwy w tym zalewie pocisków ze strony wroga.

Znowu kucnęliśmy za osłoną skał. Było nas już tylko trzech, a w dole widzieliśmy wioskę odległą teraz o dwa i pół kilometra. Nadal była naszym celem.

Znów odezwałem się do Mike'a:

- Jeśli uda nam się tam dotrzeć i znaleźć osłonę, wyciągniemy ich na otwarty, płaski

teren.

Wiedziałem, że nie jesteśmy w dobrym stanie. Ale byliśmy SEALsami, a tego nic nie może przekreślić. Nadal wierzyliśmy w siebie i nie zamierzaliśmy się poddawać. W najgorszym przypadku walczylibyśmy do końca, nawet sztyletami przeciwko karabinom.

— Pieprzyć to, nie poddamy się — rzucił Mikey.

Nie musiał mówić nic więcej, ani mnie, ani Axe'owi. Poddanie się byłoby hańbą dla całej naszej społeczności - jak uderzenie w dzwon na Młynku i złożenie hełmu w rzędzie pod ścianą. Nikt, kto dotarł już tak daleko, do tych opustoszałych gór Afganistanu, nie mógł nawet pomyśleć o poddaniu się.

Pamiętacie filozofię amerykańskich Navy SEALs: Nigdy się nie poddam... Wytrwam i będę się rozwijał w obliczu przeciwności. Ojczyzna wymaga, bym był fizycznie i psychicznie mocniejszy od moich wrogów. Gdy upadnę, zawsze powstanę. Moich towarzyszy będę ochraniał tak długo, jak długo starczy mi sił... Nigdy nie poddam się w walce.

Słowa te od lat utrzymywały przy życiu wielu ludzi. Wryte w sercach i umysłach każdego SEALsa. Także w naszych.

Nagle Mikey, przekrzykując zgiełk strzelaniny, odezwał się do nas tak:

- Pamiętajcie, bracia, nigdy się nie poddamy. Skinąłem głową i odpowiedziałem:
- Od płaskiego tetenu dzieli nas tylko kilometr. Jeśli uda nam się tam ptzedrzeć, mamy jeszcze szansę.

Kłopot polegał na tym, że nie mogliśmy się tam dostać, a przynajmniej nie w tamrym momencie, bo znowu nas przyszpilili. I nadal mieliśmy ten sam dylemat - jedyna droga ucieczki prowadziła w dół, a jedyna strategia obrony, jaką mogliśmy zastosować, nakazywała iść w górę. Kolejny raz musieliśmy ruszyć się z miejsca, jak najdalej od rykoszetujących kul. I osłaniać lewą flankę.

Próbowaliśmy walczyć o drogę odwrotu, ale mimo tego, że nadal trzymaliśmy się na nogach, tak naprawdę byliśmy półżywi. Ruszyłem przodem, w górę po skałach.

Strzelałem jak opętany, powalając każdego, kto wszedł mi w pole widzenia. Niestety zareagowali natychmiastowo i z całą mocą — odpowiedzieli granatami z RPG.

Zbliżali się do nas prawą stroną, naszą lewą.

Zatrzęsła się ziemia. Zakołysało się kilka drzew. Huk był głośniejszy niż którykolwiek tego dnia. Zatrzęsły się nawet ściany tego niewielkiego kanionu. Potoczek wystąpił z brzegów. Było to gigantyczne uderzenie talibów, uderzenie, które miało nas wykończyć. Padliśmy na ziemię, wciskając się w naszą skalną szczelinę, z głowami jak najniżej, żeby uniknąć latających odłamków i fragmentów skał. Tak jak poprzednio, nie udało im się zabić żadnego z nas tym bombardowaniem i tak jak poprzednio, poczekali aż pył opadnie zanim zaczęli znowu strzelać.

Widziałem linię drzew nad nami. Nie były blisko, ale bliżej niż wioska w dole. Niestety talibowie znali nasz plan, kiedy więc próbowaliśmy wywalczyć sobie pomiędzy nimi drogę, oni strzelając z całych sił, spychali nas z powrotem w dół. Próbowaliśmy mimo wszystko, ale nie mogliśmy się przebić. Spychali nas z powrotem. Wycofaliśmy się więc,

zataczając przy tym żalostną pętlę i wylądowaliśmy tam, skąd ruszyliśmy. Na szczęście znowu mieliśmy dobrą pozycję do obrony, osłoniętą z każdej strony skałami. Po raz kolejny spróbowaliśmy zaatakować. Wybieraliśmy takie cele, żeby utorować sobie drogę w kierunku wioski.

Oni zbliżali się coraz bardziej, krzyczeli i wydzielali się na nas, a walka zaczynała przeradzać się w sraście w bliskim kontakcie. My też się darliśmy i strzelaliśmy do nich, ale nadal było ich zbyt wielu. W końcu zdobyli lepszą pozycję i wtedy trafili Mike'a Murphy'ego w klatkę piersiową.

Podszedł do mnie i zapytał czy mogę mu dać jeszcze jeden magazynek. Wtedy zobaczyłem, że Axe zatacza się w naszą stronę. Głowę miał przechyloną. Twarz zalaną krwią. Krew bulgocząc wypływała z szokującej rany w czaszce.

— Zastrzelili mnie, bracie - powiedział. - Skurwiele, zastrzelili mnie. Możesz mi pomóc, Marcus?

Co mogłem powiedzieć? Mogłem pomóc tylko w jeden sposób - odpierając atak wroga, a Axe stał na linii ognia.

Pomogłem mu usiąść pod osłoną skały. Potem odwróciłem się do Mike'a, który najwyraźniej był ciężko ranny.

— Możesz się ruszać, chłopie? — zapytałem.

Sięgnął do kieszeni i wyjął swój telefon komórkowy. Ten sam, którego nie chcieliśmy używać, żeby nie zdradzić naszej pozycji. I wtedy kapitan Murphy wyszedł na otwartą przestrzeń. Szedł dopóki nie znalazł się mniej więcej na środku otwartego terenu, chociaż dookoła świ-srały kule. Usiadł na kamieniu i zaczął wystukiwać numer do naszego dowództwa.

Słyszałem jak mówi:

— Moi ludzie ciężko obrywają... rozwalają nas. Moi chłopcy ru giną... potrzebujemy pomocy.

Wtedy dostał kulę prosto w plecy. Widziałem jak fontanna krwi tryska z jego piersi. Pochylił się, upuszczając telefon i karabin, ale nagle zebrał się w sobie, podniósł je znowu, usiadł i przyłożył telefon do ucha.

Tym razem powiedział:

- Zrozumiałem, sir. Dziękuję.

Po czym podniósł się i chwiejąc, ruszył z powrotem na lewą flankę. Mikey po prośbie zaczął znowu walczyć i strzelać do wroga.

I trafił. Właśnie wykonał ostatni, desperacki telefon do bazy. Telefon, który mógł nas uratować, jeśli tylko zdołaliby przysłać wsparcie w porę, zanim nas zduszą ralirowie.

Tylko ja widziałem, co zrobił Mikey. On wiedział, że jedyną naszą realną szansą na przetrwanie było wezwanie pomocy. Wiedział też, że tylko z jednego miejsca może wykonać telefon - z otwartej przestrzeni, z daleka od skalnych ścian.

Wiedząc, co ryzykuje, znając zagrożenie, z pełną świadomością tego, że ta rozmowa może go kosztować życie, kapitan Michael Patrick Murphy, syn Maureen, narzeczony pięknej Heather, wyszedł prosto w grad pocisków.

Cel był dla niego oczywisty: dokonać ostatniej, odważnej próby ocalenia jego dwóch towarzyszy. Wykonał telefon, nawiązał kontakt. Podał naszą przybliżoną pozycję, siłę wroga i opisał powagę sytuacji. A kiedy go postrzelili, jak sądziłem, śmiertelnie - nadal rozmawiał.

„Zrozumiałem, sir. Dziękuję”. Czy te słowa nadal będą dzwoniły mi w uszach, nawet

jeśli dożyję stu lat? Czy kiedykolwiek zapomnę? Czy wy byście zapomnieli? I czy kiedykolwiek zdarzył się człowiek bardziej waleczny niż ten SEALs, dowódca grupy, oficer, który wiedząc, że to może być jego ostatni ruch, zaryzykował wszystko, żeby tylko ocalić swoich ludzi?

Wątpię, czy kiedykolwiek żył żołnierz lepszy od Mike'a. Bardziej opanowany pod gradem kul. Uważny i bystry. Niewahający się przed podjęciem ryzykownej decyzji, jedynej, która mogła urarować nasze życie. Ten bohaterski czyn. To nie był gest, ale dowód najwyższej odwagi i męstwa. Kapitan Murphy był wspaniałym człowiekiem i wielkim, wielkim oficerem SEALsów. Gdyby na jego cześć sranął pomnik wielki jak Empire State Building, nie uważałbym, że jest zbyt wysoki.

Mikey nadal żył i walczył na lewej flance. Ja na prawej. Obaj mierzyliśmy i strzelaliśmy uważnie i celnie. Nadal próbowałem dostać się wyżej, ale armia raliarów, mimo że przetrzebiona, uparcie się broniła. Za każdym razem, kiedy udało mi się posunąć naprzód o kilka metrów, nawet o metr wyżej, spychali mnie z powrotem na dół. Mikey też próbował wspiąć się wyżej, nawet udało mu się wejść na skalny występ powyżej mnie. Było to dobre miejsce na atak, ale kiepskie na obronę.

Wiedziałem, że to będzie ostatnia reduta Mike'a.

Wtedy właśnie oszołomiony Axe przeszedł obok mnie, tylko przez chwilę zwracając uwagę na to, czy skały nadal go osłaniają. Zobaczyłem jego ranę - prawie cała prawa strona jego głowy była odstrzelona. Krzychałem:

— Axe! Axe! Proszę, stary, zejdź tam. Tam! Wskazywałem mu jedyne miejsce pomiędzy skałami,

gdzie mogliśmy znaleźć schronienie. Próbował podnieść rękę, żeby pokazać mi, że zrozumiał. Nie mógł. Szedł naprzód, powoli, pochylony, już bez karabinu. Miał tylko pistolet, ale wiedziałem, że nie mógłby go utrzymać, celować i strzelać. Przynajmniej zmierzał w stronę skał, chociaż nikt nie mógłby przeżyć po odniesieniu takiej tany.

Wiedziałem już, że Axe umiera.

Mikey nadal strzelał, kiedy nagle usłyszałem jak krzyczy moje imię, a był to krzyk mrozący krew w żyłach.

— Pomóż mi, Marcus! Proszę, pomóż mi!

Był moim najlepszym przyjacielem na świecie, ale znajdował się trzydzieści metrów wyżej, a ja nie mogłem wspiąć się do niego, ledwo mogłem chodzić, a gdybym wyszedł choćby na dwa metry spod osłony skał, trafiłoby mnie sto kul.

Niemniej, wychyliłem się zza skały i starałem się osłaniać go ogniem, zmusić skurwieli do odwrotu, dać mu odetchnąć zanim znajdę sposób, żeby dostać się do niego w jednym kawałku.

A on cały czas krzyczał, wołał moje imię i błagał, żebym pomógł mu przeżyć. A ja nie mogłem zrobić nic poza tym, że mogłem razem z nim umrzeć. Nawet wtedy, chociaż zostały mi już tylko dwa magazynki, nadal wierzyłem, że mogę dać radę tym sukinsynom w turbanach i uratować Mike'a i Axe'a. Chciałem tylko, żeby Mikey przestał krzyczeć albo żeby skończyło się jego cierpienie.

Wołał mnie co kilka sekund, a każde jego słowo było dla mnie jak pchnięcie nożem. Z oczu, mimo woli, leciały mi łzy. Nie pierwszy raz tego dnia. Dla Mike'a zrobiłbym wszystko, oddałbym za niego własne życie, ale moja śmierć w tym skalnym dole nie mogła go uratować. Jeśli mogłem go ocalić, to tylko samemu pozostając przy życiu. Nagle, tak samo jak się zaczęło, wołanie ucichło. Przez kilka sekund panowała zupełna cisza, jakby nawet talibowie zrozumieli, że Mikey nie żyje. Wysunąłem się nieco i spojrzałem w górę, akurat w momencie, kiedy czterech z nich podeszło i wypaliło kilka serii w jego leżące bezwładnie ciało.

Wołanie ucichło. Dla wszystkich wokół, poza mną. Ja nadal słyszę głos Mike'a, każdej nocy. Ten głos dręczy mnie bardziej niż wszysrko inne, bardziej nawet niż śmierć Danny'ego Dietza. Przez kilka tygodni myślałem, że wariuję, bo nie mogłem ani na moment odepchnąć go od siebie. Raz czy dwa naprawdę się przeraziłem.

Usłyszałem wołanie Mike'a w biały dzień, a kiedy przychodziłem do siebie, okazywało się, że stoję oparty o ścianę, a dłońmi zakrywam uszy.

Zawsze myślałem, że tego rodzaju problemy psychiczne zdarzają się innym, zwyczajnym ludziom, ale nie SEALsom. Teraz znam prawdę. Mam też wątpliwości, czy kiedykolwiek uda mi się przespać całą noc.

Danny zginął. Mikey też już nie żył. A Axe umierał. W tamtym momencie było nas



już tylko dwóch. Nie na długo. Postanowiłem zejść na dół, dołączyć do Axe'a i umrzeć tam razem z nim. Wiedziałem, że z tej sytuacji raczej już nie ma wyjścia. Talibów było może pięćdziesięciu i ścigali już tylko mnie.

Dotarcie do Axe'a zajęło mi prawie dziesięć minut. Na wszelki wypadek od czasu do czasu strzelałem za siebie, żeby powstrzymać pościg. Strzelałem na wypadek, gdyby jednak telefon Mike'a spowodował, że posiłki w ostatniej chwili dotrą.

Axe siedział w zagłębieniu pośród skał. Udało mu się przyłożyć bandaż do rany na głowie. Patrzyłem na niego i zastanawiałem się, gdzie podziały się te jego błękitne oczy. Oczy, które teraz na mnie patrzyły były prawie czarne od krwi, która napłynęła z rany.

Uśmiechnąłem się do niego, bo wiedziałem już, że nie pójdziemy dalej razem, nie w tym życiu. Axe'owi nie zostało już wiele czasu. Nawet gdyby znajdował się wtedy w najlepszym szpitalu w Stanach, nie zostało by mu wiele czasu. Życie z niego uchodziło, widziałem jak ten siłacz z każdą chwilą staje się coraz słabszy.

- Hej, człowieku - powiedziałem - ale jesteś rozpieprzony! - i z troską zacząłem poprawiać mu bandaż.

- Marcus, załatwili nas - mówił z trudem, jakby nie mógł się skoncentrować. - Musisz przeżyć, Marcus. I powiedzieć Cindy, że ją kocham.

To były jego ostatnie słowa. Siedziałem tam i miałem zamiar tam pozostać, być z Axe'em, kiedy nadejdzie jego koniec. Wisiało mi całkowicie, co się ze mną stanie. Po cichu pojednałem się z Bogiem i podziękowałem Mu za ochronę i karabin. Nie spuszczałem oczu z Axe'a, który był już półprzytomny, ale jeszcze oddychał.

Tak jak dwaj pozostali, Axe w moich oczach zawsze będzie bohaterem. Przez całą tę krótką, ale brutalną bitwę, walczył wściekle jak ranny tygrys. Poranili jego ciało, postrzelili mózg, ale nie naruszyli jego ducha.

Matthew Gene Axelson, mąż Cindy, srrzelał do wroga tak długo, jak długo mógł utrzymać w dłoniach swój karabin. Niedawno skończył 29 lat. Patrzyłem na niego cały czas, gdy umierał. Nie sądzę by mnie słyszał, ale jego oczy pozostawały otwarte. Cały czas byliśmy razem. Nie pozwoliłem, by odszedł w samotności.

Wtedy musieli nas dostrzec, bo nadleciał jeden z tych ruskich gnatów. Wylądował blisko, wybuchł i wyrzucił mnie z zagłębienia. Przeleciałem kawałek nad ziemią, nad brzegiem urwiska i zacząłem spadać. Przytomność straciłem zanim dotknąłem ziemi, a kiedy ją odzyskałem, znowu byłem w jakimś zagłębieniu. Pomyślałem, że wybuch mnie oślepił, bo nie nic nie widziałem.

Jednak po kilku sekundach zorientowałem się, że tkwię głową w dół w jakiejś dziurze. Oczy nadal miałem sprawne, tak jak inne części ciała, poza lewą nogą, która była sparaliżowana. Prawa w pewnym stopniu również. Strasznie dużo czasu zajęło mi wygrzebanie się z tej dziury i doczłapanie do schronienia pomiędzy skałami. Moje oczy pulsowały, przypuszczam, że na skutek wybuchu. Spojrzałem w gółę i stwierdziłem, że spadałem spory kawałek, ale byłem zbyt oszołomiony, żeby określić, jaka to była wysokość. Jedyne, co się zmieniło od czasu, kiedy siedziałem z Axe'em, było to, że strzelanina ucichła.

Jeśli dotarli do Axe'a, który - wiedziałem — nie mógł przeżyć tej eksplozji, mogli dać sobie spokój ze strzelaniem. Najwyraźniej nie dostrzegli mnie, byłem trudny do namierzenia tkwiąc do góry nogami w rej dziurze. Tak czy inaczej, wyglądało na to, że nikt mnie nie szuka. Pierwszy raz, od może pół godziny, najwyraźniej nie byłem ścigany.

Poza tym, że nie mogłem ustać na nogach, miałem jeszcze dwa poważne problemy. Pierwszy to całkowity brak spodni. Drugi to stan mojej lewej nogi, której prawie nie czułem i która pokryta była krwią i naszpikowana odłamkami.

Nie miałem przy sobie ani bandażu, ani żadnych innych przyborów medycznych. Już wcześniej nie mogłem zrobić nic dla moich towarzyszy i teraz nie mogłem pomóc też sobie. Mogłem jedynie poszukać kryjówki. To niezbyt obiecująca sytuacja. Byłem pewien, że mam pęknięty kręgosłup i prawdopodobnie również ramię. Miałem też złamany nos, a moja twarz była jedną wielką katastrofą. Nie mogłem stać, nie wspominając o marszu. Przynajmniej jedną nogę miałem niesprawną, być może również drugą. Oba uda sparaliżowane, więc mogłem poruszać się tylko pełzając na brzuchu.

Nic dziwnego, że byłem oszołomiony, ale w tej bitewnej mgle dostrzegłem jeszcze jeden cud. Nie dalej jak pół metra od miejsca, gdzie leżałem, pokryty łupkiem i ziemią, niewidoczny dla wroga leżał mój karabin Mark 12 i nadal miałem półtora magazynka nabojów. Zmówiłem modlitwę zanim po niego sięgnąłem, ponieważ pomyślałem, że może być tylko złudzeniem i kiedy spróbuję go dotknąć, no cóż... zniknie.

Ale nie zniknął. W rozgrzanym powietrzu poczułem chłód stali. Jeszcze raz usłyszałem Jego głos. Jeszcze raz zmówiłem modlitwę, prosząc Go o przewodnictwo. Odpowiedziała mi cisza, ale wiedziałem już, że muszę podążać w prawo, gdzie, przynajmniej przez jakiś czas, będę bezpieczny.

Bóg nie przemówił do mnie tym razem, ale też nie opuścił mnie. Wiedziałem to, z całą pewnością wiedziałem.

Poza tym byłem pewien jeszcze jednej rzeczy. Po raz pierwszy zostałem całkiem sam. W tych opanowanych przez talibów, nieprzyjaznych górach nie miałem już ani jednego towarzysza broni, a wrogowie byli wszędzie. Czy dobrze wysłuchali pasterzy? Czy wiedzieli, że było nas czterech? Widzieli trzy ciała. Czy uznali, że ten ostatni wybuch ruskiego granatu rozerwał mnie na kawałki?

Na te pytania nie byłem w stanie odpowiedzieć. Mogłem tylko mieć nadzieję. Nie mając już nikogo, do kogo mógłbym się zwrócić, ani Mike'a, ani Axe'a, ani Danny'e-go, mogłem już tylko stanąć do walki sam. Byłem samotny, pogrążony w smutku i bez szans, ale nie poddałem się.

Był przy mnie tylko jeden Towarzysz, a jak wiadomo, Jego wyroki są niezbadane. Jestem chrześcijaninem, a On tamtego dnia jakoś uchronił mnie już przed tysiącami kul z kałasznikowów. Ani jedna kula mnie nie ttafiła, a to już przekraczało wszelkie pojęcie.

Wierzyłem, że On nie chce żebym zginął. Postanowiłem, że nadal będę bronił honoru amerykańskich Navy SEALs, tak jak wyobrażałem sobie, że by tego chcieli. Pieprzyć to, nie poddam się.

Kiedy uznałem, że całkowicie już doszedłem do siebie i popatrzyłem na zegarek, była 13:42 czasu lokalnego. Od kilku minut nie padł ani jeden strzał, zacząłem

myśleć, że talibowie uznali mnie za trupa. Błąd, Marcus. Ich AK-47 znowu się odezwały i znów kule świstały dookoła mnie.

Moi wrogowie zbliżali się teraz od dołu i po bokach, strzelając przy tym wściekle, ale niecelnie. Pociski trafiały na sporą powierzchnię, ale dzięki Bogu, daleko ode mnie.

Zrozumiałem, że podejrzewają, że przeżyłem, ale jeszcze mnie nie namierzyli.

Przeprowadzali swego rodzaju rozpoznanie ogniem, ostrzeliwując spory obszar, mając nadzieję, że jeśli gdzieś jestem, trafią mnie i wykończą. Albo jeszcze lepiej, że wyjdę z podniesionymi rękami i te małe mordercze sukinsyny będą mogły odciąć mi głowę czy poużywać sobie na mnie na inne dziwaczne sposoby. Potem pochwalą się tej wrednej stacji al-Dżazira, jak wykończyli niewiernych.

Wspomniałem chyba, jaki miałem stosunek do poddawania się. Wcisnąłem więc następny magazynek w zamek mojego magicznego karabinu, z trudem przeczołgałem się przez niewielkie wzniesienie i, pośród latających wokół pocisków, dotarłem do zbocza. Nikt mnie nie zauważył. Nikt mnie nie postrzelił. Tułów wcisnąłem w skalistą szczelinę, nogi ukryłem w małej kępie krzewów. Po bokach osłaniały mnie olbrzymie skały. Okazało się, że tkwię w szerokiej na cztery czy pięć metrów szczelinie skalnej. Nie była to jaskinia, bo nad głową miałem niebo. Kamyki i piach spadały mi na głowę, kiedy talibowie przechodzili nade mną. Jednak ta szczelina zapewniała znakomitą kryjówkę i osłonę. Trudno tu było mnie dostrzec. Musieliby mieć wiele szczęścia, nawet gdyby nadal próbowali wykurzyć mnie ogniem.

Pole widzenia miałem ograniczone skalnymi ściankami, widziałem więc tylko to, co było wprost przede mną. Uznałem, że nie mogę się ruszyć, ani opuścić mojej kryjówki, a przynajmniej nie w świetle dziennym. Koniecz-

nie musiałem też ukryć kałuży krwi, która wypływała z mojego pokiereszowanego ciała. Zacząłem oceniać sytuację. Lewa noga nadal mocno krwawiła, zatkałem więc rany błotem. Na czole miałem spore rozcięcie, które również zakleiliśmy błotem. W obu nogach nie miałem czucia, zatem nie mogłem wybrać się na spacer. Przynajmniej przez jakiś czas.

Nie miałem medykamentów, map ani kompasu. Miałem naboje. Miałem karabin.

Miałem też dobry widok na dolinę poniżej i góry po drugiej jej stronie doliny. Nie miałem spodni, kolegów, ale też nikt nie mógł mnie dostrzec. Siedziałem wciśnięty w skały, plecami przyparty do ściany. W każdym sensie.

Rozluźniłem się i przyjąłem możliwie najbardziej komfortową pozycję. Sprawdziłem karabin i ułożyłem go obok siebie, lufą do przodu. Gdyby znalazła mnie jakaś większa grupa, myślę, że szybko dołączyłbym do Danny'ego, Axe'a i Mike'a. Ale najpierw wielu bym jeszcze położył. Wiedziałem, że będąc osłoniętym z tyłu i po bokach, mam znakomitą pozycję do prowadzenia zacieklej i skutecznej obrony. Jedynym zagrożeniem dla mnie byłby atak frontalny, a i tak wróg musiałby być liczny.

Nadal słyszałem strzały, coraz bliżej. Z całą pewnością zbliżali się do mnie. W myślach powtarzałem sobie: „Nie ruszaj się, nie oddychaj, zachowaj ciszę”. Właśnie wtedy po raz pierwszy zrozumiałem jak bardzo byłem samotny. Wiedziałem, że pomimo ran muszę zmobilizować wszystkie siły. Zacząłem tracić poczucie czasu, ale nadal tkwiłem tam nieruchomo. Nie poruszyłem się przez dokładnie osiem godzin. Czas płynął, a ja obserwowałem talibów kręcących się po całej dolinie - jak biegają w górę i w dół. Były ich chyba setki. Najwyraźniej przeczesywali tę doskonale im znaną okolicę, w poszukiwaniu mojej osoby. Ja tymczasem odzyskałem nieco czucia w nogach, ale nadal mocno krwawiłem i odczuwałem silny ból. Utrata krwi spowodowała, że zaczęło kręcić mi się w głowie.

Byłem też śmiertelnie przerażony. Po raz pierwszy w mojej sześcioletniej karierze Foki czułem prawdziwy strach. Było już późne popołudnie, gdy zauważyłem, że odchodzą. Dolina pustoszała, bo wszyscy, masa talibów, biegli w prawo, najwyraźniej kierując się w jedno miejsce. W każdym razie tak sytuacja wyglądała z mojej wąskiej perspektywy.

Teraz wiem, dokąd zmierzali, ale wtedy, kiedy siedziałem wciśnięty w skalną szczelinę, nie miałem pojęcia, co się dzieje. Opowiem teraz to, co wiem z relacji innych o kolejnych zdarzeniach tego tragicznego popołudnia. O najbardziej szokującej masakrze w wysokich górach Hindukusz. Najgorszej katastrofie, jaka spotkała SEALsów w całej naszej ponad czterdziestoletniej historii.

Po pierwsze, Mike'owi udało się skontaktować z siłami szybkiego reagowania (QRF) w Asadabadzie oddalonym o kilka pasm górskich od miejsca, w którym nadal tkwiłem żywy. Ta ostatnia rozmowa, ten telefon, który kosztował go życie, był sukcesem. Wszyscy świadkowie mówią to samo - te przerażające słowa Mike'a: „Moich chłopcy tu giną... potrzebujemy pomocy”, postawiły całą bazę na nogi! Taka sytuacja to najwyższy stan alarmowy, który od całkowitego szaleństwa dzieli tylko krok.

Komandor podporucznik Kristensen, nasz p.o. dowódcy, ogłosił alarm. W każdym takim przypadku wymagana jest decyzja czy wysłać QRF czy nie. Ericowi podjęcie jej zajęło jedną milionową sekundy. Wiem, że ten widok - jego koledzy, jego przyjaciele i towarzysze broni, Mikey, Axe, Danny i ja, walczący o życie, ranni, może już martwi, otoczeni przez armię żądnych krwi afgańskich bojowników - srał przed jego oczami, kiedy wysyłał chłopaków do boju.

Wizja okropnej straty prześladowała go również, kiedy wzywał przez telefon 160. Pułk Lotniczy Opetacji Specjalnych (SOAR), czyli osławionych Night Stalkers, do podstawienia wielkiego wojskowego helikoptera MH-47 na pole startowe. Był to ten sam helikopter, który poprzedniego dnia startował jako pierwszy i za którym lecieliśmy nad bazą, ruszając na tę misję.

Chłopcy, o których już wcześniej wam opowiadałem, ruszyli na pole startowe, z całych sił gotowi nam pomóc. Obładowani amunicją, ściskając karabiny biegli w kierunku Chinooka, którego silniki już pracowały. Moi koledzy z 1. Zespołu SDV znaleźli się tam w mgnieniu oka. Bosmanowie James Suh i Shane Paton wskoczyli do helikoptera jako pierwsi. Za nimi wgramolił się na pokład ogromny starszy bosman sztabowy Dan Healy, człowiek który opracował plan operacji Czerwone Skrzydło, a który opuszczając barak podobno wyglądał jakby już dostał kulę. Za nimi wsiedli chłopcy z 10. Zespołu, kapitan Mike McGreevy Jr. z Nowego Jorku, bosman sztabowy Jacqu-es Fontan z Nowego Orleanu, starszy bosman Jeff Lucas z Oregonu i starszy bosman Jeff Taylor z zachodniej Wirginii. Na końcu, nadal krzycząc, że jego chłopcy potrzebują każdego, kto może im pomóc, wsiadł komandor

podporucznik Erie Kristensen, człowiek, który lepiej niż inni wiedział, że ośmiu ludzi siedzących w tym helikopterze zmierza na śmiertelnie niebezpieczną misję. Czekali ich lądowanie na położonej wysoko górskiej przełęczy, lądowanie w paszczę wroga, którego przewaga liczebna mogła wynieść nawet dwunastu na jednego.

Kristensen wiedział, że nie musi lecieć. Właściwie nawet nie powinien ruszyć na tę misję. Powinien zostać na swoim posterunku, w bazie i stamtąd dowodzić. Z drugiej strony, mieliśmy w drużynie QRF świetnego dowódcę, którego metody bywały jednak nieco niekonwencjonalne. Erie Kristensen był stuprocentrową Foką. Dla niego najważniejsze było nasze rozpaczliwe wołanie o pomoc. Wołanie jego braci. Wołanie człowieka, którego dobrze znał i któremu ufał.

Żadna siła nie powstrzymałaby Erica przed wyruszeniem na pomoc. Musiał zdawać sobie sprawę, że ledwo się trzymamy i modlimy o ratunek. W końcu, było nas przecież tylko czterech, a według informacji, jakie mieliśmy w bazie, talibów było co najmniej stu.

Erie wiedział jak wielkie jest ryzyko, ale nie zastanawiał się nawet przez ułamek sekundy. Po prośbie chwycił karabin i amunicję, i pognął na pokład śmigłowca, po drodze krzykiem popędzając innych:

— Ruszajcie się, chłopaki! Pospieszmy się, naprawdę!

Zawsze tak krzyczał, kiedy sytuacja stawała się napięta. Oczywiście, był oficerem dowodzącym i to doskonałym. Ale przede wszystkim był Foką, częścią naszego bractwa zespolonego krwi. Co jeszcze bardziej istotne - był po prostu człowiekiem. W tamtej chwili odpowiedział na pilne, desperackie wołanie o pomoc dochodzące z samego serca naszego bractwa. Erie mógł więc ruszyć tylko w jednym kierunku — w góry, tam gdzie potrzebny był ogień jego karabinu, czy dostałby taki rozkaz, czy nie. Na pokładzie MH-47, jak zawsze przed wylotem na mrozącą krew w żyłach operację ratunkową, często prowadzoną w nocy, ludzie z SOAR czekali w milczeniu.

Dowodził nimi wspaniały człowiek, major Steve Reich z Connecticut i dwóch chotążych sztabowych Chris Scherkenbach z Jacksonville na Florydzie i Corey J. Goodnature z Clarks Grove w stanie Minnesota.

Byli tam również starsi sierżanci James W. Ponder, Marcus Muralles z Shelbyville w

stanie Indiana, Mike Russel ze Stafford w stanie Wirginia, a także sierżanci Shamus Gore z Danville w Ohio i Kip Jacoby z Pompano Beach na Florydzie. Pod każdym względem była to grupa wyśmienitych żołnierzy.

MH-47 podniósł się z pola startowego i przeleciał nad dwoma górskimi pasmami. Dla ludzi na pokładzie musiało to trwać wieki. Tak już jest na misjach rarytarskich. Ładowali mniej więcej w tym samym miejscu, w którym my zjechaliśmy po linie na początku naszej operacji, jakieś osiem kilometrów od mojej kryjówki.

Plan przewidywał, że mają, tak jak my, zjechać po linie. Myślę, że kiedy usłyszeli „Trzydzieści sekund!”, przybliży-

li się do rampy. Niestety nikt nie wiedział, że talibowie mają tam coś w rodzaju ukrytego bunkra. Kiedy MH-47 zawisł i wypuścił liny, żeby chłopcy mogli zjechać na ziemię, talibowie wystrzelili granat z RPG wprost w otwartą rampę.

Granat przeleciał pomiędzy głowami pierwszej grupy i wybuchł z oszałamiającym błyskiem i hukiem tuż przy zbiornikach z paliwem, zamieniając wnętrze helikoptera w piekło. Kilku chłopaków wyleciało na zewnątrz, spadli na ziemię. Siła wybuchu była ogromna, o czym świadczyły lufy karabinów pęknięte wpół, znalezione później pomiędzy ciałami przez naszą ekspedycję poszukiwawczo-rarytarską.

Pilot helikoptera walczył o utrzymanie kontroli nad maszyną, nieświadomy rzezi jaka dokonała się za jego plecami, ale z całą pewnością świadomy wściekłego ostrzału dochodzącego ze wszystkich stron, nawet z góry. Oczywiście w tej sytuacji niewiele mógł zrobić. Olbrzymi MH-47 spadł, z hukiem uderzył o górskie zbocze, przechylił się i zaczął z ogromną prędkością koziółkować w dół. Przez dwieście metrów rozpadał się na kawałki, zanim przestał istnieć na dobre.

Kiedy dotarła tam nasza grupa dochodzeniowa, nie znalazła nic poza rozsypanymi szczątkami. Oczywiście, nikt nie ocalał. Moi przyjaciele z 1. Zespołu SDV, James, dowódca Dan i młody Shane, wszyscy zginęli. Dobrze, że nie wiedziałem o tym siedząc w mojej kryjówce. Nie poradziłbym sobie z tą świadomością. Była to całkowita masakra. Kilka tygodni później, kiedy zobaczyłem na zdjęciach, co po nich zostało, załamane się. Głównie dlatego, że to właśnie ja byłem tym, którego mieli ratować.



Jak wyjaśniłem, w tamym momencie nie wiedziałem co się stało. Wiedziałem tylko, że stało się coś, co nagle poruszyło wielu talibów. Wkrótce wprost przed sobą zobaczyłem amerykańskie śmigłowce przelatujące nad doliną - A-10 i AH-64 Apache. Niektóre leciały tak blisko, że mogłem dostrzec ich pilotów.

Wyjąłem z kieszeni radiostację PRC-148 i próbowałem nawiązać kontakt. Okazało się, że nie mogę mówić, w gardle miałem pełno piachu, a język przywarł mi do podniebienia. Nie miałem wody. Nie mogłem się porozumieć, ale wiedziałem, że udało mi się z nimi połączyć, bo słyszałem załogi samolotów, uruchomiłem więc nadajnik ratunkowy i wysłałem sygnał alarmowy.

Odebrali. Wiedziałem, że odebrali, bo wyraźnie usłyszałem jak rozmawiają:

- Hej, słyszycie ten sygnał?

- Tak, mamy go, ale poza tym żadnych informacji.

Po czym zniknęli mi z pola widzenia, odlecieli w prawo, w kierunku, jak teraz wiem, miejsca katastrofy MH-47.

Był pewien kłopot. Talibowie często kradną takie radiostacje i potem używają ich do podstępnego sprowadzania amerykańskich samolotów w zasięg rażenia swoich rakiet przeciwlotniczych. Wtedy jeszcze tego nie wiedziałem, ale amerykańscy piloci bardzo nieufnie podchodzą do takich sygnałów, bo nie wiedzą, kto je wysyła i wolą uniknąć zestrzelenia.

Na wpół żywy leżałem między skałami, wykrwawiałem się na śmierć i nie mogłem nawet wstać. W dodatku zaczęło się ściemniać i najwyraźniej niewiele mogłem zrobić. Moją jedyną szansą było ściągnięcie uwagi pilota, który nadal, w regularnych odstępach czasu, przelatywał nad doliną.

Słuchawki od radiostacji straciłem jeszcze w czasie spadania ze szczytu, ale nadal miałem przewody, które po nich zostały. Udało mi się przymocować do przewodów dwie chemiczne latarki, takie, które świecą, kiedy się je przełamie na pół. Kiedy helikopter wlatywał w moje pole widzenia, kręciłem tym sprzętem nad głową, tworząc jakby świecące ostrze piły tarczowej.

Miałem też promiennik podczerwieni i laser celownika, który odczepiłem od

karabinu. Celowałem tymi światłami w przelatujący amerykański helikopter. Jezu, byłem jednym wielkim sygnałem alarmowym. „Przecież ktoś tam musi obserwować tę górę. Ktoś musi mnie w końcu zobaczyć”. Używałem tej metody tylko wtedy, kiedy widziałem helikopter. Wkrótce mój optymizm osłabł i ustąpił miejsca przygnębieniu. Nikt nie zwrócił na mnie uwagi. Wszystko wskazywało na to, że zostanę tam, czekając na śmierć.

Do momentu, w którym słońce schowało się za górami, prawie całkowicie odzyskałem czucie w nogach. To dało mi nadzieję, że będę mógł chodzić. Chociaż obawiałem się, że ból może być ogromny. Zaczynałem być niebezpiecznie odwodniony. Nie mogłem pozbyć się pyłu, który zalegał mi w gardle. Z wysiłkiem oddychałem, o mówieniu mogłem zapomnieć. Musiałem znaleźć wodę i wydostać się z tej cholernej pułapki, jednak nie wcześniej niż całkowita ciemność spowie góry. Wiedziałem, że muszę się wydostać. Najpierw znaleźć wodę, potem schronienie, bo wszystko wskazywało na to, że nikt mnie tam nie znajdzie. Przypomniałem sobie ostatnie słowa Axe'a, nagle rozdzwoniły mi w uszach: „Musisz przeżyć, Marcus. I powiedzieć Cindy, że ją kocham”. Wiedziałem, że muszę żyć dalej - dla Axe'a, dla Danny'ego, i przede wszystkim dla Mike'a.

Oglądałem ostatnie, długie promienie słońca rzucające potężne cienie na dolinę rozciągającą się przede mną. Nagle po prawej, na zboczu po drugiej stronie doliny, w odległości może 150 metrów zobaczyłem odbłask na lufie AK-47. Promienie zachodzącego słońca dwukrotnie odbiły się od metalu. Jakiś sukinkot najwyraźniej przeszukiwał wzrokiem fragment zbocza, gdzie się skrywałem.

Wkrótce ujrzałem właściciela tej lufy. Stał tam, w koszuli z podwiniętymi rękawami i niebiesko-białej kamizelce w kratę. Trzymał karabin w charakterystyczny dla Afgańczyków sposób — zwieszony nisko — gorowy podnieść go w ułamku sekundy i wystrzelić. Jedyne wnioski, jakie mógł mi się nasunąć, była taka, że szuka właśnie mnie.

Nie miałem pojęcia ilu jeszcze tych koleś mogą mieć w zasięgu strzału, wiedziałem jednak, że jeśli dostrzeże mnie ten jeden, przejdę do historii. Nie spudłowałby.

Parrzył wprost w moim kietunku, ale nie podnosił karabinu. Na razie.

Uznałem, że nie mogę ryzykować i do niego strzelić. Choć mój karabin był naładowany i odbezpieczony. Hałas będzie tak wielki, że przyciągnie uwagę innych. Bardzo ostrożnie, oddychając płyrko, podniosłem mojego Marka 12, uchwyciłem go w pozycji strzeleckiej i wycelowałem w niewielką postać po drugiej stronie jaru, aż znalazła się dokładnie w środku celownika.

Nacisnąłem spust i trafiłem go prosto między oczy. Zobaczyłem tylko jak krew tryska ze środka jego czoła, a ciało spada przez krawędź wzniesienia prosto w dolinę. Nie poruszył mnie ten widok. Podziękowałem ryłko Bogu, że jest jednego mniej.

Prawie natychmiast dwóch jego kolegów nadbiegło w miejsce, w którym on przed chwilą stał. Ubrani byli mniej więcej tak samo, tylko kamizelki mieli w innych kolorach. Stali tam, gapiąc się w jar, gdzie spadł ich kumpel. Obaj trzymali kałasznikowy w pozycji opuszczonej, ale prawie gotowej do strzału.

Pomyślałem, że może odejdą, ale stali tam, wpatrując się w pustkę, która nas dzieliła. Z mojego punktu widzenia, wyglądało to tak, jakby patrzyli wprost na mnie, czekając na jakikolwiek ruch. Wiedziałem, że nie mają pewności czy ich kolega został postrzelony, po prostu spadł, czy może popełnił samobójstwo, aczkolwiek domyślałem się, że instynkt podpowiada im to pierwsze. Teraz próbowali zorientować się, kto go postrzelił. Trwałem w bezruchu, ale ich czarne oczy patrzyły wprost na mnie. Zrozumiałem, że jeśli obaj jednocześnie otworzą ogień w moją stronę, szanse na trafienie mnie jedną, a może i wieloma kulami, mają znakomite. Musieli zniknąć. Obaj.

I jeszcze raz, powoli podniosłem karabin i wycelowałem w talibów. Pierwszym strzałem położyłem tego po prawej i zobaczyłem jak spada w przepaść. Drugi zorientował się, że ma do czynienia z ukrytym wrogiem, podniósł lufę swojego AK-47 i zaczął przeczesywać zbocze, pod którym leżałem na plecach.

Trafiłem go prosto w klatkę piersiową i strzeliłem jeszcze raz, na wypadek gdyby jeszcze oddychał i mógł krzyknąć. Spadł w dolinę bez jednego dźwięku, tym samym dołączając do swoich dwóch braci, a ja w ten sposób pozostałem sam i, jak dotąd, nie zdemaskowany.

Kilka godzin wcześniej Mikey Murphy i ja popełniliśmy błąd, który kosztował życie

trzech ludzi, najlepszych SEALsów jakich spotkałem w życiu. Leżąc tam, otoczony przez talibskich bojowników, nie mogłem pozwolić sobie na kolejny błąd. W jakiś sposób, dzięki Bogu, uniknąłem konsekwencji pierwszego i znajdowałem się na wzgórzu, które powinno zostać nazwane imieniem Mike'a, naszego wspaniałego dowódcy. Bitwa o Wzgórze Murphy'ego.

Każda decyzja, jaką teraz miałem podjąć, oznaczała wybór pomiędzy życiem a śmiercią. Musiałem wywalczyć sobie drogę odwrotu i nie miało dla mnie znaczenia, jak wielu talibów będę musiał zabić, żeby ten cel osiągnąć. Najważniejsze było to, bym nie popełniał dalszych błędów. Nie mogłem pozwolić sobie na ryzyko.

Kiedy słońce całkowicie schowało się za szczytami Hindukuszu, po drugiej stronie doliny zapanował spokój. Domyślałem się, że talibowie rozdzielili się w poszukiwaniach na tym terenie i że prawdopodobnie załatwiłem połowę z nich.

Gdzieś tam, w głuchej ciszy nocy, prawie na pewno kolejnych trzech tropiło samotnego Amerykanina - jedyne go ocalałego z czteroosobowego zespołu, który spowodował tak wielkie straty w ich szeregach.

Przyjazne tetkotanie amerykańskich Apache'y ucichło na dobre. Nikt już mnie nie szukał. Moim największym problemem stał się brak wody. Poza tym, że nadal krwawiłem i nie mogłem wstać, pragnienie stało się nie do zniesienia. Mój język nadal pokrywał pył i nadal nie mogłem wydobyć głosu z krtani. Manierkę z wodą straciłem, kiedy pierwszy raz z Mike'em koziołkowaliśmy ze szczytu, więc upłynęło już dziewięć godzin, od kiedy coś wypilem.

Nadal też byłem przemoczony po lądowaniu w strumieniu. Czulem, że krwotok spowodował osłabienie i zawroty głowy, więc z całych sił starałem się utrzymać przytomność. Doszedłem do wniosku, że muszę wstać. Jeśli talibowie nadeszliby z lewej i mieli przy sobie jakiegokolwiek światło, byłbym wystawiony jak zając na szosie złapany w reflektory samochodu.

Moja kryjówka służyła mi dotąd znakomicie, ale musiałem ją w końcu opuścić.

Kiedy rankiem ciała tych trzech tropicieli zostaną odnalezione, wzgórze z pewnością zaroi się od talibów. Z trudem podniosłem się na nogi. Stałem tak chwilę, w samych bokserkach w zimnym, górskim powietrzu. Spróbowałem poruszyć prawą nogą. Nie

było tak źle. Potem spróbowałem poruszyć lewą, ale ta już zaboląła jak cholera. Srałem się oczyścić rany z błota, którym je wcześniej zalepiłem. Odłamki nadal tkwiły w udzie, a kiedy poruszyłem jeden z nich, podskoczyłem z bólu jak oparzony. Jednym z moich problemów był brak mapy i orientacji w terenie. Oczywiście wiedziałem, że mam za sobą górskie zbocze i że jedyna droga, jaką mogę się srąd wydo-srać, prowadzi w górę. Wspinaczka, w sytuacji w której miałem trudności ze zrobieniem jednego kroku, była poważnym wyzwaniem. Sprawdziłem jeszcze raz lewą nogę. Przynajmniej nie było gorzej.

Za to w plecach czułem straszliwy ból. Nie miałem pojęcia, że pęknięte kręgi mogą powodować tak niesamowity ból. Oczywiście wtedy nie zdawałem sobie jeszcze sprawy z tego, że mam pęknięte trzy kręgi. Pomimo zerwanego mięśnia naramiennego barku, o czym również wtedy jeszcze nie wiedziałem, mogłem poruszać prawym ramieniem. Nadal odczuwałem pulsujący ból w złamanym nosie, ale to, w porównaniu z resztą, była już bułka z masłem. Na połowie twarzy czułem jeszcze rany po upadku ze szczyru i bolało mnie rozcięcie na czole.

Wszystkie te dolegliwości zagłuszało pragnienie. Nieco oruchy dodawała mi myśl o kilku strumieniach, które płynęły nieopodal, musiałem tylko któryś z nich znaleźć. Potrzebowałem oczyścić rany, a przede wszystkim napić się wody. W ten sposób z samego rana mógłbym użyć radiostacji i sprowadzić jakiś amerykański helikopter albo myśliwiec.

Zebrałem sprzęt, radiostację, latarki i laser, i zapakowałem w worek. Zabezpieczyłem karabin. W magazynku zostało jeszcze dwadzieścia naboji, drugi, nie ruszony, miałem jeszcze w uprzęży.

W końcu wyszedłem z kryjówki w całkowitą ciemność i ciszę nocy Hindukuszu. Księżyc był niewidoczny i zaczynało padać, a to oznaczało, że długo go nie zobaczę. Raz jeszcze sprawdziłem nogę. Utrzymywała mój ciężar nie uginając się. Po omacku obszedłem olbrzymi głaz, który dotąd osłaniał moją lewą flankę i, stawiając najmniejsze i najbardziej ostrożne kroki, ruszyłem na górskie zbocze.

Rozdział 9 Trafiony granatem, postrzelony, uznany za poległego

Tuż za plecami usłyszałem miękkie kroki tropiącego mnie człowieka... Było ich

dwóch, tuż nade mną, pomiędzy skałami. Szukali. Na reakcję miałem tylko sekundy, bo ich AK-47 mierzyły już we mnie... Sięgnąłem po granat.

Nawet w nieprzeniknionej ciemności nocy wyczuwałem rozciągający się nade mną olbrzymi cień góry. Wydawało mi się nawet, że go widzę. Był złowrogi jak siły ciemności. Czarniejszy od skały, do której przywarłem.

Wiedziałem, że od szczytu dzieli mnie daleka droga i będę musiał poruszać się zygzakiem, jeśli chcę tam dotrzeć. Możliwe, że zajmie mi to całą noc, ale jakoś muszę się tam dostać.

Moja strategia opierała się na dwóch faktach. Po pierwsze, na szczycie jest płasko, więc jeśli znowu dojdzie do strzelaniny, będę miał większe szanse. Nikt nie będzie strzelał do mnie z góry. Każda Foka wie, że ma większe szanse na zwycięstwo na płaskim terenie.

Drugą kwestią była konieczność wezwania pomocy. Żaden helikopter nie wylądował na stromym zboczu. W tej części gór jedynym miejscem gdzie mógłby usiąść MH-47 była niecka poniżej i pola, na których wieśniacy uprawiali rośliny. Czyli marihuanę. Nie było mowy o tym, żebym zszedł do wioski.

Zmierzałem w górę, bo tam mogłem znaleźć płaszczyznę, na której mógłby wylądować helikopter. Tam też były lepsze warunki do łączności radiowej. Miałem nadzieję, że Amerykanie wciąż patrolują góry z powietrza, szukając ocalałych z operacji Czerwone Skrzydło.

Tymczasem umierałem z pragnienia, więc moje wysuszone gardło kierowało mnie w stronę wody i być może schronienia. Zrobiłem kilka kroków, wiedząc, że przede mną jeszcze jakieś 150 metrów wspinaczki w linii prostej pod górę. Poruszając się zygzakiem będę musiał pokonać o wiele dłuższą drogę.

W całkowitych ciemnościach rozpocząłem podejście, lekko w prawo. Karabin zatknąłem za pas, żeby uwolnić ręce. Nie pokonałem nawet pięciu metrów, kiedy nagle poślizgnąłem się i naprawdę przestraszyłem. Zbocze było bardzo strome - aż do samego podnóża. Biorąc pod uwagę mój ogólny stan, prawdopodobnie nie przeżyłbym upadku. Szczęśliwie udało mi się zatrzymać po jakichś trzech metrach. Znowu się wspinałem, z całej siły chwytając wszystko, co stawiało opór. Trzeba by

piły mechanicznej, żeby oddzielić mnie teraz od ściany, wiedziałem bowiem, że jeśli spadnę, już się nie podniosę. Ta świadomość znacznie poprawiła moją koncentrację. Wspinałem się więc, chwytając skał, pnączy, gałęzi i wszystkiego, czego tylko się dało. Czasami kawałki skały odpadały pod naciskiem, a gałęzie łamały się pod moim ciężarem. Miałem wrażenie, że robię przy tym więcej hałasu niż cała armia talibów podczas górskich przemarszów.

W pewnym momencie, po dwóch godzinach wspinaczki, wydało mi się, że słyszę coś za plecami. Mówię wydało mi się, ponieważ w całkowitych ciemnościach, kiedy oczy nie mają zajęcia, inne zmysły są bardziej wyczulone, szczególnie słuch i węch. Nie mówiąc już o szóstym zmyśle, tym samym, który mają zwierzęta takie jak koza, antylopa czy zebra. To ten zmysł, który ostrzega pasące się zwierzęta przed zagrożeniem, przed bliskością drapieżnika.

Ja nie byłem tak wyczulony, a już z całą pewnością nie pasłem się, ale nagle się okazało, że jestem otoczony przez drapieżniki. Byli wszędzie i wiedziałem, że się zbliżają.

Płasko przywarłem do ściany i znieruchomiałem. I znowu usłyszałem dźwięk, jakby odległy trzask patyczka czy gałązki. Ocenilem odległość na około 200 metrów. Dźwięk doszedł z tyłu. W tamtym momencie, w całkowitej górskiej ciszy, mój słuch osiągnął maksimum czułości. Myślę, że mógłbym nawet usłyszeć jak odległa o półtora kilometra koza puszcza bąka.

I jeszcze raz usłyszałem dźwięk. Nie kozy ale łamanej gałązki i już z całą pewnością wiedziałem, że jestem śledzony. Cholera! Księżyc nadal był schowany za chmurami, więc nic nie mogłem zobaczyć. Co innego talibowie. Od lat kradli wyposażenie obcych wojsk - najpierw Rosjan, potem Amerykanów. Wszystko co mieli, było kradzione, może poza tym co kupił im bin Laden. Z pewnością więc byli wyposażeni w kilka noktowizorów, jako że Rosjanie byli pionierami w używaniu tego rodzaju sprzętu do celów bojowych, a wiedzieliśmy, że mudżahedini przejęli cały sprzęt Rosjan, po tym jak ci wycofali się z Afganistanu.

Obecność niewidocznego afgańskiego tropiciela była dla mnie złym znakiem i fatalnie wpłynęła na resztki mojego morale. Myśl, że gdzieś tam czai się grupka

zabójców, ściga mnie po górach i może mnie obserwować, podczas gdy ja nie mogę ich zobaczyć... no cóż, była to kiepska sytuacja dla każdego wojownika.

Postanowiłem wspinać się dalej i mieć nadzieję, że nie zaczną strzelać. Kiedy dotrę do szczyru, wystrzelam ich, jak tylko spostrzegę. Gdy tylko nadejdzie świt, schowam się pod jakimiś krzakami, gdzie nikt mnie nie wypatrzy i poradzę sobie z nimi — niech tylko znajdą się w zasięgu mojego wzroku. Tymczasem byłem już tak spragniony, że nie miałem pewności czy w ogóle dożyję świtu.

Próbowałem wszystkiego. Odłamywałem gałązki i próbowałem wyssać z nich choć odrobinę wilgoci. Mając nadzieję na odrobinę rosy, ssałem trawę, kiedy tylko trafiła się jakaś kępka. Próbowałem nawet wyżymać skarpetki, żeby tylko poczuć znów smak wilgoci. Nie ma nic gorszego niż umieranie z pragnienia, możecie mi wierzyć, bo tego doświadczyłem.

Jeszcze przed świtem usłyszałem pierwsze amerykańskie samoloty krążące znów nad górami, przeważnie bar-

dzo wysoko. Za każdym razem, kiedy nadlatywały, kręciłem nad głową moją świecącą procą i nadawałem sygnał alarmowy. Znów byłem jednym wielkim alarmem. Nikt mnie nie usłyszał. Zrozumiałem, że nikt już nie wierzy, że żyję i ta myśl mnie przytłoczyła. W tych niezmiernych górach byłem i tak trudny do odnalezienia, nawet gdyby cała baza Bagram ruszyła na poszukiwania. Jeśli nikt nie wierzył już, że mogłem przeżyć, najprawdopodobniej nadszedł mój koniec.

Nieuchronnie ogarnęło mnie uczucie całkowitego osamotnienia. Było to nawet coś gorszego: osłabiony i obolały uznałem, że nie dam rady wspiąć się na szczyt.

Właściwie może i mógłbym, gdyby nie moja, okaleczona przez granat, lewa noga, nie-nadająca się do wspinaczki. Mogłem pokonywać to strome zbocze zygzakiem, raz w górę, raz w dół i mieć nadzieję, że się uda.

Nadal traciłem krew i nie mogłem wydobyć głosu z krtani. Ale słuch miałem dobry, więc słyszałem jak moi prześladowcy czasem coś do siebie pokrzykują. Pamiętam, pomyślałem, że to bardzo dziwne, bo oni zazwyczaj poruszają się po górach w całkowitym milczeniu. Pamiętacie tych pasterzy? Usłyszałem ich dopiero wtedy, gdy byli zaledwie metr ode mnie. Oni tacy są - stąpają miękko, prawie nic nie ważą i nie



mają żadnego bagażu, nawet wody.

Kiedy chodzą po górach, mają przy sobie tylko karabiny i amunicję, nic więcej.

Jeden z nich niesie wodę dla całej reszty, inny taszczy zapas amunicji. Dzięki temu strzelcy poruszają się bardzo szybko i cicho. Są urodzonymi tropicielami, potrafią znaleźć ślady w najrurdniejszym terenie i podejść do ofiary niezauważeni.

Oczywiście dzieje się tak wtedy, kiedy tropią kogoś takiego jak oni sami, ale w przypadku 105-kilogramowego byka, jakim byłem, w dodatku ślizgającego się, łamiącego gałęzie i wywołującego co chwila lawinę kamieni - mają naprawdę łatwe zadanie. Zdawałem sobie sprawę, że nie mam szans ich zgubić.

Pomyślałem, że być może te pokrzykiwania nie są tak naprawdę rozkazami. Może to tylko tłumione wybuchy śmiechu na widok moich mizernych zdolności wspinaczkowych. „Poczekajcie, niech ryłko zrobi się jaśniej” pomyślałem. W świetle dziennym szanse szybko się wyrównają. Oczywiście pod warunkiem, że nie zastrzelą mnie przed świtem.

Nadal zmagalem się z górą. Daleko w dole dostrzegłem dwa światła pochodzące najprawdopodobniej z latarni i jedno, które wyglądało jak blask ognia. Musiały znajdować się na dnie doliny, miałem więc już trochę orientacji w terenie, choć nie za wiele.

Niestety, odniosłem przy tym wrażenie, że grunt, na którym opieram stopy, jest płaski, co nie było prawdą. Zatrzymałem się na chwilę, żeby sprawdzić czy zobaczę coś więcej w dolinie, może jakiś ślad wroga, ale nie dostrzegłem nic poza tymi dwiema latarniami i ogniskiem, oddalonymi o jakieś półtora kilometra.

Zebrałem się w sobie, zrobiłem krok naprzód i w tym samym momencie zrozumiałem, że wkroczyłem w próżnię. Spadałem nie dotykając nawet górskiej ściany, prosto w dół, prując czyste, górskie powietrze. Uderzyłem o zbocze z imponującym łoskotem. Powietrze w jednym momencie uszło z moich płuc, a ja dalej toczyłem się przez kepe drzew, próbując złapać się czegokolwiek i zwolnić.

Niestety, poruszałem się zbyt szybko i jeszcze nabierałem prędkości. Spadałem aż do momentu, kiedy zbocze stało się mniej strome, co trochę mnie spowolniło. W końcu zatrzymałem się na krawędzi następnej przełęczy, którą bardziej wyczułem niż

spozrzegłem. Przeleżałem tam dobre dwadzieścia minut, walcząc o oddech i umierając z obawy, czy nie okaże się, że jestem sparaliżowany.

Nie byłem. Mogłem wsrać. Nadal miałem przy sobie karabin, choć latarkę zgubiłem. Znów jakoś musiałem dostać się na możliwie najwyżej położoną płaszczyznę. Im niżej się znajdowałem, tym mniejsze były moje szanse na uratowanie się. Musiałem ruszyć w górę, więc ruszyłem.

Wspinałem się, obsuwałem i spadałem przez kolejne dwie godziny, aż znalazłem się mniej więcej na tej wysokości, z której poprzednio spadłem. Była 2:00 nad ranem, czyli miałem za sobą długą wędrówkę, może sześć-, sied-miogodzinną. Ból w nodze stawał się nie do zniesienia, ale z drugiej strony cieszyłem się, że mam w niej czucie.

Talibowie wciąż mnie tropili. Słyszałem ich głosy, które stawały się bardziej wyraźne im wyżej się wspinałem. Zupełnie jakby na mnie czekali. Z pewnością było ich już więcej niż dwie godziny temu. Ich głosy dochodziły ze wszystkich stron. Coraz więcej ludzi mnie szukało, a kilometr za mną odezwały się nawet psy.

Usłyszałem szum strumienia, tego samego, do którego wpadłem ubiegłego popołudnia. Na jego brzegach leżały zwłoki moich rzech kumpli. Pomimo palącego pragnienia, nie mogłem zmusić się do pójścia w stronę tej wody. Z tej jednej, jedynej na świecie rzeki nie mogłem się napić, gdyż płynęła tuż obok ciał Mike'a, Danny'ego i Axe'a. Musiałem znaleźć inną.

Nie miałem kompasu, jedynie zegarek, musiałem więc przejść na orientację według gwiazd, które litościwie wyszły już zza gubych, ciężkich chmur. Odnalazłem na niebie Wielki Wóz i powiodłem wzrokiem wzdłuż rzędu jego gwiazd, aż do miejsca gdzie zakreślał w górę wskazując na Gwiazdę Polarną. Uczyliśmy się tego podczas BUD/S.

Jeśli stanę na wprost Gwiazdy Polarnej i wyciągnę lewe ramię pod odpowiednim kątem, tam będzie zachód, czyli kierunek, w którym zmierzam. Myślę, że wtedy już miałem halucynacje. Nie mogłem odróżnić rzeczywistości od snu.

Jak większość SEALsów doświadczyłem rego stanu już wcześniej, pod koniec Tygodnia w Piekło. Tym razem jednak niebezpiecznie traciłem przytomność. Czulem

się jak samotne zwierzę ścigane na nieznanym terenie, zacząłem więc udawać, że moi koledzy nadal są przy mnie. Wymyśliłem rodzaj formacji: Danny wspinał się po mojej prawej, Axe po lewej, a Mikey komenderował z tyłu.

Udawałem, że tam są, tylko nie mogę ich zobaczyć. Czułem, że jestem już u granic wytrzymałości, więc stale przypominałem sobie Tydzień w Piekło. W kółko wmawiałem sobie, że ro znowu jest tylko Tydzień w Piekło. Przetrwalem wtedy, więc przetrwam i teraz. Cokolwiek szykują dla mnie te sukinsyny, dam radę. Przetrwam. Może i traciłem rozum, ale nadal byłem Foką.

Nie mogłem jednak pominąć faktu, że byłem również coraz bardziej przygnębiony. Na razie moi prześladowcy ucichli, a ja trafiłem na olbrzymie drzewo, pod którym leżały dwie wielkie kłody. Wsunąłem się pod jedną z nich i odpoczywałem chwilę. Po prostu leżałem i rozczulałem się nad sobą.

W głowie raz po raz odgrywałem sobie jedną linijkę znanego kawałka country, „American Soldier” Toby'ego Keitha. Leżałem i cichutko nuciłem słowa, które mówiły o tym, że być może będę musiał tu umrzeć: Poniosę ten krzyż z honorem. Nuciłem te słowa przez resztę nocy. Nie potrafię wyrazić jak wiele dla mnie znaczyły. Wierzcie mi, to właśnie takie drobiazgi jak słowa piosenki mogą dać człowiekowi siłę potrzebną do przetrwania. Tak naprawdę nie wiedziałem już co robić.

Przyszło mi do głowy, że mogę pozostać pod tym drzewem i uczynić z niego mój ostatni bastion, ale szybko odrzuciłem tę myśl. Z tyłu głowy nadal miałem ostatnie słowa Axe'a: „Musisz przeżyć, Marcus. I powiedzieć Cindy, że ją kocham”.

Faktycznie, niewiele mógłbym zrobić dla Cindy Axelson, gdybym pozwolił się rozstrzelać na tej zapomnianej przez Boga górze. Kto by wtedy wiedział i pamiętał o tym, czego dokonali moi kumple? Jak ciężko i odważnie walczyli? Nie. To mój obowiązek. Uznałem, że muszę się wydostać, choćby po to, żeby opowiedzieć tę historię.

Było mi wygodnie i byłem bardzo, ale to bardzo zmęczony, jednak pragnienie wygrało. „Mam to gdzieś” pomyślałem, podniosłem się i ruszyłem, chwiejąc się raczej niż idąc, ciesząc się, że płaskie podłoże na to pozwala. Zaczynało świtać, była

już 6:00 rano. Wiedziałem, że za sześć godzin słońce powinno wskazać mi południe, ale pod tą szerokością geograficzną słońce w zenicie będę miał tuż nad głową, co bardzo utrudni nawigację. Zastanawiałem się też, gdzie będę, kiedy znowu ujrzę Gwiazdę Polarną.

Prawie narychmiasz znalazłem się na ścieżce, która biegła zgodnie z moją trasą. Po twardym, dobrze ubitym podłożu poznałem, że była często używana, musiałem więc poruszać się po niej z wielką ostrożnością. Takie uczęszczane drogi zazwyczaj prowadzą do skupisk ludzkich, wkrótce więc ujrzałem przed sobą dom, może nawet trzy czy cztery. Z dużej odległości ciężko było powiedzieć.

Moją pierwszą reakcją była myśl o kranie i o studni. Jeśli będę musiał, wedrę się do jednej z tych chat i pozbędę się mieszkańców. Mógłbym wtedy oczyścić rany i napić się. Kiedy podszedłem bliżej, okazało się, że stoją tam cztery domy, bardzo blisko jeden przy drugim. Żeby zdobyć w nich wodę, musiałbym zabić prawdopodobnie około dwudziestu ludzi, a to było dla mnie zbyt wiele. Wybrałem inne wyjście.

Poszedłem przed siebie z nadzieją, że niebawem trafię na rzekę lub górski strumień. Nie trafiłem. Słońce stało już wysoko i robiło się coraz bardziej gorąco. Szedłem jeszcze cztery czy pięć godzin. Dokuczały mi halucynacje. Co chwila chciałem zapytać Mike'a co powinniśmy teraz zrobić. Usta i gardło wyschły mi na wiór, nie mogłem poruszyć wyschniętym językiem, bo na dobre przywarł mi do podniebienia. Bałem się, że jeśli spróbuję go oderwać, odejdzie razem ze skórą. Nie potrafię opisać tego uczucia. Musiałem dostać się do wody.

Całe moje ciało błagało o odpoczynek, ale wiedziałem, że jeśli położę się i zasnę, umrę. Musiałem iść dalej. Dziwne, ale pragnienie, które mnie zabijało, dawało mi również siłę do tego długiego i rozpaczliwego marszu.

Pomyślałem, że tak wysoko mogę nie znaleźć wody, uznałem więc, że lepiej będzie jeśli zejść trochę niżej, gdzie być może jakiś strumień wypływa spod skał, tak jak to bywa w górach. Słońce paliło nieznośnie, ale najwyższe szczyty nadal pokrywał śnieg. Na rany Chrystusa, przecież śnieg musi się topić i gdzieś spływać, muszę tylko znaleźć takie miejsce.

Kiedy zszedłem niżej, znalazłem się w przepięknym, zielonym lesie. Był tak

cudowny, że pomyślałem, iż to omam. Otaczały mnie miękkie paprocie, wysokie, zielone trawy i wysokie drzewa. Tylko wyobraźcie sobie tę scenerię rozbuchanej zieloności. Jezu, przecież ram musiała być woda.

Raz po raz zatrzymywałem się i nasłuchiwałem szumu strumienia, ale wokół panowała tylko cisza. Druzgocąca, bezlitosna cisza górskiego pustkowia, gdzie nie ma dróg i żadna maszyna nie zatruwa powietrza. Nie ma samochodów, traktorów, telewizji, radia, a nawet elektryczności. Nic. Tylko przyroda, niezmieniona od tysięcy lat, skarb tego kraju, w którym kwitnie też niepokonana nienawiść.

Nie zrozumcie mnie źle. Stromizna nadal była ogromna, musiałem też przedzierać się przez las, doły i chaszczce. Przez większość czasu pęzałem na czworaka, żeby zmniejszyć ból w lewej nodze. Mówiąc szczerze, byłem już przekonany, że to moje ostatnie chwile. Ogarnęła mnie rozpacz, bałem się omdlenia i błagałem Boga o pomoc.

Chociażbym chodził ciemną doliną,

zła się nie ulękę,

bo Ty jesteś ze mną.

Twój kij i Twoja laska

są Tym, co mnie pociesza\*\*\*

To oczywiście Psalm 23. Uważamy go za Psalm SEALsów i odmawiamy go na wszystkich uroczystościach i na pogrzebach. Zbyr wielu pogrzebach. Znam ten psalm na pamięć, chwyciłem się więc tego przesłania, że nawet jeśli umrę, nie będę osamotniony.

\*\*\* Cytaty za: Biblia Tysiąclecia, wyd. III, 1980, Pallottinum, Kraków — przyp.red.

Stół dla mnie zastawiasz wobec mych przeciwników; namaszczasz mi głowę olejkami; mój kielich jest przeobfity. Tak, dobroć i łaska pójdą w ślad za mną przez wszystkie dni mego życia i zamieszkać w domu Pańskim po najdłuższe czasy.

Tylko to mi pozostało. Rozpaczliwy lament wznoszony do Boga, który był przy mnie, choć jego wyroki stały się dla mnie niezrozumiałe. Uchronił mnie przed pewną śmiercią i nadal miałem przy sobie karabin. Jednak nie wiedziałem już zupełnie co robić, szedłem więc dalej.

Porzuciłem ścieżkę i jeszcze raz ruszyłem w górę, w kierunku szczyru.

Nasłuchiwałem, próbując wyłowić z otoczenia dźwięk płynącej wody, która przecież gdzieś musiała być. Na jednym ze zboczy, dość stromym, zawisłem, trzymając prawą ręką pień drzewa. Czy kiedykolwiek usłyszę szum strumienia, czy moim przeznaczeniem jest umrzeć z pragnienia tu, gdzie żaden Amerykanin nie odnajdzie mojego ciała?

Broniąc się przed załamaniem, wciąż od nowa powtarzałem Psalm 23. Byłem przerażony, zmarznięty, bez osłony, na wpół nagi i powtarzałem w myślach: Pan jest moim pasterzem, nie brak mi niczego. Pozwala mi leżeć na zielonych pastwiskach, Prowadzi mnie nad wody, gdzie mogę odpocząć: orzeźwia moją duszę. Wiedzie mnie po właściwych ścieżkach przez wzgląd na swoje imię.

Mniej więcej przy tych słowach po raz pierwszy usłyszałem szmer płynącej wody. Nie mogłem uwierzyć. Ale gdzieś w dole z całą pewnością był strumyk albo niewielki wodospad. W czystym górskim powietrzu, w tej oszałamiającej ciszy płynęła woda, a ja musiałem tylko znaleźć do niej drogę.

W tym momencie wiedziałem, że cokolwiek mi się jeszcze przydarzy, przynajmniej nie umrę z pragnienia. To był jeden z tych momentów, w których całe życie przelatuje człowiekowi przed oczami. Pomyślałem o domu,

O mamie, tacie, o moich braciach i siostrach, o przyjaciółach. Czy oni wiedzą już, co mnie spotkało? Może myślą, że nie żyję. Może ktoś im powiedział, że zginąłem. W chwili, kiedy zdałem sobie sprawę z tego, co to by oznaczało dla mojej mamy, mamy, która zawsze powtarzała mi, że jestem jej aniołkiem, wypełnił mnie smutek.

Łamiący serce i obezwładniający smutek.

Później dowiedziałem się, że wtedy wszyscy już myśleli, że zginąłem. W domu, w Teksasie, były wczesne godziny poranne - środa, 29. czerwca. Już wiele godzin wcześniej jedna ze stacji telewizyjnych poinformowała, że czterech SEALsów zginęło podczas akcji, wypełniając misję rozpoznawczą w północno-wschodnich górach Afganistanu. Podali również moje nazwisko.

Ta stacja, a za nią wszystkie światowe media, ogłosiła również zestrzelenie helikoptera MH-47 i śmierć wszystkich ludzi, którzy byli na pokładzie - ośmiu

## SEALsów

1 ośmiu członków 160. Pułku SOAR Night Stalkers. W najbardziej krwawej potyczce w historii amerykańskich operacji specjalnych zginęło zatem dwudziestu członków sił specjalnych. Moja mama straciła przytomność.

Już we wtorek wieczorem na ranczo zaczęli zjeżdżać sąsiedzi, znajomi. Ludzie, którzy chcieli być w tych chwilach z moimi rodzicami na wypadek, gdyby potrzebowali wsparcia. Szeroki strumień ciężarówek, samochodów osobowych, SUV-ów i motocykli przywoził całe rodziny, a wszyscy mówili mniej więcej to samo: „Chcemy być teraz przy was”.

Placyk przed głównym budynkiem wyglądał jak parking pod sklepem. Do północy zebrało się siedemdzie-

siąt pięć osób, w tym Erie i Aaron Rooney z rodu, do którego należy ogromna wschodnio-teksańska firma budowlana; David i Michael Thornberry, miejscowi posiadacze ziemscy, hodowcy bydła i nacierze, krórze przyjechali ze swoim ojcem, Jonathonem; Slim, Kelvin, Kyle i Wade Al-bright, moi koledzy. Byli też Joe Lord, Andy Magee, Che-eser, Big Roon, mój brat Opie i nasz kumpel Sean, Tray Baker, Lany Firmin, Richard Tanner, Benny Wiley - trener kulturystyki w Texas Tech w Lubbock. Ci wszyscy wielcy, silni kolesie chodzili razem ze mną do podstawówki. Przybył także jeden z lokalnych potentatów budowlanych, Scott Whitehead. Nie znał nas wcześniej, ale chciał tam być. Okazał się olbrzymią podporą dla moich rodziców i do dziś dzwonią do siebie codziennie. Starszy sierżant Daniel pojawił się w mundurze, zapukał do drzwi i zaoferował ojcu pomoc. Nadal przyjeżdża co kilka dni, tylko po to, żeby sprawdzić, jak miewa się moja mama.

Oczywiście był tam też mój brat-bliźniak, Morgan, który na ranczo przyjechał na pełnym gazie i z całej siły zaprzeczał medialnemu faktowi, jakobym zginął. Inny mój brat, Scottie, dojechał jako pierwszy, ale ponieważ nie byliśmy bliźniakami, wiedział tylko ryle, co usłyszał, a nie to, co podpowiada telepatyczne połączenie, jakie łączą bliźnięta. Scottie był prawie tak samo zdruzgotany jak mama.

Ojciec sprawdzał w Internecie czy pojawiają się kolejne szczegóły lub oficjalne oświadczenie dowództwa SEALsów na Hawajach, z głównej Bazy. Znalazł

potwierdzenie informacji o katastrofie MH-47 i grupie czterech SEALsów zaginionych w akcji. Niesrety jedna z hawajskich gazet informowała o śmierci całej naszej czwórki. Wtedy najprawdopodobniej tata uwierzył, że to prawda.

Tuż po 2:00 w nocy na rancho przyjechali SEALsi z Coronado: kapitan John Jones, bosman sztabowy Chris Gothro oraz Teg Gili - jeden z najtwardszych ludzi, jakich znam. Zaraz po nich również z Coronado przybyli: kapitanowie David Duffield, John Owens i Jeremy Franklin.

Kapitan Jose Wynn i kapitan Natan Shoemaker przybyli z Virginia Beach. Technik uzbrojenia Justin Pitman przyjechał z Florydy. Podkreślam, że nie było to zaplanowane i zorganizowane. Oni po prostu przyjechali. Ci obcy ludzie połączyli się z moimi bliskimi w żalu po stracie brata.

Obok mamy i taty przyjmował ich Billy Shelton. Jak to zwykle bywa w przypadku najtwardszych ludzi, to był pierwszy raz, kiedy można było zobaczyć łzy w jego oczach.

Bosman sztabowy Gothro z miejsca oświadczył moim rodzicom, że głównie go obchodzi, co mówią media, dopóki nie wyjdzie oficjalne potwierdzenie śmierci któregoś z nas. Przyznał jednak, że najprawdopodobniej nie wszyscy przeżyliśmy. Wiedział o ostatnim telefonie Mike'a i jego słowach: „Moi chłopcy tu giną”, ale nie było pewności co do faktów. Poprosił mamę, żeby nie traciła nadziei, że dopiero ciało może być dowodem na śmierć Foki.

A po nich przyjechał Morgan i wszystkim po prostu oświadczył, że ja żyję i rym samym zakończył dyskusję. Powiedział, że miał ze mną kontrakt, że czuł moją obecność. Przyznał, że być może jestem ranny, ale z pewnością żywy.

- Niech to szlag, ja wiem, że on żyje - zapewnił. — Wiedziałbym, gdyby było inaczej.

Do tego czasu przed domem zebrało się już 150 osób, a szeryf wystawił strażę wokół całego rancza. Nikt nie mógł dostać się na teren bez kontroli. Wzdłuż długiej drogi prowadzącej do domu stały zaparkowane samochody policji. We wczesnych godzinach porannych kilku funkcjonariuszy zebrało się na podwórzu na modlitwę, prowadzoną przez dwóch kapelanów z Coronado — tak na wszelki wypadek.



Krótko przed 5:00 rano mama otworzyła drzwi porucznikowi Andy Haffele i jego żonie Cristinie.

- Chcielibyśmy pomóc, jeśli to możliwe - powiedział Andy. — Właśnie przyjechaliśmy z Hawajów.

- Z Hawajów! - odrzekła mama. - Przejechaliście pół świata!

- Marcus ocalił mi kiedyś życie - wyjaśnił Andy. — Musiałem przyjechać. Wiem, że jeszcze jest nadzieja.

Nie potrafię opisać jak wiele to wszystko znaczyło dla mojej matki. Miotła się pomiędzy nadzieją i czarną rozpaczą, ale nigdy nie zapomni Andy'ego i Cristiny oraz ich długiej podróży po ro, by wesprzeć ją i resztę rodziny.

Zaczął się od wizyt sąsiadów i przyjaciół, potem pojawili się przedstawiciele służb, a wszystko to naturalnie przerodziło się we wspólne czuwanie. Nikt nie wracał do domu. Po prostu byli tam dzień po dniu, noc po nocy, modląc się o moje ocalenie.

Od tego czasu upłynęło wiele miesięcy, ale kiedy teraz

O tym pomyślę, wypełnia mnie wzruszenie. Tyle miłości, troski i uprzejmości otrzymali moi rodzice. Myślę o tym codziennie i nadal nie wiem, jak inaczej mógłbym wyrazić ogromną wdzięczność, poza zapewnieniem, że drzwi naszego domu są zawsze otwarte dla każdej z tych osób, bez względu na godzinę

i okoliczności, każdego dnia do końca mojego życia.

Tymczasem tam, w przeklętych górach, nieświadomy wielkiego zgromadzenia w domu, słuchałem odległego szmeru strumyka. Zwisając z gałęzi zastanawiałem się, jak dostać się na dół, nie tracąc przy tym życia. Właśnie wtedy mnie postrzelił talibski snajper.

Poczułem żądło pocisku przeszywającego ciało z tyłu w lewej części biodra. Chryste, ale to boli. Naprawdę boli. Uderzenie kuli z AK obróciło mnie i odpadłem od urwiska robiąc przy tym salto w tył. Lądowanie było twarde. Upadłem na twarz, co nie zrobiło dobrze mojemu złamanemu nosowi i otworzyło ranę na czole.

Zacząłem toczyć się szybko w dół stromego urwiska, nie mogąc złapać się niczego po drodze. Talibowie już ostro do mnie strzelali. Wszędzie latały pociski, ze świstem wbijały się w ziemię wokół mnie, rykoszetowały od skał, wrywały korę z pni drzew.

Jezu Chryste, to było jak powrót na Wzgórze Murphy'ego.

Jednak trafić w ruchomy cel jest dużo trudniej niż można przypuszczać. Szczególnie, że zjeżdżałem bardzo

szybko. Bez kontroli śmigałem pomiędzy gałzami i drzewami. Nie mogli mnie trafić.

W końcu zatrzymałem się na poziomym fragmencie zbocza. Moi prześladowcy nie nadążali za mną, bo wystartowałem dużo wcześniej niż oni. Ucieszyłem się, że nic mi się nie stało. Ominąłem wszystkie przeszkody, a ziemia pod mną była dość miękka. Miałem przy sobie karabin, co już zakrawało na cud większy niż Madonna z Lourdes.

Zacząłem czołgać się w kierunku drzew, które mogły dać mi schronienie. Po drodze próbowałem zorientować się w pozycji wroga. Zobaczyłem taliba, który był najbliżej mnie. Po prostu stał i celował we mnie, krzycząc przy tym do pozostałych dwóch, którzy byli gdzieś po prawej. Zanim zdążyłem podjąć jakąkolwiek decyzję, tamci dwaj zaczęli strzelać. Nie mogłem trafić, bo znajdowali się jakieś 100 metrów powyżej, pomiędzy drzewami, które ich skutecznie zasłaniały.

Na nieszczęście nie mogłem też stanąć na nogi, więc dokładne wycelowanie byłoby trudne. Postanowiłem dać sobie spokój i na czworaka poszukać lepszego miejsca na stanowisko strzeleckie. Poruszałem się niezbyt szybko, ale za to w równym tempie. Teren nie był przyjazny. Wszędzie pełno było gór i błotnistych dołów, nie miałem więc łatwo, zwłaszcza, że niewiele mam wspólnego z gepardem.

Za każdym razem, kiedy trafiałem na jedną z takich małych przepaści, rzucałem się naprzód i modliłem o bezpieczne lądowanie. Toczyłem się wiele razy. Cała ta podróż trwała długo, była wyboista i bolesna, ale udało mi się nie dostać znowu kulki w tyłek.

Uciekałem tak, pełzając, tocząc się i spadając przez jakieś czterdzieści pięć minut, cały czas utrzymując dystans do pościgu. Na stromych fragmentach zwiększałem ten dystans, ale potem i tak mnie doganiali. Przez całą drogę rozglądałem się za miejscem, z którego mógłbym strzelać i pozbyć się prześladowców, ale bez powodzenia. Kule świstały, a ja uciekałem. W końcu trafiłem na płaski występ usiany gałzami, za którymi mogłem się schować. Postano-

wielem, że to będzie ostatni bastion Marcusa. Albo ich. Tak albo tak. Chociaż nie wiedziałem jeszcze, jak wielu ich jest.

Pamiętam, że do głowy przyszła mi taka myśl: „Jak, do cholery, Morgan postąpiłby w takiej sytuacji? Co by zrobił?”. Ta myśl dała mi siłę, ogromną siłę mojego, starszego o siedem minut brata. Uznałem, że poczekałby w tym miejscu aż zobaczy białka ich oczu. Żadnego ryzyka. Wczołgałem się za wielki głaz, sprawdziłem magazynek i odbezpieczyłem karabin. Czekałem.

Usłyszałem jak nadchodzą, ale dopiero wtedy, kiedy byli bardzo, ale to bardzo blisko. Nie trzymali się razem, więc zdenerwowałem się, że nie mogę ich policzyć.

Dostrzegłem jednak tropiciela, kolesia, który szukał mnie, ale nie zamierzał zabić. Nie miał broni. Jego zadaniem było zlokalizowanie mnie i przywołanie pozostałych, którzy mieli strzelać. Cwaniaczek.

Tak właśnie postępują Afgańczycy. Sharmak był znakomitym organizatorem. Jeden człowiek niesie wodę, inny zapasową amunicję, a strzelcy nie marnują czasu na przeszukiwanie terenu, bo mają od tego specjalistę.

Ten profesjonalista nie miał większych problemów z namierzaniem mnie, ponieważ zostawiałem ślady. Ryłem glebę i jak ranny byk, krwawiłem z czoła i uda wprost na kamienie.

Z karabinem już podniesionym do strzału ostrożnie wychyliłem się zza mojej skały i zobaczyłem tropiciela tuż przed sobą, w odległości trzech metrów. On mnie nie dostrzegł.

Strzeliłem. Padł jak długi. Siła pocisku rzuciła go na plecy, a z klatki piersiowej trysnęła fontanna krwi. Przypuszczam, że trafiłem go prosto w serce. Usłyszałem uderzenie ciała o ziemię, ale w tym samym momencie za plecami usłyszałem kroki jednego ze ścigających mnie strzelców. Odwróciłem się i zobaczyłem, że jest ich dwóch, tuż nade mną, pomiędzy skałami. Szukali. Na reakcję miałem tylko ułamek sekundy, bo obaj już na mnie wychodzili z karabinami podniesionymi do strzału.

Kurwa! Mogłem trafić jednego, ale nie obu na raz.

Wybrałem granat. Wyrwałem zawleczkę i rzuciłem prosto w nich. Strzelili kilka razy, ale nie zdążyli mnie trafić, zanim schowałem się za skałą. To było bardzo bliskie

spotkanie, dzieliło nas nie więcej niż półtora metra. Błagałem Boga, żeby mój granat wybuchł. I wybuchł, rozrywając tych dwóch Afgańczyków na strzępy i wyrzucając w powietrze masę kamyków i obłoki piachu. A ja? Trzymałem głowę nisko z nadzieją, że nie będzie ich więcej.

Mniej więcej w tym czasie zaczynałem już tracić przytomność, nie tyle od huku eksplozji granatu, ale z powodu ogólnej sytuacji. Wszystko na raz zaczęło mnie rozkładać na dobre. Leżałem, czekając aż opadnie chmura odłamków i czułem się coraz bardziej rozwalony, odurzony, niepewny siebie i roztrzęsiony. Spędziłem jeszcze kilka minut za skałą, po czym wypelzłem, żeby zobaczyć czy w pobliżu nie ma więcej talibów. Nie było ani jednego.

Naturalnie musiałem wynieść się z tego miejsca, bo huk eksplozji z pewnością zwrócił czyjąś uwagę. Posiedziałem jeszcze kilka minut, rozkoszując się ciszą i kontemplując sytuację. Doszedłem do wniosku, że potrzebuję na nowo nauczyć się walczyć — walczyć nie jak SEALs, ale jak podstępny afgański góral. Jeśli chciałem przeżyć.

Ostatnie pół godziny nauczyło mnie kilku bezcennych rzeczy, głównie umiejętności walki w pojedynkę, co zaprzeczało wszystkiemu, czego uczyłem się wcześniej. SEALsi, jak już teraz wiecie, walczą tylko w grupach liczących czterech, a czasem dziesięciu czy nawet dwudziestu ludzi, ale zawsze jako jednostka. Wszyscy według jednej strategii. Zawsze instynktownie osłaniamy jeden drugiego, wypełniamy luki w szeregach albo torujemy sobie nawzajem drogę. To właśnie sprawia, że jesteśmy świetni.

Ale tam, kiedy byłem sam i w dodatku ścigany - to była zupełnie inna gra. Po pierwsze musiałem nauczyć się poruszać jak afgański góral, niepostrzeżenie, cichutko, bez zbędnego zamieszania. Oczywiście, uczyliśmy się tego wszystkiego jeszcze w Kalifornii, ale nie w takim stopniu, w jakim teraz wymagała tego ode mnie sytuacja. Nie w obliczu wroga, który był u siebie, wroga, który od urodzenia był bardziej cichy, zwinny i niewidzialny niż my. Czołganie się po okolicy nie było dobrym pomysłem. Potrzebowałem skupić się i przyjąć prawidłową wojskową pozycję zanim rzucę się na moje ofiary. Konieczne

stało się też oszczędzanie amunicji. Musiałem mieć pewność, że zdążę zabić, zanim sam zginę, a przede wszystkim musiałem pozostać niezauważonym i nie zdradzać swojej obecności włączając się po górach jak ranny niedźwiedź.

Postanowiłem, że następnym razem, kiedy będę musiał zmierzyć się z nieprzyjacielem, zrobię to z charakterystyczną dla Fok skutecznością, że zapewnię sobie przewagę wykorzystując element zaskoczenia. Takie bowiem są zasady taktyki dające zwycięstwo w walce, zasady stosowane przez słabszą stronę konfliktu, bezlitosnych bojowników, takich jak mudżahedini, al-Kaida i - od tego momentu - przeze mnie.

Podniosłem się na czworaki. Nasłuchiwałem uważnie, jak niespokojny pies myśliwski, który obracając łeb ustawia nos pod wiatr. Nic. Żadnego dźwięku. Może zrezygnowali albo uznali, że już nie żyję. Tak czy inaczej, wynoszę się stąd.

Z karabinem zatkniętym za pas ruszyłem na zachód, w kierunku wody. Była jeszcze daleko w dole. Wolałem uniknąć ponownego spadania z tej cholernej góry, pozostało mi więc poruszanie się zygzakiem po stromym zboczu.

Straciłem orientację w odległościach, ale miałem wrażenie, że pokonałem już dobre pięć kilometrów, cały czas na czworaka, czasem przystając dla odpoczynku, z modlitwą i nadzieją, zupełnie jak podczas Tygodnia w Piekło. Myślę, że dwa lub trzy razy straciłem na chwilę przytomność, ale w końcu usłyszałem wodospad. W popołudniowym słońcu woda spadała z wysokiej skały do głębokiej niecki, a dalej tworzyła strumień.

Dotarłem jakoś na szczyt wodospadu, którego wysokość wynosiła około sześciu metrów. To był przepiękny widok.

Słońce skrzyło się na powierzchni wody i w liściach drzew rosnących wokół, a w dole rozciągała się kotlina, na której skraju, oddalona o pokora kilometra, mieściła się afgańska wioska.

Po raz pierwszy odkąd tu przybyłem, nikt mnie nie ścigał. Poza szumem wodospadu nie dochodził do mnie żaden dźwięk. W pobliżu nie było żywego ducha i panował całkowity spokój. Usłyszałbym, gdyby ktokolwiek skradał się w pobliżu, możecie mi wierzyć. Pewnie nie poruszałem się jeszcze jak członek górskiego plemienia, ale

słuch miałem już równie dobry.

Od tak długiego czasu brakowało mi wody, że jeszcze pół minuty nie mogło mi zrobić wielkiej różnicy, wyjąłem więc lunetę do karabinu, żeby z tego znakomitego do obserwacji punktu rzucić okiem na wioskę. Z trudem stanąłem na nogi i, lewą ręką trzymając się drzewa, wychyliłem się ponad wodą.

Widoczność była doskonała. Widziałem wioskę, jej wyższe chatki przyklejone do górskiej ściany, niemal wyrastające z niej, najwyraźniej zbudowane rękami sprawnych rzemieślników. Miałem przed oczami obrazek rodem z książeczki dla dzieci, jakby domki czarownic czy coś w tym rodzaju. Chatki z piernika na olbrzymiej cukrowej górze.

Odłożyłem lunetę i, nie mając odwagi spojrzeć na lewą nogę, zrobiłem krok, chcąc znaleźć miejsce, z którego mógłbym ześlizgnąć się na plecach do wody u podnóża wodospadu. W tym momencie po raz pierwszy lewa noga odmówiła mi posłuszeństwa. Być może spowodowała to nowa rana, może brak części mięśni, a może ścięgna były już przesilone. Dość, że noga poddała się, a moje ciało pochyliło się daleko w przód.

Zrobiłem pół obrotu i już spadałem głową w dół, ślizgając się na miękkim podłożu z piachu i łupka, gwałtownie przyspieszając, koziółkując i rozpaczliwie szukając jakiegokolwiek oparcia dla stóp. Przemknąłem tak obok zbiornika u podnóża wodospadu i mknąłem dalej. Nie wiem z jaką prędkością, widziałem tylko, że daleko jeszcze do dna, a ja nie mogłem się zatrzymać.

Przed sobą zobaczyłem drzewko i, mając nadzieję, że uda mi się w ten sposób zwolnić, mijając je chwyciłem cienką, giętą gałąź. Próbowałem przytrzymać się, ale prędkość była zbyt duża, a gałąź sprężynując wyrzuciła mnie w powietrze.

Wylądowałem na plecach i przez krótką chwilę byłem pewien, że nie żyję.

Żywe czy martwe, moje poobijane ciało spadało jeszcze trzysta metrów. Dalej zбочe lekko skręcało, a ja razem z nim. Ślizgałem się jeszcze sto pięćdziesiąt metrów, aż dotarłem mniej więcej do podnóża tej góry. Wylądowałem na piaszczystej hałdzie i poczułem się tak, jakbym wszystkie kości miał połamane. Brakowało mi tchu, krew z rany na czole ściekała po twarzy, a serce przepelniał smutek i żal nad losem.

Prawdopodobnie nie uwierzycie, ale karabin znów leżał tuż obok mnie. I jeszcze raz pragnienie uratowało mi życie. Leżąc na przesiąkniętym krwią piachu w palącym popołudniowym słońcu, przypomniałem sobie o wodzie, która płynęła teraz tuż nade mną. Przynajmniej tyle zauważyłem spadając kilka minut wcześniej.

Wiedziałem, że albo wdrapię się ram z powrotem, albo umrę, chwyciłem więc karabin i rozpocząłem wspinaczkę w kierunku wody, która miała uratować mi życie. Obsunąłem się na piaszczystym fragmencie stoku. Nie dziwię się, jeśli uznaliście mnie za beznadziejnego wspinacza, ale na swoje usprawiedliwienie mam kąt nachylenia zbocza, które było nieprawdopodobnie srrome. Nie pionowe, ale prawie. Nawet prawdziwy profesjonalista podszedłby do tej ściany dopiero z pełnym osprzętem.

Nie mogę się zdecydować czy gorzej mi szła wspinaczka, czy spadanie, tak czy inaczej od wody dzieliło mnie dwieście metrów stromej ściany. Pokonanie tego dystansu zajęło mi dwie godziny. Dwukrotnie na chwilę straciłem przytomność. Kiedy znalazłem się wreszcie na brzegu, zanurzyłem głowę w pierwszej kolejności po to, żeby uwolnić przyklejony do podniebienia język. Następnie obmyłem palącą z bólu twarz, oczyściłem rozcięcie na czole i przystąpiłem do zmywania krwi nagromadzonej z tyłu biodra. Nie mogłem wyczuć czy pocisk nadał tkwi w ciele, czy nie.

Pewne jednak było to, że potrzebowałem wypić bardzo dużo wody, a potem ściągnąć na siebie uwagę naszych wojsk i dostać się do szpitala. W przeciwnym wypadku nie miałbym szans na przetrwanie. Postanowiłem podejść nieco wyżej, do miejsca gdzie woda spływała kaskadą z niewielkiej skały i pod nią wpływała do niewielkiego jeziorka. Pochyliłem głowę i zacząłem pić, a była to najsmaczniejsza woda, jaką kiedykolwiek miałem w ustach.

Już zacząłem rozsmakowywać się w tym luksusie, kiedy nad sobą ujrzałem rzech ludzi, z czego dwóch wyposażonych w kałasznikowy. Przez moment myślałem, że to znowu halucynacja. Przerwałem picie. Pamiętam, że mówiłem coś do siebie, a właściwie tylko mamrorałem na granicy snu i jawy.

Po chwili zorientowałem się, że jeden z nich wykrzykuje do mnie słowa, które

powiniennem rozumieć, ale w stanie w jakim się znajdowałem nie było to możliwe. Jak śmiertelnie ranne zwierzę, byłem gotów walczyć do ostatniej kropli krwi. Nie rozumiałem ani słów, ani przyjaznego gestu ręki. Nie dopuszczałem możliwości istnienia takiego zjawiska jak ludzka serdeczność. Jediną emocją, która mnie poruszała był strach, a ten czaił się wszędzie. Osaczony. Przerażony. Bałem się śmierci i byłem gotów zaatakować każde stworzenie.

Jediną myślą, jaka przyszła mi do głowy było: „Zabiję tych gości... tylko dajcie mi szansę”. Przetoczyłem się i chwyciłem karabin w pozycji gotowej do strzału.

Następnie zacząłem czołgać się pomiędzy skałkami, żeby zyskać czas, zanim kule z kałasznikowów rozedrą mnie i wykończą.

Myślałem, że nie mam wyboru, inaczej ryzykowałbym, że ci goście zabiją mnie, zanim ja zdążę wystrzelić. Mgliście pamiętam, że ten jeden nadal wydzierał się na mnie tak, że prawie odpadła mu głowa. Cokolwiek krzyczał, wydawało mi się nieistotne, ale brzmiało to jak krzyk ojca jednego z wielu Afgańczyków, poległych z ręki członka 10. Zespołu SEALsów, czyli prawdopodobnie z mojej.

W czasie kiedy — powoli i odczuwając przy tym ogromny ból - czołgałem się w kierunku większych głazów, przyszło mi do głowy, że gdyby ci goście naprawdę chcieli mnie zastrzelić, najprawdopodobniej już by to zrobili. W zasadzie mogli to zrobić w każdej chwili. Ale talibowie ścigali mnie zbyt długo i jedynym moim celem była osłona i dobra pozycja do kontrataku.

Odbezpieczyłem karabin i czołgałem się dalej, wprost w zaułek z każdej strony otoczony wielkimi głazami. To było to - ostatni bastion Marcusa. Powoli obróciłem się i spojrzałem wrogowi w oczy. Kłopot w tym, że wróg jakby się rozproszył. Dwaj otaczali mnie z prawej i z lewej, a jeden stał tuż przede mną. „Jezu, mam tylko jeden granat. Mam poważny problem”.

Wtedy zauważyłem, że problem jest jeszcze większy niż myślałem. Nadchodziło kolejnych trzech gości z kała-chami przewieszonymi przez ramię. Oni też się rozproszyli i wspięli nieco wyżej niż leżałem, ale ustawili się za mną. Żaden z nich nie strzelił. Podniosłem karabin i wycelowałem w tego, który krzyczał. Starłem się wystrzelić, ale on szybko schował się za drzewo, celowałem więc w przestrzeń.



Obracałem się na wszystkie strony chcąc namierzyć pozostałych, ale krew ciekąca z rany na czole zasłaniała mi widok. Krew z nogi zabarwiła łupkę pode mną na ciemną czerwień. Nie miałem już pojęcia, co się dzieje, wiedziałem tylko, że walczę i najwyraźniej nie mam szans w tej bitwie. Ta druga trójka krążyła nade mną szybko i z łatwością.

Gość, który schował się za drzewo, wyszedł z ukrycia i nadal do mnie krzyczał, stojąc przy tym z opuszczonym karabinem. Myślałem, że chce, bym się poddał, ale tego też nie mogłem zrobić. Koniecznie jednak potrzebowałem pomocy, bo wykrwawiałem się na śmierć. I wtedy zrobiłem coś, co dotąd było nie do pomyślenia. Opuściłem broń. Poddałem się. Cały mój świat rozpadał się, a ja walczyłem z omdleniem.

Leżałem na ziemi, krwawiłem, nadal kurczowo ściskając karabin, nieruchomo, na swój sposób nieustępliwie, ale nie mogłem już walczyć. Nie miałem już siły, traciłem przytomność, ale jeszcze starałem się zrozumieć to, co ten facet do mnie wykrzykuje.

- Amerykanin! OK! OK!

W końcu do mnie dotarło. Ci ludzie nie chcieli mnie skrzywdzić. Po prostu natknęli się na mnie. Nie ścigali mnie i nie zamierzali upolować. Była to sytuacja, od której całkiem odwykłem przez ostatnie dwa dni. Ale wczorajszy widok pasterzy nadal miałem przed oczami.

-Talibowie? - zapytałem. — Jesteście talibami?

— Nie talibami! - odrzyknął mężczyzna, którego uznałem za przywódcę grupy i przeciągając kantem dłoni po gardle powtórzył: - Nie talibami!

Zinterpretowałem jego gest jako „śmierć talibom”. Z pewnością nie oznaczało to, że są talibami, ani też, że ich lubią. Próbowałem przypomnieć sobie czy pasterze też mówili „Nie talibami” i byłem prawie pewien, że nie. Ten mówił zupełnie inaczej. Byłem jednak zdezorientowany, oszołomiony i niepewny, więc nadal pytałem:

— Talibowie? Talibowie?

- Nie! Nie! Nie! Nie talibowie!

Gdybym był w pełni sił, prawdopodobnie przyjąłbym to do wiadomości już kilka

minut wcześniej, przed „ostatnim bastionem Marcusa” i całym tym zamieszaniem, ale teraz już odpływałem. Zobaczyłem, że przywódca grupki podchodzi do mnie. Uśmiechnął się i przedstawił imieniem Sarawa. Był lekarzem w pobliskiej wiosce i trochę mówił po angielsku. Miał około trzydziestu lat, brodę i wysokie czoło inrelektualisry. Jak na Afgańczyka był dość wysoki. Pamiętam, że pomyślałem, że nie wygląda mi na lekarza ktoś, kto przemyka po górach jak urodzony tropiciel.

A jednak było w nim to coś. Nie wyglądał na członka al-Kaidy. Widziałem wielu talibskich bojowników, a ten nie przypominał żadnego z nich. Na jego twarzy nie było śladu arogancji, a w oczach gniewu. Gdyby nie strój, mógłby śmiało podawać się za wykładowcę w amerykańskim gimnazjum.

Podciągnął swoją białą koszulę, żeby pokazać mi, że nie ma ukrytego pistoletu ani noża. Następnie rozłożył szeroko ramiona, co zrozumiałem jako międzynarodowy gest oznaczający: „Jestem przyjacielem”.

Nie miałem wyboru, musiałem mu zaufać.

- Potrzebuję pomocy - powiedziałem i dodałem słowa, które podkreśliły tylko to, co i tak było oczywiste. - Szpital, woda.

- He? — powiedział Sarawa.

- Woda - powtórzyłem. - Potrzebuję wody.

- He? - powtórzył Sarawa.

- Woda - wrzasnąłem, wskazując przy tym jeziorko.

- A! - wykrzyknął. - Nawadnianie!

Nie mogłem powstrzymać — cokolwiek słabego — śmiechu. Nawadnianie! Kim do cholery był ten zwariowany wieśniak, który znał tylko długie słowa?

Przywołał chłopca, który miał butelkę. Młody poszedł do strumienia i napełnił butelkę świeżą wodą. Przyniósł mi ją, a ja gulgotałem aż wypilem dwie pełne butelki.

- Nawadnianie - powiedział Sarawa.

- Jasne chłopie, nawadnianie - przytaknąłem.

W tym momencie rozpoczęliśmy dyskusję w tym dziwnym języku, który ludzie budują wtedy, kiedy każdy zna tylko kilka słów z języka tego drugiego.

- Jestem ranny - poinformowałem i pokazałem mu ranę postrzałową, która nadal

krwawiła.

Zbadał ją i skinął głową, jakby zrozumiał, że niezwłocznie potrzebuję opieki medycznej. Zastanawiałem się na jak głęboko zakażona jest moja lewa noga. Cały ten brud, błoto i łupek, które ją oblepiały, nie mogły jej dobrze zrobić.

Powiedziałem mu, że ja również jestem lekarzem, myśląc że to może pomóc.

Wiedziałem, że za uktywanie Amerykanina wiosce groziła słona kara ze strony talibów, modliłem się więc, żeby mnie nie zostawili.

Ogromnie żałowałem, że nie mam już przy sobie nic z wyposażenia medycznego, ale straciłem je już wieki wcześniej, na tej samej górze, na której polegli Mikey, Axe i Danny. Jednak Sarawa uwierzył, że jestem lekarzem, chociaż miałem wrażenie, że wie również skąd się tam wzięłem. Używając wielu gestów i kilku słów dał mi znać, że wie o strzelaninie w górach, a przez cały czas wskazywał mnie palcem, jakby chciał potwierdzić, że wie, że brałem w niej udział.

Trzeba przyznać, że plemienny, górski telegraf działał bardzo sprawnie. Nie mieli żadnych środków komunikacji, żadnych telefonów, samochodów, nic. Pasterze wędrujący po górach po prostu przekazywali sobie wiadomości z ust do ust. A przede mną stał Sarawa, który będąc oddalony o całe kilometry od pola birwy, opowiadał o walce człowiekowi, który brał w niej udział.

Poklepał mnie pocieszająco po ramieniu i oddalił się, by naradzić z kolegami, podczas gdy ja rozmawiałem z chłopcem.

Chłopak miał tylko jedno pytanie i całą masę trudności z zadaniem go tak, żeby Amerykanin zrozumiał. W końcu pojąłem coś takiego:

- Czy to ty jesteś tym szaleńcem, który spadł z tamtej góry? Bardzo wysoko. Bardzo szybko. Bardzo śmieszne. Cała wioska cię obserwowała. Śmieszny kawał. Ha! Ha! Ha!

Jezu Chrysre! To znaczy, Mahomecie! Czy... Na Allacha! Czy ktokolwiek panuje nad tą krainą. Ten chłopiec naprawdę urwał się z jakiejś bajki.

Powrócił Sarawa. Podał mi jeszcze trochę wody i ponownie obejrzał ranę. Nie wyglądał na zadowolonego. Jednak do omówienia były ważniejsze rzeczy niż stan mojego tyłka.

Nie zdawałem sobie z tego sprawy, ale decyzja, którą podejmował Sarawa i jego przyjaciele nakładała na nich wielką odpowiedzialność i mogła mieć poważne konsekwencje. Mieli zdecydować, czy przyjąć mnie w wiosce. Czy mają mi pomóc, dać schronienie i karmić. A przede wszystkim, czy stanąć w mojej obronie.

Ci ludzie byli Pasztunami, a większość wojowników walczących pod sztandarem poprzednich władców Afganistanu oraz spora część bojowników al-Kaidy pochodziła z tego starego, surowego plemienia. W Afganistanie żyje prawie trzynaście milionów Pasztunów.

Główny trzon sekty talibów, ci najbardziej zasklepieni w nienawiści do niewiernych wywodzili się właśnie z tego plemienia. Talibowie skrywają się w górach tylko dzięki milczącej zgodzie i poparciu Pasztunów, którzy zapewniają im wsparcie, wyżywienie i schronienie. Te dwie społeczności, bojownicy i górscy wieśniacy, są ze sobą nierozzerwalnie związane. Mudżahedini walczący z Rosjanami również byli głównie Pasztunami.

Pomimo tego, że usłyszałem „Nie talibowie”, zdawałem sobie sprawę z okoliczności. Możliwe, że ci ludzie byli miłującymi pokój wieśniakami, ale plemienne więzy były silne i trwałe. W obliczu rozsierzdzonych talibów żądających głowy uzbrojonego żołnierza amerykańskiego, moje szanse nie warte były nawet jednej kozy.

Jednak było coś, o czym wtedy jeszcze nie wiedziałem. Chodzi o lochaj werkawel, części sztywnego kodeksu Pasztunwali, w której mowa o gościnności. W dosłownym tłumaczeniu lochaj werkawelznaczy „ofiarowanie naczynia”.

Wspomniałem już o tym wcześniej, opisując plemię Pasztunów, ale dopiero w tym momencie mojej opowieści słowa te nabierają znaczenia. Teraz lochaj werkawel pojawia się we właściwym konkreście — kiedy leżę na ziemi wykrwawiając się na śmierć, a wieśniacy decydują o moim losie.

Dla Amerykanina, szczególnie w stanie w jakim byłem ja, idea pomagania osobie rannej czy być może umierającej, wydaje się być oczywista. Po prostu robisz co możesz, żeby pomóc. Dla tych ludzi jednak ta idea oznaczała liczne, uciążliwe konsekwencje. Lochaj oznacza nie tylko ofiarowanie opieki i schronienia, ale również niezłomne przyrzeczenie obrony takiego człowieka, aż do ostatniej kropli

krwi. I to krwi nie tylko przywódca wioski czy głowy rodziny, która się do tego zobowiązuje - całej wioski.

Lochaj oznacza, że cała wioska będzie walczyła do ostatniego mieszkańca, bo honor nakazuje ochraniać człowieka wziętego pod opiekę. Nie jest to temat do rozważenia dopiero wtedy, kiedy sprawy się skomplikują. Nie jest to zasada, którą można by renegeować. To jest absolutnie niepodważalne.

Także kiedy ja leżałem sobie i zastanawiałem się czy te okrutne sukinkoty porzucą mnie tam na pewną śmierć, oni rozważali dużo poważniejszą kwestię. Kwestię życia lub śmierci wielu ludzi. A ich życie nie miało wiele wspólnego z moim. Takie jest Lochaj, dzieciaku, przez wielkie L. Duża sprawa.

Wtedy myślałem, że zastanawiają się czy wpakować mi kulkę w łeb i zaoszczędzić sobie kłopotów. W tamtych chwilach odpływałem, już nie na jawie i jeszcze nie we śnie. Sarawa ciągle przemawiał. Oczywiście, przyszło mi do głowy, że ci ludzie mogą być, podobnie jak wcześniej pasterze, lojalnymi talibom szpiegami. Z łatwością mogą mnie zabrać i wysłać swoich najszybszych posłańców do lokalnych dowódców z wiadomością, że tu jestem. Tamci nogli w każdej chwili przyjść i wykonać egzekucję.

Miałem ogromną nadzieję, że się mylę. Uznałem Sara-wę za miłego człowieka, ale nie wiedziałem przecież, jaki jest naprawdę. Nikt by tego nie odgadł, szczególnie w takiej sytuacji. Niewiele jednak mogłem zrobić, poza być może zastrzeleniem ich wszystkich. Niewielkie też były moje szanse na ucieczkę, skoro nie mogłem się poruszać.

Tak więc czekałem na werdykt. Wciąż zastanawiałem się: „Co zrobiłby Morgan? Czy jest jakieś dobre wyjście z tej sytuacji? Jaka decyzja byłaby poprawna z wojskowego punktu widzenia? Jakie mam opcje?”. Jak sami widzicie miałem tylko jedno wyjście: moją najlepszą strategią przeżycia była próba zaprzyjaźnienia się z Sarawą i jego towarzyszami.

Po mojej głowie krążyły różne myśli. A co z tymi zabitymi w górach? Co, jeśli ci tutaj stracili swoich synów, braci, ojców albo kuzynów w bitwie z SEALsami? Jaki może być ich stosunek do

uzbrojonego, umundurowanego amerykańskiego żołnierza, który w wielu poręczkach kosił Afgańczyków na ich własnej ziemi?

Nie wiedziałem jak odpowiedzieć sobie na te pytania, nie wiedziałem też, co oni myślą, ale wiedziałem, że nie jest dobrze.

Sarawa powrócił. Na jego rozkaz dwaj mężczyźni mieli chwycić mnie, jeden za ramiona, drugi za nogi i unieść nad ziemię.

Kiedy podchodzili, wyjąłem ostatni granat i ostrożnie pociągnąłem zawleczkę, co uruchomiło mechanizm zapłonowy. Trzymając granat w dłoni, przycisnąłem ramię do piersi. Wydawało się, że wieśniacy tego nie zauważyli. Miałem teraz pewność, że jeśli spróbują mnie zlikwidować, związać czy zawołać talibskich morderców, będę mógł rzucić granat na podłogę i przynajmniej zabrać ich wszystkich ze sobą.

Podnieśli mnie. Powoli schodziliśmy do wioski. Jeszcze tego nie wiedziałem, ale właśnie wtedy zaczął się dla mnie pierwszy długi odpoczynek, od czasu Bitwy o Wzgórze Murphy'ego. Ci przyjaźni Pasztunowie przyznali mi lochaj. Zobowiązali się bronić mnie przed talibami dopóty, dopóki ostatni z nich nie zginie.

Rozdział 10 Amerykański zbieg otoczony przez talibów

Na dnie groty znalazłem kawałek krzemienia. Dwie bolesne godziny spędziłem leżąc na lewym boku, żłobiąc w ścianie mojego więzienia cytaty z Hrabiego Monte Christo: „Bóg odda mi sprawiedliwość”.

Sarawa i jego towarzysze nie próbowali nawet odebrać mi karabinu. Na razie.

Trzymałem go jedną ręką, a oni nieśli mnie ostrożnie stromą ścieżką prowadzącą do oddalonej o dwieście metrów wioski Sabray, liczącej około trzystu chat. W drugiej ręce ścisnąłem ostatni granat - bez zawleczki, gotowy, by wysłać nas wszystkich w zaświaty. Było już po 16:00, ale słońce nadal stało wysoko.

Minęliśmy dwie grupki mieszkańców. Każdy wieśniak na widok uzbrojonego, rannego Amerykanina dzierżącego swój karabin, reagował zaskoczeniem.

Zatrzymywali się i gapili. Dwukrotnie zdarzyło mi się skrzyżować spojrzenia z wieśniakami, a w każdym z nich widziałem odbicie jakże dobrze znanego mi wstrętu. Zawsze to samo, błysk jawnej nienawiści do niewiernego.

Nie wiedzieli co się dzieje i wcale mnie to nie zdziwiło. Do cholery, ja też nie

wiedziałem. Dlaczego Sarawa postanowił mi pomóc? Najbardziej niepokojące było to, że Sarawa najwyraźniej płynął pod prąd. To była wioska pełna islamskich fanatyków, którzy Amerykanów chcieli widzieć martwymi. Przecież to tu, w tych górach, gdzie rządzi bezprawie, narodził się plan zniszczenia Twin Towers.

Tak właśnie wtedy sobie myślałem. Nie doceniłem zasadniczej ludzkiej przyzwoitości i moralności starszyny tego plemienia. Sarawa i wielu innych, byli dobrymi

ludźmi, którzy nie mieli zamiaru wyrządzić mi krzywdy i nie zamierzali nikomu innemu pozwolić mnie skrzywdzić. Nie mieli zamiaru zaspokoić rządy krwi niektórych swoich koleżków kryjących się w górach. Chcieli tylko mi pomóc.

Wkrótce miałem dojrzeć na tyle, by to zrozumieć.

Wrogie spojrzenia pasterzy, których spotkaliśmy wchodząc do wioski, nie były odbiciem poglądów większości tutejszych mieszkańców. Idąc ścieżką w dół zbocza doszliśmy do najwyższej chaty wioski Sabray. Mówię „najwyższej”, bo tam chaty zbudowane są jedna nad drugą, wszystkie jakby przyklejone do srromej górskiej ściany. Prosto z drogi można wejść na płaski dach takiej chaty.

Kilka kroków niżej znajdują się drzwi wejściowe. Wnętrze robi wrażenie podziemia, wykutej przez ludzi groty, z klepiskiem zamiast podłogi. Widać w tych budowlach rękę wprawnego rzemieślnika. Schody wykute w skale prowadzą do pomieszczeń na niższym poziomie, jednak lepiej tam nie schodzić - wieśniacy trzymają tu kozy, a gdzie kozy, tam kozi nawóz. Łajno leży dosłownie wszędzie, a jego nieziemski smród przenika cały dom.

Kiedy dorarliśmy do chaty, próbowałem dać im znać, że ponownie potrzebuję wody. Znów umierałem z pragnienia. Sarawa wręczył mi wąż ogrodowy w geście tak wyszukany, jakby to był kryształowy puchar, po czym odkręcił gdzieś kurek. Zawleczkę z powrotem wsadziłem w zapalnik granatu, co w amerykańskim wojsku jest zachowaniem niemile widzianym, po czym schowałem go do kieszeni w uprzęży, którą nadal miałem na sobie.

W ten sposób znów obie ręce miałem wolne. Woda była chłodna i smakowała wyśmienicie. Moi opiekunowie wynieśli z domu i przygotowali dla mnie łóżko,

podnieśli mnie we czterech i ostrożnie ułożyli pod czujnym okiem Sarawy.

Na niebie, wysoko ponad górami, krążyły amerykańskie samoloty bojowe. Wszyscy, poza mną, wskazywali na nie palcami. Ja przyglądałem im się ze smutkiem, zastanawiając się, kiedy po mnie przylecą.

Do tego czasu wokół mojego łóżka zebrali się już wszyscy mieszkańcy wioski i przyglądali się, jak Sarawa zabiera się do pracy. Ostrożnie oczyścił rany na nodze, przy czym przekonaliśmy się, że kula - tak jak przypuszczałem — nie utkwiała w ciele. Sarawa zlokalizował otwór wylotowy. Chryste! Krwawiłem więc w dwóch miejscach. Nic dziwnego, że srraciłem ryle krwi.

Następnie wyjął niewielki przyrząd chirurgiczny, którym zaczął wyciągać z mojej nogi odłamki. Znalezienie i pozbycie się wszystkich odłamków zajęło mu bardzo dużo czasu. Zabieg ten, tak na marginesie, był dla mnie nieopisanie bolesny. Pomimo tego Sarawa kontynuował, po czym ponownie oczyścił rany, nałożył maść odkażającą i zabandażował.

Leżałem. Całkowicie wyczerpany. Wkrótce, myślę, że około 18:00, wnieśli mnie do środka razem z łóżkiem. Dali mi czyste ubranie, co było prawie równie przyjemne jak pierwszy łyk świeżej wody. Dostałem miękki, tradycyjny afgański strój składający się z luźnej koszuli i obszernych spodni. Był tak niesamowicie wygodny, że poczułem się znów jak człowiek. Właściwie dostałem dwa komplety ubrań — biały na dzień i czarny na noc.

Jednak ze zmianą odzieży z amerykańskiego munduru, a właściwie rylko góry, która z niego została, na plemienne ubranie, wiązał się jeden problem. Moje ramię nadal rwało z bólu, więc musieli mi w tym pomóc. Kiedy zobaczyli mój nieco ekstrawagancki tatuaż - połowę trójzębu SEALsów (Morgan miał wytatuowaną drugą połowę) — prawie zemdleli.

Myśleli, że to jakiś plemienny emblemat wojenny, czym właściwie rzeczywiście jest, po czym doszli do wniosku, że mogę być diabłem wcielonym. Musiałem w kółko powtarzać im, że jestem lekarzem, żeby przestali widzieć we mnie tylko wojownika armii USA, noszącego na plecach symbol voodoo, który z pewnością był złem mającym ich wszystkich pochłonać.



Na szczęście udało mi się wygrać tę potyczkę, ale byli bardzo zadowoleni, kiedy założyłem koszulę. Na wszelki wypadek opuścili mi rękawy, tak żeby zasłonić część emblematu widoczną na ramieniu.

Kiedy zaczęli się rozchodzić, uśmiechali się, a ja na czas mojego pobytu w wiosce stałem się doktorem Marcusem.

Poprosiłem jeszcze o wizytę w wygodce na siku, a oni zabrali mnie tam i namówili do przyjęcia tradycyjnej przy tej czynności, afgańskiej pozycji. Przewróciłem się przy tym na plecy, a oni wybuchli niepohamowanym śmiechem.

Kiedy nieśli mnie z powrotem do chaty, nadal chichotali. Nagle zdałem sobie sprawę z tego, że zabrali mi karabin. Zażądałem informacji i dowiedziałem się, że - lochaj czy nie lochaj - musieli go ukryć, bo żaden talib nie uwierzyłby w to, że jestem rannym lekarzem, gdyby zobaczył przy mnie karabin.

Wtedy niewiele z tego zrozumiałem, ale i tak nic nie mogłem zrobić, więc przestałem o rym myśleć. Potem, kiedy już zostawili mnie samego, po prostu leżałem w półmroku dogasającego dnia.

Byłem napojony i zjadłem też trochę tego płaskiego chleba, który wypiekają na całym wschodzie. Podali mi również miskę ciepłego koziego mleka, w którym miałem ten chleb moczyć. Niestety, ta kombinacja była najgorzej smakującym pożywieniem, jakiego kiedykolwiek próbowałem. Prawie zwymiotowałem, poprosiłem więc, żeby zabrali mleko, dodając, że religia mi go zabrania! Musiałem więc jeść ten twardy jak gnat chleb na sucho, ale byłem też przepelniony wdzięcznością i chciałem ją jakoś wyrazić. Do cholery, mogłem przecież umrzeć na tej górze.

Znów zostałem sam. Rozglądałem się wokoło, poznając moje nowe otoczenie.

Podłogę pokrywał gruby, luźno tkany afgański dywan, a pod ścianami oparte stały kolorowe poduchy. Na ścianach wisiały płaskorzeźby, ale żadnych obrazów. Przez szyby w oknach widziałem płaskie dachy innych chat. Ci ludzie byli zdecydowanie uzdolnionymi budowniczymi, zastanawiałem się ryłko, skąd biorą materiały.

W moim pokoju stała też ogromna drewniana skrzynia. W takich skrzyniach, jak się

dowiedziałem, gromadzi się

najcenniejsze przedmioty mieszkańców domu. W tej było ich niewiele, możecie mi wierzyć, ale podzielili się ze mną wszystkim, co mieli.

Dostałem dwa koce, a kiedy zapadła noc, zrozumiałem dlaczego. Nagle temperatura z nieznośnie wysokiej spadła niemal do zera.

W rogu pokoju stał żeliwny piecyk na węgiel, na którym - jak się później okazało - codziennie piekli chleb. Sysrem w wiosce działa tak, że chleb piecze się w dwóch głównych domach i potem rozdaje pozostałym. Leżąc tam pierwszego wieczora, zastanawiałem się kądędy wylatuje dym, skoro nie ma żadnego komina. Niebawem odkryłem, że nigdzie nie wylatuje. Cały dym gromadził się w mojej sypialni.

Zapadłem w półsen. Czuję jeszcze w ranach pulsowanie, ale szczęśliwie nie takie, jakie dają rozwijające się stany zapalne. Brawo, Sarawa!

Drzwi mojej rezydencji były grube, ale niezbyt dobrze dopasowane. Chroniły przed wiatrem i deszczem, ale żeby je otworzyć, człowiek musiał się naszarpać.

Zauważyłem to wcześniej, wiedziałem więc, że nikt nie dostanie się do środka nie budząc mnie przy tym, mogłem zatem spokojnie zasnąć.

Jednak to, co stało się po chwili, kompletnie mnie zaskoczyło. Drzwi bowiem ustąpiły nagle pod naporem silnego kopnięcia i stanęły otworem. Otworzyłem oczy i ujrzałem ośmiu uzbrojonych talibów wpadających do pomieszczenia. Pierwszy od razu podbiegł do mojego posłania i z całej siły wymierzył mi policzek. To mnie rozsierdziło, miał więc chłopak szczęście, że byłem ranny i praktycznie unieruchomiony. Gdybym był w pełni sił, a on tylko by pomyślał o podniesieniu na mnie teki, urwałbym mu głowę. Kutas.

Po wyglądzie poznałem, że to talibowie. Mieli równo ostrzyżone, zadbane brody, czyste zęby, dłonie i ubrania. Byli dobrze odżywieni i mówili łamaną angielszczyzną. Żaden z nich nie był rośli, wszyscy średniego wzrostu, około metr siedemdziesiąt i wszyscy mieli na sobie stare

radzieckie pasy z czerwoną gwiazdą na klamrach. Ubrani byli jak zwykli

Afgańczycy, ale ich kamizelki różniły się kolorami i wzorami. Każdy z nich uzbrojony był w nóż, a za pasem miał zatknięty pistolet. Wszysrko ukradzione

Rosjanom.

W zasięgu rąk nie było niczego, czym mógłbym się bronić. Ani karabinu, ani granatów. Jedynie mój prywatny symbol odwagi, czyli Samotną Gwiazdę Teksasu na ramieniu i piersi. Potrzebowałem tej odwagi, bo te dranie wzięły się za mnie na serio, kopali już moją lewą nogę, tłukli po twarzy i tułowiu.

Nie przejąłem się rym zbytnio. Mogę wytrzymać takie gówno, do tego byłem szkolony. Poza tym ich ciosy nie były silne. W gruncie rzeczy mieli dużo szczęścia, bo w normalnych okolicznościach wyrzuciłbym ich wszystkich, jednego po drugim, przez okno. To, co naprawdę mnie trapiło, to myśl, że mogą mnie zastrzelić albo związać i wywieźć gdzieś, może nawet do Pakistanu, żeby mnie sfilmować i ściąć głowę.

Gdybym zauważył, że szykują się do czegoś takiego, mogłoby się to skończyć źle dla nas wszystkich. Byłem ranny i osłabiony, ale mniej niż po sobie pokazywałem. W głowie układałem plan odwrotu. Pod sufitem, na krokwiach zobaczyłem metrowy, żelazny drąg. Po prostu leżał tam sobie. Czy mógłbym dosięgnąć go, gdybym wstał? Tak.

W sytuacji zagrożenia życia, chwyciłbym ten pręt, wybrałbym najbardziej brutalnego z napastników i przebił go na wylot. Już by nie wstał. Następnie rzuciłbym się na dwóch stojących najbliżej, jednocześnie, używając pręta, zepchnąłbym całą grupę w kąt, zmiażdżył ich razem, tak jak to przewiduje standardowa strategia walki SEALsów. W ten sposób żaden z nich nie mógłby mnie dosięgnąć, dźgnąć nożem ani się wydostać.

Prawdopodobnie musiałbym roztrzaskać kilka czaszek, zanim mógłbym użyć jednego z tych radzieckich pistoletów do wykończenia pozostałych. Dałbym radę? Myślę, że tak. Moi kumple z 10. Zespołu SEALsów byłiby mną bardzo rozczarowani, gdyby mi się to nie udało.

Oprymalna strategia odwrotu zakładała zabicie napastników, przejęcie ich broni i amunicji oraz zabarykadowanie się w pomieszczeniu i czekanie na pojawienie się amerykańskiej grupy ratunkowej.

Plan ten miał jednak słabą stronę. Co stałoby się dalej? Jaki sens miało ujawnienie, że

jednak jestem tym złym SE-ALsem? Dom otoczony był przez talibów, a każdy z nich dzierżył kałacha. Widziałem przecież wchodzących i wychodzących strażników.

Kilku z tych odrażających typów stało tuż pod oknem. Tak czy inaczej, cała wioska Sabray była otoczona przez talibów. Sarawa mówił mi to wcześniej, dlaczego więc zostawili mnie bez straży... chyba, że wiedzieli... chyba, że byli przeszkoleni... chyba, że znalazłem się w rękach uśpionych talibskich bojowników.

Kolesie przy moim łóżku z pewnością byli nimi oficjalnie. Pracowali nade mną ciężko, próbując dowiedzieć się, kim jestem i jak się tu znalazłem, co robią na niebie amerykańskie samoloty, czy Stany Zjednoczone planują atak na nich, kto ma się po mnie zjawić (swoją drogą, dobre pytanie...). Wiedziałem, że dyskrecja będzie teraz moją największą zaletą i bronią, bo zamierzałem przecież pozostać przy życiu i nie wdawać się z gołymi rękami w walkę z uzbrojonymi w noże, a tym bardziej w pistolety, bojownikami.

Powtarzałem w kółko, że jestem lekarzem, że moim jedynym zadaniem jest pomaganie naszym rannym. Skłamałem też potężnie, mówiąc, że nie jestem żołnierzem sił specjalnych, natomiast jestem cukrzykiem i potrzebuję wody.

Zignorowali rękę prośbę. Słabym punktem okazała się moja broda, ponieważ wiedzieli, że amerykańska armia nie zezwala żołnierzom na noszenie bród, ale amerykańskim siłom specjalnym — owszem.

Udało mi się ich przekonać, że muszę wyjść na zewnątrz i tak dali mi tę jedną jedyną okazję do desperackiej ucieczki. Niestety nie mogłem poruszać się wystarczająco szybko, więc zaciągnęli mnie z powrotem do środka, rzucili na klepisko i pobili jeszcze mocniej niż poprzednio. Złama-

li mi kość nadgarstka. Bolało jak cholera i musiałem później przejść dwie operacje, żeby to wyleczyć.

Do tego czasu zapalili trzy latarnie i w pomieszczeniu zrobiło się całkiem jasno.

Kontynuowali przesłuchanie jeszcze przez sześć godzin. Wrzeszczeli i bili, znowu wrzeszczeli, a potem kopali. Powiedzieli mi, że wszyscy moi towarzysze zginęli, że już wszystkim odcięli głowy, a ja będę następny. Powiedzieli, że zestrzelili amerykański helikopter i zabili wszystkich, którzy byli na pokładzie. Byli bardzo

zuchwali, rozwrzeszczani, przechwalali się, że zabijają wszystkich Amerykanów w Afganistanie, a potem jeszcze więcej... „Zabijemy was wszystkich! Śmierć Szatanowi! Śmierć niewiernym!”.

Ze złośliwą satysfakcją przekonywali mnie, że jestem teraz ich najważniejszym niewiernym i że mój koniec jest bliski. Kątem oka spojrzałem na pręta, który być może był moją ostatnią deską ratunku. Ale nie powiedziałem im nic, trzymałem się swojej wersji i powtarzałem, że jestem lekarzem.

W pewnym momencie do pokoju wszedł jeden z wieśniaków, chłopiec w wieku około siedemnastu lat. Byłem pewien, że widziałem go w jednej z dwóch grup, które mijaliśmy wchodząc do wioski. W oczach miał to, co teraz nazywam Spojrzeniem. Tę szyderczą nienawiść do mnie i mojego kraju.

Talibowie pozwolili mu zostać i patrzeć jak mnie kopią, a jemu naprawdę to się podobało. Dało się wyczuć, że uważają go za swojego. Siedział na łóżku i patrzył jak kopią w bandaż na moim biodrze. Był zachwycony. Raz po raz przeciągał dłonią po gardle i śmiał się. „Talibowie, he?... Talibowie!”. Nigdy nie zapomnę jego twarzy, tego uśmiešku, triumfującego spojrzenia. A ja zerkałem w stronę pręta. Dzieciak miał dużo szczęścia.

Porem moi prześladowcy znaleźli celownik laserowy i aparat, i postanowili porobić sobie zdjęcia. Pokazałem im jak używać lasera, żeby zdjęcia się udały, ale pokazałem odwrotnie, tak żeby poświecili sobie laserem w oko.

Grzecznością, na jaką się zdobyłem wobec nich było więc oślepienie prawie wszystkich! Laser od razu wypala dziurę w siatkówce. Przykro mi panowie, taki jest showbiznes.

Zaraz potem, a musiało być już około północy, do pokoju weszła nowa postać w towarzystwie dwóch adiutantów. Wiedziałem, że musi to być ktoś ze starszyny tej wioski. Był to człowiek niewysoki, z brodą i budzący ogromny respekt. Talibowie narychmiast stanęli wyprostowani, a staruszek podszedł do miejsca, w którym leżałem. Ukląkł i podał mi wodę w srebrnej miseczce, chleb, a następnie odwrócił się rwarzą do talibów.

Nie rozumiałem, co mówił, ale później dowiedziałem się, że zabronił im mnie

stamtąd zabierać. Myślę, że wiedzieli o tym już wcześniej, bo w przeciwnym wypadku już by mnie tam nie było. Trudno było nie zauważyć charyzmy w jego głosie. Był to głos cichy, spokojny, stanowczy, a kiedy mówił, nikt się nie odzywał, nikt mu nie przerwał.

Nie odezwali się też, kiedy ten drobny, ale wpływowy człowiek skończył przypominać im o obowiązującym prawie. O Pasztunwali. Wyszedł wyprostowany, jak człowiek, który nie toleruje nieposłuszeństwa. Taka postać od razu rzuca się w oczy, trochę jak instruktor Reno. Chryste! Co powiedziałyby Reno, gdyby mnie teraz zobaczył?

Po odejściu staruszka, około 1:00 w nocy, czyli w sześć godzin po przybyciu, talibowie nagle postanowili odejść. Miałem nadzieję, że bolą ich oczy.

Ich przywódca był szczupły, prawie o głowę wyższy od pozostałych. Wyprowadził ich na zewnątrz, a ja słuchałem ich kroków na drodze prowadzącej z Sabray w stronę gór. Znowu zostałem sam, zakrwawiony i pokiereszowany, ale niezmiernie wdzięczny staruszkowi. Powoli odpływałem w sen, chociaż byłem naprawdę przerażony myślą, że te sukinsyny mogłyby wrócić.

Bum! Znowu odezwały się drzwi. Ze strachu niemal wyskoczyłem z mojej nowej, afgańskiej pidzamy. Wrócili? Na egzekucję? Dam radę wstać i walczyć o życie? Tym razem był to Sarawa, a ja zadałem sobie pytanie, kim on naprawdę jest? Doniósł komuś o mojej obecności? Współpracuje z talibami? Czy po prostu wpadli tu w momencie, kiedy nikogo nie było w pobliżu?

Nadal nie wiedziałem o lochaj. Prawdopodobnie dlatego, że nie umieli wytłumaczyć mi, co to oznacza. Tak czy inaczej nie miałem innego wyjścia, musiałem im zaufać. Był to jedyny sposób na ocalenia życia.

Sarawa, któremu towarzyszyło kilku ludzi, niósł w dłoni niewielką lampkę. W jej nikłym świetle nie tyle widziałem, co raczej wyczułem ich obecność.

Trzej mężczyźni podnieśli mnie z klepiska i skierowali się do drzwi. Na glinianych ścianach rysowały się cienie złowrogich sylwetek w tutbanach, jak w filmie „Arabskie noce”. Wielki Marcus niesiony przez Ali Babę i czterdziestu rozbójników na spotkanie z pieprzonym dzinem. Oczywiście nie wiedziałem, że działali na

wyraźny rozkaz staruszka, który polecił im przenieść mnie w inne miejsce na wypadek, gdyby talibowie postanowili zignorować odwieczne prawa i zabrać mnie siłą.

Kiedy byliśmy już na zewnątrz, zgasili światło i utworzyli formację. Dwóch z nich szło z przodu, jeden z tyłu, a wszyscy byli uzbrojeni w kałasznikowy. Sarawa i dwóch innych niosło mnie. Szliśmy w dół ścieżką, bardzo długo, godzinę, może dwie. Byli niezmordowani, jak Buszmeni czy Beduini.

Później skręciliśmy w ścieżkę prowadzącą do rzeki — przypuszczam, że tej samej, przy której ich spotkałem — i wodospadu. Jako, że swoje ważę, byłem pełen podziwu dla ich siły.

Kiedy doszliśmy do rzeki, zatrzymali się i poprawili uchwyt, po czym weszli prosto do wody i w całkowitym milczeniu przenieśli mnie na drugi brzeg. Noc była ciemna, księżyc za chmurami, poza szumem wody panowała całkowita cisza. Wyszli na brzeg i nie zwalniając nawet kroku zaczęli podchodzić na strome zbocze porośnięte drzewami.

Za dnia było ru pięknie. Nawet teraz, nocą, czuło się tę miękką, ciemnozieloną głuszę, pełną krzewów i paproci.

W końcu dotarliśmy do wylotu głębokiej groty. Położyli mnie na ziemi, a ja próbowałem z nimi porozmawiać, jednak nie widzieli moich gestów i nie rozumieli słów, więc zamilkłem. Udało mi się tylko przekazać Sarawie, że jestem cukrzykiem i muszę mieć przy sobie przez cały czas wodę. Podejrzewam, że utrwalił się we mnie strach przed pragnieniem, a wiedziałem, że w tym stanie nie dotrę sam do rzeki.

Wnieśli mnie do groty i położyli na ziemi. Musiała być już 4:00 nad ranem. Był czwartek, 30 czerwca. Zostawili mnie tam bez jedzenia, ale przynieśli jeszcze naczynie z wodą, właściwie starą butelkę po pepsi - najbardziej śmierdzący kawałek szkła na ziemi. Odniosłem wrażenie, że wcześniej przechowywano w niej kozi mocz, ale było to wszystko, co miałem. Butelka po ściekach, ale woda w środku była czysta.

Obawiałem się, że jeśli przyłożę ją do ust, nabawię się tyfusu, dlatego piłem przechylając butelkę kilka centymetrów nad usrami. Nie miałem jedzenia ani broni, a

Sarawa i jego ludzie zbierali się do wyjścia. Przeraziła mnie myśl, że nigdy już nie wrócą, że postanowili mnie tam porzucić. Sarawa powiedział, że wrócą za pięć minut, ale nie miałem pewności czy mogę mu wierzyć. Po prostu leżałem na skalistym podłożu, w ciemnościach, sam, zmarznięty i niepewny tego, co może mnie jeszcze spotkać.

Tuż przed świtem załamałem się i rozplakałem ze strachu, niezdolny już do stawiania jakiegokolwiek oporu. Myślałem, że dłużej nie wytrzymam. Reno widząc mnie w tym stanie z pewnością kopnęłyby mnie w tyłek. Ale proszę - w prawy pośladek, nie w lewy.

Znów myślałem o Morganie, szaleńczo próbowałem się z nim skontaktować, próbowałem dostroić fale mojego umysłu do jego i błagałem Boga, żeby Morgan je odebrał. Wkrótce zaczęło świtać. Sarawa odszedł dwie godziny temu. Jezu! Zostawili mnie tu na pewną śmierć. Morgan nie wie gdzie jestem, nie wie czy jestem żywy, czy martwy, a chłopaki z jednostki już postawili na mnie krzyżyk.

Mój umysł nadal by tak dryfował, gdyby nie niespodziewany atak afgańskich mrówek, który pochłonął całą moją uwagę. Może i się poddałem, ale miałbym naprawdę przesrane, gdyby na koniec te małe sukinsyny zjadły mnie żywcem. Podniosłem się i zaatakowałem je butelką po pepsi.

Najprawdopodobniej większość padła od samego smrodu, ale zatłukłem ich też wystarczająco dużo, żeby na jakiś czas dały mi spokój. A godziny mijały. Nic.

Żadnych Pasztunów. Ani Sarawy. Nawet talibów. Zacząłem popadać w rozpacz, a tymczasem powróciły mrówki. Nie miałem już siły na zmasowany atak, wybrałem więc wybiórczy tryb likwidowania wroga - butelką pepsi kładłem przywódców.

Na dnie groty znalazłem kawałek krzemienia. Dwie bolesne godziny spędziłem leżąc na lewym boku, żłobiąc w ścianie mojego więzienia cytat z Hrabiego Monte Christo: „Bóg odda mi sprawiedliwość”.

Nie byłem pewien czy nadal w to wierzę. Długo już nie miałem z Nim kontaktu, ale nadal byłem żywy. Ledwo. A może pomoc już nadchodzi? Jego wyroki są całkowicie nieprzeniknione. Jednak karabin już mnie opuścił, tak jak i większość zapasów nadziei.



Znów zacząłem odpływać w sen, kiedy — około 8:00 - grota jakby ożyła.

Usłyszałem dźwięki kozich dzwoneczków, które dobiegały gdzieś z góry. Kiedy na głowę posypały mi się kamyki i piach, zrozumiałem, że grota nie ma sklepienia. Nad głową miałem niebo. Słyszałem kopytka kóz stukające gdzieś tam na górze, a na głowę sypał mi się piach.

Z jednej strony dobrze, bo pochował mrówki, ale z drugiej - dostawał mi się do oczu, więc położyłem się na brzuchu i zakryłem powieki dłońmi. Prawy nadgarstek nadal rwał jak diabli po kolbie talibskiego karabinu. Nagle z przerażeniem stwierdziłem, że zza skały po mojej lewej wyłania się lufa kałacha. Nie miałem gdzie się schować, ani ukryć, a już z całą pewnością nie miałem czym się bronić.

Najpierw pojawiła się lufa, za nią reszta karabinu, dalej ręce i w końcu twarz - twarz jednego z moich znajomych z Sabray, uśmiechnięta radośnie. Byłem w takim szoku, że nawet nie mogłem zmusić się do zwymyślenia go od pieprzonych głupków, co z pewnością mu się należało. Przyniósł mi chleb i to ohydne kozie mleko, a także napełnił butelkę wodą. Tę samą butelkę, śmierdzącą szczynami.

Pół godziny po nim zjawił się Sarawa, pięć godzin po tym jak obiecał, że za pięć minur. Obejrzał moją ranę postrzałową i podał mi wodę. Przed drzwiami groty ustawił strażnika, trzydziestoletniego, chudego jak oni wszyscy i brodatego. Strażnik usiadł na skale nieco powyżej wejścia do groty, a swój AK-47 przewiesił przez ramię. Przysypiałem leżąc na ziemi, a za każdym razem, kiedy otwierałem oczy, wychylałem się żeby sprawdzić czy strażnik nadal jest na swoim miejscu. Miał na imię Norza-mund. Kiedy na niego spoglądałem, on uśmiechał się przyjaźnie i machał do mnie ręką. Nie mogliśmy porozmawiać, bo żaden z nas nie znał słowa w języku drugiego. Raz zszedł z posterunku, żeby napełnić moją butelkę. Próbowałem go namówić, żeby dał mi się napić z jego butelki. Bez szans.

Uniosłem więc wstrętą butelkę pepsi i wlałem sobie wodę prosro do ust, po czym rzuciłem butelkę w kąt. Kiedy następnym razem Norzamund szedł po wodę, znalazł ją i znów napełnił.

Późnym popołudniem zostałem sam. Pasterze kóz dwukrotnie przeszli nieopodal. Nie machali do mnie, nie sta-rali się nawiązać kontaktu, ale też nie zdradzili mojej

kryjówki. Gdyby stało się inaczej, nie mógłbym teraz opowiadać tej historii. Do dziś nie mam pewności czy lochaj obejmuje ludzi przebywających poza wioską.

Norzamund zostawił mi trochę świeżego chleba, za co byłem mu wdzięczny. Wrócił do wioski krótko po zmroku i przez następne kilka godzin nikt się nie pojawił.

Staralem się zachować spokój i rozsądek. Wyglądało bowiem na to, że Sarawa i jego ludzie naprawdę zamierzają mnie

oszczędzić. Nawet staruszek wyraźnie był po mojej stronie. Na marginesie, nie było to nagrodą za mój urok osobisty. Po prostu tak działa lochaj.

Siedziałem samotnie przez cały długi wieczór i noc. Z 30 czerwca zrobił się 1 lipca - patrzyłem na zegarek, żeby wiedzieć dokładnie, kiedy mija północ. Staralem się nie myśleć o domu, rodzicach, nie poddawać się zwątpieniu. Wiedziałem jednak, że w domu, w Teksasie jest około 15:00 i zastanawiałem się, czy ktokolwiek tam ma pojęcie w jak straszne popadłem tarapaty i jak bardzo potrzebuję pomocy.

\* \* \*

Skąd mogłem wiedzieć, że właśnie wtedy na ranczu zebrało się już ponad 200 osób.

Wyglądało na to, że wszyscy czekali aż beznadziejna sytuacja obróci się na dobre, jakby modlitwy za mnie mogły w czymś pomóc, a ich obecność uchronić mnie przed śmiercią. Jakby wierzyli, że jeśli będą trzymali się razem w jednym miejscu, nikt nie ośmieli się obwieścić, że zginąłem podczas akcji.

Mama mówi, że była wtedy świadkiem cudu. Ona i tata każdej z osób obecnych na ranczu podawali trzy posiłki dziennie, chociaż nie wiedziała skąd brało się tyle jedzenia. Ale pojawiała się: wielkie ciężarówki od dwóch lokalnych dystrybutorów żywności przywoziły sreki i kurczaki dla wszystkich. Za każdym razem 200 porcji, a wszystko za darmo. Miejscowe restauracje dostarczały jedzenie ciężarówkami - owoce morza, makarony, hamburgery. Chińskie dania dla pięćdziesięciu osób, potem dla sześćdziesięciu. Jaja, kiełbaski, szynka, bekon. Tata mówi, że grille dymiły bez przerwy.

Wszyscy pomagali. Rodzina Herzogów, właściciele ogromnego rancza hodowlanego, ludzie bardzo religijni, patrioci - zawsze gotowi pomóc przyjacielom w potrzebie. Pani Herzzogg przyjechała z córkami i bez słowa zabrały się do

sprzężania. Robiły tak każdego dnia.

Kapelani Marynarki Wojennej namawiali wszystkich do recytowania Psalmu 23, tego, który i ja powtarzałem, a w czasie nabożeństw organizowanych na wolnym powietrzu wszyscy wspólnie śpiewali hymn marynarki:

Ojciec wiekuisty, który masz moc zbawiania, Którego dłonie powstrzymują morskie falowanie, Który władasz potężną głębią oceanów, Ukształtujesz wszystko według swoich planów.

Za każdym razem kończyli specjalną strofą, przeznaczoną wyłącznie dla Navy SEALs, hymnem SPECWARCOM:

Ojciec wiekuisty, wierny przyjacielu, Zważ na wysłanych przez nas wielu Naszych braci, którzy w warunkach skrajnych Biorą udział na całym świecie w misjach tajnych. Usłysz modlitwę, którą zanosimy do Ciebie Za SEALsów na lądzie, na wodzie i na niebie.

Ludzie sypiali gdzie i kiedy ryłko mogli. Mamy na ranczu duży drewniany dom gościnny, tuż przy bramie wjazdowej i tam się rozmieścili. SEALsi zatrzymali się w domu, spali gdzie się dało: na łóżkach, na sofach, w fotelach, gdziekolwiek. Co trzy godziny dzwonił telefon -były to bezpośrednie połączenia z pola walki w Afganistanie. Za każdym razem to samo: „Żadnych wiadomości”. Mama w tych dniach nawet na chwilę nie została sama, ale i tak wychodziła z siebie ze zmartwienia.

Kiedy czerwiec przeszedł już w lipiec, wielu zaczęło tracić wiarę i dopuszczali myśl, że poległem. Poza Morganem, który w to nie wierzył i powtarzał, że ma ze mną mentalne połączenie. Że jestem ranny, ale żyję. Tego był pewien.

SEALsi również ani przez moment nie rozważali takiej ewentualności, że zginąłem. Dla nich wciąż byłem MIA (missing in action) - zaginionym w akcji i tylko w to wierzyli. Tylko taką wersję przyjmowali do wiadomości, dopóki ktoś nie powie im, że jest inaczej. Zupełnie inaczej niż durne stacje telewizyjne, co? W telewizji zawsze sądzą, że wolno im mówić, co im się tylko podoba, prawdę czy nie, nieważne, że u najbliższych spowodują traumę.

\* \* \*

Tymczasem do góry powrócił Norzamund w towarzystwie dwóch ludzi i znów śmiertelnie mnie wystraszył. Był piątek, 1 lipca, około 4:00 nad ranem, a oni nie mieli nawet latarni. Porozumiewali się szeptem i syknięciami, żeby nie zakłócać ciszy. Ponownie podnieśli mnie i zaczęli taszczyć w dół zbocza, w kierunku rzeki. Chciałem wyrzucić po drodze cuchnącą butelkę, ale znaleźli ją i przynieśli z powrotem. Może w Hindukuszu panował deficyt butelek, nie wiem, ale pilnowali tej butelki jak oka w głowie.

Przekroczyliśmy rzekę i skierowaliśmy się w górę, drogą prowadzącą do wioski. Wydawało mi się, że idziemy już bardzo długo i w pewnym momencie włączyłem podświetlenie w zegarku. Na to oni rzucili się na mnie z wściekłością:

- Nie! Nie! Nie! Doktor Marcus! Talibowie! Talibowie!

Nie miałem pojęcia, o co im chodzi. Światelko zegarka było małe i nikłe, ale oni wyraźnie je wskazywali. Szybko pojąłem, że to światelko mogło być zagrożeniem dla nas wszystkich. Przecież wioska Sabray była otoczona przez talibów, tylko czekających na swoją szansę przejęcia mnie lub zabicia. Moi uzbrojeni tragarze też byli Pasztunami i dobrze wiedzieli, że najmniejsze nawet światło było czymś niezwykle w tym nocnym górskim krajobrazie i mogło łatwo przyciągnąć uwagę czujnego srrażnika.

Natychmiast wyłączyłem cholerstwo. Wieśniak, który ze swoim kałachem szedł z przodu, znał trochę angielski. Podszedł do mnie i wyszeprał:

—Talibowie widzą światło, oni zastrzelą cię, Doktor Marcus.

Kiedy weszliśmy na górę, usłyszałem słowo: helikopter. Pomyślałem, że może ktoś leci mi na pomoc, ale był to fałszywy alarm. Nikt nie przyleciał. Rozciągnąłem się na skale, a niedługo przed świtem przyszedł Sarawa ze swoją torbą lekarską i zajął się moją nogą. Usunął przesiąknięte krwią bandaże, przemył rany, nałożył maść odkażającą i nowy opatrunek. Po czym, ku mojemu zdumieniu, wstrzyknął mi insulinę - na cukrzycę, której nie miałem.

Może kłamie lepiej niż myślałem. Tak czy inaczej musiałem ją przyjąć. Czego to nie robi się dla ojczyzny. Niewiarygodne, co?

Przenieśli mnie do domu położonego tuż pod górną granicą wioski i tam, niedługo po

przybyciu, poznałem mojego nowego przyjaciela — Mohammeda Gulaba. Miał trzydzieści trzy lata, był synem jednego z przywódców wioski i szefem lokalnej policji. Wszyscy zwracali się do niego Gulab, a jego pozycja w społeczności wioski była bardzo wysoka. Zapewnił mnie, że dopóki on ma tu coś do powiedzenia, talibowie nie ważą się mnie zabrać.

Był niesamowicie sympatycznym człowiekiem i bardzo się zaprzyjaźniliśmy, na tyle na ile pozwalała nam bariera językowa. Przeważnie próbowaliśmy opowiadać o naszych rodzinach, dowiedziałem się więc, że ma żonę, sześcioro dzieci i Bóg wie jak wielu kuzynów i wujków. Przekazanie informacji o moim bracie-bliźniaku było bardzo trudne, poprzestałem więc na rym, że mam brata, bo Gulab zaczynał myśleć, że Morgan to ja. Przez wiele lat mnóstwo ludzi myślało podobnie.

Gulab był tam z przyjacielem, również roślą mężczyzną i najwyraźniej jego zmiennikiem. W ten sposób ani na chwile nie zostawili mnie samego. Teraz wiem dlaczego. Cała wioska przeżywała wstyd i zażenowanie, kiedy talibowie, wbrew woli społeczności, podkradli się uzbrojeni po zęby i przeprowadzali na mnie swoje przesłuchanie. Poważnie narazili się na konsekwencje przewidziane w lochaj, czyli mobilizację całej wioski do walki przeciwko nim w mojej obronie.

Nadal nie pojmowałem wszystkich aspektów tego prawa, ale wiedziałem już jak wielką ma wagę i że nie zostanę oddany talibom bez walki. Teraz już miałem w pokoju ochronę przez całą dobę, choć nie oznaczało to, że nie mogę mieć gości. Pierwszym tego ranka był mały chłopiec, może ośmio- czy dziewięcioletni.

Usiadł na moim posłaniu i próbował nauczyć mnie muzułmańskiej modlitwy: La La e La La — Mohammed del la su La La. Szybko złapałem rytm i powtarzałem razem z nim. Był tak zachwycony, że klaskał, śmiał się i w końcu wypadł z chaty, by przyprowadzić grupkę innych dzieciaków. Gulab próbował mi uświadomić, że powtórzenie tej modlitwy uczyniło ze mnie muzułmanina, a zaraz potem do pokoju z powrotem wpadł chłopiec, za nim jego koledzy i wszyscy chcieli pomodlić się z nowym, teksańskim nawróconym.

Próbowałem wyrłumaczyć im, że jestem lekarzem. Zrozumieli bardzo szybko i zaczęli w kółko powtarzać:

- Halo, doktor Marcus.

Tarzając się przy tym ze śmiechu, tak jak to tylko dzieci potrafią. Poczułem, że naprawdę mnie polubili. Od jednego z chłopców pożyczyłem flamaster i każdemu na ramieniu wypisałem jego imię po angielsku, a potem pozwoliłem, żeby oni napisali mi moje.

Uczyliśmy się nawzajem takich słów jak „ucho”, „nos” i „usta”, a także „woda” (uba) i „chodzić” (ducari), które okazały się bardzo przydatne. Kiedy chłopcy poszli, do chaty przyszli dorośli, by porozmawiać z Gulabem. Za jego namową porozmawiałem trochę z pasterzami kóz, którzy wiedzieli, co dzieje się w okolicy i rozumieli pojęcie „odległość”. Powoli udało mi się ustalić, że w odległości dwóch mil od wioski widzieli niewielką amerykańską bazę.

Pokazywali przez okno prosto na górę, która dla mnie wyglądała trochę jak fragment Gór Skalistych. Olbrzymia granitowa skała, z którą nawet kozica mogłaby mieć kłopoty, wznosiła się wysoko nad wioską.

- Tam, doktor Marcus, daleka strona - jak jeden z nich próbował mi wyjaśnić.

A ja, ponieważ nie mogłbym podejść nawet do okna, nie mówiąc już o górze, odłożyłem plan przedostania się do rzekomej bazy na później.

Wspominali o wiosce Monagee położonej w okręgu Manroga, a ja przypomniałem sobie, że armia amerykańska miała tam posterunek. Niestety, wycieczka nie wchodziła w grę, dopóki stan mojej nogi się nie poprawi. Niemniej pasterze przekazali mi mnóstwo pożytecznych informacji o ukształtowaniu pobliskiego terenu i położeniu wiosek oraz amerykańskich baz. Ci goście zawodowo chodzą po górach, dlatego tak obszerną mają o nich wiedzę. Dla każdego SEALsa na służbie jest to wiedza bezcenna, szczególnie kiedy planuje coś w rodzaju ewakuacji — tak jak to było w moim przypadku.

Z pomocą pasterzy udało mi się ustalić, że od miejsca gdzie rozegraliśmy bitwę i gdzie zginęli moi towarzysze, pokonałem dystans jedenastu kilometrów, w tym sześć pieszo, a pięć na czworaka. Jedenaście kilometrów! Jej! Nie mogłem w to uwierzyć, ale przecież ci pasterze znali te tereny. Wiedzieli też, jak wszyscy wokół, wszystko o Bitwie o Wzgórze Murphy'ego - gdzie się rozegrała i jak wielu talibów w niej

poległo...

— Ty strzelać, doktor Marcus? Ty strzelać?

Ja? Strzelać? Nigdy. Jestem rylko polowym lekarzem, który opiekuje się rannymi. Byłem jednak bardzo dumny z tego, że przebyłem aż jedenaście kilometrów w tak opłakanym stanie.

Wyjąłem długopis i na prawym udzie wyrysowałem mapę gór, szkicowałem wykresy i zaznaczałem odległości. Kiedy zabrakło mi miejsca, musiałem przejść na lewe (cholera! To naprawdę bolało!).

W południe dzieciaki wróciły do mnie na modlitwę, ale tym razem przyprowadziły jeszcze kilku dorosłych, najwyraźniej pragnących poznać nowego nawróconego. Razem wnieśliśmy modły do Allacha, klęcząc - w moim przypadku z bólem - na podłodze. Po modlitwie uścisnęliśmy sobie dłonie, myślę, że na znak, że przyjęli mnie do swojej religijnej wspólnoty. Nigdy im tego nie powiedziałem, ale kiedy klęczeliśmy, krótko zwróciłem się do mojego Boga z prośbą o rychłe odzyskanie karabinu.

O 17:00 wrócili na popołudniową modlitwę, a o zachodzie - na wieczorną. Chłopcy, krórczy jako pierwsi stali się moimi przyjaciółmi, musieli zaraz potem kłaść się do łóżek, więc jeden po drugim podchodzili do mnie i ściskali mnie na dobranoc.

Ponieważ nie nauczyli się jeszcze takich zwrotów jak „Do widzenia” czy „Dobranoc”, powtarzali swoje pierwsze amerykańskie pozdrowienie:

- Hallo, doktor Marcus.

Srarszym dzieciom, tym nastoletnim, pozwolono zostać i porozmawiać ze mną jeszcze przez chwilę. Gulab pomagał nam się porozumieć i rozstawaliśmy się jak przyjaciele. Wtedy już zaczynały się następne kłopoty: poczułem się chory, osłabiony, zupełnie jak podczas grypy, tylko trochę gorzej.

Kiedy dzieci sobie poszły, wizytę złożył mi staruszek, ten który był przywódcą wioski. Przyniósł mi chleb, podał świeżą wodę, po czym usiadł i przez trzy godziny omawialiśmy - najlepiej jak potrafiliśmy - jak mógłbym dostać się do amerykańskiej bazy. Oczywiście było, że dla wioski stanowią nie lada kłopot. Talibowie już grozili i żądali niezwłocznego wydania mnie w ich ręce.

Staruszek wyjaśnił mi to wszystko, ale uznał, że nie jestem w stanie umożliwiającym podróż, zatem lepiej będzie, jeśli ktoś z Pasztunów sam wybierze się pieszo do amerykańskiej bazy w Asadabadzie i poinformuje o mojej obecności w wiosce. Nie miałem pojęcia, że planuje wybrać się tam osobiście. Miał do przebycia jakieś pięćdziesiąt czy sześćdziesięciu kilometrów po beżdroach, przez góry.

Poprosił, abym napisał list, który zabierze do Asadabadu. Napisałem:

„Człowiek, który przynosi ren list, dał mi schronienie i jedzenie, i należy udzielić mu wszelkiej możliwej pomocy, bez względu na koszty”.

W tym momencie miałem jeszcze niejasne wrażenie, że tę podróż mamy odbyć wspólnie, możliwe, że w eskorcie kilku ludzi, którzy również mieliby mnie nieść.

Wymarsz zaplanował na 19:30, czyli zaraz po wieczornej modlitwie.

Oczywiście źle zrozumiałem. Staruszek nie miał zamiaru zabierać mnie w tę podróż, słusznie uważając, że byłbym

o wiele większym kłopotem w górach niż leżąc w chacie. Poza tym, gdyby talibowie dowiedzieli się, że wyruszyliśmy razem, byłibyśmy narażeni na zasadzki. Nigdy więcej już nie zobaczyłem staruszka i nie miałem okazji mu podziękować.

Całe popołudnie i pół nocy czekałem aż przyjdzie

1 mnie zabierze, ale nie pojawił się. Pamiętam, że byłem bardzo rozczarowany, nie po raz pierwszy, że plan mojej ewakuacji nie doszedł do skutku.

Jeszcze wieczorem do mojego pokoju weszło kilku starszych wioski i odbyli naradę. Zwyczajnie usiedli na podłodze i rozmawiali. Przynieśli mi tę małą srebrną miseczkę, którą dostałem, kiedy byłem jeszcze w tej pierwszej chacie. Kilkakrotnie nalewali mi herbaty, którą zazwyczaj piją i, jak sędzę, uprawiają na niewielką skalę. Do herbaty podaje się słodycze, a smakowały mi wtedy bosko po przymusowej diecie złożonej z bardzo, ale to bardzo suchego chleba.

Gulab był przy mnie, pogodny jak zawsze, ale nie chciał i chyba nie mógł ujawnić mi informacji o swoim ojcu ani jego planów. Myślę, że starszyzna wioski uważała, że lepiej będzie, jeśli nie będę wiedział zbyt wiele — zastrzeżone, jak to u Pasztunów, do użytku wewnętrznego etc. Wiedza o planach starszyzny dostępna była tylko dla tych, którzy musieli ją posiadać. Zdażyłem już przyzwyczać do działania poza



kręgiem, poza wszystkimi cholernymi kręgami.

Przez większą część wieczoru Gulab starał się wytłumaczyć mi skomplikowane więzy, jakie łączą plemiona Pasztunów z al-Kaidą, która współpracowała ściśle z armią ta-

libów. Armia Stanów Zjednoczonych od czterech lat usiłowała wykurzyć ich wszystkich z Afganistanu, ale bez większych sukcesów.

Wydaje się, że bojownicy dżihadu wykorzystują lojalność plemienną, być może używając do tego szerokiego spektrum technik podobnych do tych używanych przez mafie - czasem prezentów, innym razem pieniędzy, obietnic ochrony, a czasem wręcz gróźb. Prawda jest jednak taka, że ani al-Kaida, ani talibowie nie mogliby działać bez współpracy z pasztuńskimi wioskami.

Często w tych małych społecznościach funkcjonują dawne więzy rodowe, a młodzi ludzie sympatyzują z wojowniczą mentalnością talibów i przywódców al-Kaidy. Dzieciaki ledwo po podstawówce (to żart, oczywiście tam nie ma szkół), wciągani są w szeregi morderców, kuszeni romantyczną wizją walki z amerykańską armią do ostatniego jej żołnierza.

Myślę, że dla niektórych chłopców w takiej misji jest coś niesłychanie atrakcyjnego. W każdej wiosce można sporkać potencjalnych rekrutów do talibskiej armii.

Widziałem dziesiątki takich chłopców, zbyt młodych, by mogli pomieścić w sercach i umysłach aż tyle nienawiści i żądzy mordy. Chryste, jeden z tych małych sukinkotów siedział na moim łóżku, podżegając uzbrojonych dorosłych mężczyzn do torturowania mnie. Nie mógł mieć więcej niż siedemnaście lat.

Jest jeszcze druga strona tego medalu. Sarawa najwyraźniej działał pod mądrym przywództwem ojca Gulaba. Istnieje więc prawo, porządek i dyscyplina w tym kraju bezprawia. Al-Kaida skutecznie przejęła sporą część prowincji Kunar, która wtedy była moim domem przez prawie trzy miesiące. Zajęli ją głównie z powodu korzystnego ukształtowania terenu.

Zastanawiam się, jak do cholery można stworzyć rząd w takim miejscu? Żadnych dróg, elektryczności, poczty, komunikacji. Główne gałęzie przemysłu to produkcja koziego mleka i uprawa maku na opium. Najwięk-

sze przedsiębiorstwo wodociągowe ro górskie strumienie, a przewoźnikiem towarów jest wóz ciągnięty przez muła, przeważnie wyładowany opium. Utopia. To się nigdy nie zdarzy.

Al-Kaida krąży po okolicy w świetle dnia, robi co chce, chyba że pojawiają się my i ścigamy ich do granicy z Pakistanem, bo dalej nie możemy. Oni tam się zatrzymują i dziesięć minut później ruszają na kolejny wypad w afgariskie góry, od wieków zamieszkane przez ich przodków.

Obecnie częściej stosują metodę kija niż marchewki. Talibowie są bezwzględną ekipą, opanowaną instynktem zabijania wrogów, który to instynkt wywodzi się z dwóch tysięcy lat tradycji. Teoretycznie już dawno powinno im się udać zastraszyć mojego kumpla Gulaba i jego ojca, ale — jak zauważyłem — tak się nie stało. Myślę, że na swój sposób ci ludzie są niezłomni, nawykli do kierowania się odwiecznym prawem Pasztunów - prawem, które może jeszcze okazać się zbyt mocne jak na możliwości talibów i al-Kaidy.

Jednak z perspektywy mojego zadymionego salonu w jednej z chat w Sabray i rozmów z miejscowym policjantem, sprawy wyglądały inaczej. Jasne było, że dopóki USA nie zaangażuje naprawdę poważnej siły do popierania lokalnego rządu demokratycznego, nie zajdą żadne poważniejsze zmiany. Na drodze do zwycięstwa wróg jest gotowy na wszelkie działania, w tym na terroryzowanie własnych ludzi, jeśli będzie to konieczne. Ucieknie się do barbarzyńskiego postępowania z nieprzyjacielem, w tym do ucinania głów i szlachtowania.

Nam nie wolno walczyć z nimi z zastosowaniem takich metod i nie chcielibyśmy tego. Jednak moglibyśmy być bardziej bezwzględni, gdybyśmy nie musieli martwić się o to, czy cała reszta świata nadal będzie nas lubiła. Gdybyśmy mogli sobie na to pozwolić, prawdopodobnie wygralibyśmy i w Afganistanie, i w Iraku w ciągu tygodnia.

Niestety, nie możemy tego zrobić. Myślę, że nie możemy pozwolić amerykańskim liberałom kwiczeć i piszczeć na nas, aż poniesiemy totalną klęskę. Tak należy nazwać sytuację, kiedy spakujemy się i wyjedziemy do domu, gdy uznamy wreszcie, że wojna prowadzona

„cywilizowanymi” metodami nie może być dla nas wojną wygraną.

Jesreśmy twardsi, lepiej wyszkoleni, lepiej zorganizowani i wyposażeni, mamy dostęp do arsenału, którym można pokonać każdego i wszystko. Siły zbrojne USA są najporęźniejszą armią jaką widział świat, a nadal dajemy się kopać po tyłkach przez wyjętych spod prawa bandziorów, którzy powinni zostać wyeliminowani.

Popatrzcie na mnie i moją opowieść. Bezsilny, torturowany, ranny, wysadzony w powietrze, wszyscy moi towarzysze polegli - a wszystko to dlatego, że baliśmy się liberałów, baliśmy się do tego stopnia, że nie zrobiliśmy tego co konieczne, by ratować własne życie. Baliśmy się amerykańskich prawników. Mam tylko jedną radę: jeśli nie chcecie żeby na wojnie coś poszło nie tak, żeby nie ginęli niewłaściwi ludzie — trzymajcie się z daleka od konfliktu i nie włączcie w niego.

Bo tak się dzieje na wojnie. Od początku świata. Koszmarna niesprawiedliwość, zabijanie ludzi, którzy na to nie zasłużyli — tak jest wojna. Nie możecie się z tym pogodzić - nie wywołujcie wojen.

Tymczasem ja utknąłem w chacie, czekając na starszka, a on był już kilometry od wioski, szedł przez góry do Asadabadu. Raz, kiedy nikt nie patrzył, udało mi się wymknąć na zewnątrz. Chciałem go odszukać, ale nigdzie go nie było. Nawet wtedy nie pomyślałem, że starszy człowiek mógł pójść do Asadabadu sam.

Miałem niejasne wrażenie, że ludzie wokół mnie są czymś podenerwowani. Między 22:00 a 23:00 ruszyliśmy się. Przynieśli mi świeżą wodę i chleb, które z wdzięcznością spożyłem, po czym kazali mi się pakować i wyjść na zewnątrz. Noga była już w lepszym stanie i, pomimo że nadal odczuwałem ból, z niewielką pomocą mogłem już chodzić.

W ciemnościach przeszliśmy kawałek dróżką w dół wioski i weszliśmy bezpośrednio na dach jednej z chat. Było nas trzech. Mieliśmy coś w rodzaju kapy, na której położyliśmy się blisko siebie, dla zachowania ciepła. Noc była bardzo zimna, myślę więc, że pozostanie w poprzednim miejscu uważali za niebezpieczne. Może obawiali się czyjejs obecności w wiosce, może bali się, że ktoś doniósł talibom, gdzie jestem. Cokolwiek to było, ci ludzie byli bardzo ostrożni. Gdyby talibowie wpadli do domu, który opuściliśmy, nie znaleźliby swojej ofiary.

Leżałem na jakimś dachu, przytulony do Gulaba i jego kolegi, zmarznięty na kość, ale bezpieczny. Ponownie zaskoczyła mnie ta głęboka górską cisza. Cała wioska pogrążona była w całkowitej ciszy, znikąd nie dochodził żaden szmer. Dla człowieka zachodu to niewyobrażalne. Może między innymi dlatego nikt nigdy nie podbił wyżyn i gór Afganistanu.

Budziłem się i znów zapadałem w sen, aż do świtu. Raz odważyłem się zmienić ułożenie ciała, co spowodowało gwałtowną reakcję moich nowych przyjaciół:

- Szszsz... Doktor Marcus... Cicho.

Pojąłem, jak bardzo obawiają się cichych zabójców z ta-libskiej armii.

O świcie spakowaliśmy się i wróciliśmy do chaty. Chciałem jeszcze pospać, ale tuż przed domem rosło olbrzymie drzewo, na którym mieszkał najbardziej wrzaskliwy kogut na świecie. Skubany, zdołałby obudzić cały cmentarz.

Nie przejmował się świrem, pierwszymi promieniami słońca, ani innymi takimi głupotami. Jeśli miał ochotę, zaczynał pisać tuż po północy i nie przestawał do rana.

Bywało tak, że gdybym miał wybierać pomiędzy zastrzeleniem Sharmaka lub koguta - oszczędziłbym Sharmaka.

Okolo 7:00 starsi wioski przyszli do mojego pokoju na poranną modlitwę. Naturalnie dołączyłem do nich, recytując fragmenty, których się nauczyłem. Gdy dorośli wyszli, drzwi otworzyły się na oścież i do pokoju wpadła gromada dzieciaków krzycząc: „Halo! Doktor Marcus!”.

Nigdy nie pukały. Po prostu wpadały do środka, obejmowały mnie i ścisnęły. Tak razem spędziliśmy cały dzień. Sarawa pozostawił w moim pokoju swoją torbę lekarską, więc opatrywałem dzieciakom skaleczenia i zadrapania, a one uczyły mnie słówek w ich języku. Te dzieci były wspaniałe. Nigdy ich nie zapomnę.

Była już sobota, 2 lipca. Nadal byłem obolały - ramię, plecy i noga rwały nieznośnie. Gulab o rym wiedział. Przysłał do mnie starszego człowieka, mieszkańca wioski, który przyniósł ze sobą plastikowy woreczek wypełniony opium. Wyglądało jak zielonkawe surowe ciasto. Podał mi woreczek, a ja urwałem kawałek, włożyłem do ust i czekałem.

To był cud. Ból powoli mijał, a w końcu zniknął całkowicie. Po raz pierwszy w życiu

spróbowałem narkotyku i bardzo mi się ro spodobało. Opium przywróciło mnie do życia, uwolniło od bólu. Nie czułem się tak dobrze od czasu, kiedy rozpętało się to całe piekło. Najpierw muzułmańskie modły, teraz zachwyty nad lokalnym narkotykiem - powoli stawałem się afgańskim wieśniakiem. Uu-ja, Gulab!

Starszy człowiek zostawił mi woreczek z opium, króre pomagało mi przetrwać kolejne godziny. Jeśli przez wiele dni odczuwasz palący ból, ulga jesr nieopisanie cudownym uczuciem. Po raz pierwszy doceniłem siłę narkotyku, który oczywiście jest jedną z substancji podawanych przez talibów i al-Kaidę zamachowcom-samobójcom zanim ci siebie i wszystkich wokół odeślą w zaświaty.

Nie ma nic bohaterskiego w ich czynach. W większości przypadków są to głupie dzieciaki z wypranymi mózгами, odurzone do nieprzytomności.

Zobaczyłem, że nad wioską krążą amerykańskie helikoptery: Black Hawk 60 i MH-47. Najwyraźniej czegoś szukały. Miałem nadzieję, że mnie. Od talibów dowiedziałem się, że jeden z naszych helikopterów spadł, ale nie miałem pojęcia ani kto był na jego pokładzie, ani że zginęło ośmiu moich kolegów z Plutonu Alfa, w tym Shane Patton, James Suh i Dan Healy.

Nie miałem również pojęcia o tym, że ciała Mike'a, Danny'ego i Axe'a nie zostały jeszcze odnalezione, a helikoptery krążyły nad okolicą w poszukiwaniu czterech członków grupy, która wyruszyła na nieszczęsną operację Czerwone Skrzydło. Załogi nie wiedziały czy którykolwiek z nas przeżył, czy nie. Media w Stanach wahały się pomiędzy „polegli” a „zaginęli” - podejrzewam, że w zależności od tego, co danego dnia uznawały za bardziej sensacyjną wersję. Nikomu we wschodnim Teksasie nie pomagały, to pewne.

Tak czy inaczej, kiedy zobaczyłem helikoptery, wybiegłem na zewnątrz. Zdjąłem koszulę i zacząłem wymachiwać nią nad głową krzycząc:

- Chłopaki, tu jestem! Tutaj jestem. To ja, Marcus! Tutaj, chłopcy!

Ale oni odlecieli, zostawiając mnie samotnego przed domem. Założyłem z powrotem koszulę i znów zastanawiałem się, czy ktokolwiek kiedykolwiek przyleci mi na ratunek.

Dopiero po dłuższym czasie zrozumiałem dylemat amerykańskiej armii. Czterech

SEALsów walczących o życie w ostatnim meldunku poinformowało o stratach w ludziach. Od tamtego momentu nie dostali od nas żadnego sygnału.

Z wojskowego punktu widzenia było kilka możliwych scenariuszy. Pierwszy zakładał, że wszyscy zginęliśmy Drugi, że wszyscy nadal żyjemy. Trzeci, że ocalał przynajmniej jeden z nas i że ci, którzy ocaleli, prawdopodobnie ranni, są gdzieś w stromych górach, gdzie nie ma prawie żadnego miejsca, w którym samolot mógłby bezpiecznie wylądować.

Myślę, że ostatni scenariusz zakładałby możliwość, że zostaliśmy uwięzieni, a za jakiś czas pojawi się żądanie gigantycznego okupu lub nagranie ukazujące uwięzionych i ich egzekucję.

Ostatnia opcja raczej nie wchodziła w grę, skoro zaginionymi byli Navy SEALs. My nie mamy w zwyczaju dawać się schwytać. Albo my zabijamy wroga, albo wróg zabija nas. Foki nie podnoszą rąk do góry i nie wymachują białymi flagami. Kropka. Dowództwo w Asadabadzie i Bagram zdawało sobie z tego sprawę.

Nie spodziewali się, że talibowie przyślą wiadomość o schwytych SEALsach. Jest takie stare motto Fok: „Nigdy nie uważaj nurka za martwego, dopóki nie znajdziesz jego ciała”. Wszyscy je znają.

Najbardziej prawdopodobnym scenariuszem - poza tym, że wszyscy zginęliśmy - był ten, w którym jeden lub więcej uczestników Czerwonego Skrzydła przeżyło.

Jesteśmy ranni, nie mamy radiostacji i nie możemy skontaktować się z bazą.

Problemem było zlokalizowanie nas. Gdzie jesteśmy? Gdzie nas szukać?

Najwyraźniej, skoro talibowie się nie odezwali, nie mieli jeńców. Także SEALsi się nie odzywali. Polegli? Możliwe. Ranni i nadal gdzieś w górach, bez możliwości nawiązania kontaktu? Im więcej dni mijało, tym mniej prawdopodobne.

Gulab powiedział mi, że jego ojciec wyruszył sam pieszo do Asadabadu. Teraz całą moją nadzieję pokładałem w miękkih krokach tego potężnego, choć niewysokiego staruszka.

Rozdział 11 Doniesienia o mojej śmierci

Dosłownie siłą postawił mnie na nogach, a potem... Biegł i zmuszał mnie, bym za

nim nadażał, krzyczał i pokazywał, raz po raz: Talibowie! Talibowie tu są! W wiosce!  
Uciekaj, doktor Marcus, biegnij!

Gulab stał się teraz najważniejszą osobą w moim życiu. Zarządzał bezpieczeństwem, zapewniał mi jedzenie i wodę oraz - jak mi się wydawało - stanowił łącznik pomiędzy nami a jego ojcem wędrującym przez góry do Asadabadu.

Ten afgański policjant nie okazywał żadnych oznak stresu, ale zdradził mi, że wcześniej dostał list od dowódcy talibów. W skierowanym do mieszkańców wioski piśmie talibowie żądali natychmiastowego wydania Amerykanina.

List wystosował oficer armii talibów, który nabierał coraz większego znaczenia na północnym-wchodzie. Ten buntownik zwany Komendant Adbul był prawą ręką Sharmaka i najwyraźniej posrreżał siebie jako kogoś w rodzaju Che Guevary Wschodu. Coraz szerzej znany był jako mistrz zasadzek i dowódca, który w czasie podróży przez przełęcze pozyskuje dla armii najwięcej rekrutów.

Nigdy się tego nie dowiedziałem, ale nie byłbym zaskoczony, gdyby okazało się, że stał w pierwszej linii oddziałów, które toczyły z naszą grupą bitwę na górze. Chociaż nie mam wątpliwości, że strategia ich walki została zaplanowana przez Sharmaka, który dotąd spowodował tak wiele strat.

Ci dwaj nie byli jednak w stanie zastraszyć Gulaba. On i jego ojciec odpowiedzieli na list, że bez względu na to jak bardzo talibowie chcą przejąć Amerykanina, oni się na to nie zgodzą. Kiedy Gulab mi o tym mówił, zrobił przy tym bardzo znaczący, zdecydowany gest oznaczający odrzucenie tych żądań. Następnie przez dłuższy czas sta-

rał się wyjaśnić swoje nastawienie: „Nie są w stanie mnie zastraszyć. Nasz wioska jest dobrze uzbrojona i rządzi się własnymi prawami. Talibowie potrzebują od nas wsparcia o wiele bardziej, niż my od nich”.

Był odważnym i pewnym siebie człowiekiem, przynajmniej na takiego wyglądał. Zauważyłem jednak, że wolał nie ryzykować, kiedy pojawiały się pogłoski o talibach zmierzających do wioski. Myślę, że właśnie dlatego spaliśmy na dachu.

Co więcej, nie oczekiwał w zamian żadnej nagrody. Jako dowód wdzięczności za jego przyzwoitość w stosunku do mnie chciałem podarować mu swój zegarek.

Nalegałem, by go przyjął, bo nic innego nie miałem, ale on za każdym razem odmawiał. Co do pieniędzy, jaki pożytek mógłby z nich mieć? Nic nie można było za nie kupić. W pobliżu żadnych sklepów, najbliższe miasto oddalone o wiele kilometrów, a dotrzeć tam można tylko pieszo. Dwójka szyderczo uśmiechniętych dzieciaków — szesnasto- może siedemnastolatków - prosiła mnie o pieniądze, ale akurat oni planowali opuścić Sabray i dołączyć do talibów, by walczyć o „wolność”. Gulab powiedział mi, że nie zamierza opuszczać wioski. Rozumiałem go. Był jej częścią. Pewnego dnia miał zostać członkiem starszyny. Tu był dom dla jego rodziny. Tu było wszystko, do czego przywykł i czego potrzebował. Należał do tego pięknego zakątka Hindukuszu. Więc jaki pożytek z pieniędzy miałby Mohhamad Gulab z Sabray?

Ostatni z dzieciaków opuścił mój pokój, a ja leżałem

I kontemplowałem świat, gdy nagle drzwi niemal wypadły z zawiasów pod naporem kopniaka. Nikt nie kopie w drzwi w ten sposób, poza talibami urządzającymi obławę. Tylko tyle przyszło mi do głowy. Ale w tej okolicy, gdzie drzwi nie pasują do framug, mocny kopniak sandałem bywa jedynym sposobem by je otworzyć, jeśli brakuje pary w rękach.

Niemniej nagły huk drzwi otwieranych półtora metra od twojej głowy jest szokującym przeżyciem. Do dziś mam nerwicę na tym punkcie, bo taki łomot właśnie

usłyszałem zanim zostałem poddany torturom. Bywa, że ten hałas prześladowuje mnie we śnie. Budzę się spocony, a dźwięk huczy mi w uszach. Niezależnie od tego gdzie jestem, muszę wstać i sprawdzić czy drzwi są zamknięte, zanim znowu zasnę. To bywa kłopotliwe.

Tym razem nie byli to talibowie. To moi znajomi z wioski otworzyli drzwi, widocznie dobrze wcześniej zamknięte przez wychodzące dzieciaki. W pokoju zapanował spokój i trwał aż do rana, kiedy drzwi otworzyły się gwałtownie z głośnym bum! Po raz kolejny o mało nie wyskoczyłem z mojego afgańskiego kombinezonu. Tym razem krzyczeli na mnie. Nie rozumiałem o co chodzi, ale najwyraźniej coś się stało. Jezu Chryste! Musiałem jakoś opanować tę grupę. Byli w niej dorośli i dzieci, a wszyscy



krzyczeli mniej więcej to samo:

- Spadochron! Spadochron! Spadochron! Doktor Marcus, chodź szybko!

Wyszedłem na zewnątrz, choć ból był nie do opisania. Postanowiłem, że po powrocie wezmę jeszcze kawałek opium, ale póki co wszyscy patrzyliśmy w górę, na błękitne, bezchmurne niebo. Co zobaczyliśmy? Nic. Cokolwiek wcześniej lądowało, teraz musiało być już na ziemi. Stałem więc, próbując im wyjaśnić, że potrzebuję wiedzieć czy na końcu tego spadochronu był człowiek, a jeśli tak, to ile było spadochronów.

Czy to desant moich chłopaków, którzy w końcu po mnie przylecieli?

W rezultacie niczego się nie dowiedziałem. Wieśniacy po prostu mnie nie rozumieli.

Dzieciaki, które, jak się dowiedziałem, jako pierwsze zobaczyły spadochron — lub spadochrony - też były zdezorientowane. Nasze długie godziny wspólnej nauki języków zaowocowały niczym.

Zwołano spontaniczną radę, więc dorośli zebrali się i poszli, a ja wróciłem do chaty. Przyszli z powrotem może po piętnastu minutach, przynosząc mi wszystkie moje rzeczy, które wcześniej starannie ukryli przed talibami. Oddali mi karabin i amunicję, uprząż, radio PRC-148, to

od którego odpadły słuchawki i mikrofon. Miało jeszcze nieco słabą baterię i działający emiter sygnału alarmowego.

Zdawałem sobie sprawę z tego, że jeśli złapię byka za rogi i wyjdę na zewnątrz wioski w góry, uruchomię sprzęt i wysłę sygnał, jeden z przelazujących amerykańskich helikopterów może go przechwycić. Z drugiej strony, talibowie poukrywani w górach wokół wioski nie mogą mnie nie namierzyć. Taki oto miałem dylemat.

Ale ludzie z Sabray przynieśli mi również laser i jednorazowy aparat fotograficzny. Chwyciłem karabin i objąłem go tak, jak obejmuje się kochankę na powitanie. To była broń dana mi przez Boga i, z rego co zrozumiałem, nadal chciał żebym go miał. Przeszliśmy razem długą drogę, więc pewnie zasłużyłem na nagrodę za całą tę górską wspinaczkę - może Grand Prix Hindukuszu dla Szerpy Marcusa. Przepraszam, zapomniałem - miałem na myśli spadanie górskie. Grand Prix Hindukuszu w Spadaniu, dla Szerpy Marcusa zwanego Chwiejnym.

Przed chatą założyłem uprzęż, zabezpieczyłem i załadowałem karabin i przygotowałem się na wszystkie ewentualne niespodzianki. Ale skoro miałem już uprzęż, musiałem jeszcze załatwić coś z dziećmi. W kieszeni tkwił mój notes, a dzieciaki miały nawet długopis.

Weszliśmy z powrotem do chaty i na kartce starannie narysowałem dwa spadochrony oraz człowieka powieszzonego pod jeden z nich. Pod drugim narysowałem skrzynię. Pokazałem rysunki dzieciom i zapytałem:

- Który?

Mniej więcej dwadzieścia paluszków wystrzeliło jednocześnie i wskazało spadochron ze skrzynią.

Pięknie. Miałem już informację. Był to zrzut z jakimś wyposażeniem, a ponieważ ludzie z tamtejszych plemion nie używają ani samolotów, ani spadochronów, ten zrzut na pewno był amerykański. Musiał być przeznaczony dla pozostałych przy życiu członków mojej grupy operacyjnej. Pozostali zginęli. Ja ocalałem.

Zapytałem dzieci gdzie dokładnie wylądował spadochron, a one wskazały górę, po czym zebrały się i wybiegły z chaty. Domyśliłem się, że chcą pokazać mi to miejsce. Stałem przed wejściem i nieco zdezorientowany patrzyłem jak biegną. Czy moi ludzie mnie odnaleźli? Może staruszek dotarł już do Asadabadu? Tak czy inaczej, byłoby to niewiarygodne, gdyby Amerykanie dokonali zrzutu kilkaset metrów od miejsca gdzie się ukrywałem tylko przez przypadek. Góry ciągnęły się w nieskończoność, a ja mogłem przebywać gdziekolwiek.

Wróciłem do chaty, by dać odpocząć nodze i porozmawiać chwilę z Gulabem. Nie widział lądującego spadochronu i nie miał pojęcia jak daleko jego ojcu udało się dojść. Miałem w głowie wiedzę, którą posiada każdy żołnierz biorący udział w bitwach, a mianowicie to, że armia Napoleona, z pełnym wyposażeniem i uzbrojeniem, podchodziła pod Moskwę w tempie sześć i pół kilometra na godzinę. Czyli staruszek mógłby pokonać cały dystans w około jedenaście godzin.

Mógłby, gdyby nie dwa czynniki: 1) miał już około dwustu lat, 2) od miejsca, w którym się znajdowałem, góra, którą miał do pokonania, wznosiła się nieco bardziej stromo niż Pomnik Waszyngtona. Będę miał dużo szczęścia, jeśli staruszek dotrze do

celu przed Ramadanem 2008.

Minęła godzina i znów usłyszałem bum! Drzwi otworzyły się z hukiem, jak przy wybuchu bomby. Nawet Gulab podskoczył, ale nie tak wysoko jak ja. Do środka wpadły dzieci, a za nimi weszła grupka dorosłych. Nieśli biały dokument, który wyglądał jak kula śnieżna w tej kopalni węgla, w której pojęcie kosza na śmieci w ogóle nie istniało.

Wzięłem papier do ręki i okazało się, że była to instrukcja obsługi telefonu komórkowego.

- Skąd, do cholery, to wzięliście? - zapytałem.

— Tam, doktor Marcus, tam — wszyscy wskazywali górskie zbocze, a ich słowa zrozumiałem doskonale.

- Spadochron? - zapytałem.

- Tak, doktor Marcus. Tak, spadochron.

Wysłałem ich natychmiast z powrotem na zewnątrz, rłumacząc przy tym, że potrzebuję wszystkiego, co uda im się tam znaleźć, a co może pochodzić z tego spadochronu.

Moi ludzie nie zrzucają broszurek z instrukcjami, ale mogli chcieć dostarczyć mi telefon, a instrukcja po prostu była przy nim. Tak czy inaczej nie mogłem sam się o tym przekonać, więc musiałem poprosić wieśniaków, żeby zrobili to dla mnie. Gulab został, ale pozostali wyszli razem z dziećmi i rozproszyli się, jak kibice na polu golfowym w poszukiwaniu piłeczki mistrza.

Gulab i ja usadowiliśmy się wygodnie. Popijaliśmy herbatę zagryzając pysznymi słodyczami, a potem oparliśmy się wygodnie o poduchy przy ścianie. Nagle łup! Drzwi prawie wyleciały z zawiasów. Rozlałem herbatę po kobiercu, a do środka weszła cała grupa poszukiwaczy.

Tym razem znaleźli baterię 55-90 do radiostacji i prowiant. Moi chyba myśleli, że głoduję. I słusznie. Ale bateria nie pasowała do mojego PRC-148. Pech. Gdyby pasowała, mógłbym bez przerwy nadawać sygnał prosro w niebo nad wioską. Tymczasem przy obecnym stanie baterii nie miałem pewności, czy sygnał dociera choćby do sufitu.

Nie było potrzeby ponownego ptzepytywania dzieciarni. Gdyby cokolwiek jeszcze leżało tam, na górze, znalazłyby. Najwyraźniej więc nie było już nic. Cokolwiek zawierał ten zrzut, talibowie byli szybsi od dzieci. Szczęście w nieszczęściu polegało na tym, że najwyraźniej znaleźli telefon i będą chcieli go użyć. A wredy cały amerykański system elektronicznego nasłuchu w prowincji Kunar będzie słuchał i namierzał dzwoniącego.

Nagle zauważyłem coś, co momentalnie doprowadziło moją krew do wrzenia. Prawie każde z dzieci miało siniaki od pobicia. Zadrapania na buziach, przecięte wargi albo z nosów leciała krew. Te kutasy pobiły moje dzieci, bili je po buziach, żeby nie zabierały niczego ze zrzutu.

Nie ma takiej rzeczy, której ci ludzie nie zrobią, żeby wygrać wojnę.

I nigdy nie zapomnę tego, co zrobili dzieciakom z Sabray. Resztę dnia spędziłem opatrując im rany, a te dzielne maluchy starały się nie płakać. Zużyłem prawie całą zawartość lekarskiej torby Sarawy. Kiedy tylko usłyszę słowo: „talib”, przede wszystkim wspominam tamten dzień.

Ze strategicznego punktu widzenia, wyglądało więc na to, że amerykańskie wojsko wierzy, że przynajmniej jeden SEALs przeżył operację. Pojawiło się pytanie, co teraz? Nikt nie chciał ryzykować wysłania kolejnego MH-47, odkąd stało się oczywiste, że talibowie nabrali wprawy w ich strącaniu. Warto wiedzieć, że mieli w tym wieloletnią praktykę, odkąd używali starych pocisków typu Stinger do zestrzeliwania Rosjan.

Każdy z nas wiedział, że najbardziej niebezpiecznym momentem jest lądowanie i opuszczenie rampy. Właśnie w takiej chwili bojownicy wycelowali granatnik w tył MH-47, żeby pocisk wybuchł we wnętrzu, w pobliżu zbiorników paliwa. Myślę, że załogi amerykańskich samolotów nie mogą być pewne żadnej afgańskiej wioski. Nie wiadomo kto tam mieszka, jaką może mieć broń i jak dobrze potrafi się nią posługiwać.

Pewne jest, że potrzebowaliby dużych sił powietrznych do zmiękczenia terenu, zanim mogliby wylądować i mnie zabrać. Rozpaczliwie chciałem dać im jakieś wskazówki. Wystawiłem radio przez okno i włączyłem nadawanie sygnału

alarmowego. Nie miałem pojęcia na jak długo starczy baterii, więc po prostu włączyłem radio, wycelowałem w górę i zostawiłem na parapecie mając nadzieję, że moje położenie odczytają piloci wojskowi lub Night Stalkers.

Ku mojemu zaskoczeniu, reakcja z ich strony nastąpiła wcześniej niż oczekiwałem. Jeszcze tego samego popołudnia. Amerykańskie siły powietrzne nadleciały z hukiem i zaczęły zrzucić 500-kilogramowe bomby na zbocze tuż za wioską, w miejsce gdzie talibowie przejęli zawartość zrzutu.

Eksplozje były niesamowite. Myślałem, że moja chata się wali. Skały i pył wpadały do wnętrza. Jedna ze ścian została mocno uszkodzona na skutek serii wybuchów, jakie wstrząsały górą. Ludzie na zewnątrz krzyczeli. Pokryte strzechą dachy wylatywały w powietrze. Na zewnątrz szalała burza pyłu. Matki z dziećmi uciekały, szukając schronienia, a mężczyźni byli kompletnie zagubieni. Wszyscy słyszeli o sile amerykańskiego lotnictwa wojskowego, ale nikt jeszcze nie doświadczył jej z bliska, tak jak teraz.

W zasadzie ani jedna bomba, myślę że nie przypadkiem, nie rrafiła w Sabray. Ale spadały blisko. Cholernie blisko. Tuż na obrzeżach wioski. Była w tym bardzo prosta nauuczka. Jeśli pozwolicie talibom i al-Kaidzie stacjonować wokół waszej wioski, nic dobrego z tego nie wyniknie.

Jednakże nie było to pocieszające dla wieśniaków, kiedy próbowali posprząrać ten bałagan, odbudować ściany, naprawić dachy i uspokoić przerażone dzieci. Dla nich to był koszmarne dzień. A wszystko to z mojego powodu. Patrzyłem na chaos jaki zapanował dookoła i poczułem ogromny smutek. Gulab rozumiał moje uczucia.

Podszedł, objął mnie ramieniem i powiedział:

- Ach, doktor Marcus, talibowie bardzo źli. My wiemy, walczymy.

Jezu. Tego mi właśnie trzeba. Nowej bitwy. Obaj weszliśmy do chaty i usiedliśmy na chwilę, żeby ustalić najlepsze dla mnie wyjście z sytuacji, takie które spowodowałyby najmniej kłopotów ludziom z wioski.

Wydawało się oczywiste, że moja obecność powodowała narastające zagrożenie ze strony talibów, a ostatnią rzeczą, której bym chciał, było ściąganie kolejnych nieszczęść na ludzi ofiarujących mi schronienie. Niestety wybór miałem ograniczony,

niezależnie od tego, że Amerykanie najwyraźniej byli już na moim tropie. Jednym z problemów był brak wiadomości od ojca Gulaba. Po prostu nie miał jak się z nami skontaktować. Nie wiedzieliśmy więc czy dotarł do bazy.

Talibowie zapewne nie byli zachwyceni bombardowaniem amerykańskiego lotnictwa i prawdopodobnie ponieśli ciężkie srraty. Gulabowi i mnie przyszło do głowy, że słowo: „zemsra” może pojawić się na zaciśniętych wargach tych wypełnionych nienawiścią muzułmańskich fanatyków i mogę stać się jej najbardziej odpowiednim celem.

To mogło oznaczać potężne kłopoty i prawdopodobnie śmierć dla mieszkańców Sabray. Gulab był już pod presją odkąd otrzymał groźbę od talibów. Miał żonę, dzieci i wielu bliskich, o których się troszczył. W końcu decyzja podjęła się sama.

Najwyraźniej musiałem odejść, żeby wioska nie stała się wkrótce polem bitwy. Lochaj działało znakomicie, ale obaj wątpiliśmy by jego mistyczny, plemienny folklor mógł w nieskończoność stawiać czoła zranionym i nieco zdenerwowanym talibom i bojownikom al-Kaidy.

Amerykańskie bombardowanie góry na jakiś czas obudziło we mnie nadzieję i wzmoгло oczekiwania. W końcu to moi ludzie rzucili się na tych średniowiecznych bojowników i złomotali ich nowoczesną bronią. To dobrze, prawda?

Nie do końca. Kara, jak groziła teraz mnie i moim opiekunom, była najważniejszą kwestią. O ile dobrze pamiętam, to właśnie ten stary, twardy jak stal potentat naftowy, jeden z najbogatszych amerykańców w historii, John Paul Getry stwierdził, że na każdy plus na tym świecie, gdzieś przypada jakiś minus. Miał rację.

Pojawiło się pytanie, dokąd mam się udać? I tu mój wybór również był ograniczony. Nie mogłem iść do bazy w Asadabadzie, a i tak nie miałoby to sensu, skoro srraruszek już tam dotarł lub niebawem dotrze. Jedynym blisko położonym miejscem, do którego mógłbym uciec, był amerykański posterunek w Monagee, oddalony od wioski o dwie mile drogą prowadzącą przez stromą górę.

Ten plan nie spodobał się ani mnie, ani ludziom, którzy mieliby iść tam ze mną. Jednak Gulab i ja nie widzieliśmy innego wyjścia, poza przyczajeniem się i czekaniem

na atak talibów, a ja naprawdę nie chciałem nikogo na to narażać. Najmniej dzieci. Tak zdecydowaliśmy - pójdę w towarzystwie Gulaba i jeszcze dwóch ludzi przez górę do wioski Monagee, której nazwa brzmi z irlandzka, ale jest stuprocentowo pasztuńską osadą współpracującą z amerykańskim wojskiem. Plan zakładał, że odczekamy kilka godzin po zmierzchu i około 23:00 wyślizgniemy się przez pastwiska, ukrywając się przy tym starannie przed, prawdopodobnie już śpiącymi, talibskimi czujkami.

Miałem nadzieję, że moja noga przetrzyma tę podróż. Sporo straciłem na wadze, ale i tak stanowiłem nie lada ciężar dla mających mnie podtrzymywać dwóch szczupłych Afgańczyków, ważących po około 50 kilogramów. Jednak Gulab nie wydawał się tym przejmować. Ustaliliśmy więc ostatecznie, że czekamy do 23:00 i wyruszamy. Noc zapadła nagle, tak jak to bywa w wysokich górach, kiedy słońce schowa się za szczytami. Nie zapaliliśmy latarni, żeby nie dawać talibom wskazówek. Siedzieliśmy w ciemnościach, sączyliśmy herbatę i czekaliśmy na odpowiedni moment.

Nagle, znikąd nadciągnęła gwałtowna burza. Od razu zaczął padać ulewny deszcz, który nadszedł bokami zza góry. Rzadko widuje się takie deszcze, chyba że na kanale pogodowym, w którym często pokazują huragany.

Deszcz zalewał wioskę. Wszystkie okna i drzwi zostały szczelnie zamknięte.

Monsun, nadciągnął nad cały kraj z południowego-zachodu. Nikr nie odważył się wysunąć nosa z domu, bo taka ulewa ścina człowieka z nóg.

Na zewnątrz ogromne strumienie wody pędziły kaskadami w dół głównej ścieżki prowadzącej przez wioskę. Brzmiało to tak, jakbyśmy tkwili pośrodku nurtu rzeki, a woda przelewała się tuż przed drzwiami. Taki teren, naturalnie nie może zosrać zalany, ponieważ jest zbyt stromo. Z pewnością jednak może być mokro.

Dom, w którym przebywałem, wykonano ze skał i gliny, ale zastanawiałem się jak dają sobie radę inne

chaty w dole wioski. W takiej wiosce wszystko jest wspólne, włącznie z kuchnią. Myślę więc, że ludzie zbierali się razem w tych domach, które nie zostały uszkodzone.

Szczyty górskie nad nami rozświetlały gigantyczne, zim-no-błękitne błyskawice;

postrzępione elektryczne neony na nocnym niebie. Po Hindukuszu przetaczał się grom. Gulab i ja położyliśmy się pod grubą skalną ścianą na tyłach pokoju, ponieważ nasza chata nie była całkiem nieprzemakalna. Na szczęście deszcz nie wpadał przez szpary w dachu. Tam, gdzie leżeliśmy było sucho, chociaż nadal byliśmy nieco ogłuszeni i oślepieni tym szaleństwem, które natura utwardziła na zewnątrz.

Tak gwałtowna burza może dać się nerwom we znaki, ale kiedy trwa wystarczająco długo, zaczynasz się przyzwyczajać do jej furii. Za każdym razem, kiedy spoglądałem przez okno, piorun błyskał i trzaskał nad najwyższymi szczytami. Od czasu do czasu rozświetlał niebo poza najbliższym wiosce pasmem szczytów, a był to niemal najstraszniejszy widok jaki może się zdarzyć. Jakby wiedźma Hindukuszu we własnej osobie nadlatywała na miotle.

Błyskawica na zewnątrz, oślepiająca i gwakowna, to jedno. Ale ukryte przed wzrokiem pioruny, zalewające niebo dziwnym, błękitnym, elektrycznym światłem, zmieniały tutejszy krajobraz w nieziemski widok. Ogromne czarne szczyty celowały prosto w kosmos. Dla rannego żołnierza, przywykłego do wielkich płaskich połaci ziemi, był to widok złowrogi.

Powoli przyzwyczałem się do niego i w końcu zapadłem w głęboki sen, na gołej podłodze. Minęła 23:00, godzina naszego wymarszu, a ulewa nadal szalała. Nadeszła północ, a razem z nią nowy dzień w kalendarzu: niedziela, 3 lipca. Weekend poprzedzający Święto Dziękczynienia, czas radości w całych Stanach, a przynajmniej w większości domów, poza tymi, gdzie panował smutek po stracie żołnierzy z sił specjalnych.

Kiedy przeczekiwałem burzę, nastrój na ranczu, jak twierdzi moja mama, był bardzo przygnębiający. Od pięciu dni byłem „zaginiony w akcji”. Na podwórzu zebrał się tłum, teraz liczący już trzysta osób. Od początku nikt nie odjechał, więc zrobił się tłok.

Posiadłość nadal otoczona była kordonem policji. Do miejscowych szeryfów dołączyli sędziowie, a policja stanowa zabezpieczała osobistą eskortę dla SEALsów dwa razy dziennie biegających w ramach treningu. Obstawiani byli od frontu i z tyłu. W codziennych modlitwach brali udział miejscowi strażacy, budowlańcy, ranczerzy,



księgarze, inżynierowie, mechanicy, nauczyciele i dwóch rybaków. Byli tam też właściciele sklepów, agenci nieruchomości, prawnicy z Houston i miejscowi adwokaci. Robili wszystko, by pomóc mnie ocalić, najlepiej jak potrafili.

Mama mówi, że ranczo przez całe noce rozświecały reflektory samochodów. Kroś dostarczył kontenery mieszkalne, nie było więc sensu żeby ktokolwiek odjeżdżał. Dopóki nie dowiedzą się czy nadal żyję. Według mamy ludzie podzielili się na grupy; jedni co godzinę odprawiali modły, inni śpiewali hymny, a jeszcze inni pili piwo. Kobiety z sąsiedztwa, które znały mnie i Morgana od urodzenia, nie mogły powstrzymać łez. One trwały tam z jednego tylko powodu — żeby podtrzymać naszych rodziców na duchu, jeśli przyjdą najgorsze wieści.

Nie wiem zbyt wiele o innych stanach, cały moje doświadczenia ograniczały się do pobytu w Kalifornii w bazie SPECWARCOM. Myślę jednak, że to, trwające niemal tydzień, czuwanie zorganizowane całkowicie spontanicznie przez ludzi z Teksasu, wiele mówi o nich, ich współczuciu, wielkoduszności i miłości dla dotkniętych nieszczęściem sąsiadów.

Mama i tata nawet nie wszystkich znali, ale nikt nigdy nie zapomni tych wizyt spowodowanych jedną myślą. Po prostu chcieli pomóc jak tylko mogli, chcieli tam być, ponieważ jeden z ich ludzi zginął w walce daleko, daleko od domu.

Weekend się kończył, a flaga nadal nie została wciągnięta na maszt. Myślę, że nie wiedzieli czy mają ją wciągnąć do połowy masztu, czy nie. Ojciec mówi, że widać było jak ludzie tracą nadzieję — przez ten powtarzający się komunikat z Coronado: „Żadnych wieści”. Przez zaciętość mediów powtarzających takie rzeczy jak: „Gaśnie nadzieja dla zaginionych Navy SEALs... wygląda na to, że te pierwsze raporty o śmierci całej czwórki potwierdzą się... Rodzina w Teksasie oplakuje stratę...

Marynarka Wojenna nadal odmawia potwierdzenia śmierci SEALsów...”.

Nie rozumiem tego. W wojsku, jeśli czegoś nie wiemy, mówimy że nie wiemy i milczymy dotąd aż się dowiemy. Niektórzy wysoko opłacani szarlatani w mediach myślą, że nie ma nic złego w zgadywaniu jaka jest prawda i opowiadaniu milionom ludzi, że to fakty, tak ryłko na wypadek, gdyby mieli rację.

No cóż, mam nadzieję, że są z siebie dumni, bo o mało nie złamali mojej matce serca,

a gdyby nie niezłomny autorytet bosmana sztabowego Chrisa Gothro, myślę że mogła przeżyć załamanie nerwowe.

Tego poranka Gothro znalazł ją w domu, płaczącą w odosobnieniu i zareagował właściwie. Postawił ją na nogi, obrócił twarzą do siebie i nakazał jej popatrzeć sobie prosto w oczy.

- Posłuchaj, Holly - rzekł. — Marcus zaginał w akcji. Czyli w naszym języku jest MIA. To wszystko. Zaginał znaczy tylko tyle, ile znaczy. Znaczy, że w tym momencie nie możemy go zlokalizować. To nie znaczy, że on nie żyje. Żyje, dopóki ja ci nie powiem, że jest inaczej, rozumiesz?

— Nie mamy ciała, ale wiemy, że ktoś tam jest i przemieszcza się. W tej chwili nie wiemy kto to, ani ilu ich jest. Ale nikt, powtarzam, nikt w SPECWARCOM nie wierzy, że on zginął. Chcę, żebyś to jasno zrozumiała.

Poważne słowa profesjonalisty najwyraźniej dotarły do matki. Po nich doszła do siebie, wsparta jeszcze i pocieszona przez Morgana, który nadal twierdził, że ma ze mną kontakt i cokolwiek się dzieje, nie umarłem.

W tym momencie na ranczu było już trzydziestu pięciu SEALsów, w tym komandor porucznik Jeff Bender — rzecznik prasowy komandora Maguire'a i fantastyczna podpora dla wszystkich. Kapelan Navy SEALs z Coronado, Trey Vaughn, był filarem duchowej siły. Wszyscy chcieli z nim rozmawiać, a on radził sobie z nimi z optymizmem i nadzieją. Kiedy nastrój stawał się ponury, a wokół zbyt wielu ludzi płakało, namawiał ich na pozytywne myślenie.

- Przestań płakać, już... Potrzebujemy cię... potrzebujemy twojej modlitwy... i Marcus potrzebuje twojej modlitwy. Ale przede wszystkim potrzebujemy twojej energii. Nie poddajemy się, słyszysz?

Nikt, kto tam był, nigdy nie zapomni Trey'a Vaughna.

Byli tam też dwaj kapelani marynarki z miejscowego dowództwa, którzy zjawili się jakby znikąd. Bosman sztabowy Bruce Misex, kierujący rekrutacją do marynarki z Houston, który znał mnie od dawna, też zjawił się i już pozostał. Po kilku dniach zaczęły nadchodzić dostawy z portu na południu: świeże krewetki, zębacze i inne białe ryby. Pewna kobieta przywoziła codziennie olbrzymią parrię sushi, a rodziny,

które od pokoleń mieszkają na południu, z uporem trwały przy starej południowej tradycji przynoszenia przykrytych półmisek wypełnionych potrawką z kurczaka i pierogami, rak jak to robią przy pogrzebach.

Ojciec uważał to za przedwcześnie, ale było tak wielu ludzi do nakarmienia, że zgodził się na dowolność w menu. Każdy był wdzięczny za wszystko, co przynoszono. Tata mówi, że to dziwne, ale w żadnym momencie nie pojawiła się wzmianka o tym, żeby ktokolwiek miał jechać do domu. Po prostu wszyscy byli zdecydowani pozostać na ranczu, na dobre i na złe.

W tym czasie, pośród pieprzonej burzy, trzynaście kilogramów lżejszy niż w momencie rozpoczęcia operacji, spałem jak dziecko. O 3:00 nad ranem Gulab stwierdził, że pada już od sześciu godzin z tą samą intensywnością. Odpłynąłem, spałem spokojnie po raz pierwszy od tygodnia, nie zważając na pogodę, ani na talibów.

Przespałem całą noc i obudziłem się w pełnym świetle dnia, już po deszczu.

Sprawdziłem godzinę na moim zegarku i napadłem na Gulaba. Miałem być w Monagee, na litość boską. Dlaczego, do cholery, nie przypilnował żebym się tam znalazł? Co z niego za przewodnik, jeśli pozwolił mi zasnąć?

Gulab był w pogodnym nastroju, a ponieważ coraz lepiej się porozumiewaliśmy, udało mu się wytłumaczyć, że wiedział, że udało mi się zasnąć po raz pierwszy od długiego czasu, więc uznał, że lepiej będzie, jeśli zostawi mnie w spokoju. Tak czy inaczej, jak stwierdził, nie moglibyśmy wyjść na zewnątrz przy tej pogodzie, ponieważ byłoby to zbyt niebezpieczne. Nocny marsz do Monagee nie wchodził w grę.

Może i tak, ale przyjąłem to nienajlepiej. Właściwie wybiegłem z chaty, poruszony kolejnym rozczarowaniem — po tych helikopterach, które nie nadleciały, nagłym zniknięciu Sarawy, kiedy byłem w grocie, po sranusku, który odszedł beze mnie. A teraz plan przejścia do Monagee legł w gruzach. Chrysre! Czy mogę wierzyć w cokolwiek, co mówią ci ludzie?

Spałem tak długo, że pozwoliłem sobie na luksus długiego sikania. Wyszedłem na zewnątrz w moim nowym stroju i z kwaśną miną, chwilowo zapomniawszy o tym, że

to właśnie mieszkańcom wioski zawdzięczam życie. Zostawiłem karabin i szedłem powoli w dół stromego wzgórza, które teraz, po ulewnym deszczu, było śliskie jak cholera.

Po wykonaniu zadania wszedłem kawałek po zboczu i usiadłem na schnącej rrawie, głównie dlatego, że nie chciałem być jeszcze bardziej opryskliwy w stosunku Gulaba. Chciałem posiedzieć trochę w samotności i pozbierać myśli.

Nadal uważałem, że najlepszym wyjściem byłoby dostanie się do najbliższej bazy amerykańskich wojsk, czyli do Monagee. Wpatrywałem się w strome górskie zbocze, które musiałbym przemierzyć - teraz, po deszczu, mokre i połyskujące w świetle poranka. Wzdrygnąłem się.

To byłaby trudna wspinaczka, a moja noga już wystarczająco bolała, nawet nie na myśl o górze, ale dlatego, że właśnie przeszedłem sto metrów. Rany postrzałowe mają to do siebie, że goją się długo. Poza tym, niezależnie od wysiłków nieustrzonego Sarawy, wiedziałem że ta noga nadal pełna jest odłamków, co uniemożliwiało mi bezbolesne pokonanie szczytu.

Siedziałem więc na zboczu góry i usiłowałem oczyścić umysł, by móc sprawdzić czy jest jeszcze coś, co mógłbym zrobić poza siedzeniem i czekaniem na noc, kiedy Gulab i jego koledzy mogliby towarzyszyć mi do Monagee. Przez cały czas rozważałem też prawdopodobieństwo pojawienia się w wiosce talibów i ich mściwego ataku w ramach odwetu za wczorajsze bombardowanie.

W gruncie rzeczy byłem żywym celem, a nie tylko chodzącym sygnałem alarmowym. Gdzieś tam siedział Sharmak wraz ze swoim zastępcą Komendantem Abdulem i wielką, wyszkoloną armią, a wszyscy oni nie mieli do roboty nic poza polowaniem na mnie. Gdyby udało im się wejść do wioski i zaatakować dom, w którym mieszkałem, potrzebowałbym wiele szczęścia, żeby się obronić i uniknąć krótkiej wycieczki do Pakistanu na publiczną egzekucję.

Chryste, tych gości nic na świecie nie ucieszyłoby tak, jak złapanie mnie i oświadczenie arabskim stacjom telewizyjnym, że oto pokonali jeden z najlepszych amerykańskich oddziałów Navy SEALs. Nie tylko pokonali, ale rozgromili w birwie, roznieśli też grupę rarunkową, wysadzili w powietrze helikopter, zlikwidowali

wszystkich ocalałych, a tu mają ostatniego.

Im dłużej o rym myślałem, tym bardziej moja sytuacja wydawała się beznadziejna.

Czy pasterze z Sabray mogliby zebrać się i ramię w ramię walczyć w mojej obronie?

Czy może brutalni zabójcy z al-Kaidy i talibowie w końcu postawią na swoim?

Dziwne, ale nadal nie pojmowałem

pełni mocy lochaj. Nikt mi jej do końca nie wyjawiał. Wiedziałem, że coś w tym jest, ale to pradawne plemienne prawo nadal było dla mnie tajemnicą.

Gapiłem się na wzgórza wokół, ale nie dostrzegłem nikogo poza granicami wioski.

Gulab i jego koledzy zachowywali się tak, jakby całe górskie zbocze było najeżone ukrytym niebezpieczeństwem. Nawet jeśli w moim mniemaniu nie był skutecznym budzikiem, to w sprawach bandyckiej krainy otaczającej jego Sabray raczej był ekspertem.

Dlatego z narastającym niepokojem patrzyłem jak Gulab biegnie do mnie na dół po zboczu. Dosłownie siłą postawił mnie na nogi, a potem ciągnął w dół ścieżki wiodącej do niższych części wioski. Biegł i zmuszał mnie, bym za nim nadażał, krzyczał i pokazywał, raz po raz:

— Talibowie! Talibowie ru są! W wiosce! Uciekaj, doktor Marcus, biegnij!

Wcisnął prawe ramię pod moją lewą rękę, żeby podtrzymać częściowo moją szybko spadającą wagę, a ja na pół kulałem, na pół biegłem, a jeszcze na pół spadałem ze zbocza. Naturalnie według moich najnowszych standardów było to jak przechadzka po plaży.

Nagle zrozumiałem, że być może będziemy musieli walczyć, a ja zosrawiłem karabin w chacie. W uprząży miałem amunicję, ale poza tym nic, z czego mógłbym strzelać.

Teraz była moja kolej na krzyk:

— Gulab! Gulab! Stój! Nie mam karabinu. Odpowiedział słowami, które wziąłem za afgański odpowiednik zdania: „Co za pieprzony idiota z ciebie”.

Cokolwiek wywołało u niego bożą bojaźń, nadal gdzieś tam było, a on nie zamierzał zatrzymać się aż znajdzie dla nas kryjówkę. Skradaliśmy się ścieżkami w niższej części wioski, aż znaleźliśmy dom, o który mu chodziło. Gulab kopniakiem otworzył drzwi, zatrzasnął je za sobą i pomógł mi ułożyć się na podłodze. I tak siedziałem tam,

bez broni, zbędny i przerażony tym, co mogłoby się wydarzyć w następnej godzinie. Gulab bez słowa otworzył drzwi i oddalił się w szybkim tempie. Przeleciał za oknem jak rakieta i pomimo, że kąt nachylenia zbocza był duży, biegł szybko, prawdopodobnie zbliżając się do rekordu wszechczasów Hindukuszu w biegu na 100 metrów. Bóg raczy wiedzieć, dokąd pędził, ale już go nie było.

Trzy minuty później kopniakiem otworzył drzwi i wpadł z powrotem do środka. Miał przy sobie mój karabin i swój AK-47. Zostało mi 75 pocisków. Myślę, że on miał więcej w swoim pasie na amunicję. Z ponurą miną podał mi mój snajperski karabinek Mark 12 i powiedział:

- Talibowie, doktor Marcus. Walczymy.

Tak poważnego jeszcze nigdy go nie widziałem. Nie był przestraszony, ale pełen determinacji. Tam na górze, kiedy po raz pierwszy mnie zobaczył, Sarawa i jego towarzysze zdecydowali, że obejmą mnie prawem lochaj. Doktor od pierwszej chwili, tam przy szumiącym górskim strumieniu, doskonale zdawał sobie sprawę, że w ostateczności może do tego dojść. Nawet, jeśli ja nie zdawałem sobie z tego sprawy.

Była to decyzja, która od pierwszej chwili miała wpływ na wszystkich mieszkańców wioski. Myślę, że większość ją zaakceptowała i najwyraźniej poparła ją również starszyzna. Widziałem kilka twarzy pełnych wściekłości, ale nie stanowiły większości. A teraz wódz wioski i jej stróż prawa oraz porządku, Mohammed Gulab, gotów był wypełnić niepisaną przysięgę, którą złożyli mi jego ludzie.

Robił to nie dla własnej korzyści, ale z poczucia honoru, przekazywanego przez wiele pokoleń, przez dwa rysi-će lat tradycji Pasztunwali. Będiesz bronił swojego gościa do ostatniej kropli krwi. Uważnie przyglądałem się Gulabowi, kiedy wkładał nowy magazynek do swojego kałasznikowa. Oto człowiek, który jest gotów przystąpić do dzieła. W jego ciemnych oczach widziałem światło dobroci, takie, które rozświetla człowieka podejmującego odważne i bezinteresowne działanie.

Podziękowałem Gulabowi i włożyłem magazynek do karabinu. Wyjrzałem przez okno i oceniłem pole bitwy. Znajdowaliśmy się bardzo nisko, na prawie płaskim terenie, ale talibowie będą atakowali z góry, tak jak lubią. Zadałem sobie pytanie ile

jeszcze zbudowanych ze skał i mułu domów w Sabray kryje ludzi, którzy będą niebawem walczyć.

Sytuacja stała się poważna, ale nie przerażająca. Mieliśmy świetną osłonę i nie sądziłem, żeby nieprzyjaciel wiedział dokładnie gdzie jestem. Z tego co zauważyłem, Bitwa o Wzgórze Murphy'ego była mieczem obu-siecznym. Po pierwsze, bojownicy mogli ziać nienawiścią z powodu sporej liczby swoich ludzi zabitych przeze mnie, Mike'a, Axe'a i Danny'ego. To mogło oznaczać nawet samobójczy zamach bombowy albo atak tak brawurowy, że zaryzykowałiby każdą liczbę żołnierzy, aby tylko mnie dostać. Żadna z tych możliwości mnie nie zachwycała.

Z drugiej strony, mogli obawiać się nieco perspektywy starcia nawet z jednym członkiem tej małej, amerykańskiej grupki, która zmiotła około 50 procent ich sił. Z pewnością wiedzieli, że jestem ranny, ale spodziewali się też, że nawet jeśli straciłem swój własny karabin, będę dobrze uzbrojony przez wieśniaków.

Wyobrażałem sobie, że albo rzucą na mnie wszystkie siły, albo będą posuwali się wolno, chata za chatą, aż otoczą mnie i Gulaba.

Zbliżający się atak wymagał szybkiego, fachowego planowania. Musiałem działać ekspresowo i wytłumaczyć Gulabowi naszą taktykę. On bez zastanowienia zawierzył mojemu doświadczeniu, co zrodziło w mojej głowie myśl, że być może nie do końca uwierzył w moją historyjkę o byciu doktorem. Wiedział więc, że walczyłem na górze, a teraz był gotów wykonywać moje polecenia.

Mieliśmy do obstawienia dwa stanowiska: drzwi i okno. Nie miałyby wiele sensu, gdybym ja przez okno ostrzeliwał talibów na ścieżce, a w tym czasie kilku tych podstępnych małych drani podkradłoby się drzwiami i strzeliło mi w plecy.

Wytłumaczyłem Gulabowi, że on obstawia wejście. W ten sposób miałem pewność, że jest ułamek sekundy, którego potrzebuję na obrót i ścięcie ich, zanim otworzą ogień. Idealnie byłoby, gdyby on mógł mnie ostrzec o pojawieniu się nieprzyjaciela. W ten sposób mógłbym schować się w cieniu, w rogu pokoju i zdejmować ich po sześciu na raz, zamiast strzelać do lidera.

W idealnej sytuacji chciałbym mieć jakiś ciężki mebel do przystawienia pod drzwi, żeby dodatkowo zyskać na czasie. Niestety w pokoju nie było mebli, tylko te wielkie

poduchy, które najwyraźniej nie były wystarczająco ciężkie.

Tak czy inaczej, Gulab zrozumiał strategię i skinął krótko głową, tak jak zawsze, kiedy był czegoś pewien.

— OK, Marcus - powiedział, a mojej uwadze nie umknęło to, że opuścił słowo: „Doktor”.

Kiedy rozpocznie się bitwa, Gulab miał stanąć przy skraju okna, co dałoby mu widok na drzwi jednocześnie od wewnątrz i z zewnątrz. Ja miałem się skoncentrować na atakach od frontu. Planowałem strzelać spokojnie, prosto, nie marnując naboju - tak jak to robili Axe i Danny na górze, kiedy Mikey podawał namiary.

Próbowałem powiedzieć Gulabowi, żeby strzelał spokojnie, bez hysterii. W ten sposób mogliśmy wygrać lub przynajmniej spowodować, że talibowie rozproszą się i wycofają.

Wyglądał trochę bezmyślnie, domyśliłem się więc, że nie zrozumiał. Spróbowałem zatem ocucić go okrzykiem, którego zawsze używamy przed bitwą:

- OK, chłopaki, rock&roll!

Tylko pogorszyłem sytuację. Gulab pomyślał, że chcę dać mu lekcję tańca. To mogłoby być nawet śmieszne, gdyby sytuacja nie była aż tak poważna. I wtedy właśnie usłyszeliśmy pierwsze serie, w górze wioski.

Było ich sporo. Zbyt wiele. Tak zmasowany ogień nie miał sensu, chyba że talibowie chcieli wybić wszystkich mieszkańców. Wiedziałem, że nie mają takich planów, bo taka rzeź z pewnością spowodowałaby wycofanie całej pomocy, jaką otrzymywali od wioski w górach.

Nie, tego by nie zrobili. Chcieli mnie, ale nigdy nie zabiliby setki Afgańczyków, w tym kobiet i dzieci, żeby mnie dostać. Talibowie i ich kohorty byli bezlitośnie okrutni, ale Ben Sharmak nie był głupcem.

Poza tym, w tych strzałach nie dosłyszałem rytmu charakterystycznego dla bitwy. Nie były to krótkie, ostre serie wypuszczane przez wyszkolonych żołnierzy strzelających do celu. Były to wydłużone serie, a ja przysłuchiwałem się uważnie. Najwyraźniej nikt na te salwy nie odpowiadał. Wtedy zrozumiałem, co się dzieje.

Ci szaleńcy wyskoczyli zza drzew i wpadli do wioski, strzelając bezładnie w



powietrze i krzyżąc: „Śmierć niewiernym”. Głupie kutasy.

Generalnie ich celem zawsze jest przerażanie ludzi, co teraz chyba im się udawało. Słyszałem krzyki kobiet, płacz dzieci, ale żadnych strzałów ze strony mieszkańców Sabray. Dobrze wiedziałem jak by to brzmiało, a nic takiego nie usłyszałem.

Spojrzałem na Gulaba. Był gotowy do akcji, stał ze mną w oknie i kątem oka obserwował drzwi. Obaj odbezpieczyliśmy karabiny.

Z góry nadal dochodziły nas krzyki, ale strzelanina ucichła. Małe skurwysyny prawdopodobnie były dzieci. Co prawie zmusiło mnie do powrotu na górę i rozprawienia się jedną ręką z całą armią dżihadistów, ale jednak powstrzymałem się, nie wystrzeliłem i czekałem.

Czekaliśmy może czterdzieści pięć minut. Potem zapadła cisza. Taka, jakby nigdy ich tam nie było. Do wioski powrócił ten nieuchwytny spokój, nie było oznak paniki ani znaku, że są ranni. Poczekalem, aż potwierdzi to Gulab.

— Talibowie poszli - stwierdził krótko.

— Co teraz? — zapytałem. — Bagram? Gulab pokiwał głową:

— Bagram — odparł i zagestykułował po raz enty — Helikopter przylecieć.

Zatoczyłem oczami ku niebu. Słyszałem już wcześniej tę bzdurę o helikopterach.

Miałem dla Gulaba coś nowego:

- Helikopter nie przylecieć - oświadczyłem.

- Helikopter przylecieć - odpowiedział.

Jak zwykle, nie mogłem być do końca wtajemniczony w to co wiedział Gulab, ani w to jak się dowiedział, co ma się zdarzyć. Póki co wierzył, że talibowie poszli do chaty, w której mieszkałem i zauważyli, że zniknąłem. Nikt mnie nie zdradził, a oni nie przeszukali pozostałych chat z obawy, że zrażą do siebie mieszkańców, a przede wszystkim starszyznę.

Ta uzbrojona banda bojowników, zdecydowana wyprzeć Amerykanów i rząd, nie mogłaby działać samodzielnie, bez wsparcia w górach. Bez pomocy miejscowych ich słaby system dostaw zaopatrzenia załamałby się i zaczęliby gwałtownie tracić rekrutów. Armie potrzebują żywności, schronienia i współpracy ze strony miejscowych, więc gdyby starszyzna wioski uznała, że woli towarzystwo

Amerykanów, tyrania talibów szybko by się skończyła.

Dlatego właśnie wycofali się z Sabray. Mogli nadal otaczać wioskę, czekając na okazję schwytania mnie, ale nie zaryzykowaliby całkowitego zdeorganizowania codziennego życia wioski. Spędziłem tam już pięć nocy, włącznie z nocą w grocie, a w tym czasie talibowie przekroczyli granice wioski tylko dwa razy: raz późnym wieczorem, żeby mnie torturować i reraż, nie dłużej niż na godzinę.

Gulab był pewien, że odeszli, ale był równie pewien, że nie możemy wrócić do chaty. Była zaledwie 10:00 rano, Gulab przygotowywał się do wyjścia, po raz kolejny zamierzał wyprowadzić mnie w góry.

\* \* \*

Na ranczo w Teksasie minęła północ, a czuwanie trwało. Media nadal rozgłaszały swoją wersję, że grupa SEALsów zginęła, a ostatni telefon z Coronado przyniósł te same wieści: „Żadnych nowych wiadomości”. Nadal nie było informacji o mnie. Wszyscy wiedzieli, że następny kontakt będzie o 4:00 i przeczekiwali tę gorącą lipcową noc, jak wspomina mama, tracąc nadzieję z każdą godziną.

Ludzie zaczęli spekulować, w jaki sposób mogłem prze-rrwać, jeśli żadna amerykańska baza nie miała informacji o miejscu mojego pobytu. Wiadomości były szczątkowe, poza tą częścią, którą wymyśliły media. A wszyscy zaczęli już tracić nadzieję.

Poza, oczywiście, Morganem i innymi Fokami, z których żaden nawet nie rozważał możliwości mojej śmierci. A przynajmniej tak ciągle powtarzali wszystkim wokoło. — Zaginiony w akcji — powtarzali. — Zaginiony w akcji. Nie zginął, dopóki nie stwierdzimy, że zginął.

Morgan mówił wszystkim, że myśli o mnie i ja myślę o nim, że jest ze mną w kontakcie nawet, jeśli wszyscy inni nie są. A bosman sztabowy Gothro obserwował pilnie moją matkę, na wypadek gdyby zaczęła się załamywać.

Mama do dziś pamięta tamtą noc i to, jak ludzie z każdą minutą stawali się coraz bardziej smutni. Jak SEALsi podtrzymywali wszystkich na duchu. Kapelani, oficerowie, podoficerowie; niektórzy rozkazywali, inni błagali, ale wszyscy prosili,

by ludzie nadal wierzyli.

- Marcus was potrzebuje - kapelan Trey Vaughn przekonywał to duże i różnorodne zgromadzenie. - Bóg go ochrania, a teraz powtarzajcie za mną słowa Psalmu 23.

Chociażbym chodził ciemną doliną, zła się nie ulękę, bo Ty jesteś ze mną. Twój kij i Twoja laska są Tym, co mnie pociesza.

W rym podniosłem nastroju jedni z najtwardszych ludzi w amerykańskich siłach zbrojnych stali tamie w ramię

z kapelanem SEALsów, a każdy z nich myślał o mnie jako o starym i - mam nadzieję - godnym zaufania przyjacielu i towarzyszu broni. W ramtym momencie każdy z nich był sam na sam ze swoim Bogiem. Tak jak ja, oddalony o pół świata od nich.

O 4:00 zadzwonił telefon z Coronado. Nadal żadnych wieści. SEALsi rozpoczęli cały proces od nowa - dodawali odwagi, dzielili się optymizmem, tłumaczyli, że jestem przeszkolony specjalnie do tego, by przetrwać taką ciężką próbę.

- Jeśli ktokolwiek może wyjść z tego cało, to właśnie Marcus - mówił kapelan Vaughn. - Będzie czuł energię waszej modlitwy, dodacie mu siły. Zabraniam wam poddawać się. Bóg sprowadzi go do domu.

Daleko, na wysuszonych łąkach pastwiskach, w otoczeniu tysięcy sztuk bydła, słowa hymnu Marynarki Wojennej USA rozlegały się echem wśród nocnej ciszy. Nie było sąsiadów, których mogłyby obudzić. Każdy, kto mieszkał w promieniu wielu kilometrów, był właśnie przed naszym domem. Mama mówi, że wszyscy tam byli, prawie trzysta osób. Policjanci, sędziowie, szeryfowie i inni dołączyli do matki i ojca, i twardych ludzi ze SPECWARCOM - stojąc razem śpiewali pełną piersią:

Usłysz modlitwę, którą zanosimy do Ciebie Za SEALsów na lądzie, na wodzie i na niebie.

\* \* \*

Tymczasem w Sabray Gulab i ja ściskając karabiny wyszliśmy z naszej małej, zbudowanej ze skał i mułu kryjówki w dole wioski i skierowaliśmy się w dół zbocza. Z bólem pokonałem dwieście metrów do płaskiego pola uprawnego. Ziemia była zaorana i gotowa do siewu.

Obserwowałem to poletko już wcześniej, z okna drugiej chaty, którą teraz widziałem

w górze, może 350 metrów od miejsca, w którym staliśmy. Pole było wielkości dwóch boisk do futbolu amerykańskiego i otoczone rzędem kamieni. Pomyślałem, że stanowi idealne lądowisko dla helikoptera, a w każdym razie jedyne dogodne miejsce do lądowania, jakie widziałem w tych górach. Było to miejsce, gdzie pilot mógł posadzić MH-47 bez ryzyka kolizji z drzewami czy stoczenia się maszyny ze skarpy albo też wpadnięcia w pułapkę talibów.

Przez kilka chwil rozważałem wypisanie wielkiego SOS na ziemi, ale Gulab zaniepokoił się i na wpół wyniósł, a na wpół wyprowadził mnie z pola z powrotem na porośnięte soczysrą zielenią zbocza. Przy ścieżce znalazł dla mnie miejsce, gdzie mogłem odpocząć i schronić się pod krzakiem. Krzak miał dodatkową zaletę, gdyż obsypany był borówkami. Położyłem się w jego cieniu i rozkoszowałem owocami, które co prawda nie były w pełni dojrzałe, ale smakowały mi ogromnie.

Wokoło znów panowała cisza, a moje wyćwiczone snajperskie ucho, mój słuch wyostrzony jak nigdy dotąd, nie wyłowił żadnego niezwykłego dźwięku. Żadnej pękającej gałązki, żadnego podejrzanego szelestu w trawie. Żadnego tajemniczego cienia za drzewem. Nic.

Odczekaliśmy chwilę, po czym Gulab wstał, przeszedł się kawałek, wrócił i wyszeptał:

- Idziemy teraz.

Chwyciłem karabin, przewróciłem się na prawą stronę i przygotowałem do podniesienia na nogi, co w tamtym tygodniu wymagało ode mnie nie lada koncentracji i wysiłku.

Nie wiem dlaczego tak się stało. Coś podpowiedziało mi, żebym spojrzał w górę, skierowałem więc wzrok na wzgórze przed nami. A tam, siedząc cicho, wbijając we mnie wzrok bez wyrazu, tkwił Sharmak, przywódca talibów, człowiek, po którego przybyłem, by pojmać go lub zabić.

Wcześniej widziałem tylko ziarniste, niezbyt dobre jego zdjęcie, ale to mi wystarczyło. Z całą pewnością to był on. I myślę, że on wiedział, że ja o tym wiem. Był szczupły, jak oni wszyscy, około czterdziestki. Miał długą, czarną brodę z czerwonymi plamkami. Na sobie miał czarny afgański strój, czerwoną kamizelkę i

czarny turban.

Wydaje mi się, że jego oczy miały kolor zielony, a wypełniała je nienawiść tak wielka, że wystarczyłaby do stopienia amerykańskiego czołgu. Przeszywał mnie spojrzeniem i milczał. Zauważyłem, że nie ma broni. Chwyciłem mocniej mój Mark 12 i bardzo powoli kierowałem na niego, aż do momentu, kiedy lufa celowała wprost pomiędzy jego oczy.

Nie bał się. Nie drgnął, nie poruszył się, a ja poczułem przemożną potrzebę zabicia tego sukinsyna tak, jak siedział. W końcu po to właśnie tam przybyłem. Lub po to by go pojmać, ale ta druga opcja nie wchodziła w grę.

Sharmaka oraczała armia. Gdybym strzelił, nie przeżyłbym nawet dwudziestu sekund. Jego ludzie zastrzeliliby i mnie, i Gulaba, a potem, pozbawieni dowódcy, zmasakrowaliby całą wioskę, włącznie z dziećmi. Pomyślałem o tym i zrezygnowałem ze strzału.

Pomyślałem też o tym, że Sharmak najwyraźniej nie ma zamiaru mnie zastrzelić. Obecność Gulaba prowadziła do konfrontacji, a dowódca talibów nie rozkazałby swoim ludziom zabić syna starszego wioski. Ja też nie miałem zamiaru popełniać samobójstwa. Powstrzymaliśmy więc ogień.

Sharmak po prostu tam siedział, a Gulab skinął do przywódcy talibów, który - jak zauważyłem - wykonał prawie niedostrzegalny ruch głową, jak rzucający w baseballu potwierdza sygnał łapacza. Wtedy Gulab podszedł wprost do niego by porozmawiać, a Sharmak podniósł się i obaj odwrócili się do mnie plecami. Poszli w górę, aż zniknęli mi z oczu.

Mogli rozmawiać tylko na jeden temat. Czy teraz mieszkańcy Sabray zgodzą się mnie wydać? Nie wiedziałem, jak daleko Gulab i jego ojciec posuną się, by mnie chronić.

Opadłem z powrotem pod krzak obsypany borówkami. Niepewny swojego losu, niepewny decyzji, jaką podejmą ci dwaj ludzie gór. Każdy z nich, na swój sposób dowiódł, że jest niezłomny w swoich zasadach. Nieustępliwy zabójca, człowiek, który widział siebie jako wojownika i wybawcę Afganistanu, teraz pertraktował z głównym stróżem porządku w wiosce, człowiekiem, który, jak się zdawało, gotów

był zaryzykować wszystko dla mojego bezpieczeństwa.

Rozdział 12 Dwa-dwa-osiem! To jest dwa-dwa-osiem!

Była przekonana, że może być tylko jeden powód dla którego telefon dzwoni...

Znaleźli moje ciało w górach... W słuchawce zabrzmiał głos, który zapytał: Czy rodzina się zebrała?

Nie było ich piętnaście minut, po czym wrócili razem. Ben Sharmak stał przez kilka chwil patrząc na mnie, a potem odwrócił się i odszedł w górę razem ze swoimi bojownikami. Gulab wrócił do mnie i próbował wytłumaczyć, że Sharmak wręczył mu notkę, która brzmiała: „Albo oddacie Amerykanina, albo zginą wszyscy członkowie twojej rodziny”.

Gulab wykonał swój tradycyjny gest odmowy, po czym obaj odwróciliśmy się i patrzyliśmy jak przywódca talibów znika pomiędzy drzewami. Policjant zaoferował mi swoje ramię, pomógł podnieść się i jeszcze raz przeprowadził mnie przez las, częściowo znosząc po zboczu, nieustannie zważając na moją pokiereszowaną lewą nogę, aż dotarliśmy do wyschniętego koryta rzeki.

Tam odpoczęliśmy. Wypatrywaliśmy talibskich snajperów, ale żaden się nie pojawił. Otaczały nas natomiast ukryte pomiędzy drzewami, znajome twarze mieszkańców Sabray. Byli uzbrojeni w kałasznikowy i gotowi nas bronić.

Czekaliśmy około 45 minut. Potem, w nieznośnej górskiej ciszy, przybyło jeszcze dwóch ludzi z wioski. Wyraźnie dawali nam znaki, że powinniśmy natychmiast odejść.

Obaj chwycili mnie pod ręce i zaprowadzili w górę, pomiędzy drzewa porastające strome urwisko. Muszę przyznać, iż nie miałem już zupełnie pojęcia, co się dzieje, dokąd idziemy, co właściwie mam robić. Zrozumiałem, że nie możemy wrócić do wioski i nie spodobał mi się ton tej notki, którą Gulab schował do kieszeni.

Byłem sam pośród wieśniaków i nie miałem żadnego konkretnego planu. Noga rwała tak, że ledwo mogłem postawić ją na ziemi, więc ci dwaj ludzie, którzy mnie podtrzymywali, musieli dźwigać cały mój ciężar. Kiedy dotarliśmy do niewielkich schodków wykutych w skale, stanęli za mną i popychali mnie w górę ramionami. Na szczyt schodków wszedłem pierwszy, a kiedy się na nim znalazłem, ujrzałem

nieznanego mi afgańskiego wojownika. Uzbrojony w AK-47, trzymał go w pozycji przygotowanej do strzału, a kiedy mnie zobaczył, podniósł go do twarzy. Na głowie miał czapkę, a na niej naszywkę ze słowami, na widok których zamarło mi serce: „BUSH NA PREZYDENTA!”.

Był członkiem afgańskich sił specjalnych. Wpadłem w panikę, ponieważ miałem na sobie strój afgańskiego wieśniaka, identyczny z tymi, jakie nosili talibowie. Ale tuż za nim, przedzierając się przez krzaki, nadeszło dwóch amerykańskich Rangerów w mundurach polowych, z podniesionymi do strzału karabinami, a pierwszy z nich był wielkim, czarnym facerem.

Za mną natomiast, wykazując nieprawdopodobną przytomność umysłu, Gulab wykrzykiwał numer mojej grupy BUD/S, który widział na moim tatuażu z trójzębem:

- Dwa-dwa-osiem! To jest dwa-dwa-osiem!

Twarz Rangera rozjaśniła się nagle wielkim uśmiechem. Obrzucił spojrzeniem moją 190-centymetrową postać i rzucił:

- Amerykanin?

Zdażyłem zaledwie skinąć głową, a już po zboczu zaniósł się jego krzyk:

- To Marcus, chłopaki! Mamy go! Mamy go!

Po czym Ranger ruszył do mnie biegiem, chwycił w ramiona, a ja poczułem zapach potu, munduru i karabinu — zapachy domu, zapachy, z którymi tak się zżyłem.

Amerykańskie zapachy. Starąłem się trzymać, nie rozklejać, głównie dlatego, że SEALs nigdy nie okazałyby słabości w obecności Rangera.

- Hej, bracie - powiedział - dobrze cię widzieć.

Na górze zapanował już chaos. Żołnierze wychodzili z lasu, ze wszystkich stron.

Widać było, że są naprawdę zmęczeni, ich mundury były brudne, a każdy na twarzy miał zarost niegolony od kilku dni. Pokryci błotem, rozczochrani, uśmiechali się szeroko. Dobrze zgadłem, że od środy, od wczesnych godzin porannych, w okolicy szukali mojej grupy. Cholera, całą noc, kiedy szalała burza spędzili na zewnątrz. Nic dziwnego, że wyglądali trochę nieporządnie.

Teraz była już niedziela. Jezu, jak dobrze było znów usłyszeć język angielski, zwyczajne słowa, różne amerykańskie akcenty, znajome dźwięki. Mówię wam, kiedy

człowiek spędził jakiś czas we wrogim, obcym kraju, gdzie nikt go do końca nie rozumie — być uratowanym przez swoich, mocnych, pewnych siebie, zorganizowanych facetów, profesjonalistów, dobrze wyszkolonych, uzbrojonych po zęby, gotowych na wszystko, tryskających przyjaźnią -no cóż, jest to uczucie najwyższej radości. Doradzałbym jednak przygotować się wcześniej na taki moment. Natychmiast przystąpili do akcji. Dowódca rozkazał grupie wynieść mnie z lasu na wyżej położony teren. Wnieśli mnie na wzgórze i posadzili obok zagrody dla kóz. Sanitariusz Travis natychmiast przystąpił do opatrywania moich ran. Zdjął stary oparrunek, który założył Sarawa, nałożył maść bakteriobójczą i nowe bandaże. Podał mi wodę i antybiotyki. Kiedy skończył, poczułem się niemal jak człowiek. Atmosfera była najwyraźniej radosna, bo wszyscy poczuli, że zadanie zostało wykonane. Wszyscy Amerykanie biorący udział w bitwach rozumieją to uczucie radości połączonej z refleksją — wiele rzeczy mogło pójść źle, ale uniknęliśmy tego dzięki swoim umiejętnościom.

Ci Rangerzy i Zielone Berety też to czuli. Na kilometrach kwadratowych górskich pustkowi jakoś odnaleźli mnie żywego. Jednak wiedziałem, że nie do końca zdają sobie sprawę z tego, w jak wielkim niebezpieczeństwie się znaleźliśmy. Wyjaśniłem im, ilu talibskich bojowników kryje się w górach, ilu ich stanęło przeciwko nam na Wzgórzu Murphy'ego. Obecność Sharmaka i jego armii, tak blisko, możliwe, że nas obserwują... nie, nie tak. Na pewno nas obserwują. Byliśmy tam wszyscy razem i z pewnością, w razie ataku, stanowilibyśmy potężną siłę bojową, ale i tak przetrzebiliby nas. Teraz wszyscy byliśmy otoczeni przez armię talibów, nie tylko ja. Poinformowałem ich o sytuacji tak szczegółowo jak zdołałem. Przede wszystkim wyjaśniłem, że wszyscy moi towarzysze - Mikey, Axe i Danny - polegli. Okazało się to dla mnie szczególnie trudne, ponieważ jeszcze nikomu o tym nie mówiłem. Nie miałem jak złożyć raportu i nie było nikogo, kto by zrozumiał, ile ci ludzie dla mnie znaczyli i jak wielkie uczucie pustki pozostanie we mnie do końca życia.

Spoglądałem na swoje uda, gdzie nadal miałem naszkicowane drogi, odległości i



dane o terenie. Pokazałem im obszary, gdzie według mojej wiedzy stacjonowali talibowie i pomogłem im pozaznaczać je na mapach. „Tutaj, tu i tu, chłopaki, tam właśnie siedzą”. W rzeczywistości te gnojki były wszędzie wokół nas i tylko czekały na okazję. Miałem przeczucie, że Sharmak mógł się obawiać konfrontacji z amerykańską siłą ognia. Połowę ludzi stracił już na wzgórzu w starciu z naszą czwórką. Teraz było nas o wielu więcej. Zebraliśmy się wokół zagrody dla kóz, a sanitariusz Travis popisывał się swoją sztuką.

Zapytałem dowódcę Rangerów ilu ma ludzi, a on odrzekł:

- Wystarczy. Dwudziestu.

Moim zdaniem to mogło nie wystarczyć, ponieważ Sharmak z powodzeniem mógł powrócić z armią w sile 150 do 200 bojowników oraz ze wsparciem al-Kaidy.

— Mamy w pogotowiu śmigłowce szturmowe, Apache 64 -odrzekł - i wszystko, czego będziemy potrzebowali. Wystarczy.

Podkreśliłem ponownie, że niewątpliwie jesteśmy otoczeni, a on odparł:

- Zrozumiałem, Marcus. Będziemy działać odpowiednio do sytuacji.

Zanim ruszyliśmy, zapyrałem jak, do cholery, mnie odnaleźli. Okazało się, że ro dzięki mojemu wystawionemu przez okno górskiej chaty nadajnikowi transmirującemu sygnał alarmowy. Załogi samolotów odebrały go, kiedy krążyły nad górami i to naprowadziło ich na wioskę. Byli całkiem pewni, że właścicielem tego PRC-148 był ktoś z grupy SEALsów, ale musieli brać pod uwagę możliwość, że zostało ono skradzione przez talibów.

Nie myśleli jednak, że w tym przypadku radia używa afgański wieśniak i uważali za nieprawdopodobne, żeby transponder został wymierzony w niebo przez kogoś, kto nie miał pojęcia, do czego on służy.

Tak doszli do wniosku, że jeden z SEALsów jest na dole, w wiosce lub gdzieś bardzo blisko niej. W ten sposób chłopcy namierzili mnie, zarzucając swoją sieć tuż obok sieci talibów. I nagle pojawiłem się, wystrojony jak zastępca Osamy bin Ladena, ramionami obejmujący dwóch wieśniaków, jakbyśmy byli trzema pijakami zataczającymi się w górę po zboczu, a za nami policjant wykrzykujący: „Dwa-dwa-osiem!”.

Pod przewodnictwem Gulaba wyruszyliśmy w stronę wioski i weszliśmy do chaty, tej, w której przesiedzieliśmy burzę. Żołnierze ustawili strażę na obrzeżach Sabray i wnieśli mnie do największego pokoju. Zauważyłem, że na drzewie tuż przed oknem siedzi znajomy kogut. Teraz, dla odmiany, był cicho, ale wspomnienie jego popisów nadal wyzwalalo we mnie chęć odstrzelenia mu łba.

Chłopcy zakrzętnęli się wokół herbaty i zasiedliśmy do bardziej szczegółowego omówienia sytuacji. Było już południe. Obecni byli bardzo dystygowani przedstawiciele wojskowego personelu — od kapitanów w dół, głównie Rangerzy i Zielone Berety. Zanim zaczęliśmy, czułem się w obowiązku powiedzieć im, że miałem nadzieję, że przybędą po mnie SEALsi, bo jasne było, że od tej pory będę musiał wysłuchiwać od nich bzdur w stylu: „Widzisz? SEALsi wpadają w tarapaty i muszą posyłać po armię, żeby ich wydostała. Jak zwykle”.

Skwitowali to gromkim śmiechem, ale nie przeoczyli mojej bezgranicznej wdzięczności dla nich za wielkie ryzyko, którego się podjęli, by mnie ratować. To były dobre chłopaki i kontrolowali sytuację najbatdziej zawodowo jak się da. Po pierwsze poinformowali bazę, że zostałem odnaleziony, że jestem w dobrym stanie i nic nie zagraża mojemu życiu, chociaż niestety pozostali trzej członkowie grupy polegli w bitwie. Słyszałem jak potwierdzili, że mają mnie i nadal jesteśmy w potencjalnie zagrożonej atakiem afgańskiej wiosce, otoczeni przez talibów i bojowników al-Kaidy. Prosili o zorganizowanie ewakuacji tuż po zachodzie słońca. Przez długi czas starałem się dokładnie opisać szczegóły zdarzeń, jakie miały miejsce na i poza polem bitwy. Co jakiś czas dzieci wpadały, żeby się ze mną zobaczyć. Były wszędzie, wieszaly mi się na ramionach, obejmowały za szyję, mówiły, krzyczały i śmiały się. Dorośli również przyszli i musiałem nalegać, żeby zostali, szczególnie Sarawa, który znów się zjawił i Gulab, który nigdy nie zniknął. Zawdzięczałem im życie.

Jak dotąd nikt nie odnalazł ciał Mike'a, Danny'ego i Axe'a. Spędziliśmy mnóstwo czasu na oglądaniu zdjęć z satelity, chcąc określić dokładnie miejsca, w których zginęli. Żołnierze mieli część wiedzy na temat starcia, a ja mogłem wypełnić wiele

luk. W szczególności opowiedziałem o tym, jak spadliśmy na rozkaz Mike'a, a później znów spadaliśmy — o tym jak nie mieliśmy innej możliwości poza przenoszeniem linii obrony w dół, coraz niżej.

Opowiedziałem jak Axe bronił naszej lewej flanki z tak niesamowitą odwagą. Jak Danny — postrzelony wiele razy — nadal strzelał, walcząc o prawą flankę aż do osratnego tchu.

I o tym jak w końcu napastników było zbyt wielu, zbyt dobrze uzbrojonych w zbyt wiele rosyjskich granatów, z których jeden ostatecznie zmiotł Axe'a i mnie z pola bitwy.

Straty talibów były, co oczywiste, ogromne. Wyglądało na to, że wszyscy się tego spodziewali. Myślę, że wszyscy obecni, włącznie z Gulabem, byli przekonani, że talibowie nie zaryzykują kolejnego frontального starcia z Amerykanami. I rak czekaliśmy aż słońce schowa się za szczytami gór. Pożegnałem się z wszystkimi dziećmi. Niektóre płakały. Sarawa po prostu wymknął się po cichutku i więcej już go nie zobaczyłem.

Gulab zaprowadził nas na dół, na pole w dolnym krańcu wioski. Włączyliśmy radia i czekaliśmy. Rangerzy ustawili strażę na obrzeżach, na wypadek gdyby talibowie zdecydowali się zaatakować. Wiedziałem, że gdzieś tam są, nie zdejmowałem więc wzroku ze wzgórza, kiedy tak siedzieliśmy - dwudziestu żołnierzy i około dziesięciu wieśniaków, ludzi którzy byli przy mnie od samego początku.

Siedliśmy wszyscy w ciemnościach, plecami oparci o kamienny mur, obserwując pole i czekając. Na krótko przed 22:00, z daleka, znad horyzontu, doleciało nas charakterystyczne dudnienie wielkiego helikoptera armii USA, hałasującego nad górami.

Zobaczyliśmy jak krąży, daleko od szczytów, gdzie, jak sądziłem, stacjonowały wojska talibów i al-Kaidy. I wtedy nagle Gulab chwycił moje ramię i wyszeptał: — Marcus! Marcus! Talibowie!

Spojrzałem ponad urwisko i tam w ciemnościach dostrzegłem białe światła poruszające się szybko po górskim zboczu.

— Talibowie! Marcus! Talibowie!

Widziałem, że Gulab jest bardzo zaniepokojony, wezwałem więc dowódcę i wskazałem zagrożenie.

Wszyscy zareagowaliśmy błyskawicznie. Gulab, który nie był uzbrojony, złapał mój karabinek i wraz z jednym z wieśniaków pomogli mi wdrapać się na mur i zeskoczyć po drugiej stronie, dużo wyżej położonej. Kilku wieśniaków pobiegło jak najszybciej w górę, w kierunku swoich chat. Gulab nie. Stał wyprostowany za murem i wycelował mój karabinek prosto w nieprzyjaciela na zboczu.

Operatorzy radiostacji ruszyli do akcji i wezwali amerykańską flotę powietrzną, która - jak wiedzieliśmy - czekała w pogotowiu. Bombowce i helikoptery gotowe w każdej chwili zaatakować górę, gdyby pojawiło się choćby podejrzenie, że talibowie będą próbowali zestrzelić helikopter ratunkowy.

Według mnie, z pewnością planowali ostatni atak, ostatnią próbę zabicia mnie. Chwyciłem noktowizor, za murem przyjąłem pozycję obserwatora i starałem się namierzyć górali, przyszpilić ich raz na zawsze.

Nadal widzieliśmy helikopter ratunkowy, który był jeszcze daleko, kiedy amerykańskie siły zbrojne, najwyraźniej mające już dość pieprzonego Bena Sharmaka, w końcu dały ognia. Z rykiem ruszyły przez ciemne rozpadliny, rozpętując przy tym piekło na zboczach - bombami, raketami i wszystkim, co mieli ze sobą. Rozpętała się burza zabójczych eksplozji. Nikt nie mógł tego przeżyć.

Dla talibów tej nocy światła zgasły. Wszystkie te małe białe promyki, ogniska i latarnie pogasły. A ja kucając wykrzykiwałem do operatorów zamiary na pozycje talibów, czyli robiłem to, do czego zostałem przeszkolony. Potem stanąłem z uśmiechem na twarzy i obserwowałem jak moi koledzy tłuką na miazgę tych małych gnoi, którzy bili moje dzieciaki i zabili moich towarzyszy. Pieprzyć ich, nie?

Był to ponury uśmiech, przyznaję, ale ci goście ścigali mnie, torturowali, tropili, próbowali zabić chyba ze sro razy, wysadzili mnie w powietrze, próbowali porwać i grozili mi egzekucją. A teraz moi chłopcy dawali im popalić. Pięknie. Widziałem raport stwierdzający, że tej nocy zginęło tam trzydziestu dwóch talibów i członków al-Kaidy. Za mało.

Ogłuszający łoskot w wysokim Hindukuszu zamilkł. Amerykański atak z powietrza został zakończony. Lado-

wisko zostało oczyszczone i zabezpieczone, a helikopter ratunkowy nadlatywał z południa.

Zielone Berety nadal zajmowały się utrzymaniem łączności i naprowadzaniem pilota na świeżo zaorane pole opium. Pamiętam, jak łopaty helikoptera rysowały na czarnym niebie zielone świecące halo.

Usłyszałem jak helikopter nadlatuje w naszym kierunku - jak duch amerykańskiej potęgi powietrznej wśród nocy. Był to wszechogarniający, Trzeszczący, ogłuszający hałas, rozlegający się wśród szczytów Hindukuszu. Bardziej jak grzmot niż echo. Żaden helikopter nie naruszył jeszcze miejscowej ciszy tak brudnie. Przerażająca cisza gór ustąpiła przed drugim już tej nocy dźwiękowym szturmem. Ziemia zadrżała. Kurz podniósł się w wirujących kłębach. Łopaty przecinały czyste górskie powietrze. Był to najpiękniejszy dźwięk jaki w życiu słyszałem.

Helikopter opadał powoli aż usiadł kilka metrów od nas. Ładunkowy zeskokczył na ziemię i otworzył główne drzwi. Z pomocą chłopaków wszedłem do kabiny, po czym dołączył do mnie Gulab. Wystartowaliśmy natychmiast. Żaden z nas nie wyjrzał na zewnątrz na pogrążoną w ciemnościach wioskę Sabray. Ja dlatego, że wiedziałem, że nic nie zobaczę. Gulab dlatego, że nie wiedział czy jeszcze tam wróci. Groźby raliarów pod adresem jego i jego rodziny były bardziej poważne, niż chciał przyznać. Bał się lotu helikopterem, więc ścisnął moje ramię przez całą drogę do Asadabadu. Tam wysiedliśmy. Ja leciałem do Bagram, a Gulab miał zostać jakiś czas w tej bazie, w jego własnym kraju, i pomagać amerykańskiemu wojsku jak tylko będzie mógł. Uściskałem na pożegnanie tego tajemniczego człowieka, który ryzykował dla mnie życie. Wydawał się nie oczekiwać niczego w zamian, ale jeszcze raz zaoferowałem mu zegarek. Odmówił, tak jak czterokrotnie wcześniej.

Nasze pożegnanie było dla mnie bolesne, ponieważ nie znałem takich słów w jego języku, które oddawałyby

moją wdzięczność. Nigdy się tego nie dowiem, ale prawdopodobnie on również powiedziałby coś szczególnego, gdyby tylko znał angielskie słowa. Mogłoby to być

nawet coś ciepłego i czułego w rodzaju... hmm... „Ty hałaśliwy gnojku, łazisz jak słoń, niewdzięczny skurczybyku” lub „Nie pasuje ci nasze najlepsze kozie mleko, co?”.

Niestety, nic nie mogliśmy powiedzieć. Ja wyruszałem do domu, a on być może nigdy nie będzie mógł powrócić do swojego. Nasze drogi, które skrzyżowały się tak niespodziewanie i tak dramatycznie odmieniły nasze losy, miały się teraz rozejść.

Wsiadłem na pokład wielkiego C-130 lecącego do Bagram, do mojej bazy.

Usiedliśmy na głównym pasie

O 23:00, w sześć dni i cztery godziny od momentu, kiedy Mikey, Axe, Danny i ja leżeliśmy w dokładnie tym samym miejscu, gapiąc się na odległe, pokryte śniegiem szczyty, śmiejąc się, żartując, pełni optymizmu jak zawsze, nieświadomi próby ognia, jaka czekała nas wysoko w górach. Upłynął niecały tydzień, a dla mnie to było jak tysiąc lat.

Przywitało mnie aż czterech lekarzy i otrzymałem wszelką możliwą pomoc. Była tam też grupka pielęgniarek, a jedna z nich pamiętała mnie jeszcze z okresu mojej pracy w szpitalu. Wszystkie były zszokowane moim widokiem, ale ta jedna, kiedy spojrzała na mnie, gdy stanąłem na rampie, rozplakała się.

Tak strasznie wyglądałem. Straciłem na wadze 17 kilogramów. Część twarzy zdarłem jeszcze przy pierwszym spadaniu ze szczyru, mój nos wymagał nastawienia, byłem wycieńczony bólem w nodze, szarpał mnie ból w nadgarstku

i w plecach, tak jak to bywa, kiedy człowiek ma złamane trzy kręgi. Bóg raczej wie, ile litrów krwi straciłem. Byłem blady jak duch i z trudem stawiałem kroki.

Ta pielęgniarka jęknęła: „Och, Marcus!”, odwróciła się i zaczęła szlochać. Nie chciałem położyć się na noszach i — ignorując ból — wsparłem się na ramieniu lekarza. Ale on wiedział jak jest naprawdę:

- Daj spokój, człowieku - powiedział. - Położymy cię na nosze.

Ponownie odmówiłem. Dostałem zastrzyk z morfiny i spróbowałem wstać bez pomocy. Odwróciłem się twarzą do lekarza, spojrzałem mu prosto w oczy i powiedziałem:

- Wsiadłem sam i wysiądę sam. Jestem ranny, ale nadal jestem Foką, nie wykończyli

mnie. Jeszcze chodzę.

Lekarz tylko pokręcił głową. Spotkał już wcześniej wielu ludzi takich jak ja, wiedział więc że dyskusja nic nie da. Pewnie przypuszczał, co miałem na myśli: „Jakim byłbym SEALsem, gdybyście musieli pomagać mi wysiąść z samolotu? Nie, sir. Nie zgadzam się”.

I tak ponownie wkroczyłem na teren bazy. Schodziłem po rampie bardzo powoli, o własnych siłach, aż dotknąłem ziemi. W tym momencie zauważyłem, że dwie z pozostałych pielęgniarek również płaczą i pomyślałem: „Dzięki Bogu, że moja mama mnie tetaz nie widzi”.

W tym momencie nogi się pode mną ugięły. Lekarz i pielęgniarki podbiegli, żeby mnie podtrzymać, zapakowali do furgonetki i ruszyliśmy prosto do szpitala. Czas na bohaterstwo minął. Wytrzymałem każdy cios, jaki spadł na mnie w tym pieprzonym kraju. Przeszedłem przez Tydzień w Piekło do dziesiątej potęgi i teraz byłem bezpieczny.

Faktycznie, czułem się wyjątkowo paskudnie. Morfina nie była tak dobra jak opium, które wcześniej zażywałem, więc bolało mnie dosłownie wszystko. Oficjalnie przywitał mnie dowódca SEALsów, komandor porucznik Ken Pero, któremu towarzyszył mój lekarz, pułkownik Carl Dickens.

Jadący ze mną w furgonetce komandor porucznik Pero, wysokiej rangi oficer SEALsów, od czasu, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, zawsze pamiętał moje nazwisko. Teraz usiadł przy mnie i ściskając moje ramię zapytał, jak się miewam. Odpowiedziałem:

- Czuję się dobrze, sir.

A wtedy on powiedział tylko: „Marcus”. Pokręcił głową i zobaczyłem jak po twarzy tego niezwykle twardego czło-

wieka, szefa mojego dowódcy, płyną łzy - łzy ulgi, że żyję. Zabawne, ale po raz pierwszy od długiego czasu był przy mnie ktoś, kto naprawdę przejmował się moim losem, pierwszy raz od czasu, kiedy Mikey, Axe i Danny zginęli.

Ogarnęło mnie wzruszenie i rozkleiłem się w tej furgonetce. Kiedy się już pozbierałem, Pero zapytał czy czegoś potrzebuję i zapewnił, że cokolwiek by to było,

on to zdobędzie.

- Tak, sir - odpowiedziałem, ocierając łzy prześcieradłem. - Czy mógłbym dostać cheeseburgera?

Kiedy byłem już bezpieczny w Bagram, wydano komunikat o moim ocaleniu. W rękach amerykańskich sił zbrojnych byłem już od kilku godzin, ale wiedziałem, że marynarka nie chce żadnych uroczystości dopóki nie będą mieli pewności, że naprawdę nic nie zagraża mojemu zdrowiu.

Wiadomość, jak pocisk zdalnie sterowany, przeleciała po liniach telefonicznych przez pół świata: Bagram -Bahrajn - SATCOM - SPECWARCOM w Coronado -i bezpośrednia linia na ranczo.

Ostatni raz telefon zadzwonił, według stałego harmonogramu połączeń, około 13:00. Spodziewali się więc kolejnego komunikatu: „Żadnych wieści” około 16.00. Ale tym razem telefon zadzwonił o 15:00. Wcześniej. Według relacji ojca, kiedy bosman sztabowy Gothro wyszedł na zewnątrz i przeszedł przez tłum, żeby poprosić moją mamę, bo dzwonił telefon z Coronado, ona niemal zemdląła. Według niej mógł być tylko jeden powód, dla którego dzwonili, czyli śmierć jej aniołka (to znaczy moja). Gothro podtrzymując mamę, przyprowadził ją do domu, a kiedy weszli do sypialni, gdzie zainstalowana była bezpośrednia linia, zobaczyła jak Morgan i mój drugi brat Scottie obejmują się i niepohamowanie łkają. Wiedzieli, czym jest wojna. Telefon mógł dzwonić tylko z jednego powodu. Znaleźli w górach moje ciało.

Gothro podprowadził moją mamę do aparatu i powiedział, że jakakolwiek to jest wiadomość, ona musi sobie z nią poradzić. W słuchawce odezwał się głos, który zapytał:

- Bosmanie, czy rodzina już się zebrała?

- Tak jest.

- Pan i Pani Luttrell?

- Tak — wyszeptała mama.

- Mamy go, proszę pani. Mamy Marcusa. Jego stan jest stabilny.

Mama zaczęła się osuwać na podłogę sypialni. Scottie szybko podtrzymał ją, żeby nie upadła. Kapitan JJ Jones ruszył do drzwi, stanął na ganku i poprosił wszystkich



O ciszę. Potem krzyknął:

- Mają go! Marcus został uratowany!

Mówiono mi, że wrzask, jaki rozległ się nad pustymi pastwiskami wschodniego Teksasu słyszany był aż w Houston, 90 kilometrów dalej. Morgan mówi, że nie był to taki zwykły ryk. Był spontaniczny. Ogłuszający. Wszyscy razem, z całych sił wypuścili z siebie ulgę i radość w imieniu mamy, taty i całej rodziny.

Oznaczał on zakończenie pięciodniowego czuwania, w czasie którego wierni zanieśli do Boga miliony modlitw. W ułamek sekundy po tym ogłoszeniu zrozumieli, że modlitwy zostały wysłuchane. Dla nich było to potwierdzenie wiary.

Natychmiast wciągnęli na maszt flagę, która załopotała na gorącym letnim wietrze. Potem SEALsi połączyli ręce z moimi bliskimi, z sąsiadami, z ludźmi, których być może więcej nie zobaczą, ale z którymi teraz byli już nierozzerwalnie złączeni na resztę życia. Bo nikt, według tego, co mówi mama, nie mógłby zapomnieć tej wspólnej chwili, tego długo oczekiwanego momentu ulgi, w którym lęk i strach zostały ukojone.

Byłem żywy. Wydaje mi się, że to im wystarczyło. Wszyscy ci wspaniali ludzie o sercach wielkich jak teksańskie prerie, nagle zaczęli śpiewać: „Boże, chroń Amerykę, kraj, który kocham...”.

Pani Herzogg i jej córki, Billy Shelton, bosman sztabowy Gothro, mama i tata, Morgan i Scottie, kapitan Andy Haffele i jego żona Kristina, Erie Rooney, komandor porucznik Jeff Bender, starszy sierżant Daniel, kapitan JJ Jones i wszyscy inni, o których już wcześniej wspomniałem. Czekali na to pięć dni i pięć nocy. I nateszcie jestem, bezpieczny i w szpitalnym łóżku, 13 tysięcy kilometrów od domu i myślę o nich, tak jak oni o mnie.

Tak naprawdę to w tym momencie obmyślałem przemądrzały tekst, który rzucę do Morgana, bo właśnie dowiedziałem się, że połączą mnie telefonicznie z rodziną.

Domyśliłem się, że mój brat tam będzie, więc jeśli powiem coś naprawdę beztróskiego, upewnię go, że wszystko ze mną w porządku. Naturalnie, najważniejsze dla mnie było nie to, że porozmawiam z Morganem, ale z mamą i tatą. Brat i ja od dawna byliśmy w kontakcie, bo tak zazwyczaj mają bliźnięta.

Mniej więcej wtedy przydzielono mi ochronę. Starszy bosman Jeff Delapenta (10. Zespół SEALs), miał mnie odtąd nie opuszczać. Pamiętajcie, że niemal każdy w bazie chciał przyjść do mnie i pogadać. Przynajmniej tak to wyglądało. Jeff nie wpuszczał nikogo. Stał przy drzwiach mojej sali, jak owczarek niemiecki, z niezłomnym przekonaniem, że jestem chory, potrzebuję ciszy i odpoczynku, a on będzie mi to zapewniał.

Lekarze i pielęgniarki, proszę bardzo. Wysokiej rangi oficerowie SEALsów... OK, ale nikt więcej. Wszyscy inni mogą o tym zapomnieć. Jeff Delapenta potrafił odmówić generałom! Mówił im, że odpoczywam i nie można mi przeszkadzać, niezależnie od okoliczności. „Ścisłe zalecenia lekarzy... Sir, straciłbym nie tylko karierę, gdybym wpuścił pana do tego pokoju”.

Porozmawiałem z moimi bliskimi, ale powstrzymałem się przed wyznaniem mamie, że złapałem jakąś afgańską, górską bakterię, która atakowała właśnie mój żołądek, jak meksykańska Zemsta Montezumy. Jak Boga kocham, musiała pochodzić z tej pieprzonej butelki po pepsi. To cholera zdolne było wykończyć całą populację Hindukuszu.

Na szczęście bakteria nie zepsuła mi przyjemności zjedzenia pierwszego cheeseburgera. A kiedy już wypocząłem, zaczęło się szczegółowe raportowanie. Wtedy właśnie dowiedziałem się o wszystkich konsekwencjach lochaj, o tym, że mieszkańcy Sabray rzeczywiście byli gotowi walczyć za mnie do ostatniego. Człowiek z wywiadu wyjaśnił mi szczegóły, których domyślałem się, ale nie byłem pewien.

Te przesłuchania ujawniły wystarczająco dużo informacji potrzebnych do namierzenia miejsca, gdzie leżały ciała moich rowarzystów. Bardzo dla mnie trudne było oglądanie zdjęć, odrwarzanie zdarzeń, podczas gdy nikt z obecnych nie mógł zrozumieć co czułem. Szukanie miejsca, gdzie padł mój najlepszy kumpel. Sam siebie torturowałem, zastanawiając się po raz kolejny, czy mogłem go ocalić. Czy mogłem coś jeszcze zrobić? Tej nocy, po raz pierwszy, usłyszałem we śnie krzyk Mike'a.

Trzeciego dnia mojego pobytu w szpitalu ciała Mike'a

1 Danny'ego zostały przywiezione z gór. Nie mogli odnaleźć ciała Axe'a. Ubrałem się tylko w koszulę i jeansy, a doktor Dickens zawiózł mnie na Ceremonię Rampy, jedną z najświętszych tradycji SEALsów, podczas której oficjalnie żegnamy się z poległymi braćmi.

Wtedy wszyscy, poza moim najbliższym otoczeniem, zobaczyli mnie po raz pierwszy i najprawdopodobniej przeżyli wielki szok. Byłem co prawda czysty i wyprasowany, ale zupełnie nie przypominałem Marcusa, którego znali. No i byłem schorowany po brutalnym starciu z przekłętą butelką po pepsi.

C-130 stał na pasie z opuszczoną rampą, a przy nim zebrało się dwieście osób. Dwa hunwee nadjechały wioząc trumny przykryte amerykańskimi flagami. Zebrani momentalnie zamilkli, nie padła nawet jedna komenda. SEALsi wystąpili do przodu, by oddać honory swoim braciom.

Bardzo powoli i z najwyższym szacunkiem podnieśli trumny wysoko, po czym ponieśli ciała Mike'a i Danny'ego pięćdziesiąt metrów, na rampę samolotu.

Ustawiłem się z tyłu i obserwowałem jak koledzy ostrożnie niosą moich towarzyszy na początku ich drogi do Stanów Zjednoczonych. Tysiące wspomnień stanęły mi przed oczami. Myślę, że tak byłoby z każdym, kto trafiłby z nami na Wzgórze Murphy'ego.

Danny spadający ze szczytu, jego odstrzelony prawy kciuk, nadal strzela, znów trafiony, i znów, i znów, podnosi się, kiedy ja ciągnę go po ziemi, jeszcze raz unosi karabin i strzela do nieprzyjaciela, nadal strzela, nie poddaje się, wojownik do ostatniego tchnienia. A teraz w błyszczącej, drewnianej rrumnie.

Z przodu trumna, w której spoczywa Mikey Murphy, nasz dowódca, który wyszedł w grad pocisków, żeby wykonać ten jeden telefon. Telefon, który ściągnął na niego śmiertelne niebezpieczeństwo, był, jak sądził Mikey, jedyną szansą na uratowanie nas.

Postrzelony przez talibów w plecy, kula przeszła na wylot, krew tryskająca z jego piersi, telefon na ziemi, a on go podnosi. „Zrozumiałem, sir. Dziękuję”. Czy kiedykolwiek istniał ktoś bardziej odważny niż on? Pamiętam jak bardzo byłem zszokowany widząc go wstającego i idącego w moim kierunku. Wysoki,

wyprostowany, wciąż strzelał, aż do momentu, w którym oni odstrzelili mu pół głowy. „Marcus, ru jest do dupy”.

Miał rację. Nadal miał rację. To było do niczego. Kiedy nieśli Mikeado samolotu, próbowałem ułożyć epitafium dla mojego najlepszego kumpla i przyszedł mi do głowy tylko jeden wiersz, napisany przez Australijczyka, Banjo Patersona. Sądzę, że Paterson stworzył ten wiersz dla kogoś, kogo uznawał za bohatera. Takim bohaterem dla mnie był Mikey:

Silny był, twardy i niepokonany — ten, który nigdy  
„umieram” nie wyrzekł —

Było męstwo w jego pośpiesznym kroku; I order odwagi w jasno płonącym oku, A dumy i honoru postawą swą strzegł.

Dokładnie taki był kapitan Michael Patrick Murphy. Możecie mi wierzyć.

Mieszkałem z nim, trenowałem razem z nim, walczyłem u jego boku i niemal zginąłem razem z nim. Każde słowo tego wiersza napisano o nim.

A teraz niosą go wśród tłumu, mijają mnie, a moi dowódcy podchodzą i mówią, że powinienem stanąć przy rampie. Ruszyłem więc do przodu i stałem tam na tyle sztywno i nieruchomo, na ile pozwalał mi kręgosłup.

Kapelan podszedł do rampy, a kiedy trumny się zbliżały, rozpoczął kazanie. Wiem, że to nie był pogrzeb, nie taki, na który przyjdą ich rodziny w Stanach. To był nasz pogrzeb, moment, w którym my - ich druga rodzina - wszyscy na służbie poza granicami kraju, żegnaliśmy dwóch wspaniałych ludzi. Głos księdza przy ładowni samolotu brzmiał miękko. Stał tam dziękując za ich życie i prosząc Boga o ostatnią łaskę: „A światłość wiekuista niechaj im świeci...”.

Przyglądałem się siedemdziesięciu SEALsom, Rangerom i Zielonym Beretom stojącym w rzędzie. Powoli wchodzili do samolotu, stawali na baczność, uroczyście salutowali i wychodzili. Ja stałem na ziemi, aż do momentu, kiedy wyszedł ostatni z nich, a potem też podszedłem powoli po rampie do miejsca, w którym stały trumny. Wewnątrz samolotu, za SEALsami, którzy trzymali wartę przy trumnach, dostrzegłem wielkiego twardziela, weterana wielu walk, bosmana Bena Saundersa, jednego z najbliższych przyjaciół Danny'ego, który zanosił się szlochaniem. Ben był

bardzo wytrzymałym góralem z zachodniej Wirginii, znakomitym tropicielem i wspinaczem, w pewien sposób duchowo związanym z dziką przyrodą. A teraz stał przyrulony do przegrody, zbyt smutny by wyjść, zbyt załamany, by zejść po schodkach. Służył w 2. Zespole SDV, tak jak Danny.

Ukląkłem przy trumnach i pożegnałem się z Dannym. Następnie zwróciłem się do tej, w której spoczywało ciało Mike'a, otoczyłem ją ramionami i chyba powiedziałem: „Przykro mi. Tak strasznie mi przykro”. Nie pamiętam wszystkiego dokładnie, ale wiem jak się czułem. Nie wiedziałem co robić.

Pomyślałem, że szczątki Mike'a zaraz zostaną zabrane i niektórzy ludzie o nim zapomną, inni będą ledwo pamiętać, a kilku zapamięta go bardzo dobrze i - wiem to na pewno - z miłością.

Jednak na nikogo śmierć Mike'a nie będzie miała takiego wpływu jak na mnie. Nikt nie będzie za nim tęsknił tak bardzo jak ja. Będę czuł jego ból, słyszał jego krzyk. Nikt nie zobaczy Mike'a nad ranem, w najgorszym koszmarze - ja tak. Nadal będzie dla nich ważny i nadal będą zastanawiać się, czy zrobili cUa niego wystarczająco dużo. Ja również.

Wyszedłem z samolotu i bez pomocy zszedłem po schodkach. Doktor Dickens zawiózł mnie z powrotem do szpitala. Stałem i słuchałem jak C-130 startuje, słuchałem huku silników na pasie startowym, kiedy samolot zabierał Mike'a i Danny'ego na zachód, w kierunku zachodzącego słońca, kilka kilometrów bliżej nieba.

Słowa powtarzane na tysiącach ceremonii pogrzebowych przeleciały mi przez głowę:

Czas ich nie pokona, lata ich nie zgładzą

Będziemy o nich pamiętać

O zachodzie słońca i o poranku.

Leżąc na szpitalnym łóżku w Bagram w Afganistanie, odprawiałem własną, wojskową mszę za dwóch moich poległych kumpli.

Teraz moim zmartwieniem był Axe. Co się z nim stało? Przecież nie mógł przeżyć?

Jednak nasi ludzie nie mogli go odnaleźć, a to źle. Odszukałem na mapach i zdjęciach miejsce, w którym obaj leżeliśmy czekając na śmierć, podczas gdy

niewidoczni talibowie zasypywali nas zza skał gradem kuli aż w końcu wysadzili nas w powietrze i posłali w przepaść.

Przeżyłem, ale nie byłem postrzelony pięć razy, tak jak Axe. Pamiętałem co do centymetra miejsce, gdzie widzia-

łem go po raz ostatni. Jeszcze raz powiedziałem to chłopakom, a dowództwo SEALsów nie miało zamiaru go tam pozostawić. Wyruszą ponownie, tym razem mając już więcej danych i lepsze wsparcie miejscowych.

Zasugerowałem, żeby odnaleźli staruszka z wioski Sabray, jeśli nadal tam był.

Spośród wszystkich miejscowych tylko on mógł doprowadzić ich do ciała. Od ludzi z wywiadu dowiedziałem się, że džentelmen, o którym mówię, jest przywódcą trzech wiosek będących pod naszą obserwacją. Jest człowiekiem bardzo szanowanym w całym Hindukuszu. Tamtejsza społeczność nie hołduje młodości i tanim telewizyjnym celebrytom. Mieszkańcy gór ponad wszystko cenią wiedzę, doświadczenie i mądrość.

Skontaktowaliśmy się z nim natychmiast, a w kilka dni później ten sam człowiek, ojciec Gulaba, mój dobroczyńca, jeszcze raz pokonał sześć czy osiem kilometrów przez góry. Tym razem szedł na czele oddziału amerykańskich SEALsów, Plutonu Alfa, wśród których byli moi kumple Mario, Corey, Garrett, Steve, Sean, Jim i James. (Żadnych nazwisk. Akrywni członkowie sił specjalnych, rozumiecie?).

Była tam też grupa z Plutonu Echo. Cały dzień wędrowali po stromym zboczu góry, a wzięli ze sobą dodatkowe zapasy jedzenia i wody na wypadek, gdyby miało to trwać dłużej. Tym razem nie mieli zamiaru wracać bez Axe'a. Nie, sir. Nigdy nie zostawiamy człowieka samego. Starzec prawie się do nich nie odzywał, ale szedł prosto do miejsca, gdzie leżał Matthew Gene Axelson. Jego twarz była poharatana wieloma strzałami z małej odległości - w tak osobliwy, staroświecki sposób postępują talibowie, kiedy znajdą śmiertelnie rannego Amerykanina. Przy okazji, jeśli ktokolwiek ważyłby się wspomnieć o Konwencji Genewskiej w momencie, kiedy o tym piszę, mógłbym mniej lub bardziej stracić kontrolę nad sobą.

Tak czy inaczej, znaleźli Axe'a, a w jego twatzy tkwiły kule, które talibskie karabiny wystrzeliły, kiedy on leżał dogorywając. To samo spotkało Mike'a. Axe'a znalazł-

no w innym miejscu niż myślałem. Wiedziałem, że obaj wylecieliśmy z dziury, wyrzuceni wybuchem RPG. Ja spadłem wtedy w przepaść, ale Axe leżał jeszcze kilkaset metrów dalej. Nikt nie wie jak się tam dostał.

Kiedy uderzył w nas granat, Axe miał jeszcze trzy magazynki, a kiedy go znaleźli martwego, został mu jeden. To mogło oznaczać tylko jedno: Axe walczył, kiedy odzyskał przytomność po eksplozji. Wystrzelił jeszcze około trzydziestu naboji do tych sukinsynów, a to musiało ich naprawdę wkurzyć. Myślę, że właśnie dlatego, kiedy ostatecznie poddał się pod naporem najcięższych ran, zafundowali mu tak barbarzyński finał.

Kiedyś myślałem, że Audie Murphy"" był największym spośród amerykańskich wojowników. Teraz już nie jestem tego pewien. Teraz już nie. Nie potrafię wyrazić jak wielki smutek ogarnia mnie, kiedy pomyślę, co na koniec zrobili Mike'owi i Axe'owi. Morgana porusza to tak bardzo, że za każdym razem, kiedy ktoś wspomni Axe'a, musi wyjść z pokoju. Trzeba go znać, żeby to zrozumieć. Niewielu było takich jak Matthew Axelson.

Cóż, kiedy przywieźli Axe'a, mnie już tam nie było. Wyleciałem z bazy nocą, 8 lipca, wielkim wojskowym Boeingiem C-141, w długą podróż do Niemiec. Towarzyszył mi Jeff Delapenta, bez przerwy przy moim boku. Po przylocie zgłosiłem się do centrum medycznego w amerykańskiej bazie lotniczej w Landstuhl, tuż przy zachodniej granicy z Francją, około 90 kilometrów od Frankfurtu.

Spędziłem tam około dziewięciu dni, dochodząc do siebie i poddając się leczeniu tan, kręgosłupa, ramienia i nadgarstka. Niestety robił z butelki po pepsi nie chciał  
\*\*\*\* Audie Leon Murphy (1925-1971) spędził 27 miesięcy na polach bitewnych Europy podczas II wojny światowej. Otrzymał trzydzieści dwa odznaczenia za waleczność - najwięcej spośród wszystkich amerykańskich żołnierzy. Po wojnie został gwiazdą filmową i wystąpił w ponad czterdziestu filmach - przyp. red. wynieść się z mojego żołądka. Opierał się przez kilka miesięcy i utrudniał odzyskanie utraconych kilogramów.

Udało mi się jednak przez to przejść, opuściłem Niemcy i wyruszyłem do oddalonych o 6,5 tysiąca kilometrów Stanów Zjednoczonych. Tym razem towarzyszyli mi kapitan

Clint Burk, mój partner nurkowy z BUD/S oraz doktor Dickens. Clint i ja przyjaźniliśmy się od zawsze, więc podróż zleciała nam szybko. Lecieliśmy samolotem transportowym C-17, na górnym pokładzie, w pierwszej klasie... no, prawie. Ale w fotelach. Było fantastycznie. Dziewięć godzin później wylądowaliśmy w Maryland, po czym marynarka przewiozła nas prywatnym, należącym do pewnego senatora, odrzutowcem Gulfstream.

Mam wrażenie, że przybyłem w dobrym stylu na lotnisko w San Antonio, w Teksasie, które leży około 320 kilometrów od Houston, jadąc 10-ką przez rzekę Colorado. Myślę, że ktoś rozmawiał z rodziną o moim ewentualnym powrocie do San Diego, ale najwyraźniej Morgan odparł:

- Możecie o tym zapomnieć. Wraca do domu i tu na niego czekamy.

Wsiedli do naszego Chevroleta Suburbana: Morgan, nasz młodszy brat Scottie i SEALsi — kapitanowie JJ i JT. Wyruszyli w drogę przez Teksas, by odebrać brata, którego media ogłosiły martwym. Kiedy wylądował mój prywatny odrzutowiec i zobaczyłem ich oczekujących, nie mogłem uwierzyć. Każdy z nas uronił kilka łez. Zwyczajnie, łez szczęścia, jak przypuszczam. Oni wcześniej przeżyli najczarniejszą obawę, że więcej się nie zobaczymy. Muszę przyznać, że ta myśl pojawiła się kilkakrotnie również w mojej głowie.

Ale przede wszystkim zapamiętałem śmiech.

— Jezu, wyglądasz okropnie — powiedział Morgan. - Mama załamie się nerwowo, kiedy cię zobaczy.

To przypomniało mi zdanie, które wypowiedziałem do Axe'a, kiedy został śmiertelnie ranny na górze: „Hej, człowieku, ale jesteś rozpieprzony”.

Po prostu w taki sposób ze sobą rozmawiamy. Pamiętajcie, że Morgan jest Foką, więc jego słowa, nawet te kierowane do własnego brata, nacechowane są humorem, jak wszystko co mówimy jeden do drugiego. Mogło zdarzyć się tak, że to Morgan byłby uwięziony w górach, a ja czekałbym na niego, martwiłbym się i trwożył o jego życie. Pamiętam, że powiedział mi też, że mnie kocha. Scottie też. To bardzo wiele dla mnie znaczyło.

Ponieważ nie było z nami komandora porucznika Pero, Scottie zorganizował torbę



cheeseburgerów na pięciogodzinną drogę do domu. Jadąc zaśmiewaliśmy się do rozpuku. Ja bagatelizowałem moją mękę, mówiąc im, że to nic takiego, ale żaden mi nie wierzył. Myślę, że nie można wyglądać tak źle, jak ja wtedy, jeśli przeszło się przez „nic takiego”.

Ale bawiliśmy się dobrze, a w końcu opowiedziałem o kilku momentach, które były naprawdę przerażające. Morgan zaczął łkać jak dziecko, kiedy opowiedziałem mu o tym, co spotkało Axe'a. Zamilkliśmy, bo nie było słów, którymi moglibyśmy go pocieszyć. Nic nie mogło uciszyć jego smutku. Według mnie, nigdy nie będzie czegoś takiego. Tak samo jest ze mną i Mike'em.

W końcu dojechaliśmy do naszego zakątka we wschodnich Teksasie. Wszyscy zebrali się przed domem, kiedy podjeżdżaliśmy szeroką, pokrytą czerwonym pyłem drogą prowadzącą do rancza — do domu, o którym myślałem, że nigdy go już nie zobaczę. Te olbrzymie dęby nadal wznosiły się wysoko, psy ojca wybiegły nam na spotkanie, szczekając jak opętane. Emma wyjątkowo biegła na przedzie, machając ogonem, jakby wiedziała o czymś, o czym inni nie wiedzieli.

Jak było do przewidzenia, mama rozplakała się na mój widok, bo nadal byłem ponad 13 kilogramów lżejszy niż wtedy, kiedy ostatni raz mnie widziała. Wyglądałem też na schorowanego. Nie powiedziałem jej o przeklętej, pełnej tyfusu butelce po pepsi. Był tam też tłum ludzi z sąsiedztwa, którzy przyjechali, by mnie powitać.

Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że ci ludzie stanowili trzon pięciodniowego czuwania i modlitw, które miały miejsce na ranczo w tych dniach, gdy byłem uznany za zaginionego. Czuwania, na które nikt nie był zaproszony; czuwania zrodzonego z czystej przyjaźni i troski; czuwania, które rozpoczęło się smutnymi wizjami utraty i ulotną nadzieją, ale zakończyło na słonecznych wyżynach spełnionych modlitw. Nie mogłem w to uwierzyć, kiedy już usłyszałem, co się wydarzyło.

A jednak stał przede mną twardy dowód miłości, jaką ci Teksasczycy darzyli mnie za to, czego starałem się dokonać dla mojego kraju. Przyjął postać nowiutkiego domu z kamienia, stojącego po drugiej stronie świeżo wybrukowanego dziedzińca, około sześciu metrów od głównego domu. Jednopiętrowy, z szerokim drewnianym rarasem przy sypialniach, prysznicem o ścianach pokrytych naturalnym kamieniem.

Zaprojektowany specjalnie dla mnie. Wewnątrz dom był całkowicie urządzony, wyłożony dywanami, wypełniony meblami i wielkim telewizorem plazmowym.

-Jak, do cholery, on się tutaj znalazł? - zapytałem mamę.

Jej odpowiedź powaliła mnie. Zaczęło się od tego, że po czuwaniu przyjechał wielki teksański właściciel ziemski, Scott Whitehead. Jako jeden z bardzo wielu ludzi chciał zobaczyć się z moimi rodzicami i wyrazić swoją radość z wiadomości o moim ocaleniu. Na marginesie, nigdy wcześniej nie znał nikogo z naszej rodziny. Zanim odjechał, powiedział, że ma przyjaciela, który jest właścicielem firmy budowlanej w Houston i zastanawia się czy jest coś, z czego Marcus ucieszyłby się po powrocie do domu.

Mama odpowiedziała, że zawsze marzyłem o swoim własnym miejscu, w którym mógłbym... cóż, wyluzować się, jakby z pewnością ujął to świętej pamięci Shane Patton. Dobudówka do mojej, znajdującej się na parterze domu, sypialni, byłaby czymś odpowiednim. Myślała o czymś niedrogim, czymś na co byłoby stać ją i ojca. Niebawem, jak opowiadała, na podjazd wjechały dwie ciężarówki, największe jakie w życiu widziała. Wraz z nimi wjechał dźwig i koparka, kilku architektów, inżynierów i Bóg wie kro jeszcze. Następnie, jak mówi mama, ekipa trzydziestu ludzi, pracując przez okrągłe trzy doby na trzy zmiany, zbudowała dla mnie dom! Scott Whitehead powiedział, że jest dumny z tego, że mógł zrobić niewielką przysługę wielkiemu Teksasczyko-wi (Chryste! Miał na myśli mnie, jak sądzę). Nadal dzwoni codziennie do mamy, tak po prostu, żeby zapytać czy wszystko u nas w porządku.

Morgan i ja wjechaliśmy dalej, by zrobić miejsce dla wielu SEALsów, którzy nadjeżdżali, by się z nami zobaczyć. Następne dwa tygodnie spędziłem z rodziną, odpoczywałem, a mama toczyła zaciekłą walkę z robalem z butelki po pepsi, usiłując przydać mi nieco wagi.

Chłopaki od Scotta Whiteheada pomyśleli o wszystkim. W moim nowym domu zainstalowali nawet telefon. Pierwszy dzwonek był dla mnie niespodzianką.

Podniosłem słuchawkę i usłyszałem:

- Marcus, tu George Bush. Czterdziesty pierwszy.

Jezu! To czterdziesty pierwszy prezydent Stanów Zjednoczonych. Szybko to zrozumiałem. Prezydent Bush mieszka w Houston.

- Tak jest, sir — odpowiedziałem — Doskonale wiem, kim pan jest.

- No cóż, zadzwoniłem, żeby powiedzieć ci, jak bardzo jestem z ciebie dumny. Mój syn również jest bardzo dumny i chcę, żebyś wiedział, że Stany Zjednoczone Ameryki są dumne z ciebie, z twojego męstwa i odwagi w obliczu wroga.

A niech to, dało się słyszeć, że to wojskowy, od razu. Wiedziałem, że w czasie II wojny światowej był pilotem bombowca torpedowego na Pacyfiku. Postrzelony przez Japończyków otrzymał Zaszczytny Krzyż Lotniczy (Distinguished Flying Cross). To człowiek, który mianował Gene-

rała Colina Powella na Przewodniczącego Kolegium Szefów Połączonych Sztabów. Zwycięzca Wojny w Zatoce.

Ale jaja! „Tu George, czterdziesty pierwszy, dzwonię, żeby ci powiedzieć jak bardzo jestem z ciebie dumny"! To mnie rozwaliło. Powiedział, że jeśli będę czegoś potrzebował, wszystko jedno czego, mam „koniecznie do niego zadzwonić". I podał mi swój numer telefonu. Jak wam się to podoba? Ja, Marcus? Chodzi mi o to, że - Jezu - nie musiał tego robić. Czy Teksasczycy nie są najwspanialszymi ludźmi na świecie? Może myślicie inaczej, ale wiecie już dlaczego mam takie zdanie.

Telefon od prezydenta Busha bardzo mnie poruszył. Podziękowałem mu serdecznie.

Na koniec powiedziałem po prostu:

— Jeśli coś będzie nie tak, sir, z pewnością zadzwonię. Tak jest, sir.

W połowie sierpnia, nadal będąc w czynnej służbie w marynarce, musiałem pojechać na Hawaje (siedziba 1. Zespołu SDV). W ciągu dwóch tygodni, które tam spędziłem, odwiedził mnie admirał Mike Mullin, szef Operacji Morskich. Przyjechał wprost z Pentagonu.

Poprosił, żebym przyszedł do biura oficera dowodzącego i tam z miejsca promował mnie na starszego bosmana. Poważnie.

Admirał Mike Mullin jest dowódcą amerykańskiej Marynarki Wojennej, więc był to dla mnie największy zaszczyt. Nigdy nie zapomnę tamtej chwili, kiedy stałem przed admirałem Mullinem. Powiedział mi, że jest ze mnie bardzo dumny. Niewiele rzeczy

może wywołać większe emocje. Niemal się rozplakałem.

Być może cywile nie rozumieją, dlaczego zaszczyt taki jak ten, znaczy dla nas tak wiele; to najwyższe uznanie za to, że dobrze służyłeś swojemu krajowi, że dobrze wykonywałeś swoje obowiązki i udało ci się sprostać najwyższym wymaganiom. Może się to wydawać dziwne, jak egzotyczny rytuał, jak lochaj, ale mam nadzieję, że rozumiecie, co mam na myśli.

Tak czy inaczej, zapytał czy może zrobić coś dla mnie, cokolwiek, a ja odpowiedziałem, że jest jedna taka rzecz.

Miałem przy sobie naszywkę z godłem Teksasu, którą podniszczyłem nosząc na ramieniu w czasie służby w Afganistanie, podczas wałk z talibami i al-Kaidą. Jest to naszywka, na której widnieje Lone Star. Była nadpalona tym ostatnim wybuchem RPG i nadal poplamiona krwią, chociaż próbowałem ją uprać. Zawinałem ją w folię plastikową, więc gwiazda Teksasu nadal była widoczna. Zapytałem admirała Mullina, czy mógłby przekazać ją prezydentowi Stanów Zjednoczonych.

Odpowiedział, że zrobi to z całą pewnością i że wierzy, że prezydent George W. Bush będzie zaszczycony tym darem.

- Czy chciałbyś wraz z tą naszywką przesłać prezydentowi krótki list? - zapytał admirał Mullin.

Ale ja odparłem, że nie.

- Będę wdzięczny, jeśli pan ją przekaże prezydentowi, sir. Prezydent Bush jest Teksaszczykiem. Zrozumie.

Miałem jeszcze jedną prośbę, ale zarezerwowałem ją dla moich bezpośrednich przełożonych. Chciałem polecieć jeszcze raz do Bahrajnu i dołączyć do moich kolegów z 1. Ododdziału SDV, a potem, kiedy wypełnią już swoją służbę, wraz z nimi wrócić do domu.

- Wyjechałem ram z nimi i z razem nimi pragnę wrócić - powiedziałem, a mój dobry kumpel Mario, oficer dowodzący Plutonem Alfa, uznał to za słuszne.

I tak, 12 września 2005 poleciałem z powrotem na Bliski Wschód, wylądowałem w amerykańskiej bazie lotniczej na wyspie Muharraa, w tym samym miejscu, z którego Mikey, Axe, Shane, James, Dan Healy i ja wylecieliśmy pięć miesięcy wcześniej do

Afganistanu. Tylko ja pozostałem przy życiu.

Przewieziono mnie przez groblę z powrotem do amerykańskiej bazy położonej w północno-wschodnim zakątku kraju, na zachodnich obrzeżach stolicy - Manamy.

Jechaliśmy przez centrum, przez miejsca, gdzie ludzie nie ukrywali tego, że nas nienawidzą i muszą przyznać, że

\*\*\*\*\* Lone Star - samotna gwiazda. Tak nazywany bywa stan Teksas. Lone Star to również element flagi Teksasu - przyp. red.

W tym razem w mojej duszy zabrzmiała nuta nieufności. Już z własnego doświadczenia wiedziałem, czym jest nienawiść bojowników dżihadu.

Spotkałem się z moimi kolegami i pozostałem w Bahrajnie do października. Wtedy razem wróciliśmy na Hawaje, a ja zacząłem przygotowywać się do następnej trudnej podróży, rej którą obiecałem sobie, którą w modlitwie obiecałem moim poległym braciom i ich rodzinom. Miałem zamiar odwiedzić rodziny wszystkich poległych i wyjaśnić jak wzorowo postępowali ich synowie, mężowie oraz bracia na linii frontu i w walce przeciwko światowemu terroryzmowi.

Przypuszczam, że w pewnym sensie odpowiedziałem na własną potrzebę uwolnienia żalu, której nie mogłem zrealizować wtedy, kiedy jeden po drugim moi towarzysze wracali do kraju. Nie byłem na żadnym z pogrzebów, gdyż odbyły się zanim wróciłem. Podobnie jak msze za pamięć naszych braci odprawione przez Marynarkę Wojenną.

Dla przykładu, pogrzeb kapitana Mike'a Murphy'ego na Long Island w stanie Nowy Jork był olbrzymią uroczystością. Zamknięto nawet drogi, a są to bardzo ruchliwe trasy. Nad autostradą do Long Island wisały banery poświęcone pamięci SEALsa, który zapłacił najwyższą cenę za atak na bojowników al-Kaidy.

Eskorta policji otoczyła procesję tysięcy zwykłych ludzi, którzy pojawili się, by oddać honor synowi ich ziemi, który poświęcił wszystko w służbie krajowi. A nie znali nawet jednej czwarnej tej historii. Nikt jej nie znał. Tylko ja.

Pokazano mi fotografię zrobioną w czasie pogrzebu przy miejscu pochówku. Pogrzeb odbywał się w ulewnym deszczu. Wszyscy przemoknięci, SEALsi o kamiennych twarzach w odświętnych mundurach, poważni, niewzruszeni przez deszcz, opuszczali

Mike'a w wieczną ciszę grobu.

Każde z ciał zostało przetransportowane do kraju w eskorcie SEALsów w pełnym umundurowaniu, którzy trzymali straż przy trumnach owiniętych amerykańskimi flagami. Jak już mówiłem, nikogo nie zostawiamy samego.

Przed przyłodem samolotu wiozącego Jamesa Suha ruch na lotnisku w Los Angeles został wstrzymany. Kiedy zbliżał się do pasa, nie zezwalano ani na starty, ani na lądowania. Nic nie działo się na lotnisku, aż do momentu, gdy eskorta wyniosła trumnę i umieściła ją w karawanie.

Sran Colorado był bliski zamknięcia lotniska na czas przyłoru ciała Danny'ego Dietza, ponieważ historia jego bohaterskiej walki w górach w jakiś sposób przeciekła do prasy. Lecz, jak wszyscy obywatele Long Island, mieszkańcy Colorado nie poznali nawet jednej czwartej tego, czego ten dzielny wojownik dokonał w imieniu naszego narodu w obliczu potężnego wroga.

Kiedy Axe wracał do domu, zamknięto dla ruchu całe miasto Chico w Kaliforni. Jest to niewielkie miasteczko, położone około 120 kilometrów na północ od Sacramen-to, ale ma własne miejskie lotnisko. Eskorta została powitana przez gwardię honorową, która wyniosła trumnę na oczach ogromnego rłumu, a pogrzeb, który odbył się dzień później, zatrzymał ruch w całej okolicy — tak olbrzymie utworzyły się korki.

Wszystko to byli ludzie chcący wyrazić swój szacunek. Tak było wszędzie. Mam odczucie, że niezależnie od tego, jak wiele kropli wrogości pod naszym adresem wycieka z tego co drukuje liberalna prasa, Amerykanie po prostu w nią nie wierzą. Słusznie są dumni z sił zbrojnych Stanów Zjednoczonych Ameryki. Instynktownie rozumieją to, co robimy i żadna ilość trucizny o naszej rzekomej brutalności, braku poszanowania dla Konwencji Genewskiej, łamaniu praw człowieka przysługujących terrorystom, nie zmieni sposobu myślenia większości zwyczajnych ludzi.

Wątpię czy którykolwiek redaktor któregoś z mediów zostałby powitany tak, jak są witani SEALsi. Pomimo, że te wojska święcą swoje największe triumfy, w ciszy, na pustkowiu Hindukuszu. Być może media podały amerykańskiej opinii publicznej kielich goryczy, a potem musiały same go wypić.

Być może niektórzy przedstawiciele mediów są przekonani, że mogą wyprać mózgi

opinii publicznej, kiedy tylko zapragną, ale ja wiem, że nie mogą. Nie tu. Nie w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Pewne jest też, że w czasie naszej długiej podróży do rodzin poległych, jako przedstawiciele amerykańskiej Marynarki Wojennej witani byliśmy ciepło, z przyjaźnią i wdzięcznością. Myślę, że nasza obecność w tych domach, rozsianych po całym kraju, dowiodła raz na zawsze, że pamięć o tych ukochanych mężczyznach będzie zawsze droga, nie tylko rodzinom, ale też marynarce, której służyli.

Amerykańska Marynarka "Wojenna bardzo dba o takie sprawy. Wierzcie mi, oni naprawdę się tym przejmują.

W momencie, w którym zasugerowałem moim przełożonym, że powinni ze mną pojechać pozostali członkowie plutonu Alfa, od razu zaofiarowali pomoc. Zgodzili się, żebyśmy wszyscy pojechali i zdecydowali, że marynarka pokryje wszystkie koszty naszej podróży.

Wróciliśmy do San Diego i wynajęliśmy SUV-y. Następnie pojechaliśmy do Las Vegas, by spotkać się z rodziną Shane<sup>^</sup> Parrona, który zginął w katastrofie helikoptera. Przyjechaliśmy w Dzień Weterana. Zostaliśmy gośćmi honorowymi na mszy za pamięć poległych. Dla mnie była to bardzo smurna ceremonia. Ojciec Shanea też był Foką i wiedział jak dobrze znałem jego syna. Zrobiłem wszystko, co mogłem.

Później poleciliśmy do Nowego Jorku, do matki Mike'a i jego narzeczonej, a potem do Waszyngtonu, aby odwiedzić rodziców komandora podporucznika Erica Kristensena, pełniącego obowiązki naszego dowódcy, wieloletniego oficera SEALsów, który tamtego popołudnia rzucił wszystko i pobiegł do helikoptera wraz z innymi, po drodze wciskając magazynek do swojego karabinu i mówiąc, że Mikey potrzebuje każdego karabinu, jaki może tam dotrzeć. Myślę, że to z Ericem rozmawiał Mikey, kiedy wykonał ten ostatni, fatalny dla niego telefon.

Admirałowi Kristenseniowi, ojcu, powiedziałem że Erie zawsze był dla mnie bohaterem, tak jak dla wszystkich, którzy wraz z nim zginęli w górach. Nasz dowódca został pochowany na terenie Akademii Marynarki Wojennej w Annapolis. Potem pojechaliśmy na Narodowy Cmentarz w Arlington, by odwiedzić groby

kapitana Mike'a McGreevy Jr. oraz starszego bosmana Jeffa Lucasa z Corbett w stanie Oregon. Obaj zginęli w helikopterze i zostali pochowani obok siebie w Arlington, ramię w ramię tak, jak umarli w Hindukuszu.

Przelecieliśmy przez cały kraj, by odwiedzić liczną rodzinę bosmana Jamesa Suha. Wszyscy zebraliśmy się na cmentarzu i zmówiliśmy modlitwę za jednego z najbardziej lubianych ludzi w Plutonie.

Dan Healy został pochowany na cmentarzu wojskowym w Point Loma, w San Diego, niedaleko Coronado. Pojechaliśmy do północnej Kalifornii, do jego rodziny. Stamtąd ruszyliśmy do Chico, gdzie opowiedziałem Cindy, żonie Axe'a, jak dzielnie walczył, jak wielkim był bohaterem, a także przekazałem jego ostatnie słowa: „Powiedz Cindy, że ją kocham”.

Danny Dietz pochodził z Colorado i tam został pochowany. Jednak jego rodzina mieszkała w Wirginii, niedaleko bazy w Virginia Beach. Odwiedziłem jego piękną, czarnowłosą żonę, Parsy. Próbowałem wyjaśnić jej, najlepiej jak potrafiłem, jak poważną rolę odegrał w naszej drużynie i opowiedzieć, jak poległ walcząc tak dzielnie, jak żaden dotąd człowiek służący w amerykańskich siłach zbrojnych. Niestety ból, jaki przeżywała Patsy, niezwykle trudno było złagodzić. Wiem, że dla niej ta strata oznaczała nieodwracalnie złamane życie, mimo tego, że będzie próbowała poskładać je z powrotem. Siedziała z dwoma wielkimi psami Danny'ego u stóp, a kiedy odchodziłem powiedziała po prostu:

—Wiem, że nigdy już nie będzie takiego człowieka, jak Danny.

Nie mogłem temu zaprzeczyć.

Pod koniec roku moje obrażenia były już mniej dokuczliwe, ale wciąż je odczuwałem. Zostałem wysłany do Coronado, gdzie przeszedłem z 1. Zespołu SDV do 5. Zespołu, a tam zostałem głównym bosmanem w Plutonie Alfa. Jak wszystkie plutony SEALsów, Alfa ma swój mechanizm, prawie jak werk zegarka. Oficer ponosi odpowiedzialność, bosman sztabowy decyduje, a główny bosman bezpośrednio dowodzi. Dostałem nawet własne biurko, a oficer dowodzący, komandor porucznik Rico Lenway od razu srał się dla mnie jak ojciec, podobnie jak starszy bosman sztabowy Pete Nasheck - świetny facet, weteran bitew na całym niemal świecie.



Był to dla mnie czas refleksji. Powrót do Coronado, gdzie nie byłem od czasu szkolenia BUD/S, które przeszedłem siedem lat wcześniej. Poszedłem na plażę, na której po raz pierwszy zetknąłem się z realiami życia w Navy SEALs — z oczekiwaniami i z trudnościami, które uczyłem się znosić; z przejmującym zimnem i z bólem. Tam nauczyłem się podstaw naszej dyscypliny, czyli wykonywania rozkazów bez zastanowienia, bez dyskusji, bez obrażania się.

Biegałem, skakałem, dźwigałem, pompowałem, pływałem, potykałem się i wysilałem - aż do granic wytrzymałości. Jakoś udawało mi się ciągnąć dalej, podczas gdy inni padali po drodze. Miliony snów i nadziei zostały rozbite w pył na zmytym przez przyływ piachu. Lecz nie moich. Naszło mnie zabawne przeczucie, że dla mnie ta plaża zawsze już będzie nawiedzona przez ducha młodego Marcusa Luttrella, zmagającego się aż do granic wytrzymałości.

Wracałem znad plaży, obok moich pierwszych baraków i niemal wyskoczyłem z butów, kiedy zawyły rury prysznicza. Stałem na Młynku, gdzie dowódcy SEALsów w końcu złożyli mi serdeczne życzenia i wręczyli Trójzab. Tam po raz pierwszy uścisnął moją dłoń komandor Joe Maguire.

Spojrzałem na milczący dzwon przed biurem BUD/S i na miejsce, gdzie odpadający ze szkolenia zostawiają

swoje hełmy. Niebawem będzie ich tam więcej, zacznie się nowa tura szkolenia.

Kiedy ostatni raz tu byłem, miałem na sobie mundur galowy i stałem wśród świeżo upieczonych SEALsów, z którymi później służyłem.

Przyszło mi do głowy, że każdy z nich, każdego dnia, mógłby zrobić dokładnie to samo, co ja zrobiłem w czasie misji w Hindukuszu. Niczym się od nich nie różnię. Po prostu jestem, mam taką nadzieję, tym samym chłopakiem z farmy w Teksasie, który przeszedł najlepszy system szkoleń na świecie, z bandą najwspanialszych chłopaków, jakich można sobie wyobrazić. Navy SEALs, wojownicy, pierwsza linia wojsk Stanów Zjednoczonych. Nadal coś ściska mnie za gardło, kiedy pomyślę, kim tak naprawdę jesteśmy.

Pamiętam, że plecy wciąż mnie bolały, kiedy tak stałem na Młynku, pogrążony w myślach. Nadgarstek dalej rwał i czekał na kolejną operację. Przypuszczam, że

gdzieś głęboko wiedziałem, że fizycznie nigdy już nie będę taki sam. Nigdy już nie odzyskam formy, jaką miałem wcześniej, ponieważ już nie będę mógł się wspinać i biegać. Ale przecież i tak nigdy nie osiągnąłem standardów olimpijskich!

Jednak spełniłem swoje marzenia, a nawet więcej. Spodziewam się, że wiele razy jeszcze usłyszę pytanie czy warro było. Moja odpowiedź zawsze będzie taka sama.

Jak często powtarzałem pierwszego dnia:

-Tak jest, sir!

Bo przeszedłem przez to, mam wspomnienia i nie zamieniłbym żadnego z nich, za nic na świecie. Jestem Navy SEAL.

Epilog

13 września 2005 roku Danny Dietz i Matthew Axelson zostali odznaczeni najwyższymi honorami, jakie Marynarka Wojenna Stanów Zjednoczonych i Piechota Morska mogą przyznać - Krzyż Marynarki za bohaterstwo w boju. Ja zostałem wezwany do Białego Domu by odebrać mój Krzyż Marynarki 18 lipca 2006 roku. Towarzyszyli mi bracia - Morgan i Scottie, mama, tata oraz przyjaciółka Abbie. Przybyli tam również: dowódca 5. Zespołu SEALs Lenway i starszy bosman sztabowy Pete Nasheck oraz adiutant komandora Maguire'a — kapitan Drexler. Ubrany w galowy mundur, z Purpurowym Sercem przypiętym na piersi tuż przy Trójzębie, wkroczyłem do Gabinetu Owalnego. Prezydent Stanów Zjednoczonych, George W. Bush, wstał i przywitał mnie.

- Spotkanie z panem to dla mnie zaszczyt, sir - powiedziałem.

Prezydent odpowiedział swoim charakterystycznym uśmiechem, który zrozumiałem jako: „Obaj jesteśmy Tek-sańczykami, co?” i odpowiedział, jakby porozumiewawczo:

- Cała przyjemność po mojej stronie, synu. Spojrzał na opatrunek na moim lewym nadgarstku,

a ja wyjaśniłem:

- Próbuję wrócić do gry, sir.

Uścisnął moją dłoń, a uścisk miał mocny. Spojrzał mi prosto w oczy, twardym i niezłomnym wzrokiem. Ostatni raz patrzył tak na mnie Ben Sharmak w Afganistanie. Lecz tamto spojrzenie zrodzone było z nienawiści. To spojrzenie przeznaczone było

dla przyjaciela.

Uścisk naszych dłoni trwał nieco dłużej niż zazwyczaj i dla mnie był niezwykle ważny.

To był mój dowódca i w ramtej chwili całą swoją uwagę skierował na mnie, tak jak i wtedy, gdy do mnie mówił.

Prezydent Bush robi to w sposób naturalny, mówi tak, jakby nikogo więcej w pobliżu nie było. To wielki człowiek.

Pamiętam, że chciałem mu powiedzieć jak bardzo wszyscy moi koledzy go kochają, jak bardzo w niego wierzą i zawsze jesteśmy gotowi nadstawić tyłki, kiedy tylko nas o to poprosi. Ale on i tak to wie. To swój chłop. Nawet Shane w swojej skórze leoparda nazwał naszego głównego dowódcę „gościem”.

Wyglądało na to, że prezydent Bush doskonale wie, co mam na myśli. Poklepał mnie po ramieniu i powiedział:

- Dziękuję ci, Marcus. Jestem z ciebie dumny, synu. Nie potrafię opisać, jak wielkie znaczenie miały dla

mnie te słowa. Stałem na baczność, a kapitan Drexler przeczytał uzasadnienie przyznania odznaczenia. Potem prezydent jeszcze raz do mnie podszedł. W rękę niósł słynny Krzyż Marynarki, z granatową wstążką przeciętą białym paskiem symbolizującym cnotę.

Na Krzyżu widnieje okręt marynarki otoczony wieńcem. Prezydent przypiął go poniżej mojego Trójzębu i powiedział:

- Marcus, jestem bardzo z ciebie dumny i naprawdę lubię Foki.

Jeszcze raz podziękowałem, a on wskazał na swoje biurko, na którym zobaczyłem naszywkę, którą mu przekazałem przez admirała Mullina. Prezydent uśmiechnął się i zapytał:

- Pamiętasz to? -Tak jest, sir.

Czy pamiętam. Schowałbym tę dziecinę w moich afgańskich spodniach, tylko po to, by upewnić się, że ta-libske gnojki jej nie dostaną. A teraz znów ją zobaczyłem, na biurku prezydenta Stanów Zjednoczonych. Lone Star, choć zniszczona w boju, nadal tu jest.

Porozmawialiśmy w cztery oczy przez kilka minut i stało się dla mnie jasne, że prezydent Bush wiedział wszystko o birwie, którą stoczyliśmy na Wzgórzu Murphy'ego. Wiedział też, jak się stamtąd wydostałem.

Pod koniec rozmowy wyciągnąłem rękę i chwyciłem naszywkę, na cześć dawnych czasów. Prezydent nagle odezwał się ze swoim teksańskim akcentem:

- Odłóż to, chłopcze! To już nie należy do ciebie.

Roześmieliśmy się obaj, a on powiedział mi, że moja - dawniej moja - naszywka znajdzie swoje miejsce w jego przyszłym muzeum. Kiedy opuszczałem Gabinet Ovalny powiedział:

- Jeśli czegoś będziesz potrzebował, Marcus. Czegokolwiek. Masz zadzwonić do mnie rutaj, na ten telefon, rozumiesz?

- Tak jest, sir.

To było spotkanie dwóch Tekszańczyków. Jeden z nich trochę jak ojciec. Drugi całkowicie zdeprimowany w obecności wielkiego prezydenta Stanów

Zjednoczonych i najwyższego dowódcy.

Posłowie

Patrick Robinson

Jesienią 2006 roku Marcus Luttrell wyjechał z 5. Zespołem SEALs do Iraku. W piątek, 6 października, o godzinie 9:00 rano grupa trzydziestu sześciu ludzi wyleciała wojskowym Boeingiem C-17 z Bazy Lotniczej w Coronado do Ar Ramadi, amerykańskiej bazy położonej 95 kilometrów na zachód od Bagdadu. To miasto jest stale zapalnym punktem - dlatego SEALs tam pojechali.

Fakt, że marynarka wysłała tam swojego poranionego i odznaczonego boharera walk w afgańskich górach, był niespodzianką dla wielu ludzi, z których większość myślała, że odejdzie on ze SPECWARCOM, by wieść bardziej spokojne życie w cywilu. Nawet po upływie ponad roku nadal odczuwał ból w plecach, zmiażdżony nadgarstek wciąż nie był w pełni sprawny, a ponadto Marcus cierpiał z powodu słynnego afgańskiego zarazka, który złapał od butelki pepsi.

Wysłanie na misję Marcusa Luttrella miało aspekt osobisty. To on sam o tym zdecydował, nie marynarka. Jego kontrakt z Navy SEALs przewidywał jeszcze wiele

miesiące służby i nie było mowy o tym, żeby odszedł. Wspomnieliśmy już o tym, że w nim nigdy nie zamieszkała rezygnacja. Marcus chciał zostać i pełnić obowiązki głównego starszego bosmana w Plutonie Alfa, a to oznacza wielką odpowiedzialność.

Powiedział mi:

- Nie chcę, żeby moi chłopcy pojechali tam beze mnie, bo jeśli cokolwiek by się stało, a mnie by tam nie było, myślę że bym sobie tego nie wybaczył.

I tak Marcus Luttrell powrócił na wojnę. C-17 załadowany był całym dobytkiem 5. Zespołu SEALs, od karabinów maszynowych do granatów ręcznych. Na pokładzie znalazł

się bosman Morgan Luttrell (Pluton Bravo) - nowy przydział, który z pewnością nie zachwyił ich matki.

Marcus miał już nową naszywkę na piersi, identyczną z tą, którą prezydent miał na swoim biurku w Gabinetcie Owalnym.

- Dla niej właśnie walczę, chłopie - powiedział. - Dla mojego kraju i dla Teksasu.

Ostatnie słowa, jakie usłyszałem od tego znakomitego SEALsa brzmiały:

- Będę daleko z moimi chłopakami przez kilka miesięcy. Boże miej wrogów w opiece i błogosław Teksasowi.

Nigdy nie zapomnę

Dziś wieczorem, jak niemal każdego dnia, leżę przed telewizorem, oglądając ten sam film, który oglądałem już pięćdziesiąt razy, jeśli nie więcej. Telewizor jest dla mnie teraz jak przytulanka, świeci przez całą noc i przypomina mi w ten sposób, że jestem już w domu, bezpieczny w swoim łóżku. Moje dni biegają nieubłaganie. Całymi godzinami myślę

o Afgariczykach, odgrywam w głowie tę historię w kółko, raz po raz i doprowadza mnie to do szaleństwa. Oddałbym wszystko, żeby mieć znów przy sobie przyjaciół i życie takie, jakim było wcześniej. Żebym mógł znów widzieć ich twarze, słyszeć głosy, obserwować gesty i — a co tam — nawet czuć ich zapachy. Wiem, że dla wielu ludzi może to brzmieć banalnie, ale to właśnie drobiazgów najbardziej mi brakuje, kiedy myślę o przyjaciółach.

Największym zaszczytem dla mnie było służyć z tymi wspaniałymi ludźmi na polu

bitwy i poza nim. Zginęli robiąc to, co kochali - chroniąc nasz kraj. Nie ma większego poświęcenia według mnie.

Dzięki operacji Czerwone Skrzydło wiele nauczyłem się o sobie oraz o ludziach, z którymi pracowałem i o mieszkańcach Afganistanu. Ludzie w tamtej wiosce narażali własne życie tylko po to, by chronić moje. Nie sporukałem się z bardziej bezinteresownym gestem. Nie ważne, jakie macie doświadczenia, co słyszeliście — na świecie są jeszcze dobrzy ludzie, a ja jestem tego żywym dowodem.

Co do Rangersów, którzy przybyli do wioski by mnie stamtąd wydostać, nie mam słów, którymi mógłbym odpłacić się za dług, jaki u nich mam. Myślę więc, że zwykle dziękuję, z głębi serca, musi wyszarczyć. Dzięki, chłopaki.

W końcu, chciałbym podziękować rodzinie Dietzów za ich wsparcie. Podobnie rodzinom Axelsonów i Murphy'ch. Przyjaciołom i rodzinie 10. Zespołu SEALs i 160.

Pułkowi Lotniczemu Operacji Specjalnych chciałbym podziękować za najwyższą ofiarę — tak długo, jak starczy mi powietrza w płucach i będzie biło moje serce, nigdy nie zapomnę o ludziach, którzy tamtego dnia stracili życie w górach, bo oni nigdy nie zapomnieli o mnie.

Marcus Luttrell Styczeń 2008

PS. Misja zakończona.

Podziękowania

Serdecznie dziękuję współautorowi, Patrickowi Robinsonowi, którego podziw i szacunek dla SEALs ujawnia się w wielu fragmentach tej książki. On wie, że złożyłem uroczystą, osobistą przysięgę moim kolegom, że w jakiś sposób opowiem historię ich męstwa i niewyczerpanej odwagi. Nie udało by mi się bez jego pomocy.

Winien jestem podziękowania również 160. Pułkowi Lotniczemu Operacji Specjalnych; dowódcom SPECWARCOM, którzy udzielili mi zgody na opowiedzenie tej historii; w szczególności dziękuję admirałowi Joe Maguire'owi; komandorowi Joe Kingowi i komandor Barbarze Ford, którzy pomogli mi przedrzeć się przez dżunglę administracji marynarki przed publikacją.

Mój dowódca w 5. Zespole SEALs, komandor porucznik Rico Lenway i starszy

bosman sztabowy Pete Nasheck zawsze rozumieli moje prośby o wolne w czasie długiego procesu pisania książki. Jako ich główny starszy bosman (Pluton Alfa) winien im jestem podziękowania nie tylko za współpracę, ale również za przekonanie, że historia chłopaków w górach powinna ujrzeć światło dzienne. Chciałbym też wyrazić wdzięczność byłemu SEALsowi, Dickowi Couchowi, autorowi znakomitej książki „The War-rior Elite”, w której opisuje historię szkolenia BUD/S Grupy 228. Byłem ram, więc pojawiając się w tej książce od czasu do czasu. Odwoływałem się do świetnie spisane go dziennika komandora Coucha, gdy potrzebowałem dokładnych godzin i dat, kolejności zdarzeń i liczby tych, którzy odpadli. Miałem swoje notatki, ale nie są dobre. Jestem wdzięczny. Wielkie dzięki dla Pete'a Bella, Randalla Thompsona i firmy bawełnianej. Podziękowania należą się także moim przyjaciołom i rodzinie, a w szczególności mamie i tacie, Davidowi i Holly

Luttrellom, za wiele rzeczy, ale w tym kontekście szczególnie za opowieść o tych niesamowitych zdarzeniach, jakie miały miejsce na ranczo wczesnym latem 2005 roku, kiedy byłem „zaginiony w akcji”.

Wreszcie mojemu bratu-bliźniakowi, Foce, Morganowi, który wpadł jak burza na ranczo kilka godzin po bitwie na Wzgórzu Murphy'ego i przysięgał na Boga, że żyję, a potem nie przestawał dodawać wszystkim otuchy. Załamany śmiercią swojego przyjaciela, Matthew Axelsona, nadal zbyt pogrążony w smutku by o tym rozmawiać, był jednak przy mnie, pomagał poprawiać i wzbogacać rękopis... nadal jest przy mnie, jak zawsze był i jak — mam nadzieję — będzie.

Chcę tylko powiedzieć braciszku: „Od łona do grobu!” i nic tego nigdy nie zmieni.

Marcus Luttrell

O autorach

Starszy bosman Marcus Luttrell wychował się na ranczo w Teksasie. Wstąpił do Marynarki Wojennej USA w marcu 1999 r. Po szkoleniu Navy SEALs w styczniu 2002 r. otrzymał Trójzab i dołączył do 5. Zespołu SEALs w Bagdadzie w kwietniu 2003 r. Wiosną 2005 r. został przeniesiony do Afganistanu. Odznaczony Krzyżem Marynarki za bohaterstwo w walce w 2006 r. przez prezydenta Georga W. Busha.

Patrick Robinson znany jest z bestsellerowych powieści o amerykańskiej piechocie morskiej, z których najpopularniejsze to: „Nimitz Class”, „Kilo Class” i „Seawolf”. Biografia jego pióra o admirale Sandy Woodwardzie „One Hundred Days” stała się światowym bestsellerem. Mieszka w Anglii, ale lato spędza na Cape Cod w stanie Massachusetts, gdzie wraz z Marcusem Luttrelem napisali „Przetrwałem Afganistan”.